

Niedyskrecje

Balogh Mary



calibre 0.9.43

BALOGH

Niedyskrecje

Jedną z bezspornych oznak nadchodzącej wiosny był powrót pana Claude'a Adamsa oraz jego żony do Bodley House, ich wiejskiej posiadłości w hrabstwie Derby.

Naturalnie, koniec zimy zapowiadały również inne znaki. Przebiśniegi, prymulki i 1

pojedyncze krokusy pokazywały się już w lasach i wzdłuż przydrożnych żywopłotów. Pierwsze zielone pędy wyrastały nieśmiało z ziemi w nagich jeszcze ogrodach. Na gałęziach drzew pojawiła się otoczka zieleni, chociaż trzeba było przyjrzeć się z bliska, żeby dostrzec delikatne młode listki. Powietrze stało się

cieplejsze, słońce świeciło mocniej. Drogi i ogrodowe alejki zdążyły już wyschnąć

po ostatnich śnieżycach.

Niewątpliwie wiosna nadchodziła, ale najpewniejszym i najbardziej wyczekiwany przez małą wioskę Bodley-on-the-Water znakiem był powrót pana do dworu. Państwo Adams zazwyczaj wyjeżdżali wkrótce po Bożym Narodzeniu, czasem nawet wcześniej, i spędzali zimę, odwiedzając licznych przyjaciół.

Wyjazd dziedzica z małżonką był ciężką próbą dla wielu mieszkańców wsi; ponura pora roku i bez tego dawała się we znaki. Przez dwa miesiące musieli obywać się bez widoku pani Adams, która zwykła przejeżdżać przez wieś, kłaniając się godnie z okna powozu wybranym, zaszczyconym tym gestem przechodniom. Brakowało jej obecności w kościele, którego nawą kroczyła, nie rozglądając się na boki, a potem jawiąc się jako uosobienie mody i elegancji, zasiadała w wyściełanej ławce tuż przy ołtarzu. Biedni, chorzy i starcy musieli pogodzić się z tym, że pani Adams podczas swej nieobecności nie dostarcza im osobiście koszyków z jedzeniem - chociaż na ogół to służący przynosił je z powozu - i nie dowiaduje się łaskawie o ich zdrowie. Miejscowa śmietanka towarzyska musiała sobie radzić bez rzadkich, pochlebiających jej próżności wizyt, podczas których pani Adams siadywała przy opuszczonym oknie powozu, a uszczęśliwionego takim wyróżnieniem osobnika przyzywał z domu stangret w liberii. Szczęśliwiec stawał przy drodze, kłaniał się lub dygał i pytał o panicza Williama i panienkę Julie.

Nawet dzieci państwa Adamsów nieczęsto widywano w trakcie zimowych miesięcy, chociaż rodzice nie zabierali ich w odwiedziny do przyjaciół - nianka twierdziła niezbitnie, iż zimowe powietrze dzieciom nie służy.

Tego roku państwo Adams spędzili miesiąc w Stratton Park w hrabstwie Kent, u wicehrabiego Rawleigh. Było wiadomo, że wicehrabia, starszy brat pana Adamsa, pojawił się na świecie o całe dwadzieścia minut wcześniej i tym szczęśliwym zrzędzeniem losu został dziedzicem rodowego tytułu. Gdyby sytuacja była odwrotna, zastanawiali się głośno niektórzy plotkarze, mogli mieć w Bodley utytułowanych dziedziców. Chyba jednak babka obu braci ze strony matki i tak zapisałaby posiadłość Bodley młodszemu synowi, we dworze więc znów mieszkałby zwykły „pan Adams”.

Mieszkańcom wioski nie wadził specjalnie brak tytułu przed nazwiskiem dziedzica. Pod innymi względami państwo Adams przejawiali wszelkie cechy

szlacheckiego pochodzenia, a każdego przyjezdnego szybko informowano, że właścicielem Bodley jest jaśnie wielmożny pan Adams, brat wicehrabiego Rawleigh ze Stratton.

Pan Adams i jego żona zamierzali wrócić do domu w nadchodzącym tygodniu

-jeden z lokajów z Bodley wspomniał o tym w miejscowej gospodzie, w której co wieczór wypijał kufel mocnego jasnego ale. Stamtąd wiadomość rozeszła się po całej wsi. Kiedy główny stajenny powiedział kowalowi, że państwo przywiozą ze sobą gości, w wiosce zawrzało od domysłów.

Czy wicehrabia Rawleigh jest wśród zaproszonych?

Pani Croft, dworska gospodyni, poinformowała panią Lovering, żonę pastora, że wicehrabia istotnie odwiedzi Bodley. Miało też przybyć kilkoro innych gości. Pani Croft doprawdy nie wiedziała, czy jeszcze ktoś spośród nich ma jakiś tytuł. Nie miałyby nawet pojęcia o przyjeździe jego lordowskiej mości wicehrabiego, gdyby nie list, w którym pani Adams wspominała o szwagrze, a przecież pan Adams nie ma innych braci. Jedno było pewne: wicehrabia Rawleigh zawsze otacza się dystyngowanym towarzystwem.

Warto było znosić nieobecność dziedzica przez parę okropnych miesięcy, mając teraz przed sobą takie widoki - wieś zgodziła się jednogłośnie. Dwa lata minęły, od kiedy państwo Adams przywieźli do Bodley gości, a jeszcze więcej, odkąd wicehrabia odwiedził brata w jego wiejskiej siedzibie.

Całe Bodley drżało z niecierpliwości. Nikt nie znał dokładnej daty ani godziny przyjazdu, lecz wszyscy zachowywali czujność. Państwa Adams i ich przyjaciół

przywiezie chyba kilka powozów, a liczne pojazdy dostarczą bagaże i służbę.

Zapowiadał się spektakl, którego nie wolno przegapić. Na szczęście z hrabstwa Kent droga wiodła wyłącznie przez wieś. Należało tylko mieć nadzieję, że nie nadjadą po zmierzchu, ale to było mało prawdopodobne. Podróżowały przecież

także damy, a po nocy na drogach mogą grasować złoczyńcy.

Tak więc wraz z nadejściem wiosny, przepychu i bogactwa, obfitość nowego życia zapelni lasy i pola, a splendor i świetność powrócą do Bodley House.

Catherine Winters odkryła, że wbrew sobie dużo częściej niż zazwyczaj wygląda przez okna swego małego, krytego strzechą domku na południowym krańcu wioskowej uliczki i uważnie nasłuchuje turkotu nadjeżdżających powozów.

Wolała ogród na tyłach domu niż ten od frontu, bo rosły w nim drzewa owocowe o gałęziach zwieszających się nisko nad murawą, które latem dawały cień, a u krańca sadu płynęła rzeka, szemrząc wśród omszałych kamieni. W ostatnich jednak dniach pani Winters wychodziła dość często przed dom, gdzie oglądała pączki krokusów i nieliczne dzielne listki żonkili, wynurzające się spod

ziemi.

3

Niemniej jednak zdecydowana była szybko umknąć do domu, gdyby rzeczywiście usłyszała zbliżające się ekwipaże. Któregoś ranka tak zrobiła, ale okazało się, że to tylko wielebny Ebenezer Lovering wracał dwukółką z wizyty na pobliskiej farmie.

Powrót dziedzica do Bodley napełniał ją mieszanymi uczuciami. Dzieci będą

szczęśliwe. Od dłuższego czasu wprost nie mogły doczekać się matki. Oczywiście pani Adams przyjedzie obładowana podarkami i zajmie nimi swoje pociechy na całe tygodnie, ich lekcje więc ucierpią. Ale dzieci potrzebują matki bardziej niż

nauki. Dwa razy w tygodniu Catherine udzielała im we dworze lekcji gry na pianinie, chociaż żadne z nich nie przejawiało specjalnych zdolności w tej dziedzinie. Ale dzieci były jeszcze małe - Julie miała osiem lat, a William siedem.

Życie stawało się odrobinę ciekawsze, kiedy pan Adams i jego żona przebywali w Bodley. Od czasu do czasu Catherine zapraszano na obiad lub w celu skompletowania partii przy stoliku do kart. Zdawała sobie sprawę, że zdarza się to tylko wtedy, gdy pani Adams brakowało jednej damy do pary - jeszcze bardziej dokuczało jej w takich przypadkach protekcyjne zachowanie gospodyni. Mimo wszystko towarzystwo ludzi, którzy umieli poprowadzić konwersację, i okazja do ubrania się w odświętny strój sprawiały jej niekłamaną przyjemność bała się jedynie, że jej szyte w domu ubranie z pewnością razi wykwintne gusta rozpaczliwie niemodnym wyglądem.

Pan Adams zawsze był dla niej bardzo miły i grzeczny. Po tym niezwykle przystojnym dżentelmenie dzieci odziedziczyły urodę, choć jego żona także nie była brzydka. Catherine nauczyła się jednak unikać pana domu podczas wizyt w Bodley House. Pani Adams ostro reagowała, ilekroć Catherine zaczynała z nim rozmawiać, co było bardzo niemądre. Zachowanie Catherine nigdy nie sugerowało, że ma ochotę na flirt.

Nie miała. Skończyła z mężczyznami. Z miłością i z flirtami. Przez nie znalazła się tutaj, lecz nie zamierzała skarżyć się na swój los. Miała miły dom w całkiem przyjemnej okolicy i potrafiła pożytecznie spędzać czas, bez trudu więc znosiła monotonię kolejnych, podobnych do siebie dni.

Cieszyła się z powrotu dziedzica, ale i trochę bała. Niestety, Adamsowie mieli przywieźć większą grupę gości. Wicehrabiego Rawleigh Catherine nie znała.

Nigdy go nie spotkała i do czasu zamieszkania w Bodley-on-the-Water nigdy o nim nie słyszała. Przyjeżdżali jednak także inni goście, niewątpliwie ludzie z towarzystwa. Zawsze istniała ewentualność, że zna kogoś z nich, czy raczej -

mówiąc ściślej - że ktoś ją rozpozna.

Ryzyko było niewielkie, ale i tak napawało lękiem.

Pragnęła, aby nic nie zakłóciło jej spokoju. Zbyt drogo za niego zapłaciła.

4

Goście przyjechali pewnego chłodnego, choć słonecznego popołudnia. Stała wtedy na ścieżce przed domem, żegnając się z Agatą Downes, niezamężną córką

poprzedniego pastora, która odwiedziła ją i została na herbacie. Catherine nie mogła zatem uciec do środka, schronić się za firankami saloniku i obserwować, sama nie będąc widzianą. Musiała zostać tam, gdzie stała, z twarzą nieosłoniętą

choćby czepeczkiem, i czekać, czy ktoś ją rozpozna. Pozazdrościła Toby'emu, swojemu terierowi, bo bezpiecznie siedział w domu, głośno poszczekując.

Nadjechały trzy powozy, a za nimi, w pewnym oddaleniu, liczne bryki z bagażami. Siedzących w środku nie było widać, choć pani Adams wyjrzała przez okno pierwszego powozu, kiwnęła dłonią i skinęła im głową. Królowa pozdrawiająca pospólstwo, pomyślała Catherine i lekko się

odchyliła. Jej poczucie humoru pomagało przetrwać spotkania z panią Adams.

W ślad za powozami jechało konno trzech dżentelmenów. Szybki rzut okiem wystarczył Catherine, by stwierdzić, że dwaj z nich są jej nieznani. Trzeci też nie stanowił zagrożenia. Uśmiechnęła się do pana Adamsa i dygnęła jego żonie nie lubiła się kłaniać i unikała tego - ale jakiś szczegół w jego postawie i chłodne, aroganckie, pozbawione uśmiechu spojrzenie uświadomiło jej, że to wcale nie jej sąsiad.

Oczywiście, przecież pan Adams ma brata bliźniaka - wicehrabiego Rawleigh. Co za niezręczność! Catherine poczuła gorący rumieniec na policzkach. Nabrała nieco otuchy na myśl, że zdążył się dość oddalić, by tego dygnięcia nie zauważyć, pocieszała się, że jej ukłon można było wziąć za ogólne powitanie wszystkich podróżnych.

- Droga pani Winters - stwierdziła panna Downes - jak dobrze, że akurat stałyśmy tak blisko gościńca, kiedy pan Adams, jego droga żona i szanowni goście wracali do dworu. Doprawdy, bardzo uprzejmie ze strony pani Adams, że się nam ukłoniła. Po tak nużącej i długiej podróży na pewno wolałyby pozostać wewnątrz powozu.

- Tak, istotnie - zgodziła się Catherine. - Podróże męczą, panno Downes. Na pewno wszyscy odetchną z ulgą, dojeżdżając do Bodley House w porze popołudniowej herbaty.

Panna Downes podążyła do domu, niecierpliwie czekając chwili, kiedy podzieli się wrażeniami z sędziwą, schorowaną matką. Catherine odprowadziła ją

wzrokiem i dostrzegła z pewnym rozbawieniem, że prawie wszyscy mieszkańcy wsi wylegli przed domy. Bodley wyglądało tak, jakby przed chwilą ulicą przeszła wielka procesja, a ludzie pławili się jeszcze w glorii odświętnego wydarzenia.

Catherine nadal wstydziła się. Może wicehrabia Rawleigh zorientuje się, że tylko przez pomyłkę

wyróżniła go ukłonem i uśmiechem spośród reszty towarzystwa.

5

Może, myślała z nadzieją, inni ludzie w wiosce też się pomylili. Może niektórzy jeszcze nie zdali sobie nawet sprawy ze swojego nietaktu.

Wyglądał zupełnie jak pan Adams. Jeśli jednak miała uwierzyć pierwszemu wrażeniu - choć taki osąd bywa czasem mylny - obaj panowie bardzo różnili się

charakterem. Ten człowiek zachowywał się wyniośle i niesympatycznie. W jego ciemnych oczach czaił się przejmujący chłód. Różnica zaledwie dwudziestu minut w terminie przyjscia na świat wyznaczyła każdemu z braci odmienną życiową

pozycję; widocznie

lord Rawleigh starał się stosować do wymogów narzuconych mu przez tytuł, wielką fortunę i ogromne posiadłości.

Wolałaby uniknąć ponownego kłopotliwego spotkania z wicehrabią; nabrała nadziei, że jego pobyt w Bodley potrwa krótko, i że najprawdopodobniej wcale nie zwrócił na nią większej uwagi niż inni uczestnicy tej królewskiej procesji przez wioskę.

- No cóż... - westchnął Eden Wendell, baron Pelham, kiedy jechali konno wzdłuż

jedynej uliczki Bodley-on-the-Water z uczuciem, jakby brali udział w cyrkowej paradzie. - Przynajmniej co do jednego się myliliśmy.

Obaj jego przyjaciele nie spytali, co Pelham ma na myśli, bo podczas podróży do hrabstwa Derby, a nawet zanim zdecydowali się wyjechać na wieś, nie mówili o niczym innym.

- Ale tylko jeden z nas trzech ma szczęście - stwierdził Nathaniel Gascoigne z udanym smutkiem - chyba że wiele innych ślicznotek skrywa się za firankami tych domów.

- Jak zwykle jesteś marzycielem, Nat - odparł Rex Adams, wicehrabia Rawleigh. -

Na pierwszy rzut oka widać, że kto żyw, wyszedł na ulicę gapić się na nasz przejazd. Spostrzegłem tu tylko jedną ładną kobietę.

Lord Pelham westchnął.

- Patrzyła wyłącznie na ciebie, Rex, wszystko przez ten twój urok - powiedział. -

Niejedna znajoma dama mówiła, że nie sposób oprzeć się moim niebieskim oczom, ale ta wiejska piękność nawet nie zajrzała w nie. Tylko ciebie raczyła zauważyć.

- Byłoby lepiej, Eden, gdyby pewna dama zdołała oprzeć się twoim oczom -

odparł sucho lord Rawleigh. - Gdybym był wtedy w Londynie, może zapatrzyłaby się na mnie, zamiast na ciebie. Nie musielibyśmy uciekać na wieś na kilka miesięcy, wliczając w to cały sezon towarzyski.

Lord Pelham skrzywił się, a pan Gascoigne odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

6

- Celny strzał - zauważył. - No, Eden, sam przyznaj.

- W mieście nikt jej nie znał. - Lord Pelham zmarszczył brwi i zaczął się

tłumaczyć. - Miała ciało, dla jakiego warto umrzeć. Skąd mogłem wiedzieć, że jest mężatką? Warn się zdaje, że to bardzo śmieszne, dać się przyłapać w łóżku mężowi, a na dodatek na gorącym uczynku, ale mnie sytuacja nie rozbawiła i nadal nie bawi.

- Ja ci naprawdę współczuję, Eden - odparł Gascoigne, unosząc dłoń do serca. -

To był fatalnie wybrany moment. Mążnek mógł mieć choć tyle wyczucia, żeby poczekać z boku, aż będzie po wszystkim.

Pan Gascoigne znów uniósł głowę i zaśmiał się. Na szczęście wyjechali już poza wioskę i zbliżali się dębową aleją do dworu Bodley.

- No cóż... - Jego przyjaciel zacisnął zęby i nie dał się wyprowadzić z równowagi; znosił podobne docinki już któryś tydzień z rzędu. - Nie ja jeden muszę zaszyć się

na wsi, Nat. Czy mam rzucić na szalę sporu imię panny Sybilli Armstrong?

- A czemu nie? - Pan Gascoigne wzruszył ramionami. - Dość często wypominasz mi ją ostatnio, Eden. To był zwykły pocałunek pod jemiolą w Boże Narodzenie, nic więcej. Tylko grubianin by nie skorzystał. Panna stanęła tam specjalnie, udając, że nie widzi ani jemioly, ani mnie. A potem ci wszyscy bracia, kuzynki, wujowie, ciotki, ojciec, matka...

- Obraz ten jawi się nam z przeraźliwą jasnością - zapewnił go Rawleigh.

- .. .wpadają przez drzwi, ściany, sufit i podłogi - ciągnął Gascoigne - patrzą na mnie i czekają, żebym natychmiast się zdeklarował. To dość, żeby wstrząsnąć

człowiekiem. Istny koszmar.

- Owszem, sami znamy te kłopoty nie od wczoraj - odparł wicehrabia. - Tak więc, spadliście mi obaj na kark jak para przerażonych kociaków, a teraz oczekuje się, że zostanę na wsi razem z wami i opuszczę londyński sezon.

- To nie fair, Rex - zaprotestował Gascoigne. - Czy ktokolwiek twierdził, że masz zrezygnować z sezonu i nie poznać wszystkich panien na wydaniu i ich matek?

Czy któryś z nas tak mówił? Eden, brońmy się.

- Przecież proponowaliśmy, że zajmiemy się Stratton w czasie twojej nieobecności - dodał lord Pelham. - Słuchaj, Rex, nie możesz zaprzeczyć.

Wicehrabia uśmiechnął się szeroko.

- Macie obaj za swoje. Cieszcie się, że moja szwagierka zaprosiła nas wszystkich, i że wolałem przyjechać z wami tutaj niż zostać w Stratton i się nudzić. Dobrze wam tak. W wiosce jest tylko jedna piękność, która w dodatku woli mnie.

Odpowiedział mu chór bezładnych protestów, które szybko ucichły, bo dojechali właśnie do domu. Panowie zsiadli z siodeł, oddali wodze stajennym i zaczęli pomagać damom wysiadać z powozów.

7

To prawdziwa piękność, choć już nie młodziutka panna, myślał wicehrabia Rawleigh. Wyglądała zbyt szlachetnie, żeby okazać się

dziewczyną od krów, praczką czy służącą, z którą można się zabawić za kilka monet. Stała w ogrodzie małego, ale zadbanego domku. Bardzo możliwe, że w środku siedział mąż, który miał prawa do tej kobiety.

Szkoda. Zdecydowanie niepospolita uroda, złote włosy, regularne rysy twarzy i cera jak krew z mlekiem. Ładnie zbudowana - ani za szczupła, ani zanadto pełna.

W przeciwieństwie do większości znanych mężczyzn Rawleigh nie przepadał za kobietami o obfitych kształtach. Poza tym nieznamoma nie przeładowywała stroju ozdobami. Obnosiła swą piękność, nie podpierając się sztuką, bo nie musiała nadrabiać braków w urodzie.

Była jednak zuchwała. Dostrzegł ją, kiedy skinieniem głowy witała Clarissę.

Zauważył, że poszybowała spojrzeniem po Edenie i Nacie, a wreszcie zatrzymała wzrok na nim. Uśmiechnęła się kokieteryjnie wyłącznie do niego i dygnęła.

Nie miał nic przeciwko małej dyskretnej przygodzie, jeżeli jakimś cudem okaże się, że ślicznotka nie ma męża, który mógłby ich przyłapać w niedwuznacznej sytuacji, jak to się przytrafiło biednemu Edenowi. Rawleigha zupełnie nie interesowała siostra Clarissy ani druga spośród gości Claude'a - panna do wzięcia, ani żadne inne matrymonialne ewentualności. Gdyby Clarissa miała choć trochę

rozsądku, pojęłaby może, że ożenek Rawleigha nie leży w jej interesie i nie swatałaby go ze swoją siostrą. Mimo wszystko sukcesję po nim obejmował

Claude, a w drugiej kolejności syn Clarissy.

Może bratowa bała się, że jeśli spuści go z oczu i przestanie zaborczo pilnować, gotów pod wpływem impulsu popełnić głupstwo i ożenić się z niewłaściwą kobietą.

Naprawdę nie musiała się obawiać. Jedna krótka przymiarka do stanu małżeńskiego i związane z nią przykre, bolesne wspomnienia całkiem mu wystarczą. Jeśli o niego chodzi, panna Horacja Eckert może sobie teraz iść do diabła, chociaż w przeszłości wprost za nią szalał. Ostatnio próbowała nawet dążyć do pojednania - jeszcze jeden powód tego, że wolał wyjazd do Bodley z bratem i przyjaciółmi niż pobyt w mieście w czasie sezonu. Myśląc o niej, zacisnął nerwowo szczęki.

- Rawleigh. - Clarissa, której pomógł wysiąść z powozu, położyła mu dłoń na rękawie płaszcza.

Zawsze zwracała się do niego, wymieniając nazwisko, z którym wiązał się tytuł, chociaż prosił ją, żeby mówiła mu po imieniu. Widać bliskie pokrewieństwo z wicehrabią dodawało jej splendoru we własnych oczach.

- Witaj w Bodley House - ciągnęła bratowa. - Zaprowadź Ellen do środka, proszę.

8

Bardzo się zmęczyła. Wiesz, jaka jest delikatna. Pani Croft czeka w domu i wskaże wam pokoje.

Clarissa święcie wierzyła, że im słabsze zdrowie ma młoda dama, tym atrakcyjniejsza się wyda ewentualnemu panu młodemu. Ostatnie kilka tygodni, odkąd zaprosił pannę Hudson do Stratton Park, poświęciła nieustannym wzmiankom o kruchości i wrażliwości swojej siostry.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Clarisso - powiedział, obracając się, by podać ramię Ellen. - Panno Hudson?

Panna Ellen Hudson boi się mnie, pomyślał z irytacją, albo na mój widok traci głos z zachwyty, co na jedno wychodzi i tak samo drażni. A mimo to Clarissa sądzi, że jego jedynym życiowym marzeniem jest mieć u boku irytującą, wiecznie przestraszoną żonę.

Czy tamta kobieta jest mężatką? Rawleigh zastanawiał się, odbiegając myślami od dziewczyny uwieszanej jego ramienia.

I jak szybko można się tego dyskretnie dowiedzieć?

Zadowolenie pani Clarissy Adams sięgało szczytu. Do Bodley przyjechali goście i mieli pozostać dłużej. Aż jedenaście osób, w tym trzy miały tytuły rodowe.

Właściwie nawet cztery, jeśli liczyć jej szwagierkę Daphne -jej mąż, sir Clayton Baird, obdarzył ją tytułem lady.

Tak więc przyjechali Rawleigh i jego dwaj przyjaciele, Daphne, sir Clayton oraz Ellen. Ponadto pani Hannah Lipton, bliska przyjaciółka Clarissy z mężem, ich córka Veronica (o rok starsza od Ellen i nie

tak ładna ani tak delikatnego zdrowia) i syn, Arthur Lipton z narzeczoną, Theresą Hulme. Panna Hulme miała zaledwie osiemnaście lat. Taki młody wiek stanowi niebezpieczną broń, ale biedactwu należało się trochę względów, bo wyglądała całkiem zwyczajnie, miała matowe brązowe włosy i wyblakłe zielone oczy. Była zaręczona z młodym Liptonem, więc nie stwarzała w tym momencie większego zagrożenia.

Radość pani Adams mąciła tylko jedna sprawa - wśród gości przeważali panowie.

Musiała zaprosić obu przyjaciół Rawleigha; i pana Gascoigne, choć bez tytułu, i barona Pelhama. Niestety, żadne aluzje pod adresem pana Gascoigne nie pomogły i przyjął zaproszenie. Po drodze do Bodley chciała włączyć do towarzystwa młodą, owdowiałą przyjaciółkę, ale też jej się nie udało. W odpowiedzi na list Clarissy odpisała, że właśnie się zaręczyła i za miesiąc ponownie wychodzi za mąż.

Myśląc o nieparzystej liczbie gości, pani Adams miała nieprzyjemne wrażenie, że zawiodła jako gospodyni. Trudno jej było pogodzić się z tym nietaktem.

Próbowała przypomnieć sobie, czy w pobliżu Bodley nie mieszka odpowiednia 9

dama, którą mogłaby zabrać do siebie na kilka tygodni, ale nic nie mogła wymyślić. Pozostało zatem jedno wyjście. Nie miała wprawdzie wymówki, żeby poprosić do siebie jakąś niezamężną mieszkankę Bodley, za to mogła często zapraszać na wieczór kogoś z okolicy. Nie musiała się długo zastanawiać nad wyborem właściwej osoby.

Pani Catherine Winters.

Pani Adams nie lubiła Catherine Winters . Stanowczo za bardzo zadzierała nosa, będąc ubogą wdową, mieszkającą w małym wiejskim domku i mającą wyjątkowo skromną garderobę. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd się wzięła w wiosce przed pięciu laty, kim był jej zmarły mąż ani ojciec. Otaczała ją jednak aura spokojnej dystynkcji, a rozmowa z nią była równie przyjemna, co rozsądna.

Clarissa złościła się, że panią Winters biorą za damę tylko dlatego, że się

zachowuje jak dama. Irytowało ją, że musi czasami zapraszać panią Winters na obiad, by skompletować partię przy stoliku do kart - była przecież tylko nauczycielką muzyki jej dzieci. Nie zgodziła się wprawdzie przyjąć za to wynagrodzenia, ale panią Adams i tak poniżała konieczność utrzymywania towarzyskich stosunków z kimś w rodzaju służącej.

Gdyby pani Winters ubierała się nieco lepiej i miała mniej poważną fryzurę, można by ją nawet nazwać przystojną kobietą. Oczywiście nie tak ładną jak Ellen.

Ale już na pierwszy rzut oka widać, że ma się za kogoś lepszego. A teraz nie wolno odciągać uwagi Rawleigha od Ellen, zwłaszcza że w ostatnich dwóch tygodniach wykazał już trochę uprzejmego zainteresowania dziewczyną.

Ciekawe, że Clarissa nigdy nie obawiała się, że jakaś kobieta odciągnie od niej uwagę męża. Claude

był jej oddany. Przed dziewięciu laty, jako dziewczyna

.wprawdzie próżna, lecz przede wszystkim rozsądna, wahała się, czy wyjść za tak przystojnego i czarującego człowieka. Nie sądziła, że nauczy się z uśmiechem udawać nieświadomość, kiedy mąż zacznie zażywać rozrywek w towarzystwie kochanek i kobiet lekkiego prowadzenia. Przewidywane korzyści ze związku z Adamsem wzięły górę - był przecież spadkobiercą wicehrabiego. Podobał jej się

też jako mężczyzna, postanowiła więc poślubić go i utrzymać przy sobie. Z pre-medytacją stała się dla niego i żoną, i kochanką. Zachęcała go, żeby w zaciszu sypialni robił z nią rzeczy, które większość pań o delikatnych uczuciach przyprawiłyby o śmiertelny szok. Ku swojemu zaskoczeniu - polubiła to.

Nie, Clarissa nie bała się, że ktoś taki jak pani Winters odbierze jej męża. Na wszelki wypadek nie zachęcała jednak tej kobiety do poufałości. Żałowała, że nie może uzupełnić listy gości, zapraszając damę nieco... nieco brzydszą.

Niestety, nikogo innego nie było pod ręką.

- Poślę po panią Winters, niech przyjdzie do nas wieczorem - powiedziała 10

następnego ranka po powrocie, wchodząc do gabinetu męża. - Będzie nam wdzięczna za obiad w dobrym towarzystwie. No i chyba zachowa się

odpowiednio.

- Ach, pani Winters... - Claude uśmiechnął się ciepło. - Ona zawsze umie się

znaleźć w towarzystwie, moja droga. Coś mi się zdaje, że wczoraj za długo nie dawałem ci usnąć po tak uciążliwej podróży - dodał. - Przepraszam.

Wiedział, że przeprosiny są właściwie zbędne. Żona podeszła do biurka, przy którym siedział, i nachyliła się do pocałunku.

- Posadzę ją koło pana Gascoigne - ciągnęła. - Mogą zabawiać się nawzajem.

Uważam, że z jego strony to duży nietakt, że najpierw przez trzy tygodnie nadużywał gościnności Rawleigha, potem nie wrócił do Londynu...

- Świetny pomysł, moja miła. Posadź ich obok siebie - powiedział i uśmiechnął

się z lekkim rozbawieniem. - Tracisz jednak czas, swatając Ellen i Reksa. On nie jest do wzięcia, sam to powtarza. Zaczynam wierzyć, że mówi serio. Panna Eckert zbyt mocno go zraniła.

- Każdy mężczyzna tak twierdzi, dopóki nie przekona się, że jakaś kobieta jest dla niego stworzona. Tamta była po prostu niewłaściwą osobą - odparła żona karcąco.

- Rozumiem. - Znów się uśmiechnął. - Czy tak właśnie było z nami, Clarisso?

Uznałaś, że jesteś dla mnie stworzona? Byłaś bardzo domyślna...

- Ellen i Rawleigh są idealną parą - upierała się, nie pozwalając mu zmienić tematu.

- O tym się jeszcze przekonamy - odparł ze śmiechem.

2

Państwo Adams okazali niezwykłą uprzejmość, zapraszając panią Lovering i mnie na obiad do Bodley. Pani zaś wyświadczyli szczególny zaszczyt, skoro gości u nich teraz wicehrabia Rawleigh - oświadczył wielebny Ebenezer Lovering, podając Catherine ramię przy wysiadaniu z dwukółki. Potem pomógł wysiąść pastorowej.

- Tak, istotnie - zgodziła się cicho Catherine.

Podniosła rękę i przyglądała włosy, sprawdzając czy wieczorny wiaterek nie popsuł jej nieskomplikowanej fryzury. Próbowwała nie zwracać uwagi na przyspieszone bicie serca. Chyba sto razy decydowała się odrzucić zaproszenie, ale i tak w końcu je przyjęła. Chowanie głowy w piasek nie miało sensu. Nie mogła ukrywać się aż do wyjazdu gości, zwłaszcza gdyby ich pobyt trwał długo.

Ubrała się dość starannie. Wiedziała, że suknia z zielonego jedwabiu podkreśla 11

kolor jej włosów. Ułożyła je mniej surowo niż zwykle i pozwoliła kilku loczkom więc się swobodnie wokół skroni i szyi. Kiedy oddała płaszcz lokajowi i kamerdyner wprowadził ją do salonu, zrozumiała jednak, że wygląda żałośnie skromnie i niemodnie. Oczywiście, zaszczycono ją zaproszeniem wyłącznie dlatego, że zabrakło jednej damy do pary. Niezamożna sąsiadka może być trochę

zaniedbana, pomyślała Catherine z przebłyskiem swojego zwykłego poczucia humoru, tak naprawdę nie było jej jednak wesoło.

- Ach, pani Winters - pani Adams już sunęła ku niej przystrojona biżuterią, cała w falbankach i piórach. - Miło że pani przyszła.

Obrzuciła wzrokiem Catherine z jawną ulgą. Uspokojona, że wyglądem nie przyćmi pozostałych dam, poszła witać pastora i jego żonę.

- Pani Winters, tak się cieszę. - Pan Adams uśmiechnął się ciepło do Catherine.

To na pewno pan Adams, upewniła się, zanim odwzajemniła uśmiech. Wyglądał nadzwyczaj sympatycznie i zwrócił się do niej jak do dobrej znajomej.

- Proszę ze mną, przedstawię panią kilku naszym gościom - dodał. Nie miała odwagi podnieść wzroku i rozejrzeć się po pełnym ludzi salonie. Po każdej kolejnej prezentacji oddychała z ulgą, bo okazało się, że nie zna nikogo z obecnych oprócz Ellen Hudson, siostry pani Adams, która gościła w Bodley kilka razy w ciągu ostatnich pięciu lat. Młoda dama wydorosłała i wyglądała wprost uroczo w sukni, która wydała się Catherine ostatnim krzykiem mody. Z gęstymi brązowymi włosami i zielonymi oczyma, panna Hudson bardzo przypominała swoją starszą siostrę.

Wszyscy witali się uprzejmie z Catherine. Dostrzegła podziw w niebieskich oczach lorda Pelhama, który pochylił się nad jej dłonią w ukłonie, i w szarych, leniwych oczach pana Gascoigne. Obaj byli przystojnymi młodymi ludźmi.

Przyznała w duchu, że ich zachwyty sprawiły jej sporą przyjemność, chociaż nie pragnęła już nigdy wzbudzać go świadomie ani nie dałaby mu się zwiędzić.

Wreszcie zostało tylko dwoje nieznajomych. Już wchodząc do salonu, Catherine zauważyła jedną z tych osób i bardzo się spieszyła. Należało jednak stawić czoła sytuacji. Być może wczoraj wicehrabia nie zwrócił na nią uwagi lub zorientował

się już, że pomyliła go z bratem, a zresztą teraz pewnie jej nie pozna.

- Chciałbym przedstawić pani moją siostrę, lady Daphne Baird - powiedział pan Adams. - Daphne, to pani Winters.

Obaj bracia mieli ciemne włosy, tymczasem lady Baird okazała się jasną

blondynką. Równie miła jak pan Adams, pozdrowiła Catherine uśmiechem i obdarzyła kilkoma uprzejmymi słowami.

- A to mój brat, wicehrabia Rawleigh - dodał pan Adams. - Trudno nie zauważyć, że jesteśmy bliźniakami. Odkąd pamiętam, nasze podobieństwo przysparzało 12

innym kłopotu, a nam uciechy, nieprawdaż, Rex?

- Są powszechnie znani z bezwstydnego wykorzystywania tego podobieństwa -

wtrąciła lady Baird. - Opowieści o tym zajęłyby cały wieczór i jeszcze zostałyby coś na jutro.

- Nie teraz, Daphne, może kiedy indziej - lord Rawleigh ukłonił się sztywno Catherine. - Witam, pani Winters.

Rzeczywiście, są niezwykle podobni. Obaj wysocy i przystojni, o ciemnych włosach i jeszcze ciemniejszych oczach. Mimo to dostrzegła różnice. Choć w wiosce dała się zwiędzić podobieństwu, taka gafa nie powinna jej się powtórnie przytrafić. Na pierwszy rzut oka mieli taką samą posturę, wicehrabia był jednak przystojniejszy i mocniej zbudowany niż pan Adams. Miał też dłuższe włosy - zbyt długie i wręcz niemodne, otaczały twarz o całkiem odmiennym wyrazie.

Rysów wprawdzie nie dałoby się odróżnić, ale pan Adams miał otwarte, miłe spojrzenie, Rawleigh zaś spoglądał arogancko, wyniośle i cynicznie.

Pana Adamsa lubiła, wicehrabia nie wzbudzał jej sympatii. Opinii tej bynajmniej nie łagodziło głębokie przekonanie, że wczoraj ośmieszyła się w jego oczach.

- A pan Winters? - spytała lady Baird, rozglądając się po salonie jasnymi, zaciekawionymi oczyma.

- Świętej pamięci pan Winters, Daphne... - wtrącił szybko pan Adams. - Pani Winters jest wdową. Bardzo się cieszymy, że zechciała osiedlić się w Bodley-on-the-Water. Czyta książki starszym ludziom, uczy dzieci, a latem kościół korzysta z kwiatów z jej ogrodu. Udziela Julie i Willowi lekcji gry na pianinie, chociaż

obawiam się, że oboje odziedziczyli po mnie brak muzycznego słuchu.

- Tak więc pani Winters to prawdziwy wzór kobiecości - stwierdził wicehrabia Rawleigh, szacując oczyma całą jej sylwetkę i niewątpliwie dochodząc do tego samego wniosku, co przedtem pani Adams. No cóż, to bez znaczenia, pomyślała Catherine, przełykając upokorzenie. Nie stroiła się przecież, by zaimponować jego hrabiowskiej mości. Jeśli weźmie ją za kobietę o skromnych dochodach, mieszkającą z dala od eleganckiego świata, nie zrobi błędu, bo tak właśnie jest.

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości - uśmiechnął się pan Adams w odpowiedzi. - Ale stawiamy panią w niezręcznej sytuacji, pani Winters. Proszę mi zatem opowiedzieć, jakie postępy zrobiły dzieci przez ostatnie dwa miesiące.

Domagam się prawdy!

Catherine poczuła, że się czerwieni, nie tyle jednak z zadowolenia czy zażenowania wywołanego komplementem wicehrabiego, co z irytacji, słysząc ukrytą w jego słowach ironię i nonszalancki ton. W gruncie rzeczy swoją uwagą

chciał podkreślić, że uważają za nieciekawą osobę. No cóż, w tym względzie też

miał słuszność.

13

- Dzieci ćwiczyły codziennie - odparła. - Robią postępy w gamach i prostych wprawkach, które im zadałam.

Pan Adams znów się roześmiał.

- Jest pani wytrawną dyplomatką - stwierdził. - Moim zdaniem przynajmniej w przypadku Julie nie wolno nam ustawać w wysiłkach. Nie wyobrażam sobie, jak wejdzie w świat, nie posiadając tego kunsztu. Dobrze choć, że więcej zdolności wykazuje w dziedzinie pędzla i akwareli.

- Ja też nie jestem biegłą pianistką - odparła lady Baird. - A przecież nie stałam się

wyrzutkiem społeczeństwa. Kiedy zaczęłam bywać w towarzystwie, poradziłam sobie świetnie. Złapałam Claytona w swoje sidła, choć muszę przyznać, że straciłam dla niego głowę tak samo, jak on dla mnie... Pani Winters, kiedy w trakcie przyjęcia młodą pannę proszą do instrumentu, wystarczy, że uśmiechnie się

ośniewająco, uniesie obie dłonie i powie coś w rodzaju: „Spójrzcie państwo, obie lewe!”, a wszyscy zaczną śmiać się, jakby była szalenie dowcipną osobą. Zapewniam panią, to działa.

- Może więc pani Winters powinna uczyć twoje dzieci dyplomacji, nie gry na pianinie, Claude - stwierdził lord Rawleigh.

- Pewnie trudno jest uczyć muzyki dzieci, jeśli to ich nie interesuje - powiedziała lady Baird z nutką współczucia.

- Ależ nie, one nie są pozbawione dobrej woli, tylko...

- ... talentu - dokończył pan Adams, kiedy Catherine raptownie urwała. - Nie ma obawy, pani Winters. Kocham swoje dzieci bez względu na ich uzdolnienia muzyczne.

- Aha, obiad - ucieszyła się lady Baird, spoglądając przez salon na lokaja, który podszedł do pani Adams. - Znakomicie. Umieram z głodu.

- Przepraszam państwa. - Pan Adams szykował się, by poprowadzić panią Lipton do stołu.

- A gdzie Clayton? - Lady Baird rozejrzała się.

To wszystko jest zbyt krępujące! Catherine z trudem panowała nad ogarniającym ją popłochem. Wybawiła ją gospodyni, która jak zwykle miała wszystko na oku.

- Rawleigh, zechcesz oczywiście poprowadzić Ellen do stołu - powiedziała, biorąc szwagra pod ramię. Spojrzała na Catherine z niemal komiczną łaskawością.

- Panią wprowadzi do jadalni wielebny Lovering. Poczuje się pani swobodniej przy kimś znajomym.

- Naturalnie - przytaknęła Catherine, którą to wszystko zaczęło w końcu bawić. -

Dziękuję pani.

Pastor już kłaniał się u jej boku i zapewniał, iż uzna za wielki honor, jeśli pozwoli mu zaprowadzić się do stołu i zająć sąsiednie miejsce.

14

- Pani Adams wie, iż mężczyzna mojej profesji ceni towarzystwo osób statecznych - zaznaczył, upewniwszy się najpierw, że pani domu jest jeszcze w zasięgu jego głosu.

Rzeczywiście, świetna rekomendacja, wicehrabia pozbędzie się ostatnich wątpliwości co do niej,

zrywała się, kładąc dłoń na ramieniu pastora. Nie żeby choć trochę obchodziło ją, co Rawleigh sobie pomyśli.

Z rezygnacją przygotowała się na godzinę nieuniknionej nudy. Wprawdzie pan Nathaniel Gascoigne siedział po jej lewej stronie i wydawał się równie miłym co przystojnym człowiekiem, mało jednak mieli okazji do rozmowy. Zawsze, kiedy oboje byli zapraszani do Bodley, wielebny Lovering siedział obok niej i absorbował całą jej uwagę. Podczas obiadu nie przestawał wzywać jej do pokornej wdzięczności za honor wyświadczony zaproszeniem do tak wytwornego towarzystwa. I jeszcze omawiał w najdrobniejszych szczegółach niezrównaną

jakość każdego dania, które przed nimi stawiano.

Catherine słuchała go jednym uchem i bawiła się, obserwując pozostałych.

Gościnnie pan domu zasiadał u szczytu stołu. Pani Adams przydawała przy drugim jego końcu z miną udzielnej księżnej. Zawsze zastanawiało Catherine, że tych dwoje ludzi najwyraźniej tworzy szczęśliwą parę, choć tak znacznie różnili się charakterem. Na pierwszy rzut oka łączyła ich tylko znakomita prezencja.

Zauważyła, że Ellen Hudson, siedząca obok wicehrabiego, parę razy nerwowo próbowała przyciągnąć jego uwagę. Ilekroć jednak na nią spojrzał, cichła i bardzo się peszyła. Wracał wtedy do rozmowy z panią Lipton, która była jego sąsiadką z drugiej strony, co z kolei wyraźnie irytowało panią Adams. Catherine była przekonana, że w przyszłości pani Lipton będzie otrzymywać miejsce z dala od wicehrabiego. Dostrzegła ponadto, że lady Baird i pan Gascoigne flirtowali ze sobą, choć zupełnie niewinnie. Zauważyła kilka stęsknionych spojrzeń, które Theresa Hulme zamieniła ze swoim narzeczonym Arturem Liptonem - siedział

zbyt daleko od niej, żeby mogli prowadzić swobodną rozmowę. Theresa Hulme nie miała z kim zamienić słowa, bo dżentelmeni po obu jej stronach szybko zaczęli biedną dziewczynę całkowicie ignorować. Lord Pelham w czasie całego posiłku zatonął w pogawędce z Veronicą Lipton.

Catherine wolała rolę obserwatora niż uczestnika wydarzeń, choć w przeszłości nie zawsze tak było. Przyglądanie się innym dostarczało jej rozrywki i oszczędzało wielu kłopotów. Stopniowo, w miarę upływu lat, przekonała się, że dużo praktyczniej jest skrywać swoje emocje. Można to określić stwierdzeniem, że nauczyła się trzymać na uboczu głównego nurtu życia. Nie znaczy to, że nie angażowała się w wiele zajęć ani że nie miała przyjaciół, ale to były poczynania pozbawione ryzyka i powierzchowne przyjaźnie.

15

Nieuważnie słuchała hymnu pochwalnego wygłoszonego przez wielebne Loveringa na cześć właśnie zjedzonej pieczeni wołowej i bujała myślami w obłokach. Nagle podniosła oczy i napotkała czyjś wzrok. Uśmiechnęła się do znajomej twarzy i dopiero po chwili pojęła, że to nie pan Adams, tylko lord Rawleigh, właściwie obcy człowiek. Znów się pomyliła, a przecież przed sekundą

upewniała siebie, że to się nie powtórzy. Speszona opuściła powieki, a jej widelec z brzękiem

zahaczył o krawędź talerza.

Właściwie cóż w tym złego, że się uśmiechnęła, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się nad stołem? Zostali sobie przedstawieni i przed obiadem rozmawiali w gronie kilku osób. Nie ma powodu, żeby odwracać wzrok w popłochu. Zachowała się jak osoba czemuś winna; jakby przyłapał ją na gorącym uczynku, jakby ukradkiem przypatrywała mu się z uwielbieniem. Zmartwiona zmarszczyła brwi i spojrzała na niego surowym wzrokiem.

Wicehrabia wciąż ją obserwował. Wygiął ironicznie jedną ciemną brew, a ona znów umknęła przed jego wyniosłym spojrzeniem.

No i teraz jeszcze pogorszyła sprawę. Cóż to za nietaktowny człowiek! Niestety, jest też przystojnym mężczyzną. Wie, że poddała się jego urokowi, jak każda kobieta na jej miejscu...

Catherine uśmiechnęła się do wielebnego Loveringa. Pastor - biorąc ów uśmiech za zachętę - zaczął unosić się nad trafnością wyboru kucharza przez pana Adamsa.

Wdowa, zastanawiał się Rawleigh. Ciekawe. Wdowy to zwykle bardzo pociągające kobiety. Z młodymi pannami na wydaniu należało postępować

ostrożniej - jak bardzo ostrożnie, przekonał się ostatnio na własnej skórze Nathaniel. Mężczyzna zamożny i o pewnej pozycji towarzyskiej to dobry kandydat na męża, którego krewni młodej damy za wszelką cenę próbują złapać.

Poza tym młode panny zupełnie nie nadawały się do sypialnianych rozkoszy, chyba że było się zdecydowanym zapłacić ostateczną cenę, to znaczy ożenić.

Rawleigh nie czuł się do tego gotowy. Tylko raz, kiedyś. Ale już nigdy więcej.

Kobiety zamężne pod pewnymi względami też mogły okazać się niebezpieczne, co na własnej skórze odczuł Eden przed kilkoma miesiącami. W ewentualnym pojedynku można było zginąć od kuli zazdrosnego męża albo zabić mężczyznę, któremu przedtem wyrządziło się krzywdę, i żyć potem z tą świadomością. Nawet jeśli okazało się, że małżonek był zbyt dużym tchórzem, by wyzwać rywala, jak ten dżentelmen, któremu Eden uwiódł żonę, zawsze istniały jeszcze wymogi dobrego tonu, do których należało się zastosować. Narzucały one wycofanie się na rok z życia towarzyskiego w Londynie, a może nawet w Brighton i Bath.

Panie podejrzanego konduity bywały z reguły nudne. Oczywiście pozwalały 16

zaspokoić raz zaostrome apetyty, a w łóżku często wykazywały zadziwiające umiejętności. Niemniej zbyt łatwo dawały się zdobyć i najczęściej miały do zaoferowania wyłącznie ciało. Nuda. Minęło kilka lat, odkąd pozbył się

utrzymanki. Jeśli już miał jakiś wybór, wolał kontakty bez żadnych zobowiązań.

Ale i te nie obydwały się bez komplikacji. Po sześciu latach kampanii wojennej na Półwyspie Iberyjskim i po bitwie pod Waterloo jego zdrowie prawie nie poniosło szwanku. Nie miał

najmniejszej ochoty narażać się teraz na francuską chorobę.

Tak, wdowa to pod każdym względem idealne rozwiązanie. Już dwa razy miał

romanse z wdowami, co nie przysporzyło mu najmniejszych kłopotów. Każdą po prostu opuścił, kiedy mu się znudziła, i żadna nie robiła z tego powodu zamieszania - znalazły sobie nowych kochanków. Rawleigh wspominał obie ze sporą dozą sympatii.

Pani Winters jest więc wdową. I to szalenie uroczą, choć może ten urok nie rzuca się w oczy od razu. Ellen Hudson miała znacznie bardziej bogate stroje i ubierała się modniej. Nosiła o wiele bardziej wyszukaną fryzurę. Była młodsza. Ale właśnie brak tych atrybutów sprawiał, że piękność pani Winters jaśniała w całej krasie. Na tle prostej i zdecydowanie niemodnej zielonej sukni dostrzegało się

wspaniałą urodę tej kobiety. Oko nie zatrzymywało się na szczegółach kroju, lecz przenikało głębiej. Figurę miała wysoką i smukłą, lecz kształtną - jej ciało idealnie nadawało się do miłosnych przygód. Włosy odgarnięte z czoła i uszu upięła z tyłu w zwykły kok, a twarz zdobiło tylko kilka swobodnie puszczonej loczków, które łagodziły surowość fryzury, podkreślającej wszakże głęboki połysk złotych splotów. Fryzury nie dość wyszukanej, żeby odciągnąć uwagę od wyrazistej twarzy, o regularnych rysach i piwnych oczach. Piękność.

Wdowa. Rawleigh w duchu błogosławił pana Wintersa za to, że taktownie umarł

w tak młodym wieku.

Pobyt na wsi nie obiecywał nic ciekawego. Dobrze jednak było znaleźć się w domu, który niegdyś należał do dziadków. Przywodził na myśl wiele ciepłych wspomnień z dzieciństwa. Miło też będzie spędzić kilka tygodni z Claude'em.

Braci łączyła niezwykła bliskość, więź właściwa bliźniakom, ale ich życie toczyło się zupełnie odmiennym trybem od ożenku Claude'a w wieku dwudziestu lat. Nie widywali się już tak często jak dawniej. Rawleigh nie mógł sobie także życzyć

lepszego towarzyszy pobytu na wsi niż dwóch spośród swoich trzech najbliższych przyjaciół. Spotkali się podczas wojny, w trakcie oficerskiej służby w kawalerii na Półwyspie Iberyjskim. Znajomy oficer, dowcipniś, nazwał ich wtedy Czterema Jeźdźcami Apokalipsy, bo Rawleigh, Eden, Nat i Kenneth Woodfall, hrabia Haverford, zawsze znajdowali się w największym ogniu walk.

Niestety, wizyta na wsi i tak wróżyła brak rozrywek. Nie lubił Clarissy, chociaż

17

musiał uczciwie przyznać, że Claude był z nią całkiem szczęśliwy. Rawleigh nie miał jednak najmniejszych wątpliwości co do celu, jaki obrała sobie bratowa na parę najbliższych tygodni - chciała go wyswatać z Ellen. Czekają go zatem zwykle utrapienia. Musiał uprzejmie traktować pannę, a przy tym nie stwarzać

wrażenia, że jej asystuje. Wiedział, że czekają go zmagania z upartymi manewrami Clarissy.

Chwilami przeklinał swoją naiwną lojalność wobec Edena i Nata. Czy naprawdę

musiał zaszywać się na wsi razem z przyjaciółmi tylko dlatego, że oni nie mieli innego wyjścia? Nie mógł ich zostawić, żeby sami sobie dotrzymywali towarzystwa? Wiedział jednak, że oni też nie opuściliby go w potrzebie. A i Horacja z pewnością pojawi się w mieście na czas sezonu. Wolałby jej tam nie spotkać.

W ten sposób utknął w Bodley przynajmniej na jakiś czas. Potrzebował urozmaicenia, którego nie mógł mu dostarczyć ani brat, ani dwaj przyjaciele.

Potrzebował rozrywek w damskim towarzystwie.

A pani Winters jest wdową.

I to całkiem chętną.

Już parokrotnie dała mu to zupełnie jednoznacznie do zrozumienia. Przez cały wieczór sprawiała na nim wrażenie damy o doskonałych manierach. Zachowywała się spokojnie, lecz z wdziękiem, dokładnie tak, jak powinna kobieta jej stanu, sytuacji materialnej i pozycji towarzyskiej. Nie próbowała wysuwać się na pierwszy plan ani trzymać z fałszywą skromnością na uboczu. W salonie po obiedzie rozmawiała z Claude'em, Daphne i panem Liptonem. Z ożywionych twarzy rozmówców można było wnosić, że umiała prowadzić interesującą konwersację. Gdy panny Hudson, Lipton i Hulme skończyły zabawiać towarzystwo grą na pianinie i śpiewem, Claude zaprosił panią Winters do instrumentu. Zasiadła przy nim bez zbytniego ociągania się. Wykonała utwór poprawnie, lecz po odegraniu jednego nie czekała na dalsze prośby jak panna Lipton. Kiedy pani Lovering podniosła się do wyjścia, dołączyła do niej bez wahania, pożegnała grzecznie Claude'a i Clarissę i uprzejmie skinęła głową reszcie towarzystwa.

Poczekwała spokojnie, aż ten nadęty osioł, pastor, przebrnie przez niekończące się

uprzejmości wobec gospodarzy, miłe słowa pod adresem wytwornych gości i wylewne podziękowania za obiad, którym ich uraczono. Całe dziesięć minut minęło, nim ta trójka wreszcie odeszła w towarzystwie Claude'a, który ich odprowadził, by pomóc damom wsiąść do powoziku pastora.

Podczas tych wszystkich czynności okazywała mu wyraźne zainteresowanie.

Uśmiechy podczas obiadu, oczy spuszczone w udanym zmieszaniu - nawiasem mówiąc miała piękne, długie rzęsy, o kilka odcieni ciemniejsze niż włosy. Było 18

jeszcze parę ukradkowych spojrzeń w salonie, zwłaszcza to rzucone mu po skończeniu utworu, kiedy uśmiechem dziękowała za skąpe oklaski. Popatrzyła w stronę kominka, przy którym stał, opierając się o gzyms, trzymając kieliszek w dłoni, i zarumieniła się. Nie oklaskiwał jej, lecz podniósł nieco kieliszek i uniósł

brew.

Tak, ta dama była zdecydowanie do wzięcia. Kiedy wieczorem Rawleigh odesłał

lokaja po zgaszeniu świec i wyciągnął się na łóżku, poczuł w lędźwiach lekki, przyjemny niepokój, towarzyszący zwykle oczekiwaniu na rychłe spełnienie.

Ciekawiło go, czy nieodżałowany pan Winters był dobrym nauczycielem sypialnianych sztuczek. Zresztą nieważne. Sam chętnie ją wszystkiego wyuczy.

3

Catherine właśnie wróciła z odległego o trzy mile domku, w którym starszy pan Clarkwell mieszkał z synem i synową. Starła się odwiedzać go przynajmniej raz w tygodniu, żeby mu coś poczytać. Staruszek miał kłopoty z chodzeniem -

poruszał się tylko o dwóch laskach. Jego synowa twierdziła, że cały dzień siedzi w domu albo na progu i ciągle zrzędzi.

Na jej widok Toby nie mógł ukryć radości. Podrapała go po brzuchu, najpierw czubkiem pantofelka, potem dłonią.

- Głuptasie - powiedziała, chwyciła pyszczek psa i potrząsnęła nim kilka razy. -

Można by pomyśleć, że nie było mnie miesiąc. - Roześmiała się, widząc, że wywija ogonem jak szalony.

Dzień był słoneczny, ale chłodny. Poruszyła węgle w kuchennym palenisku i udało jej się rozniecić ogień na nowo. Dołożyła drewno do pieca, napełniła imbryk wodą

na herbatę.

Zawsze lubiła chwilę tuż po powrocie do domu, kiedy zamykała za sobą drzwi, wiedząc, że tego dnia już nie musi nigdzie wychodzić. Pomyślała o poprzednim wieczorze i uśmiechnęła się do siebie. Takie przyjęcia bywały miłe, a wczorajsze towarzystwo jej odpowiadało, mimo kilku niezręcznych momentów. Nie pragnęła jednak, by podobne rozrywki powtarzały się codziennie.

Już nie.

Tymczasem okazało się, że nie spędzi reszty dnia w upragnionej samotności. Ktoś

ostro zapukał do drzwi. Wzdychając w duchu, pośpieszyła otworzyć, a Toby rozszczękał się jak szalony. To stajenny z Bodley House stał na progu.

- Pani Adams przyjechała z wizytą - powiedział.

Pani Adams nigdy nie wstępowała do środka, jeśli uważała, że ktoś zajmuje niższe miejsce w

towarzystwie niż ona. Wzywała osobę, którą odwiedzała, do furtki 19

ogrodu, niezależnie od pogody i nie zważając na

to, czy przerywa jakieś ważne domowe zajęcia. Po kilku minutach zwykła kończyć pogawędkę i dawała stangretowi sygnał do dalszej jazdy.

Catherine znów westchnęła, zamknęła drzwi przed nosem wzburzonego Toby'ego i ogrodową ścieżką podeszła do furtki. Zobaczyła, że tym razem stoi tam nie powóz, lecz grupa jeźdźców - państwo Adams, panny Hudson i Lipton, lady Baird, lord Pelham, Artur Lipton i wicehrabia Rawleigh. Wszyscy zatrzymali konie i rozległy się chóralne powitania.

- Jak się pani miewa, pani Winters? - zagaił pan Adams z wesołym uśmiechem. -

Clarissa uparła się wywołać panią na zewnątrz, żeby nie straciła pani okazji obejrzenia naszej świetnej kawalkady.

Pani Adams nie zwróciła uwagi na to powitanie męża. Skłoniła głowę w chłodnym geście powitania. Głowę tę okrywał twarzowy niebieski toczeł do jazdy konnej.

Piórko, którym był ozdobiony, zawadiacko wiło się wokół twarzy. Na sobie miała harmonizującą z kapeluszem granatową amazonkę. Nowa suknia, uznała Catherine. I droga.

- Dzień dobry, pani Winters - powiedziała pani Adams. - Mam nadzieję, że nie przeziębiliście się, wracając wczoraj do domu dwukółką pastora. Szkoda, że nie trzyma pani powozu. Nie sądzę jednak, żeby był pani często potrzebny.

- Rzeczywiście nie - zgodziła się Catherine, dla zabawy wyobrażając sobie powozownię, która stanęłaby w ogrodzie, dwa razy większa niż sam domek. -

Wieczór był świetny na przejażdżkę, jeśli miało się odpowiednie okrycie.

- Urocze miejsce - wtrąciła lady Baird. - Otoczenie jest wręcz sielankowe, prawda Eden?

- Wielu ludzi z Londynu - odparł lord Pelham, przyglądając się Catherine błyszczącymi niebieskimi oczyma - posunęłoby się do morderstwa, żeby zdobyć

taką posiadłość nad rzeką, jak ten dom.

- Pozostaje mi zatem cieszyć się, milordzie, że nie mieszkam w pobliżu stolicy -

odparła.

- Nie sądzę, by tak mała nieruchomość mogła zainteresować kogokolwiek w mieście, Pelham - ucięła pani Adams. - Chociaż przyznaję, że rzeka stanowi przyjemne tło dla okolicy. Nasz kamienny most jest bardzo malowniczy.

Zauważyliście go, kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy dwa dni temu?

- Pojedźmy dalej i oddajmy mu należny hołd - zaproponował jej mąż. - I pozwólmy pani Winters wrócić do ciepłego wnętrza. Przecież pani cała drży!

Catherine uśmiechnęła się do niego i pozostałych żegnających się z nią osób.

Jeźdźcy ruszyli dalej uliczką, u której końca wznosił się most, oparty na trzech kamiennych filarach. Rzeczywiście drżała z zimna, bo stała na powietrzu bez 20

płaszczka i nakrycia głowy.

Nie chłód dokuczał jej jednak najbardziej, lecz obecność tamtego człowieka.

Może przesadza, może zachowuje się jak gęś i po prostu głupieje w towarzystwie przystojnego mężczyzny. Martwiłaby się, gdyby istotnie tak było. Uważała, że ten etap życia ma za sobą. Skończyła dwadzieścia pięć lat i dawno już powzięła niezłomne postanowienie, by spokojnie mieszkać na wsi do końca swoich dni.

Pogodziła się z sytuacją i ponosiła jej konsekwencje. Czuła się szczęśliwa - nie, raczej chyba zadowolona. Szczęście oznacza, że człowiek angażuje jakieś uczucia.

Jeśli kogoś spotyka szczęście, łatwo też może go opuścić. Wolą unikać obu ewentualności. Była zadowolona i to jej wystarczało.

A może wcale nie jest niemądra, może rzeczywiście coś się dzieje. Dużą część

poprzedniego wieczoru wicehrabia spędził, obserwując ją, choć wcale nie próbował nawiązywać z nią kontaktu ani przyłączać się do tych osób, z którymi rozmawiała - oprócz jednej chwili przed obiadem, kiedy nie wypadało mu się nie odezwać. Z pewnością nie przypadek sprawił, że ilekroć podniosła oczy, spotkała się z jego wzrokiem. Czuła na sobie jego spojrzenie, nawet kiedy patrzyła w inną

stronę. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, odnosiła wrażenie, że tylko ponosi ją wyobraźnia.

To samo wydarzyło się dzisiaj. Nie przemówił do niej ani słowa i trzymał się za plecami towarzystwa. Kiedy wszyscy rozglądali się, podziwiając domek, ogród, wioskę i ją samą, jego spojrzenie nawet na moment nie zmieniło kierunku. Czuła je na sobie cały czas, mimo że nawet na niego nie zerknęła.

To śmieszne, tłumaczyła sobie, wchodząc z powrotem do domu i znosząc cierpliwie kolejny atak entuzjazmu, którym Toby usiłował powetować sobie brak możliwości naszczekania na obcych. Przecież na pozostałych trzech dżentelmenów spoglądała swobodnie. Nie czuła najmniejszego zażenowania ani niezręczności, mimo iż pan Adams i lord Pelham są równie przystojni co wicehrabia Rawleigh, a pan Lipton to także atrakcyjny mężczyzna. Czemu miałyby czuć się zmieszana? To oni ją odwiedzili, nie narzucała się z zaproszeniem.

Dlaczego nie potrafiła spojrzeć na wicehrabiego, dlaczego nie mogła choćby zwrócić głowy w jego stronę? I skąd ta pewność, że on na nią bez przerwy patrzy głębokimi ciemnymi oczyma, skoro nawet nie spojrzała na niego, by to potwierdzić? Jak on przyjmie fakt, że nie odwzajemniła jego spojrzenia ani razu, nawet ze zwykłej, chłodnej grzeczności?

Czuła się znów jak uczennica, która traci rozsądek na sam widok przystojnej męskiej twarzy.

Podczas wczorajszego przyjęcia nikt nie wspomniał, jak długo goście mają zamiar 21

zostać w Bodley. Może zjechali zaledwie na kilka dni. Może na tydzień czy dwa, na pewno nie dłużej. Zostało jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia sezonu towarzyskiego, ale młodzi panowie zechcą ruszyć do miasta, zanim bale, rauty i inne rozrywki zaczną się na dobre. Wicehrabia Rawleigh, lord Pelham i pan Gascoigne niewątpliwie zaliczali się do kwiatu londyńskiej młodzieży. Chociaż

właściwie nie byli tacy młodzi. Każdy z nich miał około trzydziestu lat.

Wicehrabia to brat bliźniak pana Adamsa, którego córka miała już osiem lat.

Usiłowała przestać rozmyślać o mieszkańcach Bodley House, zwłaszcza o tym jednym. Nie chciała o nim myśleć. Lubiła swoje nowe życie i rolę, jaka jej przypadła w udziale. Przygotowała herbatę, poczekała aż się zaparzy i naląła sobie filiżankę. Usiadła i otworzyła książkę Daniela Defoe, pożyczoną od pastora.

Postara się zapomnieć o swoich sprawach, kiedy zacznie czytać o tym, co się

wydarzyło w czasach zarazy.

Pogrążyła się w lekturze. Toby wyciągnął się na chodniku u jej stóp i wzdychał

głośno wielce zadowolony.

Wicehrabia Rawleigh myślał o Catherine. Należała do nielicznych kobiet, które wyglądałyby pięknie, nawet gdyby włożyły na siebie worek po kartoflach. Albo były w ogóle bez ubrania. O tak, zwłaszcza nieubra-ne. Zatrzymał konia przed jej domkiem i kiedy wymieniała uprzejmości z innymi, rozbierał ją wzrokiem.

Oczami wyobraźni widział smukłe nogi, płaski brzuch, który nie potrzebował

gorsetu, jędrne i wyniosłe piersi o zakończonych różowo czubkach, kremową

skórę. Oczyma duszy widział, jak rozpuszcza włosy zwinięte w poważny i skromny kok, i pozwala im spłynąć złotą kaskadą poniżej talii. Kręciłyby się

uroczo - przypominał sobie loczki, które okalały jej szyję poprzedniego wieczoru.

Zauważył, że wcale na niego nie spojrzała. Mimo to wiedział, że silniej czuła jego obecność niż

pozostałych, z którymi rozmawiała bez skrępowania. Połączyła ich jakaś mocno napięta nić wzajemnego zainteresowania, którą przy innych tylko bardzo delikatnie odważał się trącać. Nie chciał narażać się na kolejne docinki Edena. Nie miał ochoty, by ktoś to zauważył, a zwłaszcza Claude, który tajemniczym szóstym zmysłem bliźniaka odgadywał jego nastroje.

Cieszył się, że ona tak dyskretnie postępuje. Gdyby zachowywała się inaczej, oczywiście zrezygnowałby z dalszej znajomości. Zdecydowanie wolał, żeby nie powtarzała takich zachęcających sztuczek jak podczas przyjęcia.

Straszenie się na nią napalił - chciał ją mieć jak najprędzej. Pobyt w Bodley nie potrwa długo, a on przeczuwał, że pani Winters ma do zaoferowania dosyć, by wystarczyło na kilka tygodni wiejskiej sielanki.

We dworze tego wieczoru nie było gości, chociaż Clarissa wciąż czuła się

22

niezręcznie ze względu na niejednakową liczbę pań i panów. Kilka osób chciało zagrać w karty i udało się skompletować dwa stoliki. Wicehrabia miał wolne.

- Wyjdę przejść się po świeżym powietrzu - oznajmił leniwie, z nadzieją że nikt nie wyrazi chęci, by dotrzymać mu towarzystwa. Na szczęście Ellen Hudson usiadła do gry.

- Zmierzcha już - zauważyła Clarissa, niezadowolona, że wicehrabia nie chce tkwić u boku jej siostry. - Możesz zabłądzić, Rawleigh.

Claude wybuchnął śmiechem.

- W czasach dzieciństwa odbyliśmy z Reksiem niejedną wieczorną przechadzkę

wokół Bodley, kochanie - powiedział. - Wyślemy ekipę ratowników, jeśli nie wrócisz do pomocy.

- Oznaczę sobie drogę kłębkami sznurka, jeżeli to cię uspokoi, Clarisso - odparł

wicehrabia nonszalancko.

Kilka minut później, nareszcie sam, był już na zewnątrz. Dziękował swojej szczęśliwej gwiazdce za znajomość okolicy, w której nie był przecież od lat.

Niełatwo zapomina się chłopięce włóczęgi. Nawet po ciemku bezbłędnie odnalazł

ścieżkę przez trawnik, wśród drzew parku i przez furtkę w otaczającym go murze, która wychodziła na drogę niedaleko za wioską - za tym krańcem Bodley, gdzie mieszkała pani Winters. Wolał nie kusić losu, paradując do jej domu przez całą

wieś.

Niemal zupełnie się ściemniło, kiedy wyszedł przez furtkę na drogę. Frontowe okna domku były zasłonięte, lecz wewnątrz paliło się światło. Pani Winters była więc w domu - miał nadzieję, że nie przyjmuje gości. Musiał przygotować sobie jakąś wymówkę, w razie gdyby nie była sama.

Starannie zamknął za sobą furtkę w parkowym murze. Rzucił okiem na pustą o tej porze wioskową uliczkę. Teraz, kiedy nadszedł czas wykonać zamierzenie, czuł

dziwny niepokój. Nigdy nie postępował w ten sposób, a już na pewno nie u siebie w Stratton. Nigdy też nie zatrzymywał się na wsi na tak długo, by taki pomysł zdał

mu się wart realizacji. Podobne sytuacje kojarzyły mu się raczej z bezosobowością większych miast i Londynu.

Claude nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział.

Eden i Nat uśmieliby się i dokuczali mu bez końca.

Nikt nie może się dowiedzieć.

Zastukał do drzwi.

Ze środka dobiegło go radosne poszczekiwanie psa. Chciał już pukać ponownie, ale kiedy podniósł rękę, usłyszał, że w zamku obraca się klucz. Drzwi lekko się

uchyliły i pani Winters spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nosiła obrzeżony koronką czepeczek, w którym wyglądała uroczo - nie dodawał jej lat. Miała na 23

sobie tę samą wełnianą suknię z długimi rękawami i wysokim kołnierzykiem, co w ciągu dnia. Zastanawiał się, czy ona wie, że ten strój podkreśla jej szczupłość i kusząco opisuje kształty.

- Milordzie...

Ledwie ją słyszał, pies szczekał zbyt głośno. Zastanowił się po raz pierwszy, jak ona odróżnia go od Claude'a. Większość osób początkowo się myliła.

- Pani Winters? - Zdjął z głowy kapelusz. - Dobry wieczór. Czy mogę wejść?

Spojrzała mu przez ramię, jakby się spodziewała, że nie przyszedł sam. Minęło kilka chwil, zanim otworzyła drzwi szerzej i odsunęła się, by mógł wejść do środka. Mały brązowo-biały terier wślizgnął się między nich i dawał do zrozumienia, że będzie bronić swojego terytorium.

- Nie gryzę - odezwał się do psa spokojnym tonem. - Mam nadzieję, że ty też nie.

- Uspokój się, Toby.

Okazało się, że powiedziała to niepotrzebnie. Psiak przewrócił się na grzbiet, zaczął tłuc ogonem w

podłogę i wymachiwać łapami w powietrzu. Wicehrabia podrapał go czubkiem buta, a terier wstał i odbiegł, najwyraźniej usatysfakcjonowany.

Rawleigh znalazł się w wąskim korytarzu. Czuł się w tym wnętrzu jak w domku dla lalek. Niewiele brakowało, a zacząłby schylać głowę, by nie uderzyć nią o sufit.

Catherine Winters zamknęła drzwi i stała przy nich dłużej niż potrzeba. Potem obróciła się i spojrzała mu w twarz. Oczy miała wyraziste, piwnej barwy, o długich brązowych rzęsach.

- W salonie nienapalone w kominku. Nie spodziewałam się gości. Proszę do kuchni.

Dochodził stamtąd apetyczny zapach - blacha drobnych ciasteczek stygła na ściereczce rozłożonej na stole. Wnętrze było przytulne i zadbane. Z jednej strony pieca stał bujany fotel, wyłożony kolorową, haftowaną poduszką. Na stole obok paliła się lampa, otwarta książka leżała grzbietem do góry. Pies rozpierał się na fotelu.

Odwrócił się i spojrzał na panią Winters. Była blada. Nawet jej wargi straciły kolor.

- Usiądzie pan, milordzie? - Przerwała ciszę i nieco nerwowym gestem wskazała mu krzesło po drugiej stronie pieca.

- Dziękuję. - Przemierzył kuchnię i usiadł. Catherine zajęła fotel bujany naprzeciwko. Terier zeskoczył, kiedy podeszła. Pomyślał, że porusza się z niebywałym wdziękiem. Nie dotykała plecami oparcia fotela, a przecież wcale nie siedziała sztywno. Potem znów się poderwała.

24

- Napije się pan herbaty? - spytała. - Obawiam się, że nie mam nic mocniejszego.

- Dziękuję, nie - odparł.

Teraz, w jej towarzystwie, znów czuł to przyjemne, na pewno odwzajemnione zmysłowe pożądanie. Ona też musiała być tego świadoma. Takiego napięcia nie doznawał jeszcze przy żadnej kobiecie.

Patrzył, jak mobilizuje się i próbuje stawić czoło sytuacji. Ponownie usiadła, dłonie złożyła na kolanach, wnętrzem do góry, pozornie odprężona.

- Podobała się panu dzisiejsza przejażdżka, milordzie? - spytała grzecznie. -

Bardzo tu ładnie o tej porze roku, prawda?

- Nadzwyczajnie - zgodził się. - Jedno miejsce ładniejsze od drugiego.

- O? - Jej wargi ułożyły się w kształt kółeczka. Zastanawiał się, co by poczuł, dotykając językiem tego małego „o”.

- Mam na myśli - dodał - że zatrzymaliśmy się na tym krańcu wioski, by obejrzeć

szczegóły nie tylko okolicy.

Obserwował wrażenie, jakie sprawiła na niej treść jego słów. Należy do nielicznych kobiet, którym do twarzy z rumieńcem. Spoważniała i spojrzała w dół

na swoje dłonie.

- Pewnie się pan cieszy ze spotkania z bratankiem i bratanicą- podjęła. -

Nieczęsto stąd wyjeżdżają. Przypuszczam, że rzadko pan ich widuje.

- Wystarczająco często. Dziś rano przekonałem się na własnej skórze, że stryjowie służą dzieciom głównie do wspinaczki.

- Pan tego nie lubi?

Pytanie było raczej zaczepne. Zadała je umyślnie, a jej rumieniec nieco się zwiększył, gdy czekała na odpowiedź Rawleigha.

- Pani Winters, to zależy wyłącznie od tego, kto się na mnie wspina - odparł. -

Potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby to być przyjemne.

Wysunęła stopę i czubkiem pantofelka podrapała psa, który leżał u jej stóp.

Opuściła powieki. Znów coś przed nim grała. Serce zabiło mu 30

szybciej. Bawił się znakomicie. Zdał sobie sprawę, że nie chce niczego przyspieszać, nawet jeśli późnym powrotem do dworu wywoła zaciekawione pytania. Czekał, żeby znów podjęła rozmowę.

Wreszcie podniosła wzrok, na chwilę zatrzymała spojrzenie na wysokości jego podbródka i w końcu popatrzyła mu w oczy.

- Czemu właściwie zawdzięczam tę wizytę, milordzie? - powiedziała. - Jest zupełnie nie na miejscu.

Widać, że w przeciwieństwie do niego nie chciała pozwolić, by sytuacja rozwijała się powoli. Woląca przejść do rzeczy.

25

- Sądzę, że pani doskonale wie - odrzekł. - Zapewniam, że nikt mnie nie widział.

Nie będzie żadnych plotek.

- Ktoś, kto przemierza całą długość wiejskiej ulicy, rzadko uchodzi uwadze jej mieszkańców - powiedziała.

- Przyszedłem od strony parku - wyjaśnił. - Może pani nie wie, ale Daphne, ja i Claude spędziliśmy tu mnóstwo czasu jako dzieci, odwiedzając dziadków.

- Tak, oczywiście - odparła. - Ale dlaczego teraz tu pan jest? To znaczy w moim domu?

- Nudzę się. Zostanę w Bodley parę tygodni, a choć bardzo lubię brata i jego żonę, i przywiozłem ze sobą dwóch bliskich przyjaciół, brak mi miłego damskiego towarzystwa. Pani jest wdową i chyba nie narzeka na nadmiar rozrywek, wyjąwszy te okazje, kiedy Clarissa raczy panią zaprosić do siebie. A jeszcze mniej ma pani kontaktów z mężczyznami.

Dłonie Catherine już nie nadawały jej wyglądu odprężonej osoby. Zaciśnęła je nerwowo.

- Nie potrzebuję rozrywek - odparła. - Od... od śmierci męża nie szukam też

męskiego towarzystwa. Jestem zadowolona ze swojego losu. Nie nudzę się ani nie czuję samotna.

Miała więc zamiar udawać obojętność. Dobrze. Bawił się coraz lepiej. Była taka piękna z odległości paru kroków, że wcale się nie śpieszył, by zmniejszyć dzielący ich dystans. Nie chciał jej jeszcze dotykać. W oczekiwaniu też kryła się

przyjemność.

- Pani kłamie.

To ją na parę chwil uciszyło. Jej oczy rozszerzyły się odwzajemniła spojrzenie.

- A pan, milordzie, nie jest dżentelmenem.

Popatrzył z zadowoleniem na tę śliczną, oburzoną i nieskończenie pociągającą kobietę.

- Przez kilka tygodni, które tu spędzę, moglibyśmy wzajemnie ulżyć monotonii.

- Dzięki takim wizytom? Są w złym tonie, milordzie. Nie mam przyzwoitki.

- I za to oboje dziś wieczór zmówimy dziękczynną modlitwę - odparł. - Tak, dzięki takim wizytom, droga pani. Czy naprawdę zależy nam na poprawnym zachowaniu? Pozwolę sobie zauważyć, że jest pani wdową i dojrzałą kobietą.

- Ja... - zająknęła się - ja nie sądzę, by przychodząc do mnie, mógł pan uleczyć

nudę. Jestem pewna, że mamy bardzo mało wspólnych tematów do rozmowy.

Ta kobieta była wprost nieoceniona.

- Powinniśmy zatem umilić sobie czas niekoniecznie słowami - powiedział.

- Co pan mówi? - Jej wargi znów pobladły. Te usta stanowczo prosiły się o pocałunki.

26

- Nigdy nie zabawiała pani męża bez słów? Albo on pani? Nie potrafię sobie wyobrazić, że mając żonę obdarzoną takim urokiem, odmawiałby sobie jednej z większych życiowych przyjemności.

- Chce pan zrobić ze mnie swoją dziwkę... - szepnęła.

- Paskudne słowo - odparł. - Dziwki włóczą się po ulicach i szukają przypadkowych klientów. Chcę, żeby została pani moją kochanką.

- Nie widzę różnicy. - Wciąż mówiła szeptem.

- Ależ ona istnieje - odrzekł. - I to wielka. Mężczyzna wybiera sobie na kochankę konkretną kobietę. Kobieta, jeśli ma to szczęście, że nie żyje w ubóstwie, wybiera sobie mężczyznę, który zostaje jej protektorem. Pod pewnymi względami przypomina to małżeństwo.

- W ubóstwie... - powtórzyła. - Zaproponuje mi pan zapłatę, milordzie?

Zastanawiał się już nad tym. Nie chciał jej obrazić, ale mogła potrzebować pieniędzy. Był gotów opłacić jej usługi.

- Jeśli pani sobie tego życzy. Jestem pewien, że uda nam się dojść do porozumienia.

- Zapłaci mi pan za dostęp do mojego łóżka? Za to, że pana wpuszczę do sypialni? Za moje ciało? Nie mogła tego ująć bardziej kusząco.

- Tak. Zapłacę. Chociaż o pani przyjemność będę zabiegał tak samo, jak o własną.

- Proszę wyjść - powiedziała tak cicho, że w pierwszej chwili nie zrozumiał.

Podniósł brwi pytająco.

- Słucham...?

- Proszę wyjść - powtórzyła wyraźniej. Rumieniec znów oblał jej twarz, a nozdrza się rozszerzyły. - Proszę się wynosić i nigdy więcej nie wracać.

Pies usiadł i zaczął głucho warczeć.

- Doprowadziła pani do tego wyłącznie po to, by kazać mi odejść? Czyżbym źle coś zrozumiał? Pani mnie zanadto prowokowała, żebym się mógł mylić...

Zerwała się na równe nogi.

- Proszę stąd odejść.

Zaczął się podnosić. Przyjrzał jej się uważnie. Rzeczywiście mówiła, co myśli.

Nie ma mowy, by udawała fortecę. A więc chyba się pomylił. Jeśli nawet miał rację, to fałszywie musiał nadać jej zalotnemu zachowaniu zbyt duże znaczenie.

Widocznie miał jednak do czynienia z osobą przyzwoitą, w przeciwnym razie nie mieszkałaby w takiej wioszczynie. Miała swoją dumę, nie powinien był

wspominać o pieniądzach. Podobał jej się, co do tego nie miał wątpliwości.

Przypuszczalnie wolała niewinne flirty - coś, co jego z kolei nie interesowało.

Gdyby nie wyciągnął zbyt pochopnych wniosków, mógłby z wolna prowadzić ją

27

drogą wiodącą od flirtu do poufałości, a wreszcie do romansu. Niestety, to trwałoby tygodniami.

A teraz już i tak za późno.

- Nie - rzekł, gdy zobaczył, że ona znów otwiera usta. - Proszę już nic nie mówić.

Wstał.

- Pani Winters, moje najszczerze przeprosiny. Proszę wybaczyć. Ukłonił się, ruszył korytarzem do wyjścia, zabrał kapelusz i zniknął

jej z oczu.

Z wnętrza domu znów dobiegło szczekanie psa.

- Toby... - Catherine opadła na fotel i nie zaprotestowała, gdy terier wskoczył jej na kolana i zaczął się na nich wygodnie układać. Podrapała go za uchem. - Toby, nigdy w życiu nikt mnie tak jeszcze nie obraził.

Oparła skroń o zagłówek fotela i utkwiała wzrok w suficie. Zaśmiała się lekko.

Och, nieprawda, już raz ktoś ją podobnie potraktował. Czy miała w sobie coś, co prowokowało bezczelne zachowanie mężczyzn?

Czy naprawdę tak było?

Spojrzała na tego człowieka kilka razy. Dwukrotnie się do niego uśmiechnęła, pomyliwszy go z

panem Adamsem. Dzisiejszego popołudnia nawet na niego nie spojrzała. I to wystarczyło, żeby musiała znosić takie zachowanie? Pomyślał, że zostanie jego kochanką? Sądził, że weźmie od niego pieniądze?

- Jestem bardzo rozgniewana, Toby - powiedziała. - Naprawdę bardzo zła.

Dalej drapała uszy psa i wpatrywała się w sufit. Rozpłakała się cicho, potem szlochała coraz głośniej.

Nawet Toby'emu nie przyznałaby się do tego, jak okropnie, jak strasznie kusiła ją ta propozycja.

Całe jej ciało błagało o dotyk rąk tego mężczyzny.

4

Następnego ranka Catherine leżała w łóżku i usiłowała wymyślić powód, który by ją tam zatrzymał. Niestety kataru nie miała, gardło też było w porządku.

Przełknęła dwa razy i próbowała wmówić sobie, że coś jej dolega i robi mądrze, jeśli zostanie w ciepłym domu. Nie będzie wychodzić na dwór. Mogłaby się

jeszcze gorzej przeziębic, a może nawet zarazić dzieci Adamsów.

Jakie znów przeziębienie?! Czowała się zdrowa, jak zawsze. Jasne światło prześwitujące przez zaciągnięte kotary mówiło jej, że na zewnątrz jest piękny wiosenny dzień.

28

Nie, nie zdoła odwlec nieuniknionego. Mówiąc prawdę, dziś przypadała lekcja muzyki Willego i Julie, lecz Catherine bała się zbliżyć do Bodley House, by nie wpaść na Rawleigha. Chyba umrze ze wstydu. Wypadki poprzedniego wieczoru wydawały się jeszcze gorsze w świetle poranka. Odwiedził ją w domu, nie mieli przyzwoitki. Reputacja Catherine poważnie ucierpiałaby, gdyby ktoś zauważył

jego samotną wizytę lub powrót. Siedział w jej własnej kuchni, czynił

nieprzyzwoite awanse i jeszcze bardziej obraźliwe propozycje.

Jak śmiał! Cóż zrobiła, by go zachęcić do tak zaczepnego zachowania?

Oczywiście znała odpowiedź - dwa razy uśmiechnęła się do niego, biorąc go zresztą za pana Adamsa. Czy te dwa uśmiechy wystarczyły, by uznać, że chce zostać jego kochanką?

Przecież tak usilnie próbowała dostosować się do swojej nowej roli - zachowywać

się, jak przystało szanowanej wdowie. Zamieszkała w Bodley-on-the-Water i robiła, co w jej mocy, żeby stać się częścią tej wiejskiej społeczności. Nie było to łatwe dla obcej osoby. Zapracowała na opinię osoby miłej, godnej i przyjaznej sąsiadom. Wierzyła, że stopniowo zasłużyła sobie na szacunek, a u niektórych nawet na przyjaźń. Udało jej się osiągnąć pewną miarę spokoju i zadowolenia.

- Och, Toby. - Obróciła głowę i popatrzyła na teriera stojącego przy łóżku.

Wbrew niewesołemu nastrojowi wybuchnęła śmiechem. Piesek był zawsze bardzo cierpliwy, kiedy ociagała się z wstawaniem. Czekał grzecznie w miejscu, w którym mogła go doskonale widzieć, z nastawionymi czujnie uszami i wywieszonym językiem, i tylko głośnym sapaniem dawał znać, że będzie bardzo wdzięczny za krótki spacer.

- Jestem dziś rano okropnym leniuchem, prawda? - Zdecydowanym ruchem opuściła stopy na podłogę i naciągnęła na siebie ciepły szlafroczek. - Chodź

zatem.

Pies wybiegł z sypialni i pobiegł przed nią w podskokach po stromych schodach, a potem korytarzem do tylnych drzwi.

- To niedobrze, wiesz? - powiedziała Catherine w stronę machającego zawzięcie ogonka. - Nie mam żadnego pretekstu, ani śladu bólu głowy, żeby zostać z tobą w domu. Może udać, że sądziłam, iż dziś nie będzie lekcji? Przecież Adamsowie dopiero wrócili z podróży...

Toby nie raczył odpowiedzieć i sprytnie wymknął się na zewnątrz, kiedy tylko uchyliła drzwi.

I wtedy Catherine się rozzłościła. Dzień był przepiękny. Na błękitnie nieba prawie nie było chmur. Słyszała, jak woda rzeki pluszcze wśród kamieni na końcu ogrodu. W powietrzu czuło się taką rześkość, że zadrzała z chłodu, lecz nie

zamknęła drzwi. Jeśli pogoda nagle się nie zmieni, do popołudnia zrobi się pewnie całkiem ciepło. W takie dni zazwyczaj brała psa na długi spacer.

Pójdzie na przechadzkę po powrocie z Bodley House, jeśli będzie miała na to jeszcze ochotę. Nie mogłaby wcale ruszyć się z domu, jeśli wymówiłaby się

chorobą od dzisiejszej wizyty we dworze.

Dlaczego miałyby nie iść? Tylko dlatego, że może przypadkiem spotkać

wicehrabiego? Dlaczego ma go unikać? Nic złego nie zrobiła, chociaż

wpuszczenie go za próg domu wczoraj wieczorem samo w sobie było błędem.

Jego wizyta tak ją zaskoczyła, że nawet nie pomyślała, by go nie zapraszać do środka.

Nie miała powodu chować się przed Rawleighem ani spuszczać głowy, jeśli go spotka. Ani rumienić się, zająkiwać czy dać mu jakąkolwiek satysfakcję i poczucie, że wyprowadził ją z równowagi.

Była zła, wręcz wściekła, że kobieca płeć czyniła ją taką bezbronną, dawała jej tak mało wolności wyboru. Złościła się, że na tym świecie mężczyźni uważają kobietę

za przydatną chyba tylko pod jednym względem. Zanim Toby przybiegł do domu, a ona zamknęła za nim drzwi, dopadła ją znajoma, bolesna, obezwładniająca bezsilność. Nie zamierzała jednak poddać się czarnym myślom. Za ciężko walczyła o spokój ducha, by zniszczył go arogant bez serca, który uznał, że skoro uśmiechnęła się doń dwa razy, uśmiechnie się pewnie i trzeci, gdy on będzie robił starania, by wleźć do jej łóżka.

- Toby - powiedziała, rozniecając ogień w palenisku, żeby zaparzyć poranną

herbatę. - Powinam była sprawić sobie suczkę. Może nie uważałyby, że bezwarunkowo należy się jej najwygodniejszy kąt w całym domu. Ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno ci wskakiwać na mój bujany fotel?

Toby umościł się wygodniej na haftowanej poduszce na siedzeniu fotela, wywalił

język, sapnął i zaczął tłuc ogonem, szczęśliwy, że pani zwraca na niego uwagę.

Oczywiście nie ruszył się z miejsca.

Catherine zdecydowała się iść po śniadaniu jakby nigdy nic do Bodley House na lekcję. Po południu weźmie Toby'ego na długi spacer. Będzie się zachowywać, jakby we dworze wcale nie było gości. Nie będzie ukrywać się ani przemykać

chyłkiem w obawie, że wicehrabia wyskoczy zza rogu.

- I to by było na tyle, Toby - powiedziała stanowczo, kiedy ogień buchnął

płomieniem, i otrzepała dłonie z popiołu. Toby ugodowo pomachał ogonem.

Wicehrabia Rawleigh pojechał na konną przejażdżkę z państwem Adams, sir Claytonem i lady Baird, lordem Pelhamem i obiema pannami. Wybrali drogę na północ przez wzgórza, z których rozciągał się imponujący widok. Dzień był

30

piękny, jak na wczesną wiosnę, choć powietrze nieco przejmowało chłodem.

Zanim zdążyli zawrócić do dworu, wicehrabiemu zupełnie przestał dopisywać

humor. Jego szwagierka tak manewrowała, że większość trasy odbył razem z panną Hudson, z czym zresztą na początku pogodził się dość ulegle. Nie wiedział

jednak, jak Clarissa zdołała spowodować, że przez większość czasu reszta grupy trzymała się od nich z daleka. Szwagierka umiała być bardzo przebiegła, jeśli mocno jej na czymś zależało.

Czy Clarissa miała nadzieję, że on skryje się z jej siostrą za jakimś występem skalnym, głośno ją wycałuje i tak skompromituje, że będzie musiał się z miejsca oświadczyć i natychmiast ruszać do Londynu załatwić

formalności ślubne? Nie miał zamiaru dać się wmanewrować w małżeństwo czy choćby tylko popychać w tym kierunku, zwłaszcza z tak kompletnie nieciekawą

dziewczyną, jak Ellen Hudson. Nie znaczy to, że jej nie lubił czy źle jej życzył. Z

pewnością nieładnie z jego strony, że uważają za nudne stworzenie. Na pewno świetnie by wypadła przy mężczyźnie, przez którego nie traciłaby mowy ze strachu. Niestety on tak właśnie na nią działał.

Kiedy odprowadzali konie do stajni, zastanawiał się, jak Clarissa zaplanowała mu resztę poranka. Może spokojne tete-a-tete z panną Hudson w porannym saloniku, gdy wszyscy inni jego użytkownicy zostaną tajemniczo wywołani i trzymani z daleka? Może prośbę, by dotrzymał pannie Hudson towarzystwa podczas spaceru do wioski w celu zrobienia nieodzownych sprawunków, na przykład kupna kawałka wstążki? Był prawie całkiem spokojny, że cokolwiek by to było, na pewno go nie minie.

Podjechał do Daphne i rzucił jej błagalne spojrzenie w nadziei, że siostra go wybawi. Daphne najwyraźniej zrozumiała. Popatrzyła na niego, potem na pannę

Hudson ze zrozumieniem i lekkim współczuciem. Puściła do niego oko.

- Rex, obiecałam bratankom, że zajrzemy do nich na lekcję muzyki, jeśli uda nam się wrócić z przejażdżki dość wcześnie - powiedziała głośno i dobitnie, biorąc go pod ramię, gdy tylko zsiadli z koni. - Chodź ze mną. Przecież jesteś ich jedynym stryjem, nie licząc mojego Clayтона, ale on obiecał zagrać w bilard z Nathanielem.

- Pamiętaj, żeby pochwalić starania dzieci - dodał Claude z szerokim uśmiechem.

- Will mi wczoraj tłumaczył, że gra na pianinie to zajęcie niegodne mężczyzny, ale Clarissa upiera się, że dżentelmen musi znać nuty. Zachęć chłopca do posłuszeństwa matce, dobrze?

Lord Rawleigh podał siostrze ramię i stanowczym krokiem oddalił się. Nie był

przy tym pewny, czy nie wpadł z deszczu pod rynnę - przecież dzieci uczy muzyki pani Winters... Pożałował przelotnie. Nie miał nieprzepartej ochoty oglądać tej kobiety. Wyglądało jednak na to, że nie zdoła uniknąć spotkania, chyba że jest już

Wczoraj wieczorem przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie zarządzić

pakowania kufrów i nie wyjechać z samego rana. Mógł wrócić do Stratton i po paru tygodniach ruszyć stamtąd do Londynu. Niestety, życie nie jest aż tak proste.

Przyjął zaproszenie Clarissy. Zlekceważyłby ją, gdyby wyjechał, zanim na dobre się rozgościł, zwłaszcza że Eden i Nat pewnie zdecydowałiby się ruszyć razem z nim.

Eden i Nat! Kpili z niego wczoraj niemiłosiernie. Bez trudu odgadli, dlaczego zachciało mu się wieczornego spaceru, a jego rychły powrót do Bodley House pozwolił im domyślić się, że dostał kosza. Przypuszczał, że jeszcze długo będą się

z niego natrzęsać.

A teraz zanosilo się na to, że znów ją spotka. Może zresztą lepiej, że tak szybko.

Nie sposób uniknąć widywania się, jeśli miał spędzić jeszcze kilka tygodni w Bodley. Dobrze będzie mieć to pierwsze spotkanie za sobą. Swoim zachowaniem przekona panią Winters, że ostatni wieczór stanowił dla niego kompletnie nieistotny incydent.

W nocy prawie nie zmrużył oka.

- Biedny Rex - powiedziała Daphne ze śmiechem i ścisnęła dłoń brata. - Pod pewnymi względami okrutny jest los dziedzica tytułu i majątku, w dodatku przystojnego kawalera. Nic by się zresztą nie zmieniło, choćbyś wyglądał jak zaśliniony buldog. Każdy człowiek, mający niezamężną kuzynkę w wieku od szesnastu do trzydziestu lat, i tak cię uzna za idealny materiał na męża. Jeśli jednak Clarissa ma odrobinę rozsądku, powinna wiedzieć, że twój związek z Ellen jest wykluczony. Mimo że mała spędziła zeszłoroczny sezon w Londynie, nie nabrała jeszcze miejskiego polom. Chociaż to słodka dziewczyna i ładna.

- Dzięki za ratunek - odparł sucho. - Mam wrażenie, że panna Hudson też cię za to w duchu błogosławi. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby myślała, że schwycę ją jedną ręką i pożrę żywcem. Czym sobie zasłużyliśmy, Daphne, na taką

bratową? Ja chyba zwariowałem, przyjmując jej zaproszenie. Wiedziałem przecież, co mnie czeka.

- Ale to tak miło, że wszyscy troje jesteśmy razem - odparła, ściskając go za rękę.

- To się rzadko zdarza. Mieszkamy daleko od siebie. Jestem szczęśliwa w małżeństwie, ale tęsknię za tobą i Claude'em. Czy dalej usychasz z tęsknoty za Horacją Eckert?

- Nigdy nie usychałem - odparł, zaciskając szczęki. - Zakochałem się jak szaleniec w czasie krótkiej przerwy między kampanią na Półwyspie Iberyjskim a Waterloo, zaręczyłem nieprzyzwoicie szybko i żałowałem, ile wlezie. Może i lepiej, że ona też się zakochała - tyle że po moim wyjeździe do Brukseli i w kim 32

innym.

- W uwodzicielu i łowcy posagów - dokończyła siostra. - Znany jest dobrze z wykorzystywania młodych, niedoświadczonych dziewcząt, zwłaszcza tych, które mają bogatych ojców. Parę lekkomyślnych gąsek wręcz zrujnował. Na szczęście nie udało mu się zdobyć bogatej żony. To zadziwiające, że dotąd nie dostał kuli między oczy. Nie oceniaj Horacji zbyt surowo, Rex. Dziewczyna była bardzo młoda i łatwo poddawała

się wpływom. A ty pojechałeś na wojnę. Zresztą do niczego między nimi nie doszło.

- Nie doszło tylko dlatego - odrzekł wicehrabia przez zaciśnięte zęby - że jej majątek jest mniejszy, niż powszechnie sądzono. Dobrze, że wyplątałem się z tej całej historii, Daphne. Byłbym wdzięczny, gdybyś mi o niej nie przypominała.

- W tym tkwi jakaś sprzeczność. Nie odnosiłbyś się niechętnie do rozmów na ten temat, gdybyś istotnie, jak twierdzisz, nie cierpiał.

- Żaden mężczyzna nie zniesie, by mu przypominać o upokorzeniu doznany od kobiety - powiedział Rawleigh, krzywiąc się w duchu na myśl o poprzednim wieczorze. - Zerwała nasze zaręczyny, Daphne. Widocznie kobiety mnie nie chcą...

- Nie chcą? Ciebie? - Siostra roześmiała się serdecznie. - Rex, czy ty ostatnio przeglądałeś się w lustrze?

Rawleigh wolał zakończyć dyskusję. Usłyszał muzykę dobiegającą przez wysokie, francuskie okna pokoju muzycznego. Okna te nieco uchylono, żeby wpuścić do wnętrza świeże, wiosenne powietrze. Ktoś ćwiczył gamy.

- To dobrze - powiedziała Daphne. - Zdążyliśmy.

Cała trójka nie zdawała sobie sprawy z ich obecności przez co najmniej minutę

czy dwie. Julie siedziała na krześle plecami do okna, zapisując nuty w zeszycie, Willie bębnił na pianinie, a pani Winters pochylała się nad chłopcem.

Sztywna, ciasno zesznurowana wdowa, która w głębi duszy była kokietką i hipokrytką. Nie pamiętał czy kiedykolwiek zdarzyło mu się tak pomylić w ocenie kobiety. Nie darzył jej w tej chwili większą sympatią.

Nigdy nie widział kobiety, która przywiązywałaby taką wagę do prostoty stroju.

Włosy, gładkie i błyszczące złotem w świetle padającym z okien, związane były jak zwykle w kok na karku. Nie nosiła dziś czepka. Suknia z wełny, kompletnie pozbawiona ozdób, w odcieniu błękitu wiosennego nieba, o długich rękawach, opadała gładko do ziemi spod wysokiego stanu. Założyłby się, że dekolt ma zasłonięty. Wełna kusząco opływała jej figurę.

Ta suknia pasowała do niej - prosta, bardzo skromna, a jednak tak skrojona, że działała na wyobraźnię i każe domyślać się skrytych pod nią kształtów. Zaczął się

zastanawiać, ilu miejscowych szlachciców potraciło dla niej głowy w ciągu ostatnich paru lat. Skupił na niej wzrok.

Ciekaw był, czy kiedykolwiek spogląda przez ramię, żeby zobaczyć, jak interesująco wełna sukni podkreśla jej *derriere*. Podkreśliła go jeszcze bardziej, kiedy Catherine pochyliła się nad ramieniem Williego. Temperatura wzrosła mu nagle o parę kresek.

- Bardzo dobrze, Willie - powiedziała, kiedy chłopiec dobrnął do końca gam. -

Grasz teraz lżej. Postaraj się uderzać we właściwe klawisze. Przekonasz się, że dźwięki brzmią dużo płynniej, kiedy w najważniejszych momentach nie mylą ci się palce.

- Ciocia Daphne! - wykrzyknęła Julie radośnie, dostrzegając ich wreszcie i zrywając się na równe nogi. - Stryj Rex! Przyszliście mnie posłuchać?

- Oczywiście - odparła Daphne. - Ciebie i Williego. Przecież obiecałam, pamiętasz? A stryj koniecznie chciał przyjść ze mną.

Wicehrabia Rawleigh przez chwilę zwlekał z włączeniem się do rozmowy. Willie poderwał się z zapalem ułaskawionego skazańca, a pani Winters obejrzała się za siebie gwałtownym ruchem i napotkała jego wzrok.

Wbrew jego oczekiwaniom nie spuściła powiek. Nie zarumieniła się. Patrzyła mu prosto w oczy i uniosła leciutko podbródek. Rawleigh był bliski porażki - omal pierwszy nie odwrócił wzroku, ale zacisnął wargi i przybrał nonszalancką

postawę. Tę kobietę najwyraźniej stworzono z wytrzymałej materii. Musiał

przyznać, że po całym ranku w towarzystwie Ellen Hudson robiła na nim ożywcze wrażenie.

Jej suknia rzeczywiście nie była bez dekoltu, co uwydatniło kształt piersi. O to przecież chodziło owej mistrzyni w sztuce wodzenia na pokuszenie. Rawleigh uniósł jedną brew.

- Pani Winters - zaczęła Daphne - mamy fatalne maniery; weszliśmy i przeszkadziliśmy pani w pracy. Trzeba było wkraść się po cichu i posłuchać, nie przerywając lekcji, prawda Rex?

- Niczym złodzieje po nocy - powiedział i przypomniał sobie ponieważ, jak zakradł się do jej domku od strony parku.

- Dzieci lubią, żeby je chwalono i trzeba dać im się popisać nawet kosztem części lekcji - odparła pani Winters z uśmiechem. Przeniosła wzrok z Rawleigha na Daphne, nie mógł więc jej posądzić, że się do niego wdzięczy. - Myślę, że po to państwo przyszli. William bardzo dobrze poradził sobie dziś rano z gamami. Po raz pierwszy udało mu się je płynnie odegrać. Bardzo się cieszę, że nadeszli państwo akurat w porę, by być świadkami tego triumfu.

William puchł z dumy.

34

- Chcę coś zagrać - zaczęła natychmiast marudzić Julie. - Umiem grać Bacha, ciociu Daphne. Posłuchaj.

- To zdaje się pora na lekcję Williama, Julie.

- William jako dżentelmen w każdym calu z przyjemnością ustąpi siostrze miejsca przy instrumencie - odparła pani Winters i zaśmiała się, Roześmiana, stawała się olśniewająco piękna. Wicehrabia zdał sobie sprawę, że dotąd nie słyszał jej śmiechu. Przy tych paru okazjach, kiedy ją widział, prezentowała się jako kobieta pełna spokojnej dystynkcji. Cicha i subtelna kokietka. Zastanawiał się, czy śmieje się po to, by go rozdrażnić. Jeśli tak, to poniosła sromotną klęskę. Jego nerwy ledwie drgnęły. Wciąż jeszcze był zły, że wczoraj pozwolił zrobić z siebie kompletnego durnia. Gniewał się też za zawód, jaki mu sprawiła, nie witając go dziś rano spłoszonym rumieńcem.

Musieli zostać i wysłuchać, jak Julie morduje Bacha, kalecząc w pośpiechu fragmenty, które dobrze znała, i zacinając się przy trudniejszych partiach.

Powiedzieć, że dziewczynka nie ma wybitnych zdolności muzycznych, oznaczało potraktować ją wyjątkowo łagodnie.

Kiedy mała skończyła, Daphne zdobyła się na okrzyk zachwyty i zaczęła klaskać.

Stryj pochylił się ku bratanicy i stwierdził, że robi postępy. Pani Winters, bardziej prawdomówna, pochwaliła dziecko za starania i ciężką pracę włożoną w naukę

niektórych trudniejszych pasaży.

- Właśnie tymi fragmentami powinnaś się cieszyć, pozwolić im wybrzmieć -

dodała z wyjątkowym taktem. - Strata jest śpieszyć się i zbyt szybko je grać.

Pozostałe partie też ładnie ci wychodzą. Potrzebujesz tylko trochę czasu i praktyki. Nawet najlepszy koncertmistrz musi ciągle ćwiczyć.

Pomyślał, że ta kobieta ma dobre podejście do dzieci. Zaczął się zastanawiać, ile trwało jej małżeństwo. Zbyt krótko, by dorobić się potomstwa? Nie mogła mieć

dzieci? No cóż, wina czasem bywa po stronie męża.

- Raz jeszcze przepraszam za najście - powiedziała Daphne - ale widzę, że trudno pani będzie zmusić dzieci z powrotem do pracy. Może odprowadzę je do pokoju dzieciennego? W taki ładny dzień chyba pozwoli pani skończyć lekcję nieco wcześniej.

Willie spoglądał na przemian na obie damy oczyma pełnymi nieskrywanej nadziei.

Po paru sekundach i przyzwalającym skinieniu głowy nauczycielki wypadł

biegiem za drzwi.

- Dziękuję - powiedziała Catherine. - Zawsze wykradam dla siebie pół godziny przy instrumencie po lekcji z dziećmi. Pan Adams mi to podpowiedział. Dzisiaj będę mogła pograć dłużej.

Julie wzięła Daphne za rękę i pociągnęła, zdecydowana podążyć za bratem zanim 35

ktoś wpadnie na pomysł, by mimo wszystko kontynuować lekcję. Daphne spojrzała pytająco na brata.

- Zaraz do ciebie dołączę.

Kiwnęła głową i odeszła z małą. Znalazł się sam na sam z Catherine Winters. Stała wyprostowana przy pianinie, z ostrym wyrazem twarzy, piorunując go wzrokiem.

Po co tu zostałeś? Dlaczego nie podjął szansy rejterady, kiedy mu ją podetknięto pod nos?

Ta kobieta rzucała mu wyzwanie, oto co się działo. Nie zachowywała się z urażoną skromnością, jakiej by oczekiwał od cnotliwej wdowy, której zaledwie wczoraj we własnym domu złożono bardzo niewłaściwą propozycję. Rawleigh splótł ręce za plecami i podszedł do niej.

- Nie przepadam za pokojami dziecięcymi - stwierdził. - Już mówiłem, że nie lubię, kiedy ktoś się na mnie wspina. Reszta domu też mnie nie ęci. Pewnie pani zauważyła, że oczekuje się ode mnie asystowania pewnej młodej damie, na co nie mam najmniejszej ochoty. Chętnie posłucham muzyki. Jeśli można, proszę grać, a ja się będę zachowywał, jakby mnie tu nie było.

Niemal czuł przez skórę jak formułuje oburzoną, wręcz niegrzeczną odpowiedź.

Wargi jej drżały, ale milczała. Wpatrywał się w jej miękkie usta. Aż się prosiły o pocałunek, ale widać, że zwiędną z braku zajęcia, jeżeli nadal będzie ich używać

wyłącznie do wypraszenia dżentelmenów za drzwi.

Nic nie powiedziała. Gdyby jej gniewne spojrzenie mogło zamienić się w sztylet, już by leżał martwy na posadzce. Nie padł jednak trupem, stał nadal jak najbardziej żywy, kiedy Catherine obróciła się na pięcie i usiadła na ławeczce przed pianinem. Opanowała się i zaczęła grać.

Rzeczywiście jest wyjątkowo twardą osobą. Spodziewał się bardziej spontanicznej reakcji, że co najmniej wyskoczy przez wysokie, francuskie okno i pobiegnie do domu, rezygnując ze zwykłej rozrywki przy instrumencie. Zastanawiał się już

nawet, czy nie zaproponować, że ją odprowadzi, ale zdawał sobie sprawę, że to niefortunny pomysł.

Przed dwoma dniami w salonie Claude'a grała wyśmienicie -z wprawą, a nawet z wdziękiem. Wicehrabia ściągnął usta, kiedy teraz zaczęła grać Mozarta z takim roztargnieniem, jak przedtem Julie. Potknęła się na jakiejś nucie, sfalszowała i zdjęła rękę z klawiatury.

- Nie. - Zwróciła się cicho do klawiszy instrumentu. - Na to nie pozwolę. Nie ma mowy. Ja postępuję zupełnie poprawnie.

Krnąbrne klawisze milczały. Wicehrabia podszedł bliżej, stając na linii jej wzroku.

Znów zaczynał się dobrze bawić.

Wyglądało na to, że nie rzucała słów na wiatr. Zagrała jeszcze, teraz już poprawnie 36 i bez potknięć, a po minucie czy dwóch z ogromnym talentem i uczuciem.

Zamknęła oczy i pochyliła głowę, zatopiona w muzyce. Rawleigh widział, że nie udaje.

Zrozumiał nagle, dlaczego w salonie ukrywała swoją wirtuozerię. Nie chciała pograżać pozostałych dam. Przyciągnęłaby uwagę wszystkich zebranych i uciszyłaby rozmowy. Nie wypada tak grać w towarzystwie. Zresztą nie byłoby to mądre - Clarissa, podejrzewał Rawleigh, wpadłaby w furję.

Catherine nie otwierała oczu i siedziała z pochyloną głową długo po ostatnim akordzie. Kim jest ta kobieta? Mieszka w niezwykle skromnym wiejskim domku, nie ma instrumentu, a jest znakomitą pianistką. Z pewnością kiedyś miała wyższą

pozycję w świecie. Co się za tym kryje? Kim był jej mąż? Dlaczego po jego śmierci przeprowadziła się w obce strony i zamieszkała wśród nieznanym sobie ludzi? Pani Winters najwyraźniej stanowiła zagadkę.

- Ma pani talent - powiedział, czując jednocześnie, że to nieadekwatne określenie.

Podniosła głowę i wróciła duchem do muzycznego pokoju w Bodley House - i do niego.

- Dziękuję - odparła chłodno.

- Zastanawiam się... - zaczął, a ona palcem przetarła klawisz, który wcale nie wymagał odkurzenia.

Myślał, że zagra znowu i nie zadał pytania, które cisnęło mu się na usta. Położyła jednak tylko palce na klawiaturze i spojrzała na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Znów robi niedostępną minę, to znaczy, że się rozzłościła. O to mu chodziło.

- Zastanawia się pan pewnie, dlaczego odpowiedziałam odmownie na złożoną mi wczoraj, tak pochlebną i korzystną propozycję? Nieczęsto dostaje pan odprawę, czyż nie mam racji? Jest pan przecież uosobieniem zalet - zarówno osoba, jak i majątek. Jednak ci, których los nie obdarował tak hojnie jak pana, po prostu wolą

strzec swego niewielkiego, lecz tym bardziej cennego dorobku.

- Pani życie musi być takie nudne - odparł, ciesząc się jej jawnym gniewem.

- To moje życie - odparowała. - Jeśli wybieram nudę, to moja sprawa. Zresztą wcale tak nie jest.

- Ośmielę się stwierdzić, że całą rozrywkę czerpie pani z kokietowania mężczyzn.

Niespiesznie przesunął wzrokiem po jej figurze, wyraźnie podkreślonej wełnianą materią sukni, kiedy siedziała na ławeczce, lekko pochylona nad klawiszami instrumentu.

- Bawi panią rzucanie zalotnych spojrzeń i nęcenie sylwetką, a potem lubi pani zamknąć drzwi przed nosem głupca, który odpowie na zachętę?

Zacisnęła szczęki, a jej oczy znów zaczęły rzucać skry.

37

- Nie prowokowałam pana do niczego, milordzie - odparła. - Jeśli chodzi o tamten ukłon i dwa uśmiechy, jeden, kiedy przejeżdżał pan koło mojego domu w drodze do dworu, i drugi podczas obiadu wczoraj w tym domu, to może należy panu przypomnieć, że ma pan brata bliźniaka, którego dobrze znam.

A niech to diabli! Przez parę chwil patrzył na nią oniemiały. Wzięła go za Claude'a? Wyjaśnienie było tak proste, że nie mógł pojąć, jakim cudem sam na nie nie wpadł.

- Pomyliła mnie pani z Claude'em?

- Tak. - Popatrzyła na niego z wyraźną satysfakcją. Dopóki sobie nie uświadomiłam, że pan Adams to uprzejmy i miły człowiek.

Uniósł brwi.

- Celny strzał, na Jowisza! Co za ostry język. Zdaje się, że winien jestem pani kolejne przeprosiny.

- Owszem. Dziękuję.

Kiedy zamierzał z ukłonem wycofać się i w samotności wylizać świeże rany, drzwi się otwarły i do pokoju wkroczyła Clarissa.

5

Na duchu podtrzymywała ją tylko decyzja, że nie okaże zmieszania. Że się nie zarumieni, nie spieszy. Nie opuści oczu pod jego wzrokiem i nie pozwoli mu mieć

ostatniego słowa.

W niczym nie zawiniła. Wcale nie zachowywała się kokieteryjnie, a on powinien był się domyślić, że na początku wzięła go za pana Adamsa. Na pewno nieraz spotkało to obu braci.

Kiedy zaczęła grać, z przerażeniem poczuła, że palce majak z drewna, a w głowie krzyżują się tysiące myśli, z których żadna nie ma nic wspólnego z Mozartem.

Ogromnym wysiłkiem woli skoncentrowała się i zagrała od początku, tak jak zwykle. W gruncie rzeczy w połowie utworu zapomniała o wszystkim poza muzyką.

Chyba poradziła sobie z Rawleighem całkiem dobrze. Kiedy jednak otworzyły się drzwi, poczuła ogromną ulgę. Szkoda tylko, że stanęła w nich Clarissa, która zatrzymała się raptownie i popatrzyła na nich z dezaprobatą.

Było jasne, że wcale nie podoba jej się to, co zastała. Catherine zdawała sobie sprawę z niestosowności przebywania sam na sam z wicehrabią, ale nie jej wina, że znalazła się w tej sytuacji.

- Pani Winters. - Głos Clarissy brzmiał lodowato, jakby zwracała się do służącej. -

Sądziłam, że tę godzinę przeznaczasz pani na naukę moich dzieci?

38

Zupełnie jakby mi dobrze za to płacono, pomyślała Catherine.

- Lekcja już się skończyła, proszę pani - odparła.

Nie miała ochoty dodawać nic więcej czy tłumaczyć się z wykroczenia, które najwyraźniej zarzucała jej Clarissa. Zawsze traktowała panią Adams uprzejmie i z szacunkiem, ale nie płaszczyła się przed nią. Nigdy nie zachowywałyby się wobec niej tak uniżenie, jak pastor Lovering. Prawdą było jednak, że utrzymanie wielebnego zależało od patronatu pana Adamsa.

- Daphne i ja przerwaliśmy lekcję tuż przed końcem, Clarisso - powiedział lord Rawleigh znudzonym i wyniosłym tonem. - Dzieci wykonały swoje pokazowe kawałki, to znaczy Julie nam zagrała. Nie jestem pewien, czy Willie gra już jakiś

pokazowy utwór i czy w ogóle kiedyś się go dorobi. Daphne zabrała oboje na górę. Zostałem chwilę, by porozmawiać z panią Winters o pogodzie. To bardzo egoistyczne z mojej strony, bo, o ile wiem, Claude prosił, by po lekcji grała dla własnej przyjemności. A ja przeszkodziłem, za co przepraszam.

- Ukłonił się

Catherine z gracją.

Pani Winters dostrzegła w oczach Clarissy stalowe błyski. Uśmiechnięta wdzięcznie pani domu wzięła szwagra pod ramię.

- Pani Winters na pewno pochlebia twoje zainteresowanie, Rawleigh - odparła. -

Ellen chce zobaczyć nowo narodzone szczenięta w stajni. Większość panów zajęła się bilardem, a nie podoba mi się myśl, że moja siostra ma iść sama tam, gdzie jest tylu stajennych. Możesz dotrzymać jej towarzystwa?

- Z przyjemnością, Clarisso - powiedział. Na wargach zadrżał mu uśmiech, ale Catherine nie

wiedziała czy był spowodowany rozbawieniem, czy irytacją.

Przypomniała sobie jego niedawną uwagę, że musi asystować pewnej panie wbrew własnym chęciom.

I dobrze. Była zadowolona, że szwagierka zmusza go do tego, na co nie miał ochoty. Niech zobaczy, jak to miło, kiedy człowiek czuje się złapany w pułapkę i bezsilny.

- Do widzenia, pani Winters. Lekki ukłon Clarissy oznaczał uprzejmą odprawę.

- Zostawimy panią jej grze. - Lord Rawleigh ponownie ukłonił się Catherine.

Objął spojrzeniem jej całą sylwetkę, a potem obrócił się i wyszedł z pokoju.

Nie mogła dalej grać. Ręce jej drżały, a serce przyspieszyło, jakby ją przyłapano na niestosownym zachowaniu. Nie podobało jej się, że przez niego tak się

poczuła. Pani Adams nabierze wobec niej podejrzeń. Tymczasem on za kilka tygodni wyjedzie, a ona musi żyć tutaj dalej.

Podniosła się, zapięła płaszcz i włożyła czepek. Uspokoiła się zupełnie.

Przynajmniej zobaczyła go ponownie, a nawet z nim rozmawiała. Teraz już jest po wszystkim. Miała za sobą to pierwsze niezręczne spotkanie po zażenowaniu i 39

upokorzeniu, jakich doznała wczoraj. Teraz będzie jej łatwiej.

„Pani życie musi być takie nudne, pani Winters”.

Wciąż dźwięczał jej w uszach nonszalancki i bezczelny ton, którym określał jej życie, jakby sądził, że ma prawo je oceniać. Nic o niej przecież nie wiedział. I tak zostanie.

Wyszła spieszenie na taras i wkrótce zmierzała podjazdem w stronę wioski i własnego domu.

Jak śmiał osądzać jej życie?!

Co o nim wiedział? Czy miał pojęcie o jej przejściach i bólu? O nieszczęściu? O

walce, którą stoczyła, by móc teraz żyć spokojnie? W spokoju i bez psychicznych wstrząsów?

Drogo opłaciła tę monotonię.

Która więcej była warta niż wszystko inne.

Ośmielał się mówić autorytatywnym tonem. Pogardliwym tonem. Pani życie musi być takie nudne, pani Winters.

Z wysiłkiem wróciła myślami do domu - własnego, kochanego gniazdka - i Toby'ego, którego pewnie rozpiera energia po samotnie spędzonym ranku. Po południu weźmie go na długi spacer. Może takie życie wydaje się monotonne, ale to jej prywatna sprawa. Tak mu powiedziała i tego zamierzała się trzymać.

Mogła dziękować Bogu, że jest tylko... monotonne.

Resztę poranka spędził, psując Ellen przyjemność z oglądania szczeniąt. Zupełnie nieumyślnie. Poszedł z nią do stajni i trzymał się z boku, kiedy pochyłona nad szczeniakami podnosiła jednego po drugim i rozczulała się nad nimi. Wyczuwał

jej skrzepowanie. Pewnie sądziła, że nudzi Rawleigha, który śmieje się w duchu z jej zachwyków.

Szczeniaki teriera. Nietrudno było zgadnąć, skąd wziął się dzielny Toby.

Nie miał nic przeciwko małym pieskom. Gotów był przyznać, że maluchy były śliczne, o okrągłych brzuskach, niezgrabnych łapach i noskach jak guziczki. Sam czasem brał na ręce jakiegoś szczeniaka i trzymał w dłoni, palcem drugiej ręki drapiąc między uszami.

Jednak teraz złościł się, bo wiedział, że Ellen czułaby się znacznie lepiej i swobodniej, gdyby nie jego obecność, ale uprzejmość nakazywała mu tkwić w pobliżu, by w razie czego ocalić ją przed niecnymi zakusami jurnych stajennych i podać ramię, na którym mogłaby się oprzeć w drodze powrotnej do dworu.

Kiedy wszyscy zasiedli do lunchu, uznał, że jak na jeden dzień dość już wycierpiał

w roli ofiary zdeterminowanej swatki. Clarissa zaczęła organizować

popołudniowy spacer, szkoda było nie skorzystać z ładnej pogody. Szczęśliwym 40

trafem Claude nie mógł iść z nimi, bo miał interes do mieszkającego dość daleko dzierżawcy.

Wicehrabia Rawleigh postanowił, że dotrzyma towarzystwa bratu.

- Widujemy się ostatnio tak rzadko - wyjaśnił z uśmiechem wyraźnie rozczarowanej Clarissie. - A wciąż potrzebujemy bliskiego kontaktu. To dlatego, że jesteśmy bliźniakami.

- Lepiej nie mówić przy niej takich rzeczy - powiedział brat, kiedy wyjechawszy konno ze stajni, zostali nareszcie sami. - Zawsze była trochę o ciebie zazdrosna.

Kiedy walczyłeś w Hiszpanii i w Belgii, tak się o ciebie martwiłem, że kilka razy zachorowałem. I potem się dowiadaliśmy, że zawsze zdarzało się to wtedy, kiedy ciebie spotykało coś złego. Na przykład wtedy, gdy zabrali cię z pola bitwy nieprzytomnego z upływu krwi. Przysięgam, wiedziałem o tym parę miesięcy przed przyjściem listu. Clarissa jednak twierdzi, że to wszystko bzdury.

- To działa w dwie strony. Na Półwyspie Iberyjskim przeżyłem kiedyś taki nagły atak niepokoju. Pomyślałem wtedy, że coś musiało się przydarzyć Clarissie albo dziecku. To było miesiąc czy dwa

przed narodzinami Julie, pamiętasz?

- Mój wypadek na polowaniu? Zgadzało się niemal co do dnia. Kiedy Clarissa powiła małą, jeszcze chodziłem o kulach.

Dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Sprawę z dzierżawcą załatwili szybko, ale jazda zajęła sporo czasu. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, jak zwykle.

Długie chwile milczeli, nie czując potrzeby wypełniania ciszy rozmową. Lord Rawleigh czuł, że brat cieszy się z powrotu do domu. Nie trzeba mu było mówić, że ciągnące się miesiącami zimowe wizyty u przyjaciół stanowiły ustępstwo na rzecz Clarissy. Wcale to nie znaczyło, że bratowa rządzi mężem. W jakiś sposób udało im się stworzyć związek, w którym obie strony dawały i brały.

- Jesteś niespokojny - powiedział Claude, kiedy ruszyli z powrotem do domu. -

Chcesz o czymś ze mną pomówić?

- Niespokojny? Skądże. - Wicehrabia nieco się zdziwił. - Cieszę się tą

przejażdżką. I pobytem u was.

- Wybierasz się do miasta na sezon? Lord Rawleigh wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie. Siła przyciągania stolicy zawsze wzrasta wiosną. A może nie pojedę.

- Panna Eckert tam będzie. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- A co to ma ze mną wspólnego?

- Zależało ci na niej. Obaj tak samo wierzymy w miłość i siłę uczuć, Rex. Gdybyś

nie kupił patentu oficerskiego i nie spędził tylu lat na wojnie, ożeniłbyś się młodo jak ja. Spotkał cię wielki zawód. Nie tylko twoja duma czy uczucia ucierpiały.

Odchodząc, owa kobieta pozbawiła cię marzeń i ideałów i z tego powodu jest mi 41

bardzo przykro.

Wicehrabia roześmiał się z przymusem.

- Dorosłem, Claude. Miłość i uczucia są dobre dla chłopców i bardzo młodych mężczyzn.

- Przecież mam tyle samo lat co ty minus dwadzieścia minut. Chcesz zatem powiedzieć, że nie darzę Clarissy miłością?

- Na pewno ją kochasz - roześmiał się wicehrabia, pragnąc nadać rozmowie lżejszy ton. - Nie chcę się wdawać w jedną z naszych słynnych kłótni, Claude.

Naprawdę mam nadzieję, że już z tego wyrosliśmy.

- Copley nie chciał mieć nic wspólnego z panną Eckert, kiedy już mogła go bez przeszkód poślubić, prawda? - ciągnął brat. - Nie mogę się nadziwić, że jeszcze mu nikt nie strzelił w łeb. Bałem się, że ty go wyzwiesz,

- Byłem wtedy za granicą. Na wojnie - przypomniał lord Rawleigh. - Zresztą nie miałbym prawa. Horacja zwolniła mnie z danego jej słowa. A wiesz, że Copley ma za sobą dwa pojedynki? W obu zadał rany przeciwnikowi.

- No cóż. Współczułem Horacji. Z jednej strony jest mi jej żal, lecz z drugiej nienawidzę jej za to, co ci zrobiła. Ze przez nią cierpisz.

- Horacja chce, żebym wrócił - wicehrabia zwierzył się nagle bratu. - Miała dość

tupetu, żeby przesłać mi dwa sekretne liściki przez swojego brata. Przypuszczam, że nie jest jej łatwo w obecnych okolicznościach, ale ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję czy pragnę, to żeby rzuciła mi się w ramiona podczas jakiegoś

wytwornego przyjęcia. Upokorzyłaby się jeszcze bardziej.

- Nie ma więc nadziei, żebyście się pogodzili - stwierdził smutno Claude.

- Dobry Boże, żadnej! - potwierdził brat.

- Wiedziałem, oczywiście, że tak będzie, ale ciągle nie tracę nadziei. Nie chodzi o to, żebyście się pogodzili, ale byś wyszedł w jakiś sposób z tej stagnacji, w jakiej tkwisz. Boję się tylko dwóch rzeczy.

Lord Rawleigh uniósł brwi pytająco.

- Boję się, że ni stąd, ni zowąd ożenisz się z kimś, kto nie da ci szczęścia -

wyjaśnił Claude. - Na przykład z Ellen. To słodka dziewczyna, Rex. Naprawdę.

Znam ją od dziecka. Ona potrzebuje kogoś mniej... mniej dominującego niż ty.

- Doprawdy? - zdziwił się wicehrabia. Brat zachichotał.

- Jesteś od niej dziesięć lat starszy - dodał. - I jakieś trzydzieści doświadczeniem.

- Nie martw się. Nie mam zamiaru żenić się z twoją szwagierką. Czego się

jeszcze boisz?

- Że nie ożenisz się wcale - wyrzucił z siebie Claude - że pozwolisz, by twoje rozgoryczenie i cynizm rosły. Nie dopuść do tego. W miłości mógłbyś komuś

wiele ofiarować, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy.

42

Wicehrabia roześmiał się.

- Naprawdę rozminęliśmy się przez lata, które upłynęły od twojego ślubu, Claude.

Nie pasuję już do twoich wyobrażeń.

- Och, nasze dusze i tak się rozumieją. Rex, nie muszę z tobą przebywać ani prowadzić takiego samego życia, by cię doskonale znać.

Ta rozmowa stawała się nieprzyjemnie osobista. I zbyt jednostronna. Pozwalał

bratu komentować swoje prywatne sprawy do woli, sam jednak nie mógł odbić

piłeczki. Nawet z własnym bratem bliźniakiem nie powinno się dyskutować o tym, co go łączy lub dzieli z żoną. Wicehrabia chętnie zmieniłby temat.

Jechali na skróty przez rozległą łąkę. Jeszcze ktoś inny znajdował się na tej samej drodze. Najpierw pojawił się mały piesek, który podbiegł do nich z zajadłym szczekaniem. Najwyraźniej szukał śmierci, bo oba konie w porównaniu z nim wyglądały jak olbrzymy. Jednak terier, mądrała, za blisko nie podchodził.

Podskakiwał w bezpiecznej odległości, wciąż wściekle ujadając.

- Toby!

Chyba ona tu jest. Rawleigh rozejrzał się i dostrzegł Catherine. Nadeszła od strony przełazu na drugim skraju łąki. Nie śpieszyła się. Uniknęłyby spotkania, gdyby pies nie zdradził jej obecności.

- O, to pies pani Winters. A niedaleko za nim właścicielka - stwierdził Claude z uśmiechem. Zdjął kapelusz i wykrzyknął pozdrowienie, gdy tymczasem ona zbliżała się powoli.

Miała na sobie prosty, dość ciemny, szary płaszcz. Gładki niebieski czepek pasował do tej samej błękitnej sukni, którą nosiła z rana. Zbliżywszy się, uśmiechem i ukłonem przywitała Claude'a - bez trudu rozpoznała braci. Pies zaprzestał ataków i usiadł przy nodze, wywiesił język i uważnie nastawił uszy.

Pozdrowiła Claude'a tak samo jak mnie w drodze do Bodley, myślał wicehrabia z kwaśną miną. Przebiegła spojrzeniem po obu mężczyznach, ale poza tym zupełnie go zignorowała.

Pani Winters i Claude wymieniali uprzejmości, a wicehrabia patrzył w milczeniu.

Przypominał sobie, jak dziś rano dała mu jednoznaczny odpawę, a on nawet nie zdążył na to odpowiedzieć, bo do pokoju wtargnęła Clarissa. Byłaby z niej interesująca kochanka, pomyślał z

niejakim żalem. Urok ich związku nie musiałby się ograniczyć wyłącznie do łóżka.

Zaraz potem odeszła, terier pobiegł przodem. Wicehrabia dotknął kapelusza i skinął głową.

- Piękna kobieta - zwrócił się do Claude'a. - Ktoś mówił, że mieszka tu piąty rok.

Zastanawia mnie, kim był jej zmarły mąż. Czy był tak dobry, że nie da się go zastąpić? A może tak zły, że nie chce go w ogóle nikim zastępować?

43

- Mam nadzieję, że zadbasz o to, by jej nie skompromitować - odparł brat.

Co, u licha?

- Clarissa jest chyba przekonana, że gdyby nie weszła do pokoju muzycznego, pchnąłbym panią Winters na pokrywę pianina, zadarł jej spódnicę i zgwałcił -

rzucił zirytowany. - Rozumiem, że taki widok mógłby ją nieco razić.

- Nie musisz być wulgarny - odparł brat.

- Mógłbyś to samo powiedzieć żonie - odpalił Rawleigh.

- Licz się ze słowami, Rex. - Wyglądało na to, że jedna z ich kłótni właśnie się

zaczynała. - Niemądrze zrobiłeś, zostając z nią sam na sam, co z tego, że w środku dnia. Mówię zresztą nie tylko o dzisiejszym poranku. Odwiedziłeś panią Winters wczoraj wieczorem?

Lord Rawleigh spojrzał na brata kompletnie zaskoczony. Miał już zaprzeczyć, ale nie chciał go okłamywać. Nozdrza mu się rozszerzyły.

- Do diabła, skąd wiesz? Czyżby złożyła skargę właścicielowi majątku?

- Mam oczy. I tę niewytłumaczalną więź z tobą. Nagła pałaca potrzeba spaceru w zimny wczesnowiosenny wieczór jakoś mnie nie przekonuje. Rex, ja się na to nie zgodzę.

- Właśnie, że... Co, u diabła! Na co się niby nie zgodzisz? - Wicehrabia w środku zaczął skręcać się z wściekłości.

- W razie gdybyś zapomniał, wiejskie życie ma to do siebie, że nie sposób zachować całkowitej prywatności - wycedził brat spokojnie. Ich kłótnie zawsze nabierały tempa, gdy na furię jednego drugi reagował niewzruszonym chłodem. -

Nie zgadzam się, żebyś ją skompromitował. Rex, to jest dama. Przyznaję, dość

tajemnicza. Przyjechała pięć lat temu, Bóg jeden wie skąd, i odtąd żyje tu spokojnie i przykładowie.

Nic nie wiadomo o jej pochodzeniu ani o zmarłym mężu, włącznie z jej uczuciami do niego, oprócz tego, że nazywał się Winters. Wszystkie jej postęпки świadczą jednak, że jest damą. Nie pozwolę jej skrzywdzić.

- Do diabła, Claude! - Głos wicehrabiego drżał ze złości. - Na pierwszy rzut oka widać, że od paru lat jest pełnoletnia, a zatem wolno jej decydować o sobie.

- A na drugi rzut oka - nie wytrzymał Claude - jest jasne jak słońce, że dostałeś

wczoraj kosza. Wróciłbyś do domu później, gdyby ci się powiodło. Pani Winters jest damą, i to wcale nie w oplakanej sytuacji. Ma jakąś rentę po mężu. Nie brakowało jej tutaj adoratorów. Wszyscy wiedzą, że od swojego przyjazdu odrzuciła przynajmniej dwie przyzwoite oferty, matrymonialne.

- Skoro jest damą- odparł wicehrabia - a ty jesteś pewien, że mnie odrzuciła, po diabła mnie ostrzegasz? Czyżbyś upatrzył ją dla siebie?

- Rex, jeśli zechcesz zsiąść z konia - odparł brat z groźnym spokojem - z przyjemnością połamię ci kości.

44

- Nie trzeba. Przepraszam cię za te słowa. Jesteś ostatnią osobą, która na nie zasłużyła. Tak, z miejsca pokazała mi drzwi. Myślałem nawet, że jej pies się na mnie rzuci, ale się rozmyślił. Cała ta opiekuńczość jest więc zupełnie zbędna.

- Rex, odkąd wróciliśmy do Bodley, obserwuję twoje dziwne roztargnienie. Źle się stało, że zapomniałeś wyjść w porę z muzycznego pokoju dziś rano.

Wywołałeś niepotrzebne podejrzenia Clarissy. Mam nadzieję, że mimo swojej pewności siebie przyjąłeś rekuzę do wiadomości. Ostrzegam cię, że jeżeli skompromitujesz panią Winters, zostanę twoim nieprzejednanym wrogiem.

- I to ma sprawić, że spadnę ze strachu z konia? - spytał Rawleigh z wyniosłym gniewem, patrząc na brata jak na wyrzut sumienia.

- Tak - odparł Claude. - Robienie sobie wroga z własnej drugiej połowy to nie najlepszy pomysł. Zostaw ją w spokoju. Z pewnością nie jesteś tak wygłodniały, żeby kilka tygodni celibatu robiło ci różnicę. Do towarzystwa masz Edena, Nata i mnie, do rozrywek w salonie są damy. I Daphne. Tak się cieszę, że jesteśmy we troje pod jednym dachem chociaż na parę tygodni.

- Będę się zachowywał przyzwoicie - obiecał lord Rawleigh i zachichotał. Złość

mijała. - Ale musisz przyznać, że jest niesamowicie śliczna. Oczywiście nie w moim typie, pomijając stronę fizyczną. To kobieta z zasadami. Wiem, że wypełnia czas dobrymi uczynkami - odwiedziny u chorych i starców, lekcje dla dzieci, tysiąc innych rzeczy -i nie oczekuje pochwał. Innymi słowy, cholerna święta. W

ogóle nie mój typ.

- No dobrze - powiedział brat stanowczo, chociaż nie zdołał powstrzymać

uśmiechu. - To może teraz zmienimy temat?

- Ma świetne podejście do dzieci - ciągnął wicehrabia. - Dlaczego, u licha świętej pamięci Winters nie dał jej paru własnych dzieciaków, jak sądzisz? Może był

niedołężnym starcem? Impotentem? Kiedy mężczyzna się żeni, mógłby przynajmniej dać żonie dzieci, skoro ona je lubi. Gdyby żył i stał tu przede mną, naprawdę korciłoby mnie, by mu porządnie wygarnąć.

Skonsternowany Adams spojrział na brata z odrobiną niepokoju. Może lepiej jednak zmienić temat, jak proponował przed chwilą. Ale Rawleigh reagował

półośówkami na każdy z podjętych przez Claude'a nowych wątków i wkrótce znów zapadło między nimi milczenie.

Wzięła mnie za Claude'a, myślał wicehrabia. Tamten uśmiech przeznaczony był

dla Claude'a. Pojął wreszcie, że w jej uśmiechach naprawdę nie kryła się

kokieteria. Poczul się jak głupiec. Kompletny dureń.

I raz na zawsze wykreślony z łask Catherine Winters.

Dobry Boże, chyba zaczął tracić intuicję. Z jej strony spotkały go tylko frustracja i upokorzenie. Poprzedniego wieczoru starał się widzieć z nią bez świadków, 45

przekonany, że zachowuje pełną dyskrecję i całkowitą tajemnicę. Mimo to, kiedy wrócił, Nat i Eden powitali go sprośnymi żartami na temat pośpiechu, z jakim się

uwinął. A Claude zgadł, dokąd poszedł. Dziś rano zaś Clarissa wyciągnęła własne wnioski z faktu, że został w pokoju muzycznym po wyjściu Daphne i dzieci.

Przy tym wszystkim nawet nie mógł czerpać pociechy z sukcesu.

Przeklęta wieś. Ruszając się poza rogatki miasta, człowiek tracił resztki swobody.

Jednego był pewien. Pani Winters może odtąd cieszyć się spokojem i pewnością, że nic nie zagraża jej cnocie. Do wyjazdu z Bodley będzie trzymać się od niej z daleka.

6

Słońce niestrudzenie świeciło przez okienne zasłony, a jego promienie padały wprost na łóżko. Wiedziała, że jest zimno poza kołdrą i bardzo wcześnie, ale dzień

zapowiadał się tak samo ładnie, jak poprzedni. Chyba nie uda jej się usnąć na nowo. Przeciągnęła się i szybko schowała ramiona z powrotem pod okrycie.

Niezbyt dobrze spała w ciągu kilku ostatnich nocy. Zdecydowała się wstać i wziąć Toby'ego na poranny spacer. Grupka dzieci miała przyjść do niej później na lekcję czytania.

Toby przybiegł do sypialni, kiedy myła się i ubierała. Machał ogonem, pełny gotowości.

- Możesz tu stać, ile chcesz, wyczekująca mina ci nie pomoże - powiedziała. -

Nawet szeptem nie wymówię słowa na „s”, dopóki nie znajdę się przy drzwiach, inaczej będziesz mi się kręcił pod nogami i w końcu się o ciebie przewrócę. Daj mi chwilę czasu.

Toby jednak rozumiał literę „s” równie dobrze jak słowo „spacer”. Spokojne merdanie zamieniło się w szalony młyniec. Pies zaskomlał z radości, a potem zaczął podskakiwać wkoło Catherine, kręcić się za własnym ogonem i podbiegać

parę kroków w stronę schodów i znów do niej, jakby chciał w ten sposób zmusić swoją panią do pośpiechu.

Roześmiała się.

Jeszcze tylko kilka tygodni, myślała, idąc chwilę później wioskową uliczką.

Uśmiechem i skinieniem dłoni przywitała pana Hardwicka, właściciela gospody, który osobiście zamiatał bruk przed wejściem. Ta wizyta we dworze nie może trwać dłużej niż kilka tygodni, a pierwszy właśnie się kończył. Rawleigh i jego przyjaciele na pewno zechcą wrócić do Londynu na sezon. Przecież to modni panowie, a na wsi nic ich nie zatrzymuje. Co prawda pani Adams próbuje wyswatać wicehrabiego i pannę Hudson, ale pozostali dwaj dżentelmeni nie mają

46

nic do roboty. Do towarzystwa zostawała im tylko panna Lipton.

Nie, nic ich tu nie trzyma. Wiedziała ponadto, że panna Hudson nie interesuje wicehrabiego.

Jeśli zdoła wytrzymać te kilka tygodni - a przecież nie ma innego wyjścia -

wszystko wróci do normy i znów będzie miała święty spokój. Zniknie obawa, że wychodząc za próg, wpadnie na Rawleigha.

- Nie, nie w tę stronę, Toby - zawołała, kiedy pies pewnym krokiem ruszył w kierunku Bodley House. Na spacerzy zazwyczaj chodziła do dworskiego parku.

Skręcała z alei podjazdowej między drzewa i tuż za zakrętem wyłaniała się

rezydencja Adamsów. Miała wolny wstęp do parku; pan Adams zachęcał

mieszkańców wioski, by z niego korzystali. Naturalnie, na mocy niepisanej umowy, nikt nie zbliżał się zanadto do dworu, by nie naruszać prywatności rodziny dziedzica. Tego ranka Catherine wołała jednak pójść wiejską drogą, oddzieloną murem od dworskiego lasu.

Przez ostatnie pięć lat poświęcała całą swoją energię, by swojemu nowemu życiu nadać jakiś sens. Nie było jej łatwo - przedtem żyła zupełnie inaczej. Zdużyła w sobie wszystkie uczucia poza pragnieniem przetrwania, a nawet i ono nie miało dla niej początkowo większego znaczenia.

Biorąc to wszystko pod uwagę, radziła sobie niezłe w ciągu tych lat. Miała towarzystwo, rozmaite zajęcia, dom, który pokochała. Od roku był u niej Toby.

Wcale nie żałowała dwóch odrzuconych propozycji małżeństwa - jedną złożyła jej przed trzema laty, drugą zaledwie rok temu - choć obu dżentelmenów szanowała i każdy z nich byłby dobrym mężem. Nie miała ochoty wyjść za mąż

ani żadnej potrzeby.

Teraz niespodziewanie zaczynał ogarniać ją nastrój, który odczuwała, gdy była młodą dziewczyną. Oczywiście, jej potrzeby trochę się z czasem zmieniły. Jako panna na wydaniu nic nie wiedziała o cielesnych żądach. Wtedy pragnęła tylko romantycznie i z wzajemnością zakochać się w przystojnym dżentelmenie, a w końcu wyjść za mąż. Była niewinna i bezbronna.

Pragnienia, jakie się w niej zbudziły w ostatnich kilku dniach, zaniepokoiły ją.

Były wyłącznie fizyczne. Mówiąc bez ogródek, pożądała mężczyzny, jego pieśczoć, dotyku męskiego ciała. Pragnęła spełnienia. Żeby wreszcie skończyło się wrażenie pustki i samotności.

Przestraszyła się tych tęsknot, bo nie miała dobrych wspomnień po bliskim związku z mężczyzną, wręcz przeciwnie. Nie przypuszczała, że może jeszcze raz tego zapragnąć.

Tłumaczyła sobie, że nie jest osamotniona. A może raczej, że pewien rodzaj izolacji stanowił cenę za niezależność, szacunek dla siebie samej i spokój ducha.

47

To niewielki koszt. Widziała zresztą zauważalną różnicę między prawdziwym wyobcowaniem a swoją obecną sytuacją.

Mogła zaradzić swej samotności wizytami u przyjaciół i sąsiadów, których miała bez liku.

Obawiała się jednak, że nie zdoła dłużej się łudzić. Odkryła, że dokuczają jej dotkliwie brak naprawdę intymnych więzi.

Wszystko to stało się przez jednego, aroganckiego mężczyznę, który siedział w jej kuchni przed dwoma dniami i bez skrupulów proponował, by została jego kochanką. Mężczyznę, którego pragnęła tak, że pokusa omal nie wygrała ze słusznym oburzeniem. Który wczoraj o mały włos nie skompromitował jej i na dodatek rozebrał spojrzeniem bezczelnych oczu, zanim pani Adams zdążyła go wyprowadzić.

Pragnęła go - to było iście przerażające wyzwanie.

Nagle Toby przestał się uganiać i węszyć po pobliskim polu. Rzucił się z powrotem w stronę alejki, zawzięcie poszczekując. W oddali pojawiły się sylwetki trzech jeźdźców. Tak wcześnie rano? Serce jej zamarło. Czy żadna pora nie jest już bezpieczna, by pójść na samotny spacer?

Z tej odległości jeden z dżentelmenów przypominał pana Adamsa, ale wiedziała, że to nie on, bo jechał w towarzystwie nierozłącznych pana Gascoigne i lorda Pelhama. Nie mogła zmienić kierunku przechadzki, żeby uniknąć spotkania. Po jednej stronie miała mur parku, po drugiej otwarte pole. A na dodatek zupełnie jak wczoraj, Toby pobiegł alejką w stronę koni - Dawid naprzeciw trzech Goliatów, z tą swoją niemądrą brawurą.

Pan Gascoigne z trudem opanował niespokojnego wierzchowca, śmiejąc się przy tym donośnie. Lord Pelham zerwał kapelusz z głowy i uklonił się Catherine.

Rawleigh pochylił się w siodle i chwycił teriera za kark. Pies szczeknął z urazą i zdziwieniem, potem uspokoił się i już grzecznie siedział na siodle przed wicehrabią, z wywieszonym językiem i postawionymi uszami. Tak łatwo poddał

się wrogowi.

- Pani Winters - powiedział lord Pelham - uroda pani dopełnia piękno tego poranka. Nie wiedziałem, że na tym świecie istnieje dama, która tak wcześnie wstaje.

- Dzień dobry, milordzie. To najładniejsza pora dnia - odparła, lekko dygając.

Zauważyła, że miał piękne białe zęby i intensywnie niebieskie oczy. Był tak samo przystojny, jak wicehrabia, a już na pewno bardziej czarujący. Dlaczego mogła patrzeć na niego i rozmawiać z nim bez najmniejszej emocji?

- Muszę sprzedać tego konia - śmiał się pan Gascoigne, zdejmując kapelusz i składając jej ukłon. - Umrę ze wstydu za niego. Przestraszyć się małej psiny... Ale 48

mając taką panią jak Toby, też bym zajadle szczekał w jej obronie.

- Witam pana - powiedziała ze śmiechem. - Zapewniam, że to tylko niegroźny hałas. - Jeszcze jeden przystojny dżentelmen, o śmiejących się oczach i miłym obejściu. Żadnego drgnienia w sercu.

Spojrzała w bok, nim sytuacja zdążyła się zrobić równie niezręczna, jak dwa dni temu przed jej domkiem.

- Dzień dobry, milordzie - przywitała Rawleigha, który drapał za uchem szczęśliwego Toby'ego. Oto trzeci przystojny mężczyzna, niczym się

niewyróżniający wśród pozostałych. Serce jej przyspieszyło.

- Pani... - podtrzymał jej spojrzenie i skłonił głowę.

Sytuacja i tak robiła się nieznośna. Catherine powinna się uśmiechnąć i iść dalej, ale Toby siedział na łąku siodła wicehrabiego i miał taką minę, jakby zamierzał

tkwić tam przez resztę ranka.

- Pewnie nie uda się nam pani wmówić, że jechaliśmy w tę samą stronę? - spytał

pan Gascoigne.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie uda nam się, Nat - odparł lord Pelham i zachichotał. - Niestety. Panią

Winters rozboleałby kark, gdyby musiała patrzeć w górę na nas trzech podczas rozmowy.

Pan Gascoigne również się zaśmiał.

- Jeden z nas powinien zaoferować konia damie, a reszta szłaby pieszo -

powiedział karcąco. - Tak każe galanteria.

Przekomarzali się z Catherine całkiem niewinnie, zupełnie nieszkodliwie.

Wicehrabia Rawleigh tylko na nią spojrział, nieobecny gestem głaszcząc Toby'ego.

- Panowie, wyszłam na spacer właśnie po to, by zażyć ruchu - odparła. - Toby też.

- Spojrzała znacząco na Rawleigha i dostrzegła, jak długie ma palce, gdy sprężysta dłoń wicehrabiego znieruchomiała na grzbiecie psa.

Pochylił się w siodle bez słowa i postawił Toby'ego na ziemi. Terier pomachał

ogonem i pobiegł przed siebie.

- Do widzenia pani - powiedział lord Rawleigh. - Nie chcemy pani dłużej zatrzymywać. - Nie uśmiechnął się ani nie przyłączył do żartów.

Poszła dalej, słysząc, jak za jej plecami cichnie stukot końskich kopyt. Jeszcze tylko parę tygodni, myślała. To wszystko. A potem życie znów wróci do normy.

Przynajmniej miała taką gorącą nadzieję. Wiedziała jednak, że nie będzie to takie proste.

- Urocza - powiedział pan Gascoigne. - Absolutnie urocza. Coś jednak jest w 49

takim niemodnym, prostym stroju, nieprawdaż? I w tym spokojnym wiejskim otoczeniu.

- To straszne - dodał lord Pelham. - Wszyscy trzej wariujemy na widok jednej ślicznotki. Nat, niemodny wiejski ubiór jest uroczy tylko na kimś, kto równie czarująco wyglądałby bez niego. Zwłaszcza bez niego, na Boga. Ta okolica jest niewiarygodnie uboga w płec piękną, Rex... Bez obrazy pod adresem panny Hudson.

- Myślałem, że właśnie o to chodzi - odparł wicehrabia. - Wszyscy w jakimś

sensie uciekliśmy na wieś przed kobietami, czy nie tak? Eden przed pechową

mężatką, Nat przed sprytną panną na wydaniu, a ja - no cóż, przed byłą

narzeczoną. Może dobrze nam zrobi chwilowy brak damskiego towarzystwa. To zdrowe dla ducha, i tak dalej.

- Podobasz jej się, Rex - stwierdził lord Pelham. - Ledwie się zmusiła, żeby na ciebie spojrzeć, a z Natem i ze mną żartuje i śmieje się, jakbyśmy byli jej braćmi.

Wcale mi się to nie podoba. Nawet się do niej nie uśmiechnąłeś. Oto pytanie -

masz w końcu na nią chrapkę, czy nie? Nie chciałbym, żeby jedyna piękność w okolicy marnowała się, bo Nat i ja okazemy się zbyt taktowni, żeby ci wchodzić w paradę.

Wicehrabia głośno chrząknął.

- A ja sądzę - dodał pan Gascoigne - że przedwczoraj wieczorem Rex dostał

policzek. Jeśli nie dosłownie, to w przenośni. Przecież domyślamy się, że zaszedłeś do niej przy okazji spaceru. Zachowałeś się z pewnością bardzo swobodnie? Zaproponowałeś, by się na ciebie zdecydowała, choć nie raczyłeś

poprzedzić propozycji choć kilkoma dniami zalotów? Będziemy musieli udzielić

ci kilku lekcji, stary druhu. Człowiek nie może podejść do cnotliwej wiejskiej wdowy, klepnąć jej w ramię i spytać, czy nie miałaby ochoty wskoczyć z nim między prześcieradła. Tak właśnie zrobiłeś?

- Idź do diabła! - sarknął Rawleigh.

- Tak zrobił, Eden - potwierdził pan Gascoigne.

- Nic dziwnego, że nie uśmiechnął się do niej dziś rano i że ona nie mogła na niego patrzeć - odparł lord Pelham. - I to ma być nasz przyjaciel, znany uwodziciel hiszpańskich piękności w latach spędzonych na Półwyspie Iberyjskim! Człowiek aż drży, kiedy widzi, jak nisko i szybko można upaść z powodu braku stałej praktyki.

- A może - zastanawiał się głośno pan Gascoigne - ja się nią zajmę i zobaczę, czy uda mi się osiągnąć lepsze rezultaty? Przykro mi, Rex, zmarnowałeś swoją szansę.

Obaj śmiali się głośno i świetnie bawili jego kosztem, a Rawleigh się zżymał.

Wiedział też, że jeśli chce uciąć żarty, musi przyłączyć się do rozmowy i 50

porządnie się odgryźć, ale jakoś nie potrafił tego zrobić. Zamiast tego warknął:

- Ręce od niej z daleka, Nat.

Pan Gascoigne podniósł dłonie do góry jak ktoś, komu właśnie przyłożono do kręgosłupa lufę pistoletu.

- To dama - dodał wicehrabia - a nie łatwa osóbką, którą można uwodzić na zmianę.

- Dobry Boże! - wykrzyknął pan Gascoigne. - Eden, on wpadł z kretesem!

- Chyba masz rację, Nat. Ciekawe. Bardzo ciekawe. Ot i koniec naszych nadziei...

Wszyscy trzej - a także Ken, kiedy im towarzyszył - nieraz długo i z zapalem roztrząsali różne poważne tematy. Dlatego właśnie się zaprzyjaźnili. Często też

lubili prześcigać się w lekkich żartach. Wzajemnie poprawiali sobie nastrój i umiejętność ta okazała się bezcenna podczas drugich lat wojaczki w Portugalii, Hiszpanii, a potem stacjonowania w Belgii. Potrafili dzielić z sobą i powagę, i wesołość. Mogli razem iść na wojnę i razem spojrzeć w oczy śmierci.

Czasem jednak, choć bardzo rzadko, któryś z nich nie mógł dogadać się z pozostałymi. Mówił wtedy przyjaciołom, żeby poszli do diabła - i dokładnie to miał na myśli.

Pani Winters nie nadawała się, by być tematem sprośnych uwag.

A jednak, jeśli nie zdoła się dostroić do tonu przyjaciół, nigdy nie dadzą mu odetchnąć i nie zostawiają jej w spokoju.

Po drodze do stajni wjechali na podjazd. Inni też już chyba wstali i siadają do śniadania. Clarissa planowała na popołudnie wycieczkę do odległego o pięć mil zamku Pinewood, jeżeli dopisze pogoda. Pogoda najwyraźniej zamierzała dopisać.

Pewnie znów będzie musiał eskortować Ellen Hudson, a i rankiem bratowa znajdzie powód, by koniecznie zajął się jej siostrą.

Rawleigh wstrzymał konia.

- Jedźcie przodem - powiedział lekkim tonem. - Nie chciałbym wam przeszkadzać w oplakiwaniu straconych nadziei.

Przyjaciele spojrzeli na niego, a potem na siebie ze zdziwieniem. Z oczu znikły im żartobliwe ogniki. Przez te wszystkie lata nauczyli się wyczuwać swoje nastroje.

Mogli zrazu nie zauważyć, że któryś nie dzielił samopoczucia pozostałych, ale zorientowawszy się, natychmiast naprawiali błąd.

- Chcesz pobyć sam... - powiedział Nat.

- Zobaczymy się potem we dworze - dodał Eden.

Ani słowa o tym, że z pewnością wracał szukać Catherine Winters. Ani śladu złośliwych iskerek w oczach. Rawleigh nie do końca rozumiał, czemu nie może znieść ich docinków. Przecież już wcześniej zdarzało mu się dostać odprawę, jak każdemu. I zazwyczaj potrafił kpić z siebie, tak samo jak z innych. Nikt w końcu 51

nie dysponuje nieodpartym urlopem dla wszystkich kobiet bez wyjątku.

Bez słowa zawrócił wierzchowca i ruszył w dół podjazdu. Mógł udać, że ma coś do załatwienia w wiosce, ale pora była zbyt wczesna. Wiedzieliby, że skłamał.

Kiedy dojechał do końca alei prowadzącej od podjazdu, nie skręcił do wsi. Ruszył tą samą drogą, którą jechali zaledwie kilka minut wcześniej. Nie śpieszył się. Miał

nadzieję, że minęło dość czasu, by pani Winters zdążyła zniknąć bez śladu. Nie było tam wydeptanych zbyt wielu ścieżek, w które mogła zboczyć, ale pies spowalniał tempo jej spaceru. Nie trzymała go na smyczy, a wyraźnie lubił tu i tam węszyć.

Przypuszczał, że jej nie dogoni, mimo to doznał rozczarowania, kiedy nigdzie po kilku minutach jazdy jej nie dostrzegł, choć ogarniał wzrokiem spory dystans.

Szybko zorientował się, w którą stronę poszła, zobaczył bowiem furtkę w parkowym murze. Była wprawdzie zamknięta, ale to go nie zdziwiło - dbano o to, by z parku nie uciekała zwierzyna płowa. Sięgnął do klamki - poddała się łatwo.

Najwidoczniej furtki często używano. Zsiadł z konia i prowadząc go, wszedł na teren parku.

Ten jego skraj porastał stary drzewostan. Jego ulubione miejsce dzieciennych zabaw pachniało znajomo. Cisza i cień wśród wiekowych pni napawały go zadumą. Możliwe, że wcale nie poszła tędy, ale on wróci tą drogą do dworu. Lubił

drzewa - zawsze go uspokajały.

Potem usłyszał szelest poszycia. Mały brązowo-biały terier nadbiegł w podskokach i merdając ogonem, oparł przednie łapy na jego nodze. Znalazł sobie przyjaciela, pomyślał wicehrabia z rozbawieniem. Pies nawet nie warknął.

- Złaź, mój panie - poinstruował Toby'ego. - Nie życzę sobie śladów twoich łap na butach ani na spodniach.

Pies polizał mu dłoń. Rawleigh już wcześniej zauważył, że Toby nie wygra żadnego konkursu na posłuszeństwo. Wyraźnie jego właścicielka na wszystko mu pozwala.

- Toby, gdzie się podziałeś? - dobiegł go jej głos. - Toby! Zobaczył ją w chwili, kiedy brał teriera za przednie łapy i stawiał je

na ziemi. Zatrzymała się, popatrzyła na niego, a on nie odwrócił oczu. Co za głupota, pomyślał. Dlaczego to robił? To godna szacunku kobieta, a on nie chciał

mieć nic wspólnego z cnotliwymi damami, przynajmniej na osobności.

I gdzie się ulotniły postanowienia robione wczoraj po południu?

Rozejrzała się, jakby szukała wzrokiem Nata lub Edena, a potem znów popatrzyła na niego. Nic nie powiedziała.

- Ja jestem przynajmniej na gruntach należących do brata - stwierdził. - Jaką pani ma wymówkę?

52

Uniosła podbródek.

- Pan Adams pozwolił korzystać z parku mieszkańcom wioski - odparła. - Idę

właśnie do furtki. Pora wracać.

- Niech pani ominie tamte drzewa - powiedział. - Dochodzi się ścieżką do drugiej furtki i można uniknąć spaceru przez wioskę. To o wiele przyjemniejsza trasa.

Chętnie wskażę pani drogę.

- Dziękuję, znam ją.

Powinien pozwolić jej odejść. Przechadzka wśród drzew, gdy prowadzi się konia i czeka, aż pies przeszuka okolicę mogła zająć co najmniej pół godziny. Sam na sam w parku z panią Winters. Claude urwałby mu głowę.

Uśmiechnął się do niej.

- Może jednak dotrzymam pani towarzystwa? - spytał z uśmiechem. - Proszę się

nie obawiać. Tak wcześnie rano nie zajmuję się uwodzeniem dam.

Zarumieniła się, ale nie odwróciła spojrzenia. Czuł, że nieuchwytna nie

wzajemnego pożądania napina się mocniej.

- Nie zabronię panu, skoro na tym terenie ja jestem intruzem, a pan gościem.

Zauważył jednak, że nic nie wspomniała o wyjściu na drogę bliższą parkowych furtek.

Szli obok siebie, zachowując przyzwoitą odległość. Mimo to patrząc na nią tracił oddech.

- Wszystkie przebiśniegi zakwitły - powiedział. - Niedługo przyjdzie czas na żonkile. Czy wiosna to też pani ulubiona pora roku?

- Tak - odparła. - Niesie nowe życie, nowe nadzieje. Obietnice nadchodzącego lata. Istotnie, lubię tę porę roku, choć mój ogród nie jest jeszcze tak pełen kolorów jak latem.

Nowe życie. Jakie miała nadzieje, o czym marzyła. Czy w ogóle na coś liczyła? A może prowadzi tak spokojną i pełną satysfakcji egzystencję, że nie potrzebuje niczego więcej?

- Nowe nadzieje... - powtórzył. - Na co pani czeka? Na coś konkretnego?

Patrzyła przed siebie, zauważył, zerkając na nią z ukosa. Oczy miała zamysłone i odczytał w nich jedną z możliwych odpowiedzi na swoje pytanie. W jej spojrzeniu zobaczył nieokreślony lęk i pragnienie.

- Pragnę zadowolenia - odpowiedziała. - Spokoju.

- Czy obu tych rzeczy pani brak, że za nimi tęskni? - zapytał.

- Nic podobnego. - Przemknęła po nim spojrzeniem. - Chcę je tylko utrzymać.

Wie pan, są takie ulotne. Równie nietrwałe, jak bajkowe „żyli długo i szczęśliwie”. Nie da się osiągnąć i zachować w nieskończoność jednego stanu ducha. Choć chciałabym, żeby to było możliwe.

53

Zakłócił więc jej spokój. Domyślił się tego, chociaż w jej głosie nie było śladu oskarżenia. „Żyli długo i szczęśliwie”. Po co użyła tego określenia? Czyżby śmierć męża przekonała ją, jak kłamliwe są obietnice wiecznego szczęścia? Tak jak jego utwierdziła w tym niewierna narzeczona?

- A pan? - Popatrzyła na niego uważnie. - Jakie są pana oczekiwania na przyszłość?

Wzruszył ramionami. Czy miał jakieś nadzieje? Czy o czymś marzył? Nic. Tylko nie żywiąc żadnych nadziei i rezygnując z marzeń, można zachować kontrolę nad życiem. Myśl ta sprawiała mu przykrość, choć zarazem wydawała się słuszna.

Marzenia na ogół wiążą się z innymi ludźmi, a ci mogą zawsze człowieka zawieść

i zranić.

- Nie tracę czasu na marzenia - odparł. - Żyję i cieszę się każdym dniem, jakkolwiek by był. Fantazując o przyszłości, marnuje się teraźniejszość.

- Popularny pogląd, ale sądzę, że nie sposób się do niego niewolniczo stosować. -

Uśmiechnęła się. - Wszyscy czasem marzymy, bo inaczej życie byłoby nie do zniesienia.

- Czy i pani życie czasem jest nieznośne? - zapytał.

Czy naprawdę jest zadowolona ze swojego losu? Mieszkała tu już pięć lat, a owdowiała jeszcze wcześniej. Ileż mogła mieć lat? Na pierwszy rzut oka około dwudziestu pięciu, tak więc od dwudziestego roku życia jest samotna. Czy naprawdę mogła być zadowolona z takiego losu? Jeśli była nieszczęśliwa z mężem wdowieństwo, przez kontrast, mogło wydawać się rajem.

- Dla każdego życie staje się czasem zbyt trudne - odparła. - Myślę, że nikt nie ma tyle szczęścia, by los oszczędził mu wszelkich przeciwności.

Dotarli do strumienia, który przecinał park i spływał wśród drzew ku wiosce. W

tym miejscu jego nurt wartko wił się pod łukiem kamiennego mostku z balustradami, na jakich dzieci lubią balansować, wyciągając ręce na boki, łapiąc równowagę.

- Jeżeli zechce pani kiedyś odzyskać stracony spokój ducha - powiedział, przystając na mostku i opierając ramiona o balustradę - oto właściwe miejsce. Nie ma nic bardziej kojącego niż szmer wody i widok, padającego na nią światła słońca, przefiltrowanego przez gałęzie drzew.

Rawleigh puścił konia luzem na trawę po drugiej stronie mostku.

Stała obok niego i popatrzyła na strumień. Pies pobiegł dalej.

- Wiele beczynnych minut spędziłam, stojąc tutaj - powiedziała.

Chyba nie zdawała sobie sprawy z tęsknoty, z jaką zabrzmiał jej głos, zdradzając więcej niż słowa. Domyślił się, że często musiała szukać w tym miejscu ukojenia.

Patrzył na nią, stojącą u jego boku - smukłą, złotowłosą i piękną. Dłonie w 54

rękawiczkach z koziej skórki położyła na balustradzie. Gdyby się nie pomylił w swoich początkowych rachubach, znałby ją teraz może znacznie lepiej. Może by wiedział, jak to szczupłe, zgrabne ciało zareaguje w jego objęciach. Może wcześniej by pojął, jak wrażliwa, ciepła i przyjazna jest w gruncie rzeczy ta kobieta. Zdołałby odkryć, czy kocha z chłodną wprawą czy gorącą pasją, i czy on sam potrafiłby jej opanowanie przemienić w namiętność.

Zdawała mu się zdolna do żarliwych uczuć.

Zastanawiał się czy wystarczyłoby mu posiąść ją raz lub dwa, czy wciąż by jej pragnął. Może, jak często zdarzało mu się z kobietami, raz poznawszy, co miała do zaoferowania, straciłby zainteresowanie? Znudziłby się i przestał jej szukać, by, jak tego ranka, urządzać sentymentalne przechadzki po lesie?

Nie miał pojęcia. Zapewne nigdy się nie dowie.

Nie zdawał sobie sprawy, że w milczeniu nie spuszcza z niej oczu, dopóki nie podniosła powiek. Z twarzy i spojrzenia Catherine wyczytał, że przejrzała jego myśli.

Szukał jakichś słów, ale nic mu nie przyszło do głowy. Ona otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i znów wpatrzyła się w nurt. Zastanawiał się

później dlaczego nie wyprostował się i nie zaproponował, jakby nigdy nic, żeby podjęli przerwany spacer. Zastanawiał się, czemu ona sama nie zrobiła niczego, by rozproszyć napięcie towarzyszące tej chwili.

Oboje nawet nie drgnęli.

Obrócił się do niej, schylił głowę i pocałował ją. Rozwarł usta, by poczuć jej smak. Wargi Catherine lekko drżały - oddała pocałunek. Nie dotknął jej poza tym.

Żadne się nie poruszyło.

Pocałunek trwał moment zaledwie, ale i tak dłużej, niż powinien. Spojrzał na strumień. Ona też chyba odwróciła wzrok. Był poruszony. Nie wiedział, do czego to wszystko zmierza, a lubił mieć kontrolę nad

własnym życiem. Przecież powiedziała, że nie zostanie jego kochanką, i mówiła to bardzo stanowczo. Pocałunki dla samych pocałunków są bez sensu, zwłaszcza jeśli rozpalają człowieka do granic szaleństwa, a nie prowadzą do niczego więcej.

A jego interesował wyłącznie romans bez zobowiązań.

- Choćby dla zaspokojenia mojej dumy musi pani przyznać, że nie stało się to wbrew jej woli, czyż nie?

Odpowiedziała mu długa cisza. Pomyślał, że nie doczeka się odpowiedzi. Może nie dosłyszała jego pytania. Ale w końcu odezwała się:

- Nie, nie wbrew mej woli.

Byłoby mu łatwiej, gdyby się nie przyznała. Do wszystkich diabłów! Czego ta kobieta chce od życia? Zadowolenia i spokoju? Czy czasem nie przyjemności?

Chociaż, inne możliwości także wchodziły w grę.

- Przypuszczam - powiedział ostrzej, niż zamierzał - że chodzi pani o małżeństwo.

- Nie - odparła szybko. - Nigdy. Już nigdy. Dlaczego kobieta miałaby chcieć stać

się własnością mężczyzny i cierpieć, rezygnując dla niego z własnego charakteru i indywidualności? Nie, milordzie, nie usiłuję skłonić pana do oświadczeń. Niczego od pana nie chcę. Tamtego wieczoru byłam szczerą, odmawiając panu. Jeśli uzna pan dzisiejszy pocałunek za próbę drażnienia się z panem, przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru. Wcale nie chciałam, żeby to się stało. A teraz wracam do domu. Sama, proszę. Nie zgubię się, zapewniam pana. Toby! - wykrzyknęła.

Zeszła z mostku i oddaliła się szybko, gdy tylko radosny i zdyszany terier wybiegł z drzew. Rawleigh nie próbował iść za nią. Został sam, oparł łokcie o balustradę i wpatrywał się w wodę.

Tkwiliby tam dużo dłużej, gdyby trzask łamanych gałęzek nie skłonił go do podniesienia głowy. Już myślał, że wróciła, lecz pojawił się tylko jeden z ogrodników czy łowczych Claude'a. Mężczyzna spojrział na niego ciekawie, zmierzwił ręką czuprynę i ruszył w dalszą drogę.

Dobrze, że nie nadszedł kilka minut wcześniej, pomyślał Rawleigh.

7

Życie mieszkańców Bodley-on-the-Water stało się ostatnio znacznie bardziej urozmaicone. Słoneczna pogoda dopisywała od wielu dni i było aż za ciepło, jak na tę porę roku. Drzewa pokryte się zielenią, a wiosenne kwiaty kwitły wszędzie, zapowiadając jeszcze większą feerię barw, w miarę jak coraz liczniejsze roślinki wschodziły nawet w nieco zaniedbanych ogrodach. Na polach jagnięta podskakiwały na niepewnych jeszcze nogach, towarzysząc swym matkom, porośniętym gęstszym i ciemniejszym runem.

Przede wszystkim zaś państwo Adams nadal byli we dworze, a także ich goście.

Ktoś z nich pokazywał się w wiosce niemal codziennie lub chociaż przechodził

ulicą. Kilka osób zaszczycono zaproszeniem do Bodley House - pastor i jego żona byli tam kilkakrotnie. Naturalnie oboje zaliczali się do szlachty - pani Lovering była daleką kuzynką baroneta. Panią Winters zaproszono raz. Panna Downes na zaproszenie lady Baird uczestniczyła w popołudniowej herbatce w gronie dam.

Pani Adams pamiętała ją jeszcze z dzieciennych lat. Niestety, pani Downes zbyt źle się czuła, by towarzyszyć córce, ale ta na pociechę przyniosła jej wiadomość, że lady Baird zamierza odwiedzić obie panie Downes któregoś dnia.

Pewnego wieczoru we dworze miał się odbyć obiad ukoronowany balem. Cała okoliczna szlachta otrzymała zaproszenia. Zamierzano sprowadzić prawdziwą

56

orkiestrę - to wielka odmiana po okazjonalnych przyjęciach w sali ansamblowej na piętrze gospody, podczas których ktoś przypadkowy przygrywał do tańca na pianinie. Pełne do tej pory kwiatów oranżerie Bodley House miały zostać

ogłocone, by było czym ozdobić jadalnię i salę balową.

Żaden z tych planów nie stanowił sekretu, podobnie jak codzienne poczynania rodziny i gości dziedzica. Służba w Bodley House, jak to służba, nie służyła z dyskrecji, a ponadto wszyscy mieszkali w pobliżu lub mieli krewnych w wiosce czy na okolicznych farmach. Lokaj i kilku ogrodników nierzadko zaglądało w wolnym czasie do szynku. Pani Croft, gospodyni we dworze, przyjaźniła się z pastorem. Wiadomości o ludziach, którymi cała wieś bezustannie się

interesowała, rozchodziły się szybko i nic nie pozostawało tajemnicą.

Niestety, nowinki od plotek dzieliła niemal nieuchwytna granica.

Bert Weller, po czwartym tego wieczoru kuflu piwa ale, wypitym w gospodzie opowiedział, że tegoż ranka, bardzo wczesną porą, pani Winters spacerowała z psem po parku dworskim. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, bo pani Winters zawsze wstawała wcześniej i często brała psa na przechadzkę tuż po pianiu kogutów. Chodziła też do parku, jak wszyscy. Pan Adams na to zezwolił, choć

mieszkańcy wioski nie byli pewni czy jego żona w pełni aprobuje fakt, że ośmielają się korzystać z pozwolenia.

Dziwiło co innego, choć może wcale nie powinno, stwierdził Bert. Otóż

wicehrabia Rawleigh też był wtedy w lasu, całkiem blisko, stał na mostku i wpatrywał się w wodę, a nieopodal pasł się jego koń. Wyglądało na to, że pani Winters nadchodziła właśnie stamtąd.

Może spotkali się przy strumieniu i wymienili powitania, ktoś poddał myśl.

Może spotkali się tam i wymienili nie tylko powitania, dał do zrozumienia Percy Lambton z szerokim uśmiechem i rozejrzał się po szynku, szukając aprobaty.

Nie doczekał się jej. Inna sprawa mówić o niezbitych faktach czy nawet paru rzeczy się domyślić, zupełnie inna zaś - rozpuszczać złośliwe plotki. Jego lordowska mość to brat pana Adamsa - brat bliźniak w dodatku - a pani Winters jest szanowaną mieszkanką ich własnej wioski, nawet jeśli nie wiadomo dokładnie, skąd przyjechała, ani jak wyglądało jej życie przed sprowadzeniem się

do Bodley-on-the-Water.

Może natknęli się na siebie przypadkiem i chwilę razem spacerowali? Musiano ich sobie

przedstawić, kiedy pani Winters była we dworze.

Ktoś zauważył, że tworzą ładną parę.

Och, to przecież wicehrabia, napomknęli inni. Wprawdzie pani Winters to prawie na pewno dama, ale dzieli ich zbyt duża różnica w pozycji towarzyskiej.

- Może to w ogóle nie dama, tylko była pokojówka, która umie naśladować

57

manierę lepszych od siebie - zauważył Percy Lambton.

Kiedy pani Hardwick ponownie napełniła kufle, rozmowa zboczyła na inne tory.

Mimo to słowo się już rozeszło, a u słuchaczy wywołało zaciekawienie, choć

prawie zupełnie pozbawione złośliwości. Zaciekawienie dostateczne, by ze wzmożoną uwagą wypatrywać jakichś oznak sympatii, łączącej tak ważną

osobistość jak wicehrabia Rawleigh i ich sąsiadkę. Przed dniem balu wydarzyły się jeszcze trzy rzeczy. Drobiazgi, naturalnie, ale dla ludzi mieszkających tak daleko od miejsc, w których działo się coś naprawdę ciekawego, nawet drobiazgi nabierały przesadnego znaczenia.

W niedzielny ranek wszyscy mieszkańcy dworu Bodley udali się do kościoła.

Catherine z rozbawieniem obserwowała ze swojego miejsca jak pani Adams, w całej swojej krasie prowadzi orszak przyjaciół do wyściełanej pierwszej ławki, którą zawsze zajmowała. Nie wszyscy zdołali się tam zmieścić - część musiała usiąść na twardym, wypolerowanym drewnie dalszych siedzeń.

Poprzedniego dnia wielebny Lovering i jego żona znów zostali zaproszeni do dworu na obiad. Catherine pominięto. Gest ten był dość wymowny, bo przecież

pani Adams nadal brakowało jednej damy do pary. Wyraźnie chciała ukarać panią

Winters za tupet, jaki wykazała, przebywając sam na sam z lordem Rawleighem w pokoju muzycznym. Nie stało się wprawdzie nic zdrożnego, ale pani Adams życzyła sobie, żeby Rawleigh zwracał niepodzielną uwagę na jej siostrę.

Wszystkie inne niezamężne kobiety pomiędzy osiemnastym a czterdziestym rokiem życia traktowała jako oczywiste zagrożenie.

Julie wślizgnęła się w kościele na miejsce obok Catherine, jak to czasem robiła, i uśmiechnęła się do niej konspiracyjnie. Pani Adams nie rozglądała się za córką.

Pewnie zakładała, że dziecko jest z kimś z gości. Nauczycielka puściła oko do małej.

Została zaproszona na piątek, lecz to jej nie zaskoczyło. Niełatwo na wsi o tak liczne towarzyskie

spotkanie, by można je nazwać balem. Każdy zaproszony zwiększał sukces przedsięwzięcia.

Catherine nie przeszkadzało, że jest u pani Adams na indeksie. Przez ostatnie trzy dni nawet się cieszyła, że nie musi oglądać wicehrabiego Rawleigha. Spojrzała teraz na niego. Siedział na miękkiej ławce obok panny Hudson, oddalony o dwa miejsca od brata. Boże, ależ byli podobni. Wydało jej się czymś niezwykłym, że taki przystojny brunet istnieje w dwóch jednakowych egzemplarzach.

Ten pocałunek! Przecież to tylko zetknięcie dwojga ust, nic więcej w tym nie było.

A jednak czuła się potem ogromnie wytrącona z równowagi. Przez trzy dni ciągle go wspominała i każdej nocy o nim śniła.

58

Nie o sam pocałunek chodziło - bardziej męczył ją fakt, że wcale się nie wzbraniała. Wiedziała, że on to zrobi. Musiałaby być idiotką, żeby nie wiedzieć.

Powietrze na mostku aż wibrowało od emocji. Mogła przerwać ten czar, mogła coś powiedzieć, poruszyć się, choćby iść dalej w swoją stronę. Tymczasem nie zrobiła nic.

No dobrze, dała się pocałować. Dotknął jej warg rozchylonymi ustami. Bała się

przyznać, ale poczuwszy jego usta na swoich, nie zachowała się biernie, lecz oddała pocałunek. Próbowала sobie wmawiać, że wina leży wyłącznie po jego stronie, że incydent naprawdę był jej niemiły. A wcześniej zapewniał ją, że tak rano nie zajmuje się uwodzeniem kobiet!

Kradziony pocałunek, też coś. Oboje w nim brali udział. Była przynajmniej w połowie odpowiedzialna za to, co się stało. Nie zaprotestowała, bo - no cóż, po prostu tego chciała. Czysta ciekawość. Och, nieprawda. Była przede wszystkim spragniona, i tyle.

Ale jak ma teraz utrzymać pozę urażonej niewinności, którą przyjęła podczas jego wizyty i potem, w trakcie rozmowy w pokoju muzycznym? Okazałaby się

hipokrytką. Nie chce mieć z nim już nic do czynienia! Powinna być poza zasięgiem podobnych niedorzeczności.

Odwieczny urok niebezpiecznego mężczyzny, myślała z cichym westchnieniem, patrząc uparcie w swój modlitewnik i skłaniając ucho w stronę Julie, która coś do niej szeptała. Mała opowiadała o wczorajszej przejażdżce ze stryjem Reksem -

pogonił konia do galopu, kiedy go o to poprosiła, a potem mama na niego nakrzyczała i powiedziała, że i mała nie dostała ataku nerwowego, a tata się śmiał

i tłumaczył jej, że stryj Rex był najlepszym jeźdźcem brytyjskiej kawalerii, a potem pan Gascoigne...

Teraz jednak zaczęły się modlitwy i Julie trzeba było uciszyć uśmiechem i mrugnięciem.

Catherine zamierzała wymknąć się z kościoła zaraz po zakończeniu nabożeństwa.

Nie chciała natknąć się na nikogo z Bodley House. Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Julie nie mogła powstrzymać się, by nie powiedzieć jej kolejnej historii. Z

podnieceniem relacjonowała, jak spędzili popołudnie w zamku Pinewood. Lord Pelham zabrał ją na mury. Przestraszyła się, a stryj Rex zaprowadził ją na dół

wieży, i znów się przestraszyła, chociaż nie była to właściwie wieża, tylko okratowana brama przy moście nad fosą, a stryj Rex powiedział, że tylko romantycy wierzą, że na dole są lochy. Tak naprawdę mieścił się tam kiedyś skład towarów dostarczanych rzeką do zamku.

Zanim opowieść dobiegła końca wszyscy ruszyli do drzwi i przechodząc, mieli okazję przyjrzeć się Catherine, ponieważ Julie siedziała obok i paplała jak najęta.

59

Już po moim cichym zniknięciu, pomyślała gorzko.

Julie wybiegła przodem, a Catherine postanowiła, że jednak spróbuje wymknąć się

bokiem. Niestety, cała chyba kongregacja zebrała się na kościelnej alejce i na trawniku okalającym cmentarz. Wielebny Lovering nie ruszał się ze schodów kościoła. Zatrzymał jej dłoń w uścisku

i pochwalił za wystrój ołtarza z kompozycji krokusów i pierwiosnków.

- Powinniśmy dziękować Panu za kwiaty, nawet te pierwsze, nieśmiałe pąki, którymi zdobimy nasz skromny ołtarz dla oczu szacownych gości Bodley House -

powiedział. - Potraktuję obecność tych wytwornych osób jako dowód szacunku dla stanu duchownego, pani Winters. Pokora zabrania mi wszak brać to do samego siebie, ale wszyscy państwo z dworu, nawet wicehrabia, zaszczytili nas dzisiaj.

- Tak, to prawda - odparła Catherine.

Potem lady Baird podeszła do niej z powitaniem, prowadząc ze sobą męża i pana Liptona. Spoza nich wyróżnił się lord Rawleigh. Ukłonił się lekko i wpatrywał się

w nią uporczywie. Nie bez podstaw, bardzo się obawiała, że się rumieni.

Desperacko próbowała nie myśleć o ich ostatnim spotkaniu.

Tamten pocałunek!

Rozmawiała z ożywieniem z lady Baird, sir Claytonem i panią Lip-ton. I odeszła tak szybko, jak tylko pozwalała grzeczność.

- Pani Winters... - zabrzmiał wyniosły i dość niedbały głos. - Jeśli można, odprowadzę panią do domu.

Przez niemal całą długość jedynej ulicy Bodley. Zaczynała się od mostu, wiodła obok domu pani Downes, potem plebani i kościoła, wreszcie wśród pozostałych zabudowań aż do krytego strzechą domku Catherine na przeciwległym skraju wsi.

A wszyscy mieszkańcy, połowa okolicy, państwo Adams i goście z Bodley House wciąż stali na dziedzińcu przed kościołem.

W propozycji wicehrabiego nie kryło się nic niestosownego. Na każdym kroku tej przechadzki będą na widoku. Nie pierwszy raz zostanie odprowadzona z kościoła do domu, ale gdyby zaproponował to ktoś inny, nie czułaby przynajmniej tego okropnego zażenowania i skrępowania. Nie mogła mu odmówić, choć

podszepetywał jej to instynkt. Wolała nie wywoływać dodatkowych komentarzy.

- Dziękuję - powiedziała.

Ruszyła alejką i wyszła na ulicę o krok przed nim.

Bała się, żeby nie podał jej ramienia. Tego nie zrobił. Czemu u licha nie zostawi jej w spokoju? Czy nie rozumie że ona nie chce mieć z nim więcej do czynienia?

Lecz skąd miał wiedzieć? W czasie ostatniego spotkania pozwoliła mu się

pocałować... Bardzo się zmieszała. Wydawało jej się, że oczy uczestników porannego nabożeństwa wlepione są w ich plecy, a każdy domyśla się, co zaszło 60

wczoraj w parku.

Boże, myślała po raz setny, chyba nie pozwoliłeś, żeby Bert Weller zauważył lorda Rawleigha po tym, jak ją zobaczył w pobliżu owego miejsca wśród drzew.

- Pani Winters, wydaje mi się, że oddałem pani niedźwiedzią przysługę.

Tylko jedną? O której mówi?

- Nie było pani u nas na wczorajszym obiedzie ani na wieczornych tańcach w salonie, chociaż nierówna liczba pań i panów ciągle nie daje Clarissie spokoju.

Wypadła pani z jej łask i sędzę, że to z mojej winy. Mam na myśli incydent w pokoju muzycznym.

- Nic się nie stało. Tyle że kiepsko zagrałam Mozarta, a pan mi powiedział, że się nad czymś zastanawia.

- W odpowiedzi dała mi pani niezłą reprimendę - nie zdążyłem na nią nawet odpowiedzieć. Clarissa, oczywiście, rozzłościła się, zastając nas razem. Jest pani o wiele za piękna i to mąci jej spokój.

To niemądre, ale komplement sprawił jej przyjemność.

- Może spać spokojnie - odparła. - Jeśli chodzi o mnie, czy zajmie się pan Ellen Hudson, czy jakąkolwiek inną wybraną przez panią Adams damą, to nie ma znaczenia.

- Moja wola się nie liczy? - Westchnął głośno. - Potrafi pani mocno zachwiać

męską pewnością siebie. Dlaczego pozwoliła się pani pocałować?

- Ja nie... - zaczęła i urwała nagle.

- Dobrze, że nie kończy pani zdania. Przed chwilą wyszliśmy z kościoła, a pani zamierzała wygłosić wierutne kłamstwo. Podtrzymuję pytanie.

- Jeżeli nawet pozwoliłam, od razu tego żałowałam i nadal żałuję.

- Po takich pocałunkach człowiekowi zaczyna doskwierać samotność, prawda?

Czy nie wraca pani myślami do tamtej chwili równie często jak ja? Dniem i...

nocą?

- Ani razu nie chciałam o tym myśleć - oburzyła się.

- W tym miejscu chyba nie mogę pani oskarżyć o kłamstwo - powiedział, patrząc na nią z ukosa. - Ja też, pani Winters, nie chciałem... Kilkanaście razy łapałem się

na tym, że nie chcę myśleć, choć to i tak chyba zaniżona liczba. Zadałem pani niedawno pewne pytanie. Odpowiedź się nie zmieniła?

Dotarli do domku Catherine. Otworzyła furtkę, weszła szybko do ogrodu i zamknęła ją za sobą stanowczo.

- Nie zwykłam zmieniać zdania, milordzie - powiedziała, piorunując go wzrokiem. Dlaczego mężczyźni uparcie wierzą, że jeden pocałunek oznacza pełną

gotowość do wielu następnych?

- Szkoda - powiedział, zaciskając usta. - Zaostrzyła mi pani apetyt, a nie znoszę

61

czuć głodu i nie móc się nasycić.

Ogarnął ją gniew. Z największą ochotą podeszłaby bliżej i wymierzyła mu policzek. Z wielką

satysfakcją patrzyłaby na czerwony ślad palców na tej przystojnej twarzy. Przed sprawieniem sobie tej przyjemności powstrzymała ją

obawa, że ktoś z ulicy mógłby łatwo dostrzec zajście. Nie uszłoby też uwagi sąsiadów, gdyby wzburzona obróciła się na pięcie i zawróciła raptownie do domu.

- Nie jestem smacznym kęsem, milordzie - odparła - i nie mam zamiaru zaspokajać pańskich apetytów. Żegnam.

Zawróciła powoli i z godnością, tak by ci, którzy ewentualnie przyglądali im się z ulicy byli ukontentowani, a potem weszła do domu. Za drzwiami już awanturował

się Toby.

Stojąc na progu, popełniła błąd, bo spojrzała za siebie i w ten sposób zepsuła cały efekt pożegnalnej sceny. Rawleigh stał przy furtce. Zaciskał wprawdzie usta, ale w oczach miał wyraz, który podejrzenie przypominał rozbawienie. Rawleigh śmieje się z niej, a ona sprawiła mu właśnie niemałą uciechę.

Zatrzasnęła za sobą frontowe drzwi i od razu tego pożałowała. Drzwiami trzaskają

osoby zdenerwowane. Trzeba było zachować lodowaty spokój, który zwykle ludziom imponuje.

- Och, Toby... - Przystanęła, by go podrapać po brzuszku. Pies natychmiast przestał gniewnie szczekać, za to mało nie oszalał z radości. - To najwstrętniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Nie dość, że niebezpieczny uwodziciel, to jeszcze uważa za doskonałą rozrywkę, gdy ofiara tańczy, jak jej zagra. Ja nie padnę ofiarą jego gierki, Toby. Będzie musiał prędko przyjąć to do wiadomości. Lepiej żeby zwrócił swe wysiłki ku bardziej chętniej osobie.

Całe nieszczęście wynikało jednak z tego, że podczas spaceru kilka razy spoglądała na jego usta. Zadrżała na myśl o dotyku tych ciepłych, wilgotnych, oszalamiających warg. Chciała poczuć je znowu.

- Nie - powiedziała stanowczo, idąc za psem do kuchni. - Nie wolno ci wskakiwać na fotel bujany.

Toby mościł się już na nim wygodnie.

- Istoty męskiego rodzaju! - powiedziała Catherine z niesmakiem, zajmując się

ogniem. - Wszyscy tacy sami! „Nie” nie istnieje w waszym języku. „Nie” znaczy dla was „tak”. Chciałabym - och, jak bym chciała, żeby dało się bez was żyć!

W imieniu wszelkich stworzeń płci męskiej Toby westchnął głęboko i popatrzył na nią z ukontentowaniem.

Wcale nie był przekonany czy „nie” w ustach Catherine Winters rzeczywiście znaczy „nie”. Podejrzewał, że to możliwe, ale stuprocentowej pewności nie miał.

Adorować ją dalej to czysta strata czasu, zdecydował, ale i tak nie miał w Bodley żadnego sensownego zajęcia. Towarzystwo Claude'a i Daphne sprawiało mu, jak zawsze, wiele przyjemności, no i miło spędzał czas z przyjaciółmi. Kiedy rozmowy w salonie stawały się nieznośnie nudne, zawsze mogli gdzieś się razem zaszyć, a pogawędki, które wtedy ucinali, przynajmniej wymagały minimum in-teligencji.

Potrzebował jednak odmiany.

Właściwie przestał już liczyć na romans z Catherine Winters. Wielka szkoda -

miał na to wielką ochotę. Ale nawet gdyby miało mu się nie powieść - choć nie był do końca przekonany, że sprawa jest przegrana - to i tak mógł mieć z tego rozrywkę: rozmowy, przekomarzenie się, prowokowanie jej, doprowadzanie do szału, a wreszcie samo patrzenie na nią.

Musiał naturalnie uważać, by jej przypadkiem nie skompromitować. Claude miał

swoje domysły, Clarissa swoje, Nat i Eden aż kipieli od podejrzeń. Zachowałyby się nie w porządku, gdyby znów próbował znaleźć się z nią sam na sam i ryzykował, że zostaną przyłapani - przecież omal nie nakrył ich ten ogrodnik. A Clarissa przestała zapraszać ją do Bodley House.

Problem wymagał rozwiązania.

Teraz jednak wybrali się na długi konny spacer. Jak zwykle, usłużnie asystował

pannie Hudson, choć na drogę powrotną przekazał ją Natowi, bo zauważył, że w jego towarzystwie dziewczyna czuje się znacznie lepiej. Zachmurzyło się i ochłodziło. Clarissa zarządziła, że popołudnie spędzą w domu.

Nic nie stało zatem na przeszkodzie, by zaproponował Daphne i Claytonowi przechadzkę. Powszechnie znano spartańskie zwyczaje państwa Baird, którzy zażywali ruchu na świeżym powietrzu niezależnie od pogody. Oboje wyraźnie się

rozchmurzyli. Na szczęście nikt oprócz nich nie miał ochoty wychodzić. Kiedy rażno wymaszerowali, nietrudno przyszło skierować ich przez park do tylnej furtki, o której istnieniu Daphne zapomniała, a Clayton w ogóle nie wiedział, i zaproponować trasę przez wioskę, potem bocznymi alejkami i powrót do parku inną bramą - tą, którą wszedł między drzewa, szukając Catherine kilka dni wcześniej.

Oczywiście, kiedy już przeszli przez furtkę, łatwo było zauważyć, jak niedaleko stąd do domku pani Winters i zasugerować, że mogłaby mieć ochotę przejść się

kawałek z nimi. Mimo wszystko, zaznaczył Rawleigh, Clayton ma damę u boku, a on musi iść sam.

- Biedny Rex - zaśmiała się Daphne. - Potrzeba ci żony.

Tylko tego brakowało. Lecz jego plan się powiódł. Catherine była w domu -

widocznie tego popołudnia nie zamierzała poświęcać na dobre uczynki. Daphne 63

zaś, złote serce, wzięła na siebie przekonanie pani Winters, żeby dołączyła do nich i tak mówiła o tym pomysle, jakby wyszedł od niej.

- No cóż - powiedziała Catherine, wyglądająca prześlicznie w jednej ze swoich gładkich, wełnianych sukien, okrytej dużym białym fartuchem, i w koronkowym czepeczku na złotych włosach.
- Dopiero skończyłam pieczenie. Proszę wybaczyć

mój wygląd.

Och, zawsze. W każdej chwili.

- Świeże powietrze dobrze mi robi. A Tobie od rana nie wychodził. Nie będzie państwu przeszkadzało, że go ze sobą wezmę?

- Jest przemiły - odparła Daphne, pochylając się i głaszcząc psa. Gdy tylko przekroczyli próg domku, pies przestał szczekać i zaczął

się domagać drapania po brzuchu.

Kilka minut później pani Winters zdjęła fartuch i czepeczek, włożyła płaszcz i kapelusz, a ostrożne manewry wicehrabiego przyniosły taki rezultat, że znalazł się

u jej boku - trudno było odsunąć się, skoro Daphne przyjęła ramię męża. Szli więc przez wioskę całą grupą, kłaniając się na lewo i prawo jej mieszkańcom, gawędząc razem, dopóki nie przekroczyli mostu i nie znaleźli się w bardziej odludnej okolicy. Wtedy powoli, niemal niedostrzegalnie, zaczął zwalniać kroku, aż zostali tak daleko w tyle za Daphne i Claytonem, że należało podjąć własną rozmowę.

- Przepraszam, jeżeli nie miała pani ochoty na moje towarzystwo - powiedział, na moment nakrywając jej dłoń swoją. - Siostra, mimo moich protestów, zaciągnęła mnie pod pani drzwi. Bardzo panią polubiła.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Nie widzieliśmy się już dwa dni i trzy godziny - dodał. - Proszę mi powiedzieć, że pani za mną tęskniła.

Parsknęła ironicznie i nie odrzekła ani słowa.

- Tak. - Pokiwał głową. - Ja też tęskniłem. Czy pani karnet na piątkowy bal jest wypełniony?

- Och, świetnie się pan bawi - odparła gniewnie. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Zamawiam dwa tańce - powiedział. - Proszę o pierwszego walca. Zmuszę

Clarissę, żeby włączyła kilka tych tańców do programu. I jeszcze wszystkie tańce przed kolacją. Zarezerwuj je pani dla mnie?

- Wydaje mi się, że te akurat chwile powinien pan poświęcić jakiejś szczególnie ważnej damie - odparła.

- No właśnie - potwierdził. - Tak więc mamy sprawę załatwioną.

- Miałam na myśli pannę Hudson - wyjaśniła.

Kiedy weszli za Daphne i Claytonem do parku, natychmiast zobaczył, że ona poznaje drogę, którą szli razem przed paroma dniami. Umyślnie zamilkł, by nie

odciągać uwagi ich obojga od tego wspomnienia.

Siostra i szwagier zatrzymali się na mostku.

- Rex, pamiętasz jak bawiliśmy się na tej balustradzie i balansowaliśmy na niej, przechodząc z jednej strony strumienia na drugą? - Daphne obejrzała się na brata.

- To cud, że żadne z nas nie skręciło karku.

- Tak - odparł. - Mam wiele wspomnień związanych z tym miejscem, Daphne.

Większość przyjemnych.

Poczuł, jak dłoń spoczywająca na jego ramieniu sztywnieje.

- Pani Winters, proszę z nami wstąpić do dworu na herbatę - powiedziała Daphne z uśmiechem. - Clarissa na pewno się ucieszy. Zawsze narzeka, że nie ma z nami jeszcze jednej damy.

- Niestety, nie mogę - odparła szybko Catherine. - Jest ze mną Toby. I muszę

niedługo być w domu. W każdym razie, dziękuję.

- Miło nam się spacerowało - powiedziała Daphne ze śmiechem. - Widzi pani, Rex dzisiaj jest tym dżentelmenem bez pary i skarżył się, że nie ma towarzystwa na przechadzce.

Kiedy doszli do głównego podjazdu, postanowił wprowadzić w życie ostatnią część swojego planu. Byli przecież niedaleko wioski.

- Daphne, wracajcie z Claytonem do domu - powiedział. - Ja odprowadzę panią

Winters.

- Och, naturalnie... - powiedziała Daphne, przenosząc wzrok z niego na Catherine.

Zobaczył, jak w oczach siostry pojawia się jakiś błysk. - Pani Winters, proszę nam wybaczyć. Bardzo dziękujemy za miłe towarzystwo. Toby'emu też jesteśmy wdzięczni. Co za uroczy psiak.

- Do zobaczenia, pani Winters. - Clayton dotknął róna kapelusza.

- Będę się zachowywał przyzwoicie - zapewnił wicehrabia, kiedy zawrócili. -

Doprowadzę panią do ścieżki jej ogrodu, ale nie do zguby. Pójdziemy prosto do wsi. Nawet nie będę proponować, żebyśmy przeszli parkiem do tylnej furtki. Boję

się, że dzisiaj naprawdę dostałbym w twarz. W niedzielę o mało nie dostałem, prawda?

- Niewiele brakowało - odparła. - Wciąż żałuję, że się bałam wywołać

zbiegowisko.

Kilka osób dostrzegło, jak prowadzi ją z szacunkiem od strony podjazdu Bodley House ulicą wioski aż do domu.

- Niestety - powiedział, kiedy stali po przeciwnych stronach furtki. - Lepiej nie prosić mnie na herbatę, nawet jeśli pani bardzo tego pragnie. Nie byłoby to właściwe, a jesteśmy obserwowani.

Spojrzała na niego wymownie, a on umyślnie spuścił wzrok i wpatrzył się w jej 65

usta.

- Z tego samego powodu lepiej będzie, jeśli nie pocałuje mnie pani na pożegnanie. Może innym razem.

- Prędeż piekło zamarnie - odpaliła. Westchnął lekko.

- Ależ, droga pani! Przyzwyczailem się, że używa pani bardziej wyszukanych wyrażeń. To okrutnie wyświechtane powiedzenie!

- Żegnam pana, milordzie - odparła sucho i odwróciła się, zmierzając ogrodową

ścieżką do wejścia. Toby pobiegł przodem. Tym razem nie trzasnęła drzwiami.

Ach, pomyślał Rawleigh, gdybym tylko mógł... Wciąż nie był pewien, czy to zupełnie wykluczone. Zresztą same słowne utarczki z tą kobietą dawały mu więcej przyjemności, niż cały czas spędzany z Ellen Hudson.

Wywalczę od niej dwa tańce w piątkowy wieczór, pomyślał. Nawet jeśli ona w tej chwili sądzi, że prędeż piekło zamarnie, niż wyrazi zgodę.

No cóż, kiedy piekło zamarźnie, trzeba się będzie całować dla zachowania ciepła.

Bardzo się pocieszył tym wielce przekonującym rozumowaniem.

8

Catherine najpierw czytała panu Clarkwellowi książkę, potem siedziała i słuchała jego wspomnień z młodości, które snuł już przedtem kilkakrotnie.

- Naprawdę, nie musi mu pani tak dogadzać - powiedziała pani Clarkwell niecierpliwie i chyba z pewnym wstydem. - Na starość stał się okropnym nudziarzem.

- Lubię jego historie - odparła Catherine, zadowolona, że pan Clarkwell nie słyszy tej wymiany zdań.
- Jest taki szczęśliwy, kiedy opowiada o przeszłości.

- Tak, wiem. - Synowa pana Clarkwella wzniosła oczy do nieba. - A czasy się

zmieniły. Bóg jeden wie, co się stało z tym światem.

Catherine zebrała się do wyjścia. Teraz miała odwiedzić panią Downes, która czuła się fatalnie i w niedzielę nie mogła pójść do kościoła. Przy okazji porozmawia z jej córką. Ze względu na stan zdrowia matki nie wychodziła teraz z domu tak często, jak by chciała, a zawsze należała do osób towarzyskich.

To popołudnie miało przynieść paniom Downes dość wrażeń, by ich starczyło co najmniej na tydzień. Catherine spędziła u nich zaledwie lady Baird w towarzystwie wicehrabiego Rawleigh.

Panna Downes, podekscytowana i zabiegana, udała się do kuchni przygotować zastawę.

- Co za niezwykle zaszczyt, pani Winters - po drodze cicho szepnęła Catherine. -

Oczywiście przyszli zobaczyć kochaną mamę. Nie powinnam puszyć się z dumy i 66 wyobrazać sobie zbyt wiele.

Podczas herbaty pani Downes, obdarzona niskim, niemal męskim głosem, miała mnóstwo do powiedzenia. Lady Baird trąkotała za dwie osoby, panna Downes nie mogła usiedzieć bez ruchu, lord Rawleigh starał się wypaść korzystnie, a Catherine siedziała niemal bez słowa.

Od razu zorientowała się, że te cztery osoby znają się od dawna. Kiedy wicehrabia z rodzeństwem odwiedzali dziadków w Bodley House, pani i panna Downes mieszkały z wielebny Downesem na plebani. Pani Downes wspominała z sympatią dwoje wesołych, niesfornych dzieci, które pod byle pretekstem wpadały do pastorstwa i chętnie próbowały jej ciastek z porzeczkami.

- Upiekłabym je, milady - tłumaczyła panna Downes - gdybym tylko wiedziała, że pani dziś do nas

zajrzy. I dla pana, milordzie, oczywiście też. Nie chcę przez to powiedzieć, że niezapowiedziana wizyta państwa jest nam niemiła. To wielki zaszczyt. Zaledwie parę minut temu mówiłam to pani Winters. Gdybym wiedziała...

- Ale nie wiedziałaś, Agato - ucięła niecierpliwie pani Downes. - Nalej jeszcze herbaty lady Baird.

Córka posłusznie umilkła.

Catherine pierwsza podniosła się do wyjścia.

- Muszę wracać - powiedziała, uśmiechając się do pani Downes - ale zostawiam panią w miłym towarzystwie.

- Och, proszę jeszcze nie wychodzić - zaprotestowała lady Baird. - Chcieliśmy złożyć w wiosce dwie wizyty, prawda Rex? Mieliśmy najpierw zajrzeć do pań

Downes, a potem do pani. Spotkaliśmy się wszyscy tutaj, co prawda, muszę

jednak szczerze przyznać, że szukam pretekstu, by obejrzeć wnętrze pani czarującego domku. Czy można? Zaczeka pani jeszcze dziesięć minut?

Kierowana nieokreślonym impulsem Catherine popatrzyła na wicehrabiego, nie na lady Baird. Czy to jego pomysł? Spoglądał na siostrę z uniesionymi brwiami.

Potem obrócił się do Catherine. Miał rozbawioną i nieco zaskoczoną minę... Jakby pierwszy raz słyszał o projekcie tych odwiedzin.

- Proszę się zgodzić - powiedział. - Prawdę mówiąc, zżera mnie ta sama ciekawość co siostrę.

Nicpoń! Catherine doskonale pamiętała, jak siedząc w jej własnej kuchni, proponował, żeby zaradzili nudzie i zostali kochankami.

Usiadła z powrotem.

Kwadrans później mieszkańcy wioski Bodley-on-the-Water ponownie zobaczyli dwójkę gości z Bodley House, którzy przemaszerowali przez całą ulicę w towarzystwie pani Winters. Wicehrabia Rawleigh szedł pomiędzy dwiema 67

damami. U końca uliczki przeszli przez furtkę i zniknęli we wnętrzu domu pani Winters.

- Kochany zwierzak - powiedziała lady Baird, kiedy Toby roszczękał się na powitanie. Delikatnie pociągnęła go za ucho. - Wracając do domu, ukradnę cię, Toby.

- Wejdą państwo do saloniku? - spytała Catherine. Widok wysokiej i męskiej sylwetki Rawleigha w wąskim korytarzu niemal ją przytłaczał. - Ja wstawię wodę

na herbatę.

- Jeszcze jedna filiżanka? - roześmiała się lady Baird, a Toby polizał jej rękę. -

Lepiej nie, pani Winters. Po następnej zamienimy się w wodolubne żaby, prawda Rex? Jak tu przytulnie! - Obejrzała salonik, ale nie weszła do środka. - Mogłabym żyć szczęśliwie w takim domku z moim miłym Claytonem, oczywiście.

- Bez służby, Daphne? - spytał lord Rawleigh sucho. - W miesiąc zagłodziłabyś się na śmierć.

Lady Baird wybuchnęła śmiechem.

- Rzeczywiście z okien widać rzekę - zauważyła. - Pani Lovering powiedziała nam, że jest tu śliczny ogród. Możemy go zobaczyć?

O tej porze roku ogród nie mógł nikogo zachwycić, chociaż drzewa owocowe pokrywały się liśćmi, a trawa zieleńca jeszcze świeższą barwą niż przed tygodniem. Przy rzece kępami rosły prymulki. Klomby kwiatowe w pobliżu domu były jednak wciąż prawie nagie, grządki warzywne zupełnie pozbawione zieleni, a krzewy róż, które pięły się po ścianach po obu stronach domu, miały zakwitnąć

dopiero za kilka miesięcy. Mimo wszystko Catherine uważała, że to najpiękniejsze miejsce na świecie.

- Ach, tak - powiedziała lady Baird po wyjściu na zewnątrz. - Mały rajski ogród, pełen piękna i ciszy. A za rzeką łąki i wzgórza. Pójdę z To-byem nad brzeg i obejrzę

krajobraz. Nie musicie mi towarzyszyć.

Odeszła w głąb ogrodu, nie oglądając się za siebie.

Catherine została na stopniach małego tarasu z lordem Rawleighem. Spojrzała na oddalającą się Daphne z niejakim zdziwieniem. Jej ogród nie był rozległy i z nad brzozi rzeki widok niewiele się zmieniał.

- Wydaje mi się - rzekł wicehrabia niedbałym tonem - że moja siostra robi dokładnie to, co należy do obowiązków dobrej przyzwoitki. Dostarcza nam alibi, a jednocześnie zostawia samym sobie.

- Alibi? - Catherine zeszywniała. - Pan tę sytuację zaaranżował, milordzie? Lady Baird zgodziła się uczestniczyć w spisku? Może jeszcze da nam dość czasu na wizytę w sypialni na piętrze?

- Dobry Boże, nie - odparł. - Wielka szkoda zresztą. Daphne jest wzorem

przykładnego zachowania, droga pani. Ale to wszystko jej pomysł, przysięgam.

Nie poprosiła o moją opinię. Chyba sobie wyobraziła, że ja... hm... jestem panią

zainteresowany.

I popiera to?, myślała Catherine. Popiera awanse brata wobec kobiety niewiadomego pochodzenia, która mieszka samotnie w skromnym wiejskim domku nawet bez jednej służącej?

- A czy nie byłaby mocno zdziwiona, poznając prawdziwą naturę pańskiego zainteresowania, milordzie?

- O, jestem pewny, że uderzyłyby na nią siódme poty, gdyby nie to, że Daphne ma nerwy ze stali. Jest w tym nieco podobna do pani.

- Toby ubłoci sobie łapy i straci humor, kiedy trzeba będzie mu je wytrzeć przed wpuszczeniem do środka - zmieniła temat.

- Pani terier potrzebuje twardej ręki. Pozwala mu pani wchodzić sobie na głowę.

Jeśli nawet psa tak pani rozpieściła, strach pomyśleć, jak poradziłaby sobie pani z dzieckiem.

Ogarnęła ją furia.

- Jak traktuję mojego psa, milordzie, to zupełnie nie pańska sprawa. - A jeśli chodzi o to drugie... Jak pan śmie wyrażać jakiegokolwiek opinie o moim instynkcie macierzyńskim? Ja...

Dotknął dłonią jej ramienia i przysunął się o krok.

- Trafiłem w czuły punkt - stwierdził. - Przepraszam panią. Nie może pani mieć dzieci?

Zaszokowana, patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

- Och, dosyć tego - powiedział. - Żałuję, że pierwszego dnia pomyliła mnie pani z bratem. Żałuję też, że pani. uśmiechy nie znaczyły tego, czego bym pragnął. Pani mnie wytrąca z równowagi.

- To się chyba nazywa frustracja - powiedziała, powstrzymując się przed użyciem słów „erotyczne żądze”. Nie była aż tak źle wychowana, nawet w uzasadnionym gniewie.

- Pewnie ma pani rację. - Wpatrywał się w jej twarz. - Nasza przyzwoitka dała nam raptem ile? Pięć minut? Uznała, że to powinno wystarczyć.

Lady Baird wracała do nich trawnikiem. Toby podskakiwał u jej boku, jakby odnalazł swego najlepszego przyjaciela.

- Clarissa zgodziła się dodać kilka walców do programu balu - powiedział. -

Spodziewam się otrzymać tańce, które mi pani obiecała. Jeśli interesują panią

postępy moich zalotów, wyjaśniam, że zarezerwowałem u panny Hudson taniec otwierający bal i zostałem wmanewrowany w kolejny zestaw, po kolacji.

Jego słowa były nonszalanckie, a ton głosu wyniosły. Catherine nie przypominała 69

sobie, żeby mu coś przyrzekła. Tańczyć z nim walca. Na samą myśl nogi się pod nią ugięły i poczuła się tak, jakby w ogrodzie zabrakło powietrza.

- Urocze - powiedziała, zbliżywszy się, lady Baird. Popatrzyła na nich na przemian, ale nie wyjaśniła, co takiego ją zachwyciło. - Pani Winters, zabraliśmy pani już zbyt dużo czasu. Musimy iść, prawdaż, Rex? Obiecałam Claytonowi, że wrócimy za godzinę. Będzie pani na balu? Tak bym chciała tam panią zobaczyć.

Catherine uśmiechnęła się.

Odprowadziła ich do furtki i uniosła rękę na pożegnanie, kiedy odchodzili ulicą.

Tak, ona też już nie mogła doczekać się balu. Miała do siebie o to pretensje.

Powinna była odrzucić zaproszenie. Nawet jeszcze teraz mogła się wymówić. Ale, o Boże, znów tańczyć! Znów poczuć się młoda! Zatańczyć z nim.

Nie zdobędzie się na rezygnację z balu.

Zamknąwszy drzwi, stała przez chwilę nieruchomo z zamkniętymi oczyma.

„Strach pomyśleć, jak poradziłaby pani sobie z dzieckiem”.

Jęknęła z cichą rozpaczą. Pamiętała, co czuła, gdy w jej ramionach spoczywało dziecko, maleńki, przedwcześnie urodzony chłopczyk. Och, jak krótkie to były chwile. Po narodzinach żył zaledwie trzy godziny, a przez pierwszą z nich Catherine była zbyt umęczona, żeby go wziąć na ręce.

Czyniła sobie później gorzkie wyrzuty. Obwiniła się za wszystko. Początkowo przecież nie chciała dziecka. Nie dbała o nie, nie znalazła w sobie dość energii czy siły woli, żeby się dobrze odżywiać. I bardzo dużo płakała. W tamtych dniach bezustannie użalała się nad sobą. Akuszerka powiedziała jej zbyt późno, jak wiele zależy od dobrego nastroju matki. A później... Może owinęła go zbyt ciepło, a może właśnie zmarł... Może trzymała go za mocno, a może za słabo. Gdyby choć

mogła wziąć go w ramiona przez tę pierwszą godzinę.

Dziecko umarło.

„Strach pomyśleć, jak poradziłaby pani sobie z dzieckiem”.

Zakryła twarz dłońmi. Choć od paru lat zdarzało jej się to coraz rzadziej, znów się rozpłakała.

Toby trącał nosem jej stopę i popiskiwał żałośnie.

Pani Adams włożyła bardzo dużo wysiłku w przygotowania do obiadu i balu w Bodley House. O wiele trudniej urządzić bal na wsi niż w mieście. W mieście rozsyłało się zaproszenia do wszystkich ludzi z towarzystwa i miało się nadzieję, że na przyjęciu pojawi się wystarczająca liczba gości, by można je było uznać za sukces. I zawsze dużo osób się zjawiało. Claude był przecież bratem i spadkobiercą wicehrabiego Rawleigh. Na wsi zaś musiała wysyłać zaproszenia do niemal wszystkich z okolicy, wyjąwszy wieścian, i pocieszać się nadzieją, że 70

przyjedzie tyle osób, by przyjęcia nie nazwano porażką.

Wczesna wiosna to nie najlepsza pora na obiad połączony z bale. W ogrodach nie było dość kwiatów, a w cieplarniach też kryzys. Główny ogrodnik wyraźnie zmarkotniał, usłyszawszy polecenia - miał przyspieszyć kwitnienie roślin, by móc zapewnić kwietny wystrój pomieszczeń.

W dniu przyjęcia, późnym popołudniem, sala balowa i jadalnia wyglądały jednak wystarczająco odświeżenie, by zaspokoić najwybredniejsze gusta. Przyjechała orkiestra i rozstawiła swoje instrumenty. Dodatkowo wynajęta służba panowała na sytuacją, przygotowując w kuchni obiad i kolację.

We wszystkim innym trzeba było zdać się na opatrność. Po czwartkowych ulewnych deszczach i piątkowej porannej mżawce przynajmniej nareszcie przestało padać.

Clarissa siedziała w gotowalni, a pokojówka kończyła toaletę swojej pani, zapinając brylantowy naszyjnik na jej szyi i kolczyki w uszach. Przyjrzała się z satysfakcją swojemu odbiciu i odesłała służącą w chwili, gdy mąż wszedł przez drzwi łączące ich apartamenty.

- Cudownie wyglądasz - powiedział, stając za nią i położył dłonie na obnażonych ramionach żony. - Z każdym rokiem piękniejesz, Clarisso. Zdenerwowana? -

Pomasował napięte mięśnie jej barków.

- Nie - odparła stanowczo. - Na obiedzie będzie czterdzieści osób. To pewne.

Drugie tyle zaprosiłam na bal. Przyjadą, oczywiście. Zaproszenie do Bodley House to zaszczyt.

Uśmiechnął się do jej odbicia.

- Tak trzymać - powiedział. - Jesteś taka apetyczna, że chętnie bym cię zjadł.

Pewnie nie pozwolisz mi uszczknąć paru kęsów przed kolacją? - Pochylił głowę i lekko pocałował ją w kark.

- Żałuję tylko - dodała - że nie miałam jakiejś stosownej wymówki, by nie zapraszać pani Winters.

Podniósł głowę i spojrzał na żonę uważnie.

- Pani Winters? - powiedział. - Czym cię obraziła, Clarisso? Oprócz tego, naturalnie, że to skończona piękność.

- Wynosi się ponad stan - odparła ostro. - Wyobraża sobie nie wiadomo co. Za wysoko sięga.

- Na pewno to nie wszystko, co masz jej do zarzucenia - powiedział cicho.

- Każdy widzi, że Rawleigh zainteresował się wreszcie Ellen - dodała. - To dla niej taka świetna partia. A pani Winters z nim flirtuje. Mówiłam ci, że w zeszłym tygodniu została z nim sam na sam w pokoju muzycznym. Wczoraj znów, kiedy pojechałam spytać o zdrowie pani Downes, jej córka wyszła do powozu.

71

Niechący się wygadała, że pani Winters była właśnie u nich, kiedy Daphne i Rawleigh wczoraj je wizytowali. Odprowadzili ją potem do domu i... weszli z nią

do środka!

- Jestem przekonany, moja droga - odparł sucho pan Adams - że w obecności mojej siostry nic niestosownego nie mogło się zdarzyć. Uważam wręcz, że wizyta u pani Winters to pomysł Daphne. Czy czasem nie ponosi cię wyobraźnia? Znasz moje zdanie o tych, pozal się Boże, zalotach Ellen i Reksa.

- Zaplanowałam dzisiejszy bal nie bez powodu - odparła. - Pomyślałam, Claude, że to idealna okazja do ogłoszenia zaręczyn. A przynajmniej niech wszyscy zobaczą, na co się zanoszą. Nie dam sobie tego zepsuć.

- Clarisso - powiedział bardziej stanowczo. - Rex to nie zabawka. Ani Ellen. Ani pani Winters. Jestem pewien, że wszyscy zachowają się dziś wieczorem, jak należy, ale więcej nie wolno nam oczekiwać. Nie możemy zmusić do zaręczyn niechętną temu parę. Nie możemy też zakazać Reksowi i pani Winters spojrzeń i rozmowy. Ani tańca, gdyby mieli na to ochotę.

Wstała i obróciła się do niego.

- Nie pozwolę - powiedziała. - Nie pozwolę, żeby ta kobieta uśmiechała się do niego, trzepotała rękami i próbowała przyciągać jego uwagę. Claude, nie wiemy, kim ona jest ani skąd pochodzi. To co wiemy...

- Wiemy - przerwał surowo - że wynajęła ode mnie domek we wsi i przez pięć lat zachowywała się bez zarzutu. Każde jej słowo i czyn udowodniały, że jest damą.

Wiemy też, że dziś wieczorem będzie gościem w naszym domu. Należy jej się

taka sama uprzejmość, jak pozostałym zaproszonym osobom.

80

- Och, nie cierpię, kiedy zaciskasz w ten sposób szczęki i pozwalasz sobie na taki twarde wyraz oczu - powiedziała. - Wyglądasz zupełnie jak Rawleigh. Przestań, Claude. Wiesz, że jestem bardzo

przejęta...

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Tak, wiem. Martwisz się przyjęciem i przyszłością siostry. Wszystko będzie dobrze, tylko odpręż się trochę. Dlaczego nie cieszyć się dzisiejszym wieczorem?

I zarezerwuj dla mnie pierwszego walca. Nalegam, to przywilej męzowski. Nie obchodzi mnie, że nie wypada, by mąż i żona bawili się razem, kiedy przyjmują

gości. Zatańczysz ze mną.

Westchnęła.

- Claude, połamiesz mi kości - powiedziała. - Och, chciałabym przetańczyć z tobą

wszystkie tańce. Ładnie pachniesz. Nowa woda kołońska?

- Kupiona z myślą o mojej żonie - powiedział. - Użyta z rozpustną nadzieją, że zostanie dość czasu tej nocy, kiedy już będzie po wszystkim, żeby wspólnie

nacieszyć się jej zapachem.

- Jakbyś potrzebował wody kolońskiej dla wymówki - odparła. - Rawleigh poprosił Ellen o pierwszy taniec. To obiecujące, nie sądzisz?

Zachichotał.

- To znaczy tylko tyle, że żadne z nich, przynajmniej na początku balu nie będzie podpierało ścian - powiedział, biorąc ją pod ramię i kierując się do drzwi. - Czas zejść na dół i przywitać się z gośćmi przed obiadem, kochanie.

Pani Adams ponownie, tym razem tylko w duchu, pożałowała, że wśród nich będzie wiadoma osoba.

Lord Pelham i pan Gascoigne planowali wyjechać za tydzień. Wyjaśnili, że nie chcą nadużywać gościnności Adamsów. Nie byli jeszcze pewni, dokąd pojedą, ani nawet czy spędzą razem wiosnę i lato. Tylko Londyn był dla obu wykluczony, mogli natomiast jechać do Dunbarton w Konwalii, wiejskiej siedziby hrabiego Haverforda, który nie ruszał się stamtąd od Bożego Narodzenia. Chcieli znów zobaczyć przyjaciela, czwartego Jeźdźca Apokalipsy.

Lord Rawleigh wiedział, że jego towarzysze w Bodley się nudzą i nie miał im tego za złe. Dni upływały im w raczej skromnym, domowym kręgu najbliższej rodziny i przyjaciół Adamsów. Z pewnością nic szczęśliwego nie mogło tu absorbować

uwagi niezonatych, tryskających energią młodych mężczyzn. Przez chwilę

zastanawiał się, czy nie wyjechać z nimi. Byłby to dobry sposób, by udowodnić

Clarissie, że w sprawie losu siostry stawia na niewłaściwego zawodnika. Był

przekonany, że panna Ellen Hudson też odetchnie z ulgą, kiedy on zniknie.

Nie mógł się jednak zdecydować na wyjazd. Jeszcze nie. Dopóki nie przekona się

ponad wszelką wątpliwość...

Uganiał się za atrakcyjną wdową, chcąc, by zajęła wakującą pozycję jego kochanki - niestety, postępował przerażająco niedyskretnie. W jego skłonnościach ostatnia zorientowała się Daphne. Wcale jej nie przerażyły, wręcz odwrotnie, całym sercem je popierała. Naturalnie nie zdawała sobie sprawy z natury jego zainteresowania, jak to ujęła Catherine. Daphne naiwnie sądziła, że zaczynał się w niej po prostu zakochiwać.

- Jeśli chcesz pojechać jutro ze mną i z Claytonem na konną przejażdżkę -

powiedziała do niego w drodze powrotnej z domku Catherine - zlitujemy się nad twoją samotnością i wstąpimy spytać, czy pani Winters wybierze się z nami. Ale ona nie ma konia... Hm... Zatem spacer Tym lepiej. Możecie zostać parę kroków za nami, jak kilka dni temu. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłam, jak na nią

patrzysz.

Ale w czwartek padało i chociaż państwo Baird wybierali się na spacer w bliżej 73

nieokreślonym kierunku, on zrezygnował. Nie poszedłby z nimi niezależnie od pogody. Dobry Boże, nie będzie przecież zabiegał o kochankę pod życzliwym okiem niepodejrzewającej niczego siostry.

Na wieczorny bal ubrał się starannie, wybierając czarny surdut i pan-talony, białą

koszulę i koronki. Czerń, przynajmniej w mieście, wychodziła z mody, ale na wsi jeszcze się nie opatrzyła. Wpiął brylantową szpilkę, swój jedyny klejnot, w środek halsztuka. Nie był dandysem, a dziś tym bardziej wolałby uniknąć przesady w stroju. Nie mógł przecież wyglądać lepiej niż jego dama.

Ucieszył się ze swojej przezorności, gdy zobaczył ją przed obiadem w drugim końcu salonu. Ubrana była tak samo, jak w czasie ostatniego obiadu, na który ją

zaproszono do dworu. Nosila swoją skromną zieloną suknię, ozdabiając ją jedynie naszyjnikami z pereł. We włosy nie wpięła ani piór, ani klejnotów.

Tak samo jak przy poprzedniej okazji Catherine przyćmiewała wszystkie damy, także Clarissę, która aż skrzyła się od brylantów - prezentu ślubnego od Claude'a.

Z uśmiechem rozmawiała z panią Lipton, jakąś nieznaną mu parą i pewnym młodym człowiekiem. Rawleigh rozpoznał dzierzawcę, którego odwiedzili z Claude'em w zeszłym tygodniu. Nieżonaty mężczyzna, wyglądał na nie więcej niż

trzydzieści pięć lat. Do diabła, lepiej żeby ten jegomość szybko nauczył się

panować nad oczyma i przestał patrzeć, na co nie powinien...

Spojrzała na wicehrabiego przez salon i lekko się uśmiechnęła. Zastanowił się, czy znów go nie bierze za Claude'a. Mówiąc szczerze, był to zaledwie jakiś

zdawkowy, mało przyjazny uśmieszek. Zatańczę z nią dziś wieczorem, pomyślał.

Miał nadzieję, że nie wpadła na pomysł, by odmówić mu tych dwóch walców, o które prosił. Zamierzał też ukraść jej dziś wieczorem parę pocałunków, niech się

dzieje, co chce. Tamto na mostku nawet nie zasługiwało na miano pocałunku, ale zbudziło w nim pragnienie, które musiał zaspokoić. Jeśli nawet nie wpuści go do łóżka, da mu swoje usta, na Boga! Tego mu nie odmówi.

- Nawet na wroga nie patrzyłeś z takim żarem, stary przyjacielu - powiedział lord Pelham, stając na linii jego spojrzenia. - Dalej ci się

opiera?

- Za to ty i Nat po dzisiejszym wieczorze pewnie zmienicie plany - powiedział

wicehrabia typowym dla siebie lekkim i wyniosłym tonem. - Clarissa, jak się

zdaje, zgromadziła z okazji balu kilka znośnie wyglądających pań.

- Nat już sobie wypatrzył tę rudą. - Lord Pelham skinął głową w stronę odległego krańca salonu, gdzie ładna młoda dziewczyna stała w grupie gości, rozglądając się

zainteresowanymi oczyma. - Trochę się tylko niepokoi. Rozumiem go, Rex.

Próbuje się zorientować, ilu krewnych młodej damy, kuzynów, rodziców i innych -

znasz tę litanię - jest obecnych na sali i będzie go próbowało zmusić do 74

oświadczyn, jeśli się do niej choćby uśmiechnie.

Wicehrabia Rawleigh roześmiał się.

9

Podczas obiadu Catherine przypadli w udziale mili sąsiedzi; po jednej stronie miała pana Liptona, po drugiej zaś sir Clayтона Bairda. Chociaż pani Adams przywitała ją z widoczną rezerwą, wszyscy inni byli wobec niej uprzejmi, a nawet przyjaźnie usposobieni. Spróbowała nie myśleć o tym, że wygląda dużo skromniej niż pozostałe damy. Miała na sobie tę samą zieloną suknię, którą nosiła na każdym wieczornym przyjęciu od dwóch lat, i perły po matce. Rzadko je teraz wkładała, tylko na specjalne

okazje.

Nie miało znaczenia, że ubrana jest skromnie i niemodnie. Nie przyszła tu, by zwracać na siebie uwagę. Chciała tylko nacieszyć się wieczorem spędzonym wśród ludzi. Kiedy przeszli do sali balowej, gdzie dołączyli do nich goście, których nie zaproszono na obiad, przekonała się, że nie była gorzej ubrana niż niektóre żony i córki okolicznych dzierżawców.

Przetańczyła pierwszą serię ludowych tańców z jednym z dzierżawców.

Uśmiechała się do niego i do siebie, zadowolona z rozrywki. Zawsze lubiła bale, huczne brzmienie orkiestry, zapach kwiatów i wody kolońskiej, cały ten oszałamiający sztafarz wirujących, barwnych jedwabi i satyn, blask klejnotów w świetle świec.

Miała nadzieję, że wicehrabia Rawleigh nie będzie ją prosił do walców. Na pewno zrezygnuje. Przy tak dużej liczbie zgromadzonych na pewno nie odważy się

wyróżniać jej zaproszeniem do tańca tak zalotnego, jak walc, w dodatku dwukrotnie... Nawet do niej nie podszedł w salonie przed obiadem. Przy stole posadzono go jak najdalej od niej. Na sali balowej też jej unikał. Tańczył teraz z Ellen Hudson w innym rzędzie par.

Uprzedzał ją, że pierwszą serię tańców poświęci pannie Hudson. Może ma zamiar zrealizować także resztę planów? Oddech Catherine przyspieszył.

Dziś wieczorem nie sposób było pomylić go z bratem. Pan Adams wyglądał

bardzo wytwornie w kilku odcieniach błękitu, niemniej elegancja lorda Rawleigha zapierała dech w piersiach. Połączenie czerni i bieli dodawało mu istic diabolicznego uroku.

Pan Gascoigne zaprosił ją do następnej serii tańców - do kadryla. Postanowił ją

zauroczyć i w zupełności mu się to udało. Lubiła jego roześmiane oczy i zgrabną

figurę. Znów się zastanowiła, dlaczego ów mężczyzna, równie przystojny jak Rawleigh, a przy tym o wiele bardziej czarujący i lepiej wychowany, nie wzbudza

w niej żadnych uczuć poza zwykłą sympatią. Gdy zaś ów drugi...

No cóż, być może miała we krwi zainteresowanie niewłaściwymi mężczyznami.

Obaj dżentelmeni, którzy jej się oświadczyli w ciągu ostatnich trzech lat, mieli łagodne charaktery i byłiby dobrymi partnerami w małżeństwie. Ale nie chciała wychodzić za mąż bez miłości.

I tu właśnie kryła się połowa jej problemów.

Lord Pelham odtńczył z nią następną serię ludowych tańców.

- Pani Winters, ja protestuję - powiedział, kłaniając jej się nim zabrzmiała muzyka i obrzucając ją

swoim intensywnie błękitnym spojrzeniem. - Dlaczego mianowicie tylko Nat miałby tańczyć z najpiękniejszą dziewczyną na sali?

- Ach, pochlebca! - odparła, uśmiechając się do niego - Mężczyzna w sam raz dla mnie, milordzie.

Łatwo było z nim rozmawiać, miło się żartowało. Nie mieli aż tak dużo czasu na jedno i drugie - taniec był dość żwawy.

- Z pewnością następnym tańcem będzie walc - powiedział swobodnie, kiedy na koniec serii figur znalazła się znów u jego boku. - Bardzo się cieszę, że pani Adams ma dość otwarty umysł, żeby pokazać na wsi ten taniec. Lubię go bardziej niż wszystkie inne. Zna pani kroki, pani Winters?

- Och, tak - odparła. - To uroczy taniec. Romantyczny.

Serce biło jej mocno i żałowała, że nie wzięła wachlarza. Sala wydała się nagle gorąca i duszna. A może, pomyślała w niemądrej panice, schronić się w garderobie dla pań i zostać tam, póki nie sformuje się partia do tańca? Zatańczył tylko z panną Hudson, panią Adams i lady Baird. Byłoby czymś niestosownym, gdyby do pierwszego walca poprosił osobę nienależącą do grupy z Bodley House.

A może wcale nie zamierzał z nią tańczyć? Może dlatego wołał trzymać się od niej z daleka. Czułaby się trochę zawiedziona, patrząc, jak prowadzi na parkiet inną

damę.

Wtedy właśnie u jej boku stanął sir Clayton Baird i zrobiło się za późno na ucieczkę. Przez chwilę rozmawiał z nią, a potem poprosił do walca. O, Boże. Tak, przynajmniej w ten sposób uniknie krępującej sytuacji. Już miała się zgodzić i uniosła dłoń, by położyć ją na ramieniu sir Clayтона, gdy za jej plecami odezwał

się nonszalancki i wyniosły głos:

- Przepraszam, przyjacielu. Zarezerwowałem ten taniec znacznie wcześniej. Może pani Winters da ci następny wolny.

Odwróciła się dość gwałtownie i podała dłoń Rawleighowi. Pozwoliła mu wyprowadzić się na środek sali, nie obejrzawszy się nawet na sir Clayтона. Choć

znaleźli się na parkiecie jako jedna z pierwszych par i większość oczu zwróciła się

na nich, była bezsprzecznie zadowolona. Po to właśnie tu przyszła. Na to czekała 76

przez cały wieczór.

- O mały włos mój walc nie dostał się memu szwagrowi - powiedział, obejmując ją spojrzeniem ciemnych oczu. Stali naprzeciw siebie, ale jeszcze się nie dotknęli, bo na razie muzyka nie zaczęła grać. -Bardzo bym się pogniewał. Nigdy nie widziała pani, jak się gniewam, prawda?

- Lepiej zrobiłam, ustępując? - spytała. - Przeraziłby mnie pan do cna? Nie sądzę, milordzie. Wiem, że podczas wojny był pan oficerem kawalerii, ale ja nie jestem jednym z pańskich zastraszonych rekrutów.

- Żadnego z moich rekrutów nie prosiłem jeszcze do walca żartował. - Nie odważyłbym się na taki skandal.

Roześmiała się wbrew woli. Odpowiedział jej rozbawiony błysk oczu Rawleigha.

- Och, tak jest lepiej. Za rzadko się pani śmieje. Ciekaw jestem, czy był czas, kiedy śmiała się pani częściej.

- Milordzie, człowieka uważano by za szaleńca albo durnia, gdyby wybuchał śmiechem przy każdej okazji.

- Wydaje mi się - ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa - że takie czasy istniały, zanim pani przyjechała do Bodley-on-the-Water. Na Boga, czemu wybrała pani to miejsce? Musiała pani być wtedy niemal dzieckiem. Niech zgadnę... Była pani bardzo przywiązana do męża i po jego śmierci przysięgła już nigdy się nie śmiać.

O, dobry Boże. Niech wreszcie zagrają. Nie chciała bawić się w żadne zgadywanki na temat własnej przeszłości.

- Lub może pani małżeństwo było tak okropnym doświadczeniem, że zapragnęła pani usunąć się do jakiegoś zapadłego kąta kraju i wciąż jeszcze nie nauczyła się swobodnie śmiać.

Przecież przyszła tu, żeby dobrze się bawić. Zacisnęła usta.

- Milordzie, jest pan impertynentem. Uniósł brwi.

- A pani, moja droga, igra z ogniem.

Nie był to dobry wstęp do walca, którego przed chwilą nazwała romantycznym tańcem. Muzyka naraz rozbrzmiała, a on przysunął się bliżej i objął ją w talii, drugą ręką ujmując dłoń partnerki. Położyła lewą dłoń na jego ramieniu. Porwał ją

do tańca.

Tańczyła już przedtem walca wiele razy. Zawsze należał do jej ulubionych tańców.

Zawsze sobie wyobrażała, jak cudownie byłoby tańczyć go z ukochanym mężczyzną. W tych ruchach było coś tak intymnie romantycznego - no proszę, znów użyła tego zwrotu.

Nie odczuwała żadnego romantyzmu, wirując w walcu z lordem Rawleighem.

Najpierw jego bliskość tak mocno ją przytłoczyła, że omal nie zemdląła. Dotyk 77

dłoni na jej talii wręcz palił. Od stóp do głów czuła bijące od niego ciepło, chociaż

ich ciała wcale się nie stykały. Owionął ją zapach jego wody kolońskiej i urzekła aura męskości.

Nagle ogarnęło ją uniesienie. Był znakomitym tancerzem, prowadził pewnie wokół sali balowej, nie gubiąc rytmu i nie zderzając się z innymi. Dostosowała do niego swoje kroki i poczuła, że nigdy jeszcze nie tańczyła jak teraz - unosząc się w powietrzu - i nigdy nie była tak lekka i radosna.

Wkrótce jednak wróciło onieśmielenie. Przypadkiem pochwyciła przelotne spojrzenie pani Adams, która tańczyła z mężem. Clarissa miała na twarzy uśmiech, a w oczach stalowy, zimny chłód.

Catherine zdała sobie sprawę, że tańczy tego walca, jakby nie liczyło się nic poza tą chwilą, jakby na świecie istnieli tylko ona i jej partner. Raptem przypomniała sobie, że salę balową wypełniają ludzie, a po tej godzinie nadejdą inne. Całą resztę

życia miała spędzić wśród obecnych tu ludzi - oprócz wicehrabiego, który wkrótce wyjedzie.

Zastanowiła się, czy jej twarz i ruchy zdradziły coś przez ostami kwadrans.

Podniosła oczy, by przekonać się, co wyraża jego twarz.

Wpatrywał się w nią uporczywie.

- Boże, jak ja ciebie pragnę, Catherine - powiedział. Żar jego słów kontrastował ze spokojnym wyrazem oczu.

Więc o to chodziło ludziom, którzy krytykowali walca. Ten taniec rzeczywiście wyzwala emocje, których nie wolno poruszać. A ona miała tańczyć z nim jeszcze raz przed kolacją.

- Milordzie, zaczyna się pan powtarzać - odparła. - Ten temat już omówiliśmy. To zamknięty rozdział.

- Doprawdy? - powiedział, na moment opuszczając wzrok na jej wargi. -

Naprawdę, Catherine?

Wiedziała, że to doświadczony i wprawny uwodziciel. Nikczemnik, nie pierwszy, jakiego spotkała. Doskonale świadom, jaką władzę zyskuje, wymawiając cicho jej imię. Miał rację. Poruszył ją miękki i łagodny ton głosu Rawleigha.

A to w obecnej sytuacji było wręcz śmieszne.

Nie odpowiadając, utkwiała oczy w diamentowej szpilce, połyskującej w skomplikowanych fałdach jego halsztuka, i tańczyła dalej.

- Cieszę się - powiedział, kiedy muzyka umilkła i odprowadzał ją na miejsce. -

Rad jestem, że nie doczekałem się odpowiedzi na moje pytanie. Okropnie by mi było przykro, gdybym musiał zarzucić pani kłamstwo. Proszę pamiętać o tańcu przed kolacją, niech pani nie przyrzeka go nikomu innemu. Nie chciałaby pani zobaczyć, jak się na nią złoścę.

78

Podniósł jej dłoń do ust i odszedł.

Zdecydowała się wyjść z balu jeszcze przed kolacją. Więcej by nie zniosła. Cała usilna praca ostatnich lat szła na jej oczach na marne. Odzyskanie spokoju i opanowania, którymi cieszyła się przed kilkoma tygodniami, mogło jej teraz zająć

kolejne pięć lat. Może już nigdy to się nie stanie w Bodley-on-the-Water. Wciąż

coś jej będzie o nim przypominać. Jednak nie mogła wyjechać. Przerażała ją myśl o tym - zaczynać życie od nowa wśród obcych. Nawet gdyby była gotowa spróbować, nie wolno jej. Zobowiązała się zostać tu na resztę życia.

Na bal do Bodley House przyjechała z pastorstwem. Pocieszyła się teraz nadzieją, że Loveringowie lubią wcześniej wracać do domu, choć

było mało prawdopodobne, by pastor zrezygnował z kolacji. Rozejrzała się, ale państwa Lovering nigdzie nie było widać.

Wreszcie lokaj, którego o nich zapytała, wyjaśnił, że pastora wezwano do łoża pani Lambton. Odwiózł żonę na plebanię, a potem miał ruszyć do odległej o pięć

mil farmy Lambtonów z Percym, synem starszej pani. Zostawili Catherine we dworze - albo o niej zapomnieli, albo uznali, że będzie chciała zostać dłużej i znajdzie kogoś, kto po zakończeniu uroczystości odwiezie ją do domu.

Mogła liczyć na pomoc wielu osób. Sąsiedzi będą wracali do domu przez wieś i chętnie odprowadzą ją do samych drzwi. Pan Adams na pewno zamówiłby dla niej powóz. Skąd więc to poczucie osaczenia? Zresztą to taki niedaleki spacer. Nie lubiła jednak chodzić sama po nocy, a nikt nie odwiezie jej o tak wczesnej porze, chyba że wymyśli sobie jakąś sensowną wymówkę.

Wyglądało na to, że będzie musiała zostać do końca balu.

Uśmiechnęła się, kiedy sir Clayton poprosił ją do obiecanego kadryla.

Tracił dla niej głowę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni znalazł się

na łasce i niełasce kokietki -jeżeli Catherine Winters nią była. Bardziej wprawdzie skłaniał się ku myśli, że ta kobieta sama nie wie, czego chce. Jakkolwiek było, osiągnęła taki rezultat, jakby istotnie próbowała go uwieść.

Musiał ją mieć.

Wcale nie był pewien, czy ta obsesja nadal by trwała, gdyby po pierwszej wizycie została jego kochanką. Raczej nie. Dwa tygodnie romansu dałyby mu wystarczającą satysfakcję. Może wciąż by jej pragnął, bo była niezwykle piękna i obdarzona dość silnym charakterem. Na pewno jednak nie pożądałby jej tak bardzo, jak teraz.

Przez chwilę nawet rozważał zmianę strategii. Dlaczego miałby się jej nie oświadczyć, gdyby mu przysłała na to ochota? Ale nie brał tego pomysłu poważnie. Wcale nie chciał się żenić. Co prawda zaledwie przed trzema laty

zalecał się do Horacji i zaręczył się z nią w wielkim pośpiechu, ale właśnie tamto niepowodzenie sprawiło, że zgorzkniał. Zakochał się w kobiecie, która bardzo szybko porzuciła go dla znanego uwodziciela. Wykazał aż tak kiepski osąd damskich serc. Gdyby poślubił Horację i dopiero potem odkrył słabość jej charakteru i nieszczerłość miłosnych deklaracji, nic dobrego z tego małżeństwa by nie wyszło. Zanim się ożeni, musi spotkać kobietę, która stanie się dla niego prawdziwą bratnią duszą.

A to, niewątpliwie, romantyczna bzdura.

Nie oświadczy się Catherine Winters tylko dlatego, że inaczej jej nie zdobędzie.

Poza tym małżeństwo z prawie zupełnie nieznaną kobietą, prześliczną czy nie, byłoby w gruncie rzeczy czystym szaleństwem.

Mimo to żaden sensowny wniosek nie mógł schłodzić jego zapału, kiedy z nią

tańczył, rozmawiał i niecierpliwie czekał, by usiąść przy niej do kolacji. Pragnął

jej i, na Boga, będzie ją miał, jeśli znajdzie jakikolwiek sposób poza wzięciem jej siłą.

Wpadł zatem w niepohamowaną złość, kiedy panowie ze swoimi partnerkami ustawili się do ostatniego walca przed kolacją, a on nigdzie nie mógł jej znaleźć.

- Ellen ma wolne te tańce - wycedziła Clarissa z irytacją, podchodząc do niego i rozglądając się uważnie dokoła. - Zaprowadzę cię do niej.

- Wybacz, Clarisso, ale zatańczę z nią później. Tego walca zarezerwowałem u innej damy - odparł ostrzej, niż zamierzał.

- Tak? U kogo? - Jej głos również nabrał ostrych tonów.

Był zbyt rozgniewany, żeby wykręcać się od odpowiedzi. Poza tym, niby dlaczego? Kiedy znajdzie Catherine, i tak wszyscy ich zobaczą.

- U pani Winters.

- Pani Winters? Och, musi być doprawdy zaszczycona twoją uwagą, Rawleigh.

Już drugi raz będziesz jej partnerem.

- Przepraszam na chwilę, Clarisso - powiedział i odszedł.

W sali balowej jej nie było. Ani w korytarzu na zewnątrz. W salonie, gdzie kilka starszych osób grało w karty, też nie. Gdzie ona jest? Ukryła się? Uciekła przed nim? Poszła do domu? Przecież był przy tym, jak wezwano wielebnego Loveringa. Nie odjechała z pastorstwem, a choć oni ją tu przywieźli, ktoś inny będzie ją musiał zabrać po balu. Chyba że poszła pieszo. Nie, na pewno nie była tak niemądra, by iść sama do domu. Gdzie się podziała?

Domyślał się, gdzie jeszcze może być. Poszedł zajrzeć do pokoju muzycznego.

Przez nieosłonięte francuskie okna do pokoju wpadała księżycowa poświata.

Gdyby nie ona, nie dostrzegłby Catherine w mroku. Siedziała na ławeczce przy pianinie, wpatrywała się w klawisze, ale nie grała. Dźwięki walca z sali balowej 80

nawet tu brzmiały dość donośnie. Nie podniosła głowy, kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka. Przemierzył pokój, kierując się w stronę instrumentu.

- To mój taniec - powiedział.

- Nie chciałam, żeby to się stało ~ odparła.

- Tak? - Jego nadzieje raptownie wzrosły. Nie chciała, ale coś się jednak działo...

Przez chwilę milczała. Palcami lewej dłoni przebiegła po klawiszach pianina, nie naciskając ich jednak.

- Mam dwadzieścia pięć lat - powiedziała. - Mieszkam tu od pięciu. Zawarłam w Bodley wiele przyjaźni i znajomości. Zbudowałam sobie sensowne życie. Mam tu prawdziwy dom. Mam wiernego psa. Byłam szczęśliwa.

- Szczęśliwa? - Najwidoczniej nie godził się z tym słowem. - Czy twoje małżeństwo było aż tak nieznośne, że to życie, ta namiastka życia, którą tu prowadzisz, wydaje się szczęściem, Catherine?

- Nie wyraziłam zgody, by zwracał się pan do mnie po imieniu - odparła.

- Weź zatem odwet i mów do mnie „Rex” - odparł. - Pragniesz mnie przecież nie mniej niż ja ciebie.

Roześmiała się bez śladu radości.

- Kobiety i mężczyźni tak się różnią od siebie - powiedziała. - Ja wolę spokój ducha i zadowolenie.

- Wolisz nudę - skontrował.

- Skoro pan tak sądzi...

Nie zamierzała podejmować dyskusji, choć on zamilkł, czekając.

- Byłaś szczęśliwa z mężem? Chwila milczenia przedłużała się.

- Nie przywiązuję większej wagi do takich uczuć, jak szczęście czy nieszczęście.

Pierwsze zwykle trwa za krótko, a drugie za długo. Moje małżeństwo to nie pańska sprawa. Moja osoba tym bardziej. Wolałabym, milordzie, żeby wrócił pan na salę balową i zatańczył z kimś innym. Każda kobieta chętnie będzie pana partnerką.

- Chcę tańczyć z tobą - powiedział.

- Nie.

- Dlaczego nie? - Spojrzał w dół na jej postać. W bladej poświacie wpadającej przez okna łagodnie wygięta linia jej karku była wytworna, wręcz urzekająca.

Wzruszyła ramionami.

- Nie podoba mi się to uczucie.

- Bo wiesz wtedy, że żyjesz? Wspaniale tańczysz. Wpadasz w rytm muzyki i dajesz się jej ponieść.

- Nie lubię zwracać na siebie uwagi - odparła. - Spotkałoby mnie zbyt wiele komentarzy, gdybym zatańczyła z panem po raz drugi. Pańskiej szwagierce nie 81

spodobał się już ten pierwszy raz. Ja tutaj muszę mieszkać. Do końca życia. Nie mogę wywołać nawet cienia plotki.

Postawił stopę na ławeczce obok niej i oparł ramię na nodze.

- Nie musisz tu zostawać - powiedział. - Możesz wyjechać ze mną. Znajdę ci dom gdzie indziej, a tam będziesz musiała martwić się wyłącznie o moją opinię.

Roześmiała się ponownie.

- Miłosne gniazdko - powiedziała ironicznie. - I mężczyzna, którego trzeba zadowolić. Szczyt szczęścia.

- Gdy kiedyś stałaś przed ołtarzem, musiało ci się to wydawać godne pożądaniami -

odparł. - Chyba że nie wyszłaś za mąż z miłości. Choć trudno mi to sobie w twoim przypadku wyobrazić.

- To było dawno temu - powiedziała i odetchnęła głęboko. - Wolałabym, żeby nas tu nikt nie spotkał

razem. Proszę odejść.

- To mój taniec. Wstań i zatańcz go ze mną. - Wyciągnął do niej rękę i wyprostował się.

- Nie - odparła. - Za późno, żeby teraz wchodzić na salę.

- Tutaj - upierał się. - Zatańcz ze mną tutaj. Muzyka gra dość głośno, miejsca wystarczy, a na parkiecie nie ma dywanu.

- Tutaj? - Spojrzała na niego po raz pierwszy.

- Chodź.

Powoli, z wahaniem, podała mu dłoń i wstała. Jednak kiedy objął ją w talii i wziął

za rękę, podniosła drugą dłoń na jego ramię i zaczęli poruszać się zgodnie z rytmem melodii, sunąc przez ciemny pokój. Była naprawdę świetną partnerką.

Poddała mu się w tańcu. Nie musiał ciągnąć jej za sobą po parkiecie ani obawiać

się, że jej nastąpi na nogę.

Wirowali w milczeniu, najpierw zachowując poprawną dla walca odległość.

Potem jednak, gdy spojrzał na nią, w trakcie obrotu światło księżycy padło na jej twarz i zobaczył, że tańczy z zamkniętymi oczyma. Przyciągnął ją do siebie, aż

zetknęły się ich nogi i poczuł zarys jej piersi przez materiał surduta. A wtedy przytulił Catherine jeszcze mocniej i położył sobie jej dłoń na sercu. Oparła czoło o jego ramię, a drugą dłonią objęła mocniej za szyję.

Muzyka w końcu przestała grać, a oni zamarli w pół kroku.

Była szczupła i wiotka. Jej ciało zdawało mu się ciepłe. Pachniała mydłem - to o wiele bardziej pociągający zapach niż drogie perfumy, którymi zlewały się jego kochanki. Bał się poruszyć, ledwie ośmielał się oddychać. Jeśli trwała w transie, nie chciał jej z niego obudzić.

Po dłuższej chwili podniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Nie widział wyraźnie wyrazu jej oczu. Jej ciało wciąż tuliło się do niego ciepłym łukiem. Pochylił głowę

82

i pocałował ją.

Tym razem i ona rozchyliła usta. Przesunął językiem po wewnętrznej stronie jej górnej wargi, potem przyszedł czas na dolną. Nie odsunęła się ani nie oddała pieszczoty. Wydawała się zupełnie odprężona, prawie jak po miłosnym akcie. Tyle że mu go odmówiła, pomyślał z goryczą, kiedy

odsunęła głowę.

- Ma pan w tym wprawę. Pewnie we wszystkim ma pan wprawę. Zwłaszcza w uwodzeniu. Dość już. Wychodzę.

Tak więc później. Musiał wierzyć w istnienie jakiegoś „później”. Teraz nie będzie nalegał, na razie wystarczy. Lecz gdy to się wreszcie zdarzy, nie będzie kobietą

zniewoloną. Sama będzie w pełni gotowa, choć może nawet jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Chodźmy zatem. Nie powinniśmy zbyt długo zwlekać, bo zjedzą nam całą kolację.

- Nie mówię o kolacji. Idę do domu.

- Kto cię zabierze? - Zmarszczył brwi. - Pastor Lovering jeszcze nie wrócił, prawda?

- Ja... czekałam tu na kogoś innego. Widzi pan? Przyniosłam ze sobą płaszcz.

Nie obejrzał się, płaszcz na fotelu zauważył już przedtem.

- Nie umiesz kłamać. Chciałaś sama wracać do domu. Na co czekałaś? Nie miałaś odwagi wyruszyć?

- Nonsens. Nie ma tu dzikich zwierząt ani sideł kłusowników. Nie mam się czego bać.

Ton jej głosu świadczył jednak, że tak nie myślała. Chciała pójść do domu, lecz bała się iść sama po zmroku. Uważała pewnie, że o tej porze jest za wcześnie, by prosić Claude'a o powóz. Schroniła się więc w pokoju muzycznym, może z nadzieją, że nikt jej tu nie znajdzie aż do końca balu.

- Poczekaj tutaj - powiedział. - Wezmę swój płaszcz i odprowadzę cię do domu.

- Wykluczone! - zawołała gniewnie. - Idę sama.

- Poczekasz tutaj. - Położył palec na jej wargach. - Nawet nie próbuj wymykać się ukradkiem, Catherine Winters. Jeśli to zrobisz, podniosę wielki raban. Zorganizuję wyprawę ratowniczą i przeczesać okolicę. Będiesz się wstydzić do końca życia.

Czekaj tu, póki nie wrócę.

- Nie - powiedziała. - Nie. Jeśli zobaczą nas razem...

- Nie zobaczą. - Już stał przy drzwiach. Odwrócił się i jeszcze raz na nią spojrzał.

- Zaraz przyjdę.

- W takim razie idę na kolację.

Ale on już zniknął za drzwiami, udając że nie słyszał jej ostatnich słów.

Sam nie mógłby sobie tego lepiej zaplanować. Ona zresztą też na pewno nie 83 oczekiwała takiego obrotu spraw. Tak czy inaczej, już on dopilnuje, żeby była zadowolona.

Catherine...

Nie pamiętał, by kiedykolwiek jakaś kobieta tak go opętała.

10

Nie miała pojęcia, jak się w to wszystko wplątała. Z całej siły próbowała oprzeć

się pokusie i nie prowokować plotek. Tańcząc z Rawleighem i jedząc kolację w jego towarzystwie, mogła narazić się na jedno i drugie. Dlatego właśnie wymknęła się z sali balowej i chciała wrócić do domu. Zabrała swój płaszcz i przeszła do pokoju muzycznego, bo stamtąd mogła niepostrzeżenie opuścić dwór, niezauważona przez służbę czy gości. Stała w otwartych drzwiach do ogrodu, lecz obawiała się wyjść. Na zewnątrz było okropnie ciemno - a droga do domu wynosiła ponad milę, z czego większa część wiodła wśród dębów po obu stronach mrocznego podjazdu.

Bała się nocy jak dziecko.

Usiadła więc na ławeczce przed pianinem i próbowała zebrać się na odwagę.

Ponieważ nie mogła się zmobilizować, postanowiła zostać w pokoju muzycznym, póki nie będzie już po kolacji.

Teraz, wbrew wcześniejszym zamiarom, naraziła się na jeszcze większy kłopot.

Goście zauważą nieobecność wicehrabiego. Minie godzina, zanim ją odprowadzi do domu i wróci, jeśli pójdą pieszo. Gdyby chciał wziąć powóz, byłoby jeszcze gorzej. Tak czy inaczej jego zniknięcie zwróci uwagę. Pani Adams dostrzeże to na pewno, a potem ktoś inny zorientuje się, że i jej nie ma.

Powinna była bardziej stanowczo odmówić, kiedy Rawleigh proponował jej swoje towarzystwo. Powinna była nalegać, by wrócili na salę balową. Nawet teraz mogła jeszcze wymknąć się z Bodley House sama. W ciemnościach by jej nie znalazł.

Nie wierzyła, że dotrzymałby pogroźki i zaczął jej szukać, robiąc przy tym masę

zamieszania. Wyprawa ratunkowa, też coś. Nierealna groźba, użyta do zastraszenia niemądrej kobiety.

Dobry Boże, nie sądziła, że jest wciąż tak głupia, by nabierać się na typowo męskie manipulacje.

Widocznie jednak nie dosyć zmądrzała. Wciąż niezdecydowana, stała na środku pokoju, kiedy on wrócił. Otulony fałdami czarnego płaszcza wyglądał jeszcze bardziej demonicznie niż zwykle. Bez słowa protestu włożyła własne okrycie i narzuciła na głowę obszerny kaptur. Nagle zadrżała.

- Dobrze, możemy iść.

84

- Nic nie jest dobrze. Postępujemy niestosownie.

Unióś brwi. Czy on wie, jak arogancko wygląda, kiedy to robi? Pewnie tak, uznała.

- Wystraszona?

Tak, bała się jego, bała się ciemności na zewnątrz, bała się wracać z nim do sali balowej. Nienawidziła własnego lęku. Nie znosiła czuć się słaba, bezbronna i sterowana przez mężczyznę. Zupełnie jak kiedyś. Poza tym, że dziś było gorzej niż wtedy. Tym razem działała dobrowolnie, dokładnie wiedząc, jak ludzie skomentują, jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że spacerowała z nim sam na sam późnym wieczorem.

Ale czy opinia publiczna mogła jej zrobić coś, czego nie wyrządziła wcześniej?

Wielki świat nie dbał o nią już wcale, jeśli w ogóle ją pamiętano. Jak niemądrze, że martwi się jeszcze w tej chwili o swoją reputację. Tyle że nie chciałyby tutaj też

jej stracić.

- Catherine? - Stał przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Dłoń trzymał na klamce, drugą rękę wyciągał do niej.

- Nie, nie boję się, milordzie - powiedziała, idąc w jego stronę. Minęła go i wyszła na taras, a on zamknął za nimi drzwi i objął ją

ramieniem w talii, otulając oboje fałdami własnego płaszcza. Spiesznie sprowadził

ją ze stopni tarasu ku mrocznym trawnikom za domem. Gwałtownie złapała oddech. Nie będą szli podjazdem?

- Ta droga zajmie mniej czasu - wyjaśnił. - I na pewno będziemy sami.

„Będziemy sami”. Słowa te kiedyś zapadły Catherine w pamięć. Zęby jej zaszczekały. Ramię Rawleigha obejmowało ją, ciepłe i spokojne. Czowała jego udo i biodro obok swojego, mocne i umięśnione, bardzo męskie. Jej ciało wciąż jeszcze płonęło pożądaniem po walcu zakończonym pocałunkiem.

„Będziemy sami”.

Czy zdoła mu się oprzeć? Czy będzie chciała się opierać? Czy będzie miała dość siły woli? Och, coś zaczynało jej się przypominać...

Nic nie widziała w mroku. Oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, mimo że spędziła prawie godzinę w nieoświetlonym pokoju. Rawleigh szedł

pewnym krokiem.

- Jest tak ciemno - powiedziała i ze zdziwieniem usłyszała, jak niepewnie brzmi jej głos.

Zatrzymał się i obrócił ku niej, a potem mocno pocałował.

- Nic ci się nie stanie. Widzę w nocy jak kot. W armii znano mnie z tego. Często zresztą chodziłem tędy jako dziecko. Znajdę drogę z zamkniętymi oczyma.

Nic ci się nie stanie. O mały włos roześmiałyby się głośno.

85

Weszli między drzewa i zrobiło się jeszcze mroczniej. Nie dostrzegłaby własnej dłoni, gdyby ją uniosła przed twarzą. Grunt był bardziej nierówny, ale on podtrzymywał ją pewnie i tylko trochę zwolnił kroku. Rzeczywiście wiedział, którędy idzie. Mimo to myślała, że zaraz przystanie. Czy oczekiwała jakiegś

napaści? Czy potem zdoła usprawiedliwić się przed sobą tym choćby, że ją wziął wbrew woli?

- Ach, tu jesteście! Nie zawiódł mnie zmysł orientacji. - Przerwał pełne napięcia milczenie, które trwało chyba wieki. A może to tylko ona czuła się ogromnie spięta.

I wtedy coś zobaczyła. Nikłe promienie księżyca oświetlały przez gałęzie drzew rygiel furtki w okalającym park murze. Po drugiej stronie muru jest droga, a jej domek zaledwie parę kroków dalej. Naprawdę przyprowadził ją prosto do domu, i to nawet lepszą trasą niż przez podjazd i całą wioskę. Mimo późnej pory istniała ewentualność, że na ulicy by ich zobaczono.

Spacer sam na sam w środku nocy był bardzo niewłaściwy.

Puścił ramię, żeby otworzyć furtkę i uważnie rozejrzał się wokół.

- Żywej duszy - powiedział i wziął ją za rękę. Teraz widziała wyraźnie zarys furtki i nocne niebo nad drogą. - Chodź.

Catherine jednak zwlekała.

- Dalej mogę już iść sama. Dziękuję. Bardzo miło, że mnie pan odprowadził, milordzie.

Zapadła cisza, a potem Rawleigh się zaśmiał.

- Czy to wskazówka dla mnie? Mam się wytwornie uklonić i wygłosić gładką

mowę o honorze i przyjemności, jakie mnie spotkały? - spytał. - Chodźmy.

Odprowadzę cię do drzwi. Między furtką a domem może być zastawione wiele sideł. Nie mógłbym sobie darować gdybyś w któreś z nich wpadła.

Śmiał się z niej. Połowę twarzy oświetlała mu poświata dochodząca zza drzew.

Jak bardzo był przystojny. Tańczyła z nim dziś walca dwa razy - w sali balowej, potem w pokoju muzycznym, a tam taniec stał się nie tylko romantyczny i porywający, lecz przede wszystkim zmysłowy. Muzyka dała im tylko wymówkę, by się przytulić i wolno razem wirować w jej rytm. Dzisiaj znowu ją pocałował, a ona oddała pocałunek.

Jeśli tuż po jego przyjeździe do Bodley przed dwoma tygodniami miała jakieś

wątpliwości, teraz pozbyła się ich ostatecznie. Wszystkie bariery, mury i zapory, którymi się otoczyła przez te pięć lat, zniknęły i rozpadły się bez śladu. Przestała wmawiać sobie, że nie jest już młodą kobietą, z wszystkimi jej potrzebami i pragnieniami. Być może te pragnienia nie znikają z młodością. Może głupotą było sądzić, że da sieje przeczekać.

86

- Chodź - powtórzył ciszej, głosem niedopuszczającym sprzeciwu. Nie podała mu ręki, ale minęła go i wyszła furtką na drogę. Przez chwilę miała wrażenie, że rzeczywistość chwyta ją za gardło. Podążył za nią, zamknął furtkę i znów objął ramieniem, otulając połą płaszczą.

Toby zaszczeakał, kiedy nadchodzili alejką. Catherine otworzyła drzwi domu. W

nocnej ciszy głos psa niósł się głośno. Zajęła się uciszaniem go i zapomniała odwrócić się na progu, stanowczo życzyć lordowi Rawleighowi dobrej nocy i zamknąć mu drzwi przed nosem.

- Cisza, mój panie - powiedział spokojnym, stanowczym tonem, a Toby uciszył

się, pomachał ogonem i podreptał do kuchni, niewątpliwie po to, by zająć swoje ulubione miejsce na bujanym fotelu.

Potem drzwi wejściowe zamknęły się, korytarz ogarnęła ciemność, a ona znalazła się w ramionach Rawleigha. Owinął ją swoim płaszczem i znów całował.

To nie był zwykły pocałunek. W każdym razie nie w jej pojęciu. Wargi miał

rozchylone, ona też rozchyliła usta, bez świadomości, że to robi. Język wsunął

głęboko w jej usta. Ten pocałunek był nieznośnie intymny. Dłonie wślizgnęły się

pod jej płaszcz. Objął nimi jej piersi i dotykał sutków, aż stwardniały, a dreszcz przeniknął ją od piersi, przez dolną część brzucha, do nóg. Kolana zadrżały i ugięły się pod nią.

Objął ją wtedy mocniej. Dłonie przesunął po plecach, na pośladki. Przycisnął do siebie z całej siły, unosząc lekko w górę i poczuła całą gotową twardość i pragnienie mężczyzny.

Tak musi się czuć tonący, pomyślała. Pałaca potrzeba wyrwania się na powierzchnię, walka o zaczerpnięcie powietrza i ten przeciwstawny odruch, kładący zaprzestać wysiłków, poddać się i pozwolić, by nadeszło nieuniknione.

- Catherine - szepnął tuż obok jej warg, głosem niskim i zmysłowym. - Jesteś tak bardzo piękna.

Nie mogła się skupić. Nie mogła zapanować nad myślami. Włosy Rawleigha pod jej palcami były gęste i jedwabiste.

- Weź mnie na górę - szepnął jej do ucha. - Wygodniej przy tym leżeć niż stać.

Przy tym. Dwa ciała razem. On w niej. Spełnienie. Chociaż nigdy nie zaznała rozkoszy, wiedziała, że z nim to się stanie. Teraz. Dzisiaj. Tutaj.

Nie mogła już sobie przypomnieć, czemu nie chciała zostać jego kochanką. Tak bardzo potrzebowała dotyku mężczyzny. Ciała tego mężczyzny. Tak bardzo właśnie jego pożądała.

Jego kochanka. Na jak długo? Tydzień lub dwa, które jeszcze spędzi w Bodley?

Do tego czasu znudzi się nią. Nie zabierze jej ze sobą, jak to niedawno proponował. Znowu zostanie sama. Jak to będzie - samotność i pustka po krótkim

romansie z Rawleighem?

Może nie będzie całkiem sama. Może zostawi jej po sobie dziecko.

Całował jej szyję, a potem podbródek i usta.

- Chodź - powtórzył.

- Nie.

Usłyszała własny bezbarwny i spokojny głos. Zaskoczyło ją słowo, które wymknęło się z jej ust. Wiedziała, że musi powiedzieć to jeszcze raz.

- Nie.

Odsunął nieco głowę. Zastanawiała się, czy ją widzi. Jego twarz była tylko cieniem w mroku.

- Chyba nie zaczniesz znów robić trudności? - spytał.

- Owszem. - Jej głos zabrzmiał silniej. - Tak sądzę. Chcę, żeby pan natychmiast wyszedł.

- Boże...

Znalazła się nagle przy ścianie, przyciśnięta do niej, a jego dłonie z całej siły obejmowały jej twarz.

- Czyja oszalałem? Czy mam tak bogatą wyobraźnię, że wymyśliłem sobie twoje reakcje, kiedy tańczyliśmy w pokoju muzycznym, podczas drogi do domu, a teraz tutaj? Nie mogę się mylić. Pragniesz mnie równie gorąco, jak ja ciebie.

- I dlatego - odparła - mam iść z panem do łóżka. To zgodne z logiką, tak?

- Właśnie tak. - Był wyraźnie poirytowany i zły. - Catherine ...

- Nie zostanę pańską kochanką.

- Dlaczego nie? - Przysunął twarz bliżej jej twarzy. Dlaczego, u licha, nie?

Sądysz, że cię źle potraktuję? Mam zwyczaj dawać tyle samo przyjemności, ile otrzymuję.

Nawet w tym momencie poczuła zdradliwe ukłucie pożądania.

- Nie zostanę pana kochanką - powtórzyła. - I nie muszę przedstawiać powodu.

To wykluczone, mówiłam panu już wcześniej. Próbowалам unikać dziś pana, kryjąc się w pokoju muzycznym. Próbowалам powstrzymać przed odprowadzaniem mnie do domu. Próbowалам nie wpuszczać pana do środka.

Odmawiałam wiele razy w sposób niebudzący wątpliwości.

- Tylko ciałem dla odmiany kusiłaś - odparł, teraz już wyraźnie wściekły. - Chcesz zatem małżeństwa, Catherine? Ustaliłaś za swoje wdzięki najwyższą cenę z możliwych. Dobrze, zapłacę ją. Wyjdź za mnie.

Zaszokowana, umilkła na parę chwil.

- Chce pan, bym za niego wyszła, żeby móc iść ze mną do łóżka?

- Dokładnie tak. Jeśli nie ma innej drogi. Jesteś zadowolona?

- Tak - odparła, nagle zziębnięta i tak daleka od pożądania, jak nigdy. Odsunęła 88

ręce, którymi próbował ją objąć. - Jestem zadowolona, że rozum i zdrowy rozsądek dobrze mi doradzały w ostatnich tygodniach. Nie jestem kawałkiem kobiecego ciała, milordzie. To nie pusta w środku powłoka. Wewnątrz jest myślący człowiek. Osoba, która pana nie lubi i której nie podoba się

pańskie aroganckie przekonanie, że kilka pocałunków i pieszczot wystarczy, by dać panu prawo do wykorzystywania mojego ciała dla własnej przyjemności. Odkąd pomyliłam pana z bratem, nie daje mi pan spokoju. Mimo że całkiem wyraźnie powiedziałam „nie”. Kiedy mnie pan po raz pierwszy odwiedził, nie chciał pan uwierzyć, że kobieta może być tak szalona, by mu odmówić. No cóż, ja wolałabym zyskać opinię szalonej, niż zostać pana zabawką.

- Ty dziwko - powiedział spokojnie i niemal przyjaźnie. - Widzę, że świetnie się bawisz. Nie dam ci już ani jednej podobnej okazji. Po dzisiejszym wieczorze nie będę się dalej narzucał. Jestem pewien, że oboje odetchniemy, nie musząc się nigdy więcej oglądać.

Toby stał w korytarzu i powarkiwał. Spojrzała na Rawleigha, widocznego w świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Zamknął je za sobą, i to wcale nie cicho.

Stała bez ruchu kilka minut, opierając się o ścianę, jakby własnym ciężarem i rozpostartymi rękoma usiłowała ją podtrzymać. Toby zaskomlał.

- Chcesz wyjść...

Jej głos zabrzmiał całkiem normalnie. Zdziwiła się, że robi coś tak zwykłego jak wypuszczenie Toby'ego przez kuchenne drzwi. Zapaliła lampę i roznieciła ogień, żeby zaparzyć herbatę. Bardzo chciała napić się herbaty, choć pora była późna.

Musiała też posiedzieć chwilę w znajomym otoczeniu własnej kuchni, nim pójdzie na górę do sypialni. Do łóżka, w którym mogła teraz właśnie leżeć z nim...

Poczuła się słabo i niepewnie. Czy zdoła przygotować tę herbatę? Była jakby chora i z ogromnym poczuciem winy. Nazwał ją dziwką. Nikt nigdy nie odezwał

się do niej takim wulgarnym określeniem. Już samo to mogło wywołać mdłości.

Ale jeszcze gorsze było odczucie, że chyba sobie na to zasłużyła.

Już wcześniej oskarżył ją o kokieterię. Czy miał rację? Czy go zachęcała? Tak bardzo go pragnęła. Czy jej pragnienie stało się tak widoczne, że odebrał je jak zachętę? Dziś wieczorem trzy razy poddawała usta jego pocałunkom. Szczerze mówiąc, wszystkich trzech wyczekiwała i w pełni je odwzajemniła.

Pragnęła go. Nawet w tej chwili jej ciało pulsowało potrzebą, by poczuć go w sobie.

Wszystko, co się dzisiaj wydarzyło, było jej winą. Zupełnie jak to było w przeszłości. A przecież w ciągu ostatnich lat odzyskała szacunek dla siebie, przemyślała wszystko i doszła do wniosku, że wtedy wcale nie zawiniła. Może tylko trochę. Tym, co ludzie nazywają kokieterią...

Tak jak teraz. Pewnie więc jest kokietką. Zachowuje się prowokująco, ale unika konsekwencji.

Znów myślała o sobie z pogardą. Szybko zniknęła pewność siebie odbudowana z takim trudem.

Toby drapał łapą w drzwi. Wstała, żeby go wpuścić i zauważyła, że woda w imbryku właśnie się zagotowała. Zaparzyła herbatę w czajniczku, odczekała chwilę i nalała sobie filiżankę słabszego niż zwykle naparu. Nieważne.

Przynajmniej ugasi pragnienie i jest gorąca.

Kiedy znów usiadła Toby stanął przed nią, z wywieszonym językiem i nadzieją w oczach.

- Nie ma sensu, bym ci odmawiała, Toby - powiedziała do psa raczej gorzko. -

Kiedy mówię „nie” i tak nikt mi nie wierzy.

To zaproszenie wystarczyło. Wskoczył jej na kolana i wygodnie zwinął się w kłębek. Głęboko westchnął i usnął, gdy jej kojąca dłoń gładziła go po grzbiecie.

Patrzyła przed siebie, powoli kołysząc się w fotelu, i czuła ten rodzaj głębokiej rozpacz, który jeszcze przed tygodniem przypominała sobie z drżeniem i usiłowała usunąć z pamięci.

Herbata stygła na stole obok.

Wicehrabia Rawleigh był półprzytomny z wściekłości i niepomniecznie sfrustrowany, kiedy opuszczał dom Catherine. Zamknął drzwi za sobą stanowczo za głośno i ruszył w stronę dworskiego parku, nie rozglądając się

wokół siebie. Przeszedł przez furtkę i zatrzasnął ją mocno za sobą.

Gdyby był tak ostrożny, jak wtedy, gdy ją otwierał w drodze do domku Catherine, nawet ze sporej odległości usłyszałby i dojrzał dwukółkę, która nadjeżdżała od południowego krańca wioski.

Powózca wstrzymał konia, kiedy dostrzegł otwierające się drzwi domku pani Winters.

- No tak - powiedział Percy Lambton, gdy za mężczyzną zamknęła się furtka w parkowym murze. - Na moją duszę, ten widok nie był najwłaściwszy dla pana oczu, pastorze.

Wielebny Lovering zmarszczył brwi.

- Kto to? - spytał. - Pan Adams?

- Nie - odparł Percy. - Wicehrabia Rawleigh. Wyszedł z domu pani Winters o takiej porze... A w środku nawet nie ma światła. Mnie to się wydaje bardzo podejrzane.

- Pewnie odprowadził ją do domu po balu - powiedział pastor. - Pani Lovering i ja musieliśmy wyjechać wcześniej ze względu na chorobę twojej matki. Bardzo 90

uprzejmie postąpił. Ale gdzie jego powóz? I dlaczego byli sami? Tak się nie robi.

Percy parsknął sceptycznie.

- To tylko dla pana uszu, pastorze - powiedział - ale wszyscy wiedzą, że już od jakiegoś czasu coś się między nimi dzieje. Spotkania sam na sam w parku... Niech pastor spyta Berta Wellera, jeśli mi nie wierzy. I spacerowali razem po wiosce, ramię w ramię, wszyscy widzieli. Całkiem jasne, co się tu wyprawia pastorze, chociaż żałuję, że musiał pan to zobaczyć na własne oczy.

Wielebny Lovering spojrzął jeszcze raz na domek, obok którego właśnie przejeżdżali, i dostrzegł, że dopiero teraz w kuchennym oknie zapala się światło.

Zmarszczył brwi i zasępił się.

- Innego postępowania oczekujemy od gości Bodley House, Percy - powiedział. -

Dotyczy to też wicehrabiego. Jestem niezmiernie rozczarowany, że jego lordowska mość pozwolił sobie na podobną swobodę w porządnej okolicy. Pan Adams i jego szanowna małżonka przychyliły się do mojej opinii. Nie tego też wymagamy od przyzwoitych mieszkańców Bodley-on-the-Water. Jestem bardzo zmartwiony.

- Ale ona właściwie nie zalicza się do starej szlachty z tych stron - zauważył Percy.

- Mieszka tu dopiero od paru lat. Kto wie zresztą, skąd pochodzi i jakie życie wiodła przedtem. Równie dobrze mogła być zwykłą dziewczką - proszę nie gniewać

się na mnie, pastorze, za takie słowo.

Dojechali do plebanii i wielebny Lovering wysiadł.

- Może źle oceniamy sytuację, Percy - powiedział. - Zajdę jutro do Bodley House, porozmawiam z lordem Rawleighem i panem Adamsem. Tymczasem lepiej nic nikomu nie wspominać.

- Ja? - zdumiał się Percy. - Będę milczał jak grób, pastorze. Ja w ogóle nienawidzę plotek i zawsze wiem, kiedy trzymać język za zębami. To szokująca sprawa. Nie splamię sobie ust takimi historiami.

Pastor skinął głową.

- Twoja matka wyzdrowieje, jak zawsze - dodał. - Następnym razem, kiedy uzna, że śmierć stoi u jej progu, niech trochę odczeka, zanim cię po mnie pošle.

- Tak, pastorze - powiedział Percy, zawrócił konia i ruszył w powrotną drogę.

Przejeżdżając obok, młody człowiek spojrzął na światło w oknach kuchni Catherine i zacisnął usta. Zwykła dziewczka w Bodley-on-the-Water. No tak, wiedział to od początku. A teraz wszyscy się wreszcie przekonają. Od dawna nie wydarzyło się tu nic tak niezwykłego. Nie mógł się już doczekać ranka.

Niewiarygodne, ale bal jeszcze trwał, kiedy wicehrabia Rawleigh wrócił do dworu. Zdawało mu się, że minęły całe godziny od jego wyjścia. Prawie spodziewał się zobaczyć, że świt rozjaśnia niebo na wschodzie. W rzeczywistości 91

jednak nie upłynęła nawet godzina.

Nie dołączył do bawiących się gości. Pobiegł na górę, zadzwonił na lokaja i kazał

mu pakować bagaże. Napisał dwa krótkie listy i poszedł zostawić je własnoręcznie na widocznym miejscu w pokojach lorda Pelhama i pana Gascoigne, by mogli je łatwo znaleźć i przeczytać bez zwłoki. Potem wrócił do siebie i położył się, chociaż nie mógł

zasnąć.

Dziwka, powtarzał wciąż w myślach. Prawie jak refren, klepany bezmyślnie, by zagłuszyć niemiłe rozważania.

„Osoba, która pana nie lubi...”

Ale całując go i tuląc się do niego, była dość zadowolona.

„Wolałabym zyskać opinię szalonej, niż zostać pana zabawką”.

Niech to diabli porwą, przecież oświadczył jej się. On zwariował, nie ona. Toż

proponował jej małżeństwo, a ona z obrzydzeniem mówiła, że nie chce stać się

jego własnością. Mówili o tytule żony wicehrabiego Rawleigh! Nad który przedkładała tę swoją zimną cnotę...

Nienawidził jej.

Znienacka poczuł, że zachowuje się jak szczeniak. Nienawidził kobiety, bo nie zechciała pójść z nim do łóżka? Choć zdarzały mu się już wcześniej rzadkie rekuzy, zawsze sobie z tym radził. Jest na świecie niemało kobiet gotowych zastąpić tę, która go nie chce.

Nic się nie zmieniło. Jeśli pojedzie do Londynu, bardzo szybko znajdzie sobie partnerkę do łóżka, jakąś stałą utrzymankę albo kochankę z kręgów wielkiego świata. Sypialnia i żadnych zobowiązań.

Musiał naprawdę oszaleć, żeby oferować małżeństwo Catherine Winters w zamian za miłosne porywy w jej łóżku. Po miesiącu żałowałby tej decyzji. Rzadko kiedy jego zainteresowanie kobietą trwało dłużej - często zdecydowanie krócej.

A ona śmiała prowokować go do tego stopnia, by potem, gdy osiągnął punkt, z którego tylko z trudem i bólem się zawraca, odrzucić go z oburzeniem i gniewem.

Dziwka...

Hałasy we dworze w końcu ucichły, a on wciąż zmagał się z sobą, szarpiąc się między gniewem a frustracją.

Nawet nie chciała tańczyć z nim drugiego walca. Uciekła do pokoju muzycznego, żeby tego uniknąć.

Nie chciała z nim tańczyć.

Bardzo niechętnie dała się odprowadzić do domu.

Prosiła, by nie towarzyszył jej dalej niż do furtki parku.

Gdy zaproponował, że pójdą razem na górę, natychmiast powiedziała „nie”.

92

Kiedy się nad tym teraz zastanawiał, trudno było nie dostrzec w jej postępowaniu żelaznej konsekwencji.

Nie chciała go, choć może pociągał ją fizycznie. Nie wątpił, że oboje pragnęli siebie tak samo, nie chciała jednak oddać mu swego ciała ani wolności.

Mówiła „nie”. Od samego początku mówiła „nie”.

To on zawinił. Rozgniewany i sfrustrowany, czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy.

To wszystko jego wina, bo nie uwierzył, nie przyjął do wiadomości odmowy.

Miała rację, nazywając go arogantem.

Przyznanie się do winy wcale mu nie ulżyło. Wciąż leżał bezsennie, wpatrując się

w sufit i próbował podjąć decyzję, czy przeprosić Catherine przed jutrzejszym odjazdem. Wolał jednak wyruszyć jak najwcześniej o świcie. Najpierw powinien zobaczyć się z Claude'em. I musi się zorientować, czy Nat i Eden pojedą z nim, czy odczekają jeszcze kilka dni, zgodnie z wcześniejszymi planami.

Bał się zresztą, że ona nie przyjmie przeprosin.

On zaś z kolei nie miał ochoty jej oglądać. Już nigdy.

Nie, lepiej raz na zawsze zostawić tę sprawę. Wyjedzie z Bodley jak najszybciej i nieprędko wróci. Zostawi za sobą wspomnienie o Catherine Winters i zapomni o tym nieprzyjemnym epizodzie.

Było to jedno z najbardziej przykrych i najwstydliwszych wydarzeń jego życia.

Niech ją diabli porwą, myślał, próbując uspokoić się i zasnąć, ale wciąż nie mógł

ugasić targającego nim požądania.

11

Claude Adams stanął obok łóżka, pochylił się nad śpiącą żoną i delikatnie pocałował ją w usta. Zamruczała coś i westchnęła.

- Jadę zająć się sprawami majątku - powiedział. - Wrócę na lunch i obiecany dzieciom spacer z gośćmi po południu.

- Mm... - mruknęła, nie otwierając oczu.

Zawahał się. Kusiło go, żeby na tym poprzestać. Żyjąc z kobietą taką jak Clarissa, nietrudno zacząć tchórzyc. Mówiąc wprost, stać się pantoflarzem. Ale nie tak postępował przez dziewięć lat małżeństwa i nie zamierzał nagle się poddawać.

- Rex właśnie wyjechał - dodał. - Razem z Edenem i Nathanielem. Przez jedną

krótką chwilę sądził, że mu się uda poprzestać na tym prostym stwierdzeniu. Raptem Clarissa otworzyła oczy.

- Co takiego? - Zmarszczyła brwi. W ostatnich dniach nazbyt często widział u niej ponurą minę. - Dokąd wyjechał?

93

- Do domu - odparł. - Do Stratton Park. Nie jestem pewien, czy jadą tam wszyscy trzej. Eden i Nathaniel mówili coś o Dunbarton, siedzibie Haverforda. Wiesz, czwartego Jeźdźca Apokalipsy. - Spróbował ją rozchmurzyć.

Podniosła się na łóżku gwałtownym ruchem i jak to ona, szybko okryła się kołdrą, choć ledwie godzinę wcześniej leżał z nią nagi pod tym samym przykryciem, a dwa razy w ciągu tej krótkiej nocy kochał się z nią.

- Wyjechał?! - niemal krzyczała. - Do Stratton?! W samym środku przyjęć, które urządzam w domu? Zamiast dotrzymywać towarzystwa Ellen?

- Clarisso - powiedział - wiesz przecież...

- I to po tym, co jej zrobił wczoraj? - przerwała.

Claude westchnął i w duchu pomyślał, że po ostatnim wieczorze wcale nie ma na to wszystko ochoty. Musiał wykazać sporą dozę surowości - choć nie cierpiał

egzekwować od niej swych praw pana i męża - żeby ją uspokoić w czasie balu.

Nie pozwolił, by publicznie demonstrowała złość na Rawleigha za jego zniknięcie przed kolacją i

powrót dopiero po niej. Kiedy Rex nie pojawił się na czas i nie poprowadził Ellen do serii tańców po kolacji, które u niej zarezerwował, Clarissę

rozsadzał gniew. Ledwie zmusił żonę, by się uśmiechała i zachowywała, jak przystało na uprzejmą panią domu. Claude też był zły. Przyznawał, że Rawleigh popełnił niewybaczalny afront i obiecywał sobie, że porozmawia poważnie z bratem nazajutrz rano. Na szczęście Ellen wyglądała, jakby odetchnęła z ulgą, i spędziła czas podczas tańców Rawleigha, rozmawiając z synem jednego z zamożniejszych dzierżawców.

Oczywiście sprawa jeszcze się pogorszyła, gdy Clarissa zauważyła, że pani Winters także nie ma i wyciągnęła stąd wniosek, że ona i Rex gdzieś się razem zaszyli. Claude nie miał swojego zdania na ten temat i właściwie uważał, że to w ogóle nie jego sprawa, tyle że reputacja pani Winter jako damy może nieco ucierpieć, jeżeli inni doszli do tych samych wniosków co jego żona. A przecież

ostrzegał Reksa...

- No i co? - powiedziała Clarissa ostrym tonem. - Zamierzasz sterczeć tu cały ranek bez słowa?

- Rex prosił mnie, żebym przekazał Ellen przeprosiny - powiedział. - Poczul się

źle i poszedł się położyć. Nie chciał psuć nam wieczoru i niepotrzebnie nas niepokoić.

Claude przyjął wymówkę brata, o nic nie pytając. Rex wiedział, że mu nie uwierzył, ale zgodnie z milczącym porozumieniem obu braci to właśnie należało powiedzieć damom. Rex był zmęczony i bez humoru. Widać coś nieprzyjemnego spotkało go podczas godzinnej nieobecności na balu. Coś, co nadało mu ten dziwny wygląd i spowodowało nagły wyjazd.

94

- W dodatku wyjechał?! - Claude zdawał sobie sprawę, że do żony dopiero zaczynają docierać kolejne implikacje kłopotliwej sprawy. - A co z Ellen? Porzucił

ją. Ona...

Usiadł na brzegu łóżka i zaczął spokojnie, choć stanowczo strofować Clarissę. Nie poszło mu to szybko ani bez trudu. Kiedy już miał się wyrwać na upragnioną

samotną przejażdżkę po swoich włościach, przypomniała sobie, że mówił też o odjeździe Pelhama i Gascoigne'a. Plany Clarissy dotyczące przyjęć i rozrywek legły w gruzach.

- Wszystko przez tę kobietę! - powiedziała na koniec z gniewem w oczach. -

Claude, jeśli ty jej stąd...

- .. jeśli jej nie wyrzucę z domu i nie każę opuścić okolicy? - spytał, tracąc wreszcie panowanie nad sobą. - Powtarzam ci, że pani Winters nie zrobiła nic złego. Nie mamy dowodów, że byli razem wczoraj wieczór. Rex czuł się źle i poszedł do łóżka. Ona pewnie się zmęczyła zabawą i wróciła do

domu - choć

szkoda, że nie poprosiła mnie o powóz i pokojówkę do towarzystwa. Clarisso, nie możesz okazywać jej swej złości tylko dlatego, że to piękna kobieta.

Powiedział to trochę bez namysłu. Nie użyłby takich słów, gdyby nie poniósł go temperament. Ale dwie kłótnie z żoną, rozdzielone krótkim snem, tym krótszym, że nieporozumienia wieczoru przerodziły się w namiętne uściski nocą, to za dużo na jednego mężczyznę.

Clarissa nie omieszkała wyłowić z jego wypowiedzi słowa „złość” -jak jej mąż

mógł sugerować, że kiedykolwiek się złościła? Skoro zaś pani Winters tak mu się

podoba, to widać nudzi się u boku brzydkiej żony.

Wziął ją za ramiona niezbyt delikatnym ruchem i mocno ucałował.

- Dość tego, Clarisso - powiedział. - Nie ma sensu tak się sprzeczać. Mam zajęcia, które trzeba skończyć przed lunchem. Jadę już.

I pojechał, mimo że wołała go, kiedy wychodził z sypialni. Niezbyt mądre to słowa na do widzenia, pomyślał z goryczą, zbiegając po schodach. Trudno. Sam też nie miał dobrego humoru. Bóg raczy wiedzieć, kiedy znów zobaczy Reksa.

Kiedy się rozstawali, zawsze przez jakiś czas miał wrażenie, że stracił część

samego siebie. Nie potrafił jednak wyjaśnić tego Clarissie. Nie zrozumiałaby go.

Pana Adamsa nie było we dworze przed południem, kiedy wielebny Lovering przyszedł do niego z wizytą, ale żona dziedzica zgodziła się przyjąć gościa, kiedy tylko służący go zaanonsował. Pastor przypuszczał, że sama też chce go o coś

zapytać.

Uklonił jej się, rzucił parę uwag o ślicznej pogodzie, żonkilach kwitnących obficie na obrzeżach parku i na temat wytwornego wczorajszego towarzystwa, potem 95

jednak zawahał się. Zaczął wreszcie od nowa chwalić wspaniałe posiłki, serwowane poprzedniego wieczoru podczas przyjęcia. Wspominał świetność balu i przeprosił za obowiązki duszpasterskie, które go odwołały przed końcem zabawy. Ów zarozumiały człowiek martwił się głośno, czyjego wcześniejsze wyjście nie wywołało komentarzy i nie zepsuło humoru obecnym.

- Pastorze. - Pani Adams przerwała te wywody, pomijając zwykłe łaskawe słowa, jakimi kwitowała składane jej hołdy. - Kiedy odwoził pan wieczorem panią

Lovering, czy zabraliście także panią Winters?

Pastor milczał niepewnie. To, co miał do powiedzenia, nie nadawało się dla delikatnych uszu damy, a już z pewnością nie dla wrażliwej i szlachetnej pani Adams. Uczciwość kazała mu jednak odpowiedzieć na pytanie.

W końcu czemu można zaufać, jeśli nie szczerości własnego pastora? Nie, nie odwiózł pani Winters do domu.

- Ktoś inny ją odprowadził, łaskawa pani - dodał znacząco. - Może wrócę później i omówię tę sprawę z szanownym małżonkiem. Pani pewnie chce spędzić rano z dziećmi, wolałbym nie przeszkadzać.

Tymczasem pani Adams dostrzegła w jego słowach promyk nadziei w tym nieudanym dniu. Państwo Lipton, obawiając się, że zaczynają nadużywać

gościnności, oświadczyli, że zamierzają pojutrze wrócić do domu. Ellen z ulgą

wyznała, że cieszy się z wyjazdu Rawleigha i z tego, że nie doszło do oświadczeń.

Bała się strasznie, że w chwili zmieszania mogłaby się z rozpędu zgodzić. Do tego wszystkiego własny mąż nazwał Clarissę złośliwą, brzydką i głupią. Julie i William dąsali się i popadli w niełaskę u swojej niani po bitwie, jaką stoczyli o pędzelek do malowania, mimo że w dzieciennym pokoju były ich dziesiątki.

Nic się nie wiodło.

I wszystko przez tę kobietę.

Historia, którą niechętnie i wśród wielu słów przeprosin opowiedział jej pastor, była niczym ziarno, które pada na spragnioną glebę. Słuchała uważnie, a potem ochoczo i ze sporą satysfakcją wyciągnęła wygodne dla siebie wnioski.

Ta kobieta zachowała się jak zwykła ladaczniczka.

Clarissa Adams najpierw poczuła wielką ulgę, a zaraz potem jakże słuszny gniew.

Zadzwoniła, by podano herbatę. Poprosiła pastora, by został. Rozmawiali pół

godziny. Po herbacie wielebny odszedł, kłaniając się, sumi-tując i chwając ją za siłę ducha i mądrość.

Nie, nie trzeba, żeby wracał porozmawiać z panem Adamsem, powiedziała pastorowi. Sama załatwi tę sprawę, to jej obowiązek, wielebny Lovering -jako pastor i przywódca duchowy tej społeczności - rozumie przecież, czym jest nakaz sumienia.

Po wyjściu pastora odczekała parę minut i zeszła po schodach do holu. Poleciała lokajowi, nawet na

niego nie patrząc, natychmiast przywołać pokojówkę i podstawić powóz pod drzwi za pół godziny.

Catherine z trudem podniosła się o zwykłej porze, chociaż prawie nie spała.

Ogromne znużenie kusiło ją, by zostać w łóżku i oddać się lenistwu. Zdawało jej się, że nie ma po co wstawać.

Dawne wspomnienia tylko pogarszały jej samopoczucie. Wróciła pamięć tygodni wypełnionych rozpaczą. Jej synek zmarł... Puste ramiona. Piersi obrzmiałe i obolałe od mleka, wciąż przypominające o straconym dziecku. Nikt jej nie pocieszył. Kto by zresztą zdołał? Nie odezwał się jednak nawet jeden współczujący głos. I nie został żaden powód, dla którego warto żyć.

Jak udało jej się z tego otrząsnąć? Sięgnęła pamięcią, próbując przypomnieć sobie tamtą chwilę. Pewnego dnia weszła na strych domu swojej ciotki, do pustego pokoju, zajmowanego dawniej przez służącą. Otworzyła okno i wyjrzała na bruk ulicy, daleko w dole. Czy lot byłby długi? Czy upadek by ją zabił, czy tylko okaleczył?

I wtedy zdała sobie sprawę z tego, co robi. Po raz pierwszy i jedyny w życiu świadomie pragnęła zadać sobie śmierć. Po paru chwilach pojęła, że nie może tego uczynić. Niezależnie od hańby, życie wciąż było zbyt cennym darem, by je rozmyślnie odrzucić.

Nie chciała żyć, lecz nie mogła się zabić, a samym wysiłkiem woli nie sposób popełnić samobójstwa. Jeśli zatem się nie zabije, musi coś ze sobą zrobić. Miała zaledwie dwadzieścia lat. Trzeba nauczyć się żyć bez Bruce'a. Opuścić wszystkich ludzi, przedmioty i miejsca, z którymi utożsamiała się od pierwszych swoich dni.

Musi zacząć od zera, stać się inną osobą, stworzyć sobie nowy świat. Tak to się

właśnie zaczęło. W jakiś nieuchwytny sposób zdobyła się na energię i determinację, i zrealizowała swój plan. Po niecałych trzech miesiącach wprowadziła się do domku w Bodley.

Była tu szczęśliwa. Zadowolona. Spokojna. Znów czuła, że jej życie jest coś

warte.

No cóż, robi to jeszcze raz, zdecydowała. Pozbiera się i będzie żyła dalej. Nie ma innego wyboru.

Wstała więc z łóżka, na kilka minut wypuściła Toby'ego, umyła się, ubrała i uczesała. Rozpaliła ogień i wmusiła w siebie śniadanie. Zaczęła piec ciasteczka, które miała rozdać tego popołudnia. Życie musi się toczyć zwykłym trybem. Nie zamknie się w domu. Trzy starsze osoby będą czekać na cotygodniowe odwiedziny, na jej wypieki i książki, które im zawsze czytała. Nie zawiedzie ich.

97

Nic się przecież nie zmieniło.

Westchnęła, słysząc pukanie do drzwi. Wytarła w fartuch umączzone dłonie i próbowała przekonać

Toby'ego, by przestał czekać - wybiegł do sieni i pod frontowymi drzwiami wyrażał swoje niezadowolenie.

Jeżeli to on, pomyślała, zatrzaśnie mu drzwi przed nosem tak szybko, że mu go przytrzaśnie.

Był to służący z Bodley House, co zwykle zapowiadało odwiedzin pani Adams.

Catherine zdjęła fartuch, złożyła go i ruszyła do wyjścia. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to uroczysta wizyta Clarissy Adams. Poczucie humoru nie dopisywało dziś Catherine.

Pani Adams zrobiła jednak rzecz niesłychaną i przy pomocy stangreta wysiadła z powozu. Gospodyni domu przystanąła w otwartych drzwiach.

- Cicho, Toby - powiedziała.

Toby jednak twardo strzegł swojego terytorium.

Pani Adams nie przystanąła w sieni i nawet nie spojrzała na Catherine. Wyminęła ją bez słowa po drodze do bawialni. Catherine uniosła brwi i zamknęła drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała, idąc za swoim gościem. - Och, Toby, przestań.

Już południe, trochę za późno na poranną wizytę, pomyślała.

- Proszę wyprowadzić tego psa - rozkazała pani Adams podniesionym głosem.

Ton gościa wzbudził niesmak u Catherine. Ona i Toby byli przecież u siebie.

Niemniej psa i tak należało uciszyć. Zaprowadziła go do tylnych drzwi. Toby wybiegł na dwór, zapominając momentalnie o wrogu w salonie.

Pani Adams stała na środku pokoju, twarzą do drzwi.

- Dziwka! - rzuciła zimno, kiedy Catherine weszła.

Nie udawała, że nie rozumie. Serce jej przyspieszyło, a w uszach pojawił się szum. Wystraszyła się, że zemdleje. Uniosła głowę i splotła dłonie przed sobą.

- Proszę? - powiedziała spokojnie.

- Czy oprócz innych wad jest pani głucha? - sarknęła pani Adams. - Słyszała mnie pani doskonale. Ladaczniczka! Rozkazuję pani wynieść się z tego domu do końca przyszłego tygodnia i opuścić okolicę. Tolerowano tu panią zbyt długo. Nie ma już

dla pani miejsca wśród uczciwych ludzi. Chyba wyrażam się jasno.

Więc jednak widziano ich razem. Ktoś zobaczył, jak wychodzili z dworu.

Obejmował ją ramieniem i otulał płaszczem. Próbowła wymyślić jakieś

usprawiedliwienie, ale nie potrafiła zebrać myśli. Wreszcie dopadł ją gniew i zdołała przerwać uległe milczenie.

- Nie, nie dość jasno - powiedziała, ze zdziwieniem słysząc, jak spokojnie brzmi jej głos. - O co właściwie pani mnie oskarża?

Oczy jej gościa zwęziły się.

98

- Nie zamierzam stać tu i rozmawiać z panią - odparła Clarissa. -Przejdę z miejsca do rzeczy. Informuję, że widziano, jak lord Rawleigh wyszedł z tego domu, z nieoświetlonego wnętrza, wczoraj późnym wieczorem.

Sama zauważyłam, jak próbowała go pani w ostatnich tygodniach uwodzić.

- Rozumiem - powiedziała Catherine. Czowała się zupełnie jak dwie różne osoby.

Jedna z nich wstrząśnięta i oniemiała. Druga myślała logicznie i mówiła bez śladu wzruszenia. - Czy również lorda Rawleigha wygnała pani ze swojego domu i z wioski?

Pierś pani Adams zaczęła unosić się szybciej, a jej nozdrza zadrżały.

- Pani Winters... - powiedziała, cedząc lodowate słowa. - Dość tych impertynencji. Ma pani tydzień na opuszczenie domu i wyjazd z Bodley. Niech pani będzie wdzięczna za okazane jej miłosierdzie. Niech pani nie nadużywa mojej cierpliwości. Jeśli za tydzień jeszcze pani tu będzie, proszę oczekiwać

wizyty konstabla i spotkania z sędzią magistrackim. Proszę odsunąć się teraz od drzwi. Nie chciałabym otrzeć się o panią w przejściu.

Catherine odwróciła się na pięcie i poszła do tylnych drzwi domku. Mimo że za nimi czekał cierpliwie Toby, nie wpuściła go do środka. Wyszła do ogrodu i zamknęła drzwi za sobą. Pies stał i machał radośnie ogonem. Ucieszył się, kiedy ruszyła przez murawę w stronę rzeki. Szczęśliwy, podskakiwał obok niej.

Próbowała nie myśleć. Próbowła nic nie czuć.

Przecież to niemożliwe.

Widziano go ostatniej nocy, kiedy wychodził z jej domu. Ktoś go zobaczył i wyciągnął oczywiste wnioski. Prawie się nie mylił. Nazwano ją dziwką.

Nie po raz pierwszy.

Jakim cudem znów ją to spotkało? Tak się przecież starała.

Tłumaczyła sobie przez ostatnie kilka lat, że tamte zdarzenia nie były jej winą, że ma prawo obciążyć odpowiedzialnością kogoś innego. Widać jednak myliła się.

To w niej samej musi być jakieś zło.

Kazano jej wyjechać. Opuścić ten dom i wioskę. Musi odejść i ma na to tydzień.

Nad wodą osunęła się na kolana i chwyciła obiema dłońmi długie żdźbła trawy porastającej brzeg. Zupełnie jakby miała zapaść się pod ziemię, jeśli mocno się czegoś nie przytrzyma.

Otwartymi ustami z trudem chwyciła powietrze. Nie mogła oddychać.

Nie może wyjechać. To był przecież ten jeden warunek...

Co ze sobą zrobi?

Dokąd pójdzie?

Będzie bez grosza przy duszy.

O Boże, Boże... Pochyliła głowę i zaczęła modlić się rozpaczliwie. Nie mogła 99

jednak powiedzieć nic oprócz tego jednego błagalnego słowa. Boże...

Jakimś cudem Catherine zmusiła się po południu do złożenia zaplanowanych wizyt. Jeśli zostanie w domu, na pewno oszaleje.

Ojciec źle się czuje. Nie może przyjmować gości, wyjaśniła pani Clarkwell stojąc w półprzymkniętych drzwiach, z zarumienioną twarzą i oczyma, które starannie unikały spojrzenia Catherine.

U Symonsów zastała zamknięte drzwi, chociaż na sznurze schło pranie, a dym unoszący się z komina zdradzał obecność domowników. Poza tym starsza pani Symons nigdzie już nie wychodziła.

Catherine zrezygnowała z trzeciej wizyty. Wróciła do siebie, zbyt znużona, by wziąć Toby'ego na spacer, chociaż, kiedy weszła do domu popatrywał na nią z nadzieją.

Nie miała nawet siły wstawić wody na herbatę. Osunęła się na fotel i zadrzała, obejmując się ramionami.

Wiedzieli. Wszyscy wiedzieli. Tak im się przynajmniej wydawało. W drodze powrotnej minęła dwie znajome osoby. Obie udały, że jej nie widzą.

Przy drzwiach rozległo się pukanie.

Przez chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma. Może ten ktoś sobie pójdzie. To nie mógł być przyjaciel. Zdaje się, że nie ma tu żadnych przyjaciół. A jeśli to on...

Nie, nie wierzyła, że przyjdzie do niej dzisiaj. Nie teraz, kiedy wszyscy już

wiedzą. Oczywiście, nikt go nie potępi. Każdy uzna, że to dżentelmen, który zaspokajał jakże naturalne potrzeby. Jeżeli to on...

Pukanie się powtórzyło, głośniejsze, ponaglące. Tędy był na zewnątrz i na szczęście nie szczekał. Wstała. Dlaczego ma się ukrywać? Na czym jej jeszcze zależy?

Wielebny Lovering. Prawie odetchnęła z ulgą. Na pewno trochę ją pocieszy. On i jego żona zawsze byli jej przychylni.

- Pastorze. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Niech pan wejdzie.

- Nie przekroczę tego progu - powiedział pastor cicho i surowo. - Uważam za swój obowiązek powiedzieć pani, że cudzołóżnicy i grzesznicy nie są mile widziani, gdy uczciwi ludzie modlą się w kościele, którego mam honor być kapłanem. Z

ogromną przykrością składam pani tę wizytę, ale jeszcze nigdy nie cofnąłem się przed obowiązkiem.

Roześmiała się gorzko.

- Cudzołóżnicy ani grzesznicy... Kto więc uczestniczy w nabożeństwach, pastorze?

Spojrzał na nią chłodno.

100

- Takie żarty nie pasują do powagi sytuacji, proszę pani.

- Więc pan także uwierzył w tę historię? Przyszedł pan dorzucić swój kamień do całej reszty?

- Proszę pani... - odparł, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Wierzę w to, co widzę.

Na moich oczach jego lordowska mość wychodził stąd wczoraj w nocy. Naturalnie nie można go winić. Człowiek skuszony przez Jezebel zasługuje raczej na współczucie niż osąd. Wicehrabia dostrzegł swój błąd i wyjechał z Bodley House.

- Żegnam, pastorze - powiedziała i zamknęła drzwi.

Stała długą chwilę nieruchomo, drżąc od stóp do głów. Zupełnie nie mogła się

ruszyć. Wreszcie osunęła się przy ścianie i przysiadła na ziemi. Siedziała tam długo. Toby skrobał do tylnych drzwi. Nie zwracała na niego uwagi. Nie mogła się podnieść.

Daphne usłyszała o wszystkim podczas wizyty w wiosce, kiedy zajrzała do pani Downes. Nie zdążyła wrócić na lunch. Claude odczuł ponurą atmosferę przy posiłku. Wszyscy byli bez humoru, a najbardziej Clarissa. Widać chciała go ukarać za niemądre słowa, które wyrwały mu się rano.

Daphne znalazła go w bibliotece zaraz po lunchu i opowiedziała mu wszystko.

Mówiła o plotkach, które trawiły od rana całą wieś jak ogień suchy las. O wizycie pastora Loveringa w Bodley House. O wizycie Clarissy w wiosce.

- Czy to może być prawda, Claude? - spytała, patrząc na niego żałośnie. -

Widziałam, że Rex zakochał się w niej. Sama go zachęcałam. Nie sądziłam, że mógł mieć nieszlachetne intencje. Clayton często nazywa mnie „niepoprawnym naiwniakiem”. Czy to możliwe, że oni mieli romans?

Zaczerpnął głęboko powietrza i powoli wypuścił je z płuc.

- Daphne, jeśli nawet tak było, to nie nasza sprawa. Niestety, ogół myśli inaczej.

Jeżeli byli kochankami i zachowali się aż tak niedyskretnie, to wyłączną winę ponosi Rex. Powinien był strzec jej reputacji. Jeśli to jego widziano wczoraj...

Niech go szlag! Wybacz, Daphne. -Zacisnął pięści. - Że też mnie nie było w domu dziś rano!

- Dlaczego miałby wyjeżdżać, jeśli byli w trakcie romansu?

- Nie mam pojęcia, Daphne. - Przegarnął dłonią włosy. - Co za cholerne zamieszanie! Przepraszam, Daphne. Wiem jedno, trzeba po niego natychmiast posłać. Nie można pozwolić, żeby sama stawiała czoła całemu skandalowi.

Clarissa do niej pojechała, powiadasz? Lepiej wypytam ją od razu, co nabroiła.

Przepraszam cię na chwilę, siostrzyczko?

- Oczywiście - powiedziała. - Zaraz przyślę do ciebie twoją żonę, Claude.

101

Siedział przy biurku i czekał, podpierając głowę dłonią. Niech diabli porwą Rekxa.

Niech go wszyscy diabli!

Weszła Clarissa. Spojrzała na niego i przybrała triumfalną minę.

- Widzę, że już słyszałeś - powiedziała. - Może teraz przyznasz mi wreszcie rację.

- Co dokładnie powiedział ci dziś rano wielbny Lovering?

- Widział Rawleigha, jak wychodził wczoraj z domku pani Winters, a w środku nie paliło się światło - odparła. - Nie mam wątpliwości, co tam się działo, Claude.

- Ty ich może nie masz - powiedział. - Jeżeli w ogóle wolno ci snuć jakieś domysły.

- Jeżeli... - Natychmiast się oburzyła, ale powstrzymał ją gestem ręki.

- Złożyłaś pani Winters wizytę - ciągnął. - W jakim celu, Clarisso?

- Jak to w jakim celu? Kazałam jej opuścić domek i wieś przed upływem tygodnia

- odparła. - Nie możemy pozwolić, żeby tak blisko nas mieszkała kobieta lekkich obyczajów. Mamy dzieci na wychowaniu.

Pochylił się ku niej zza biurka. Twarz mu zszarzała.

- Co zrobiłaś?! - zapytał. Podniósł jednak rękę, zanim zdążyła się odezwać. - Nie powtarzaj, słyszałem. Kto ci dał prawo tak postąpić?

Spojrzała na niego cokolwiek zbita z tropu.

- Nie było cię w domu - powiedziała. - Należało załatwić sprawę bez zwłoki.

- Od dawna tylko czekałaś na okazję - stwierdził, nawet nie usiłując ukrywać

gniewu. - W końcu ją dostałaś. Wykorzystałaś moją nieobecność, żebym cię nie powstrzymał.

- Nie było innego wyjścia - odparła. - Pastor się ze mną zgodził.

- O, doprawdy? - Obszedł biurko i stanął obok żony. Spojrzała na niego z mieszaniną uporu i obawy. - Bardzo mnie zawiodłaś, Clarisso.

- Nie chcesz uwierzyć, że ona jest winna! - zawołała. - Wszystko dlatego, że jest piękna.

- Pani, jestem z ciebie bardzo niezadowolony - cedził Claude powoli i dobitnie. -

Jesteś złośliwą intrygantką i niedobrą kobietą. W jakiś

sposób załatwię to nieporozumienie. Po tym, co zrobiłaś, będzie to bardzo trudne.

Ale już więcej głupstw nie narobisz. Zabraniam ci opuszczać dom do czasu, gdy postanowię inaczej. To polecenie.

- Claude! - Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niedowierzającymi oczyma.

Głos jej zadrżał. - Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

- Ponieważ jesteś moją żoną, pani - odparł. - Kiedy za mnie wychodziłaś, przysięgałaś mi posłuszeństwo. Nigdy go przedtem nie wymagałem. Teraz nie proszę, lecz żądam. Może pani odejść. Mam list do napisania, a potem wychodzę z wizytą.

102

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, a potem zamknęła je bez słowa i wybiegła z biblioteki.

12

Jeszcze dwukrotnie tego dnia zapukano do drzwi Catherine. Była zbyt wstrząśnięta, zanadto oszołomiona i ogłupiała, żebyje zignorować. Poza tym upokorzenie i udręka nie mogły się już bardziej pogłębić.

Mimo wszystko zadrżała, kiedy u wejścia zobaczyła pannę Downes. Ze wszystkich osób w wiosce i w okolicy ją lubiła najbardziej. Była to córka poprzedniego pastora, stara panna w średnim wieku, podpora miejscowej społeczności.

- Nie musi pani nic mówić - powiedziała Catherine, podnosząc dłoń obronnym gestem. - Inni powiedzieli wszystko, co należało. Do widzenia, panno Downes.

Toby wybiegł na zewnątrz obwąchiwał rąbek sukni gościa. Lubił pannę Downes, bo kiedy przychodziła w odwiedziny, zawsze dawała mu kawałki swoich ciasteczek i herbatników, przepraszając Catherine, że marnuje takie specjały.

- Nie, bardzo proszę. - Panna Downes ruchem dłoni powstrzymała ją przed zamknięciem drzwi. Jej blada i zmęczona, nieruchoma twarz wyglądała jak wykuta z granitu. - Czy mogę wejść?

- Proszę. - Otworzyła drzwi szerzej i cofnęła się do środka. Córka pastora ruszyła za nią i stała uparcie w drzwiach kuchni, kiedy Catherine poruszała węgle w piecu.

- Nie wiem, jak wygląda prawda w tej sprawie - zaczęła panna Downes. - Nie chcę i nie muszę nic wiedzieć. To nie moja rzecz. Ale nakazy religii, którą

wyznam, są moją sprawą. Ojciec zawsze mnie uczył, co należy do osobistego wyboru człowieka. Mawiał, że nie wolno mi pozwalać, by kapłan mojego Kościoła, nawet on sam, dyktował mi, co jest prawdą, zwłaszcza jeśli to się nie zgadza z moim wewnętrznym jej pojmowaniem. Prawdą, jak ją

rozumiem, jak rozumie ją moja matka i jakiej ojciec zawsze nauczał, mówi, że Kościół to miejsce dla grzesznych. I tylko dla nich. Grzech to przepustka do Kościoła, żartował czasem. Ja jestem członkinią

Kościola, pani Winters. Niech to mówi samo za siebie. Catherine cicho odłożyła pogrzebacz i usiadła na fotelu, ręce kładąc luźno na kolanach. Wpatrzyła się w ogień.

- Mama i ja nie potępiamy pani, kochanie - powiedziała panna Downes głosem, który zaczął się urywać, kiedy kończyła przygotowaną wcześniej przemowę. -

Nieważne, co pani zrobiła, czy czego nie zrobiła. - Oblała się szkarłatnym rumieńcem. - Nie musimy nic wiedzieć. To pani sprawa.

- Ja też jestem członkiem Kościoła - odparła Catherine. - Ale tego akurat grzechu 103 nie popełniłam.

- Tak właśnie mówiłam mamie - powiedziała panna Downes - a ona uważa tak samo. Zgodziłyśmy się bez zastrzeżeń. Pani Winters to dama, powtarzałyśmy sobie. Nie musi pani bronić się przede mną, moja droga. Nie przyszedłam tu wścibiać nosa w nie swoje sprawy. Pomyślałam jedynie - mama też tak myślała -

że może ma pani ochotę na małą pogawędkę i filiżankę herbaty. O mój Boże, napiekła pani dosyć dla pułku wojska! - Oczy jej się rozjaśniły, kiedy spojrzała na kuchenny stół i wszystkie ciastka, które miały być zanesione starszym ludziom z okolicy.

Catherine odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

- Nie wiem, jak pani wyrazić swoją wdzięczność za te słowa, panno Downes -

powiedziała. - Ale nie wolno pani u mnie siedzieć. Jeszcze ktoś zauważy, że pani tu przyszła. Jeśli ta wizyta wyda się, pani też może stracić przyjaciół.

Panna Downes podeszła do kuchennego ognia, podniosła pokrywkę imbryka, żeby zobaczyć, ile jest w nim wody, i wstawiła go na ogień. W zwykłych warunkach dobre wychowanie nie pozwoliłoby jej na takie zachowanie w cudzym domu, nawet gdyby miała umrzeć z pragnienia. Rozejrzała się wkoło, znalazła czajniczek do herbaty i pokrowiec-ocieplacz.

- Mój ojciec powtarzał, że każdy musi iść za swoją prawdą. - Panna Downes wsypała do czajniczka szczodłą porcję herbaty. - Jeśli ktoś wyznaje inną, po prostu korzysta z wolnej woli, którą Pan w swojej mądrości dał nam wszystkim.

Pani Winters, mogę zrobić tylko to, co jest łaściwe w moich oczach. Jak postąpią

inni, to już ich sprawa. Widzę, że upiekła pani ciastka z porzeczkami. Są lepsze niż wszystkie, których próbowałam, smaczniejsze nawet niż mamy, chociaż za nic przy niej tego nie powiem, by jej nie zranić. Wyłożę kilka dla nas na talerz, dobrze?

Catherine otworzyła wreszcie oczy i skinęła głową.

- Dla pani - powiedziała. - Ja nie jestem głodna. Panna Downes przyjrzała się jej krytycznie.

- Nic pani nie jadła od rana, prawda? Pokroję dla pani jedno ciastko na kawałeczki, takie na jeden kęs. O, w ten sposób, widzi pani? - Znalazła nóż i podzieliła ciastko na nieduże trójkącki. - Robię tak dla mamy, kiedy nie ma apetytu. Proszę, kochanie. - Podała talerz Catherine.

Każdy kęs smakował jak trociny. Przełykała z wielkim trudem, ale z wdzięczności za okazaną jej przyjaźń i niezadającą pytań życzliwość postarała się jeść. Kiedy skończyła, przy jej łokciu stała filiżanka mocnej, słodkiej herbaty. Już dawno nie obsługiwano jej we własnym domu.

Mimo już popełnionych uchybień etykiety panna Downes zabawiła tylko pół

104

godziny, stosowne dla popołudniowej wizyty i ani chwili dłużej. Catherine odprowadziła ją do sieni.

- Przyjdę jutro po mszy - powiedziała panna Downes. - Tak, pójdę do kościoła.

Nie będę karać Boga za to, że moja prawda i prawda pastora różnią się. Och, pani Winters, mama i ja byłyśmy w tarapatkach, starając sienie uchybić pani Lovering, kiedy nas dzisiaj odwiedziła. Doprawdy, miałyśmy wielki kłopot, chociaż chyba nam się udało. Nic nie usprawiedliwia nieuprzejmości, zwłaszcza wobec własnego gościa, nieprawdaż?

- Panno Downes... - Catherine powiedziała zaledwie parę słów w czasie całej wizyty, choć cisza nie zapadła między nimi ani razu. -Dziękuję. Chciałabym umieć wyrazić słowami, co czuję.

Panna Downes, chuda i płaska, stała wyprostowana jak struna, prezentując zwykły surowy wyraz twarzy. Zupełnie nie wyglądała jak osoba, którą miałoby się ochotę

uściskać, ale zanim zdążyła otworzyć drzwi, Catherine odruchowo mocno ją

objęła.

- Ojej... - sapnęła panna Downes, skonsternowana. - Mam nadzieję, że herbata nie okazała się za mocna dla pani, kochanie. Mama taką lubi, chociaż ja wolę nieco słabszą. I kiedy wsypałam dwie łyżeczki cukru, przypomniałam sobie, że pani bierze tylko jedną.

Catherine stała chwilę w otwartych drzwiach, patrząc jak panna Downes idzie ulicą z podniesioną głową. W pewnej odległości od jej domku stało kilka osób.

Inni wyglądali z okien.

Agata Downes, córka pastora, wiecznie zaaferowana stara panna, właśnie dokonała najodważniejszego czynu w całym swoim życiu.

Pukanie rozległo się ponownie zaledwie kwadrans później. Widocznie jej kontakt ze światem zewnętrznym nie miał skończyć się dzisiaj na pozytywnej nucie.

Catherine niechętnie podeszła do drzwi.

Czy nigdy nie nadejdzie wieczór?

Nawet przez chwilę nie pomyślała, że to Rawleigh, ale i tak zaparło jej dech.

Podobieństwo było bardziej wyraźne niż kiedykolwiek. Twarz pana Adamsa straciła charakterystyczny rys pogody i dobrego humoru. Wyglądał blado i poważnie. Tak samo jak towarzysząca mu lady Baird.

- Sądzę, że nie ma tu nic do dodania, prawda? - powiedziała Catherine cierpko, zanim mieli szansę się odezwać. - Chyba, że przyszli państwo skrócić okres wypowiedzenia dzierżawy z tygodnia do jednego dnia.

- Och, Toby, pieseczku kochany. - Lady Baird przykucnęła i wzięła jego mordkę

105

w obie dłonie. - Znasz mnie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

Psiak zgodził się z nią, machając ogonem i podniósł pyszczek, domagając się pieszczot.

- Pani Winters - zaczął pan Adams - chciałbym zamienić z panią parę słów. W

środku, jeśli można. Siostra przyszła ze mną, żeby wizyta miała właściwy charakter.

Gospodyni domu roześmiała się gorzkim śmiechem. Usunęła się na bok i wpuściła gości do saloniku. Lady Baird stanęła przy oknie. Pan Adams zajął miejsce plecami do wygaszonego kominka. Catherine weszła za próg, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Nie będzie się korzyć, mimo pełnych poczucia winy wspomnień o tym, co robiła z jego bratem w korytarzu tego domku. Niemożliwe, że to było zaledwie wczoraj, pomyślała.

- Pani Winters - mówił dalej cicho - wydaje mi się, że w ciągu niecałej doby mój własny brat i moja żona wyrządzili pani wielką krzywdę.

Zaskoczona, nic nie odpowiedziała.

- Nie wiem, co zaszło między panią a Reksem wczoraj wieczorem - ciągnął. -

Uważam, że oboje jesteście odpowiedzialni za swoje czyny. Co robicie razem na osobności, jest wyłącznie waszą sprawą. Nie moją. Ani niczyją inną. Oczywiście, fatalnie się złożyło, że widziano, jak wychodził z pani domku. Ludzie gadają, rozeszły się plotki. Ludzie zaczną oceniać i spróbują karać. Moja żona zachowała się pochopnie. Podano jej

nagie fakty i zmartwiła się nimi. Byłem poza domem i nie mogła zwrócić się do mnie po radę. Uznała, że musi działać zgodnie z tym, jak ja bym, jej zdaniem, postąpił. Teraz żałuje, że usiłując

naśladować męską stanowczość, wystąpiła wbrew własnym, delikatniejszym, kobiecym sentymentom. Może z czasem zechce pani wybaczyć nam obojgu. Mam nadzieję, że puści pani w niepamięć wszystko, co żona powiedziała. Domek należy do pani do końca roku. Chętnie przedłużę potem dzierżawę na niezmiennych warunkach.

- Pani Winters - odezwała się lady Baird, nie odwracając się od okna - proszę wybaczyć i mnie. Świadomie popychałam panią i Rekxa ku sobie, i to nie raz.

Widziałam, że się panią zachwycił, ale nie zdawałam sobie sprawy z jego pobudek. Powinnam była lepiej znać własnego brata. Proszę się nie gniewać, że przyczyniłam się do pani trudnego położenia.

Uważali, że jest winna, tyle że nie miało to dla nich znaczenia. Sądzieli, że romans między dwojgiem dorosłych osób jest ich wyłączną sprawą. Pocięszyło ją to nieznacznie. Potrzebowała czasu, żeby przetrwać ich słowa. To jasne, że pani Adams wcale nie próbowała działać zgodnie z tym, czego spodziewałyby się po 106

własnym mężu. Catherine rozumiała jednak, że pan Adams musiał wytłumaczyć postępowanie żony, nie rzucając cienia na jej motywację.

- Lord Rawleigh odprowadził mnie do domu wczoraj wieczorem - powiedziała. -

Byłam zmęczona. Niestety, pastor Lovering odjechał wcześniej. Chciałam pójść

do domu sama, ale bałam się ciemności. Lord Rawleigh znalazł mnie w pokoju muzycznym, miałam z nim tańczyć ten właśnie taniec. Nalegał, by mnie odprowadzić. Toby czekał, było bardzo późno. Lord Rawleigh wstąpił na moment i uspokoił psa. Wyszedł kilka minut później. - Pozostawiła ich wyobraźni, co zdarzyło się w ciągu tych paru chwil. - Nic między nami nie zaszło. - A przynajmniej nie to, o co mnie posądzano, pomyślała.

Pan Adams skinął głową.

- Być może dobrze się stało, że brat wyjechał z Bodley dziś rano - powiedział. -

Sądzę, że wydarzenia dzisiejszego dnia skłoniłyby mnie, żeby mu upuścić trochę krwi.

- Chętnie bym ci w tym pomogła - dodała lady Baird.

- A przecież wystarczyło zrobić rzecz prostą i właściwą i zadysponować dla pani mój powóz - stwierdził z żalem. - Czy nawet wysłać z panią pokojówkę.

Przepraszam panią za brata. Zawsze był impulsywny, często lekkomyślny, jak wtedy, gdy kupił patent oficerski, choć jako starszy syn nie powinien.

- Zawsze mówił, że byłbyś lepszym dziedzicem tytułu niż on - wtrąciła cicho lady Baird.

- Przykro mi z powodu pani dzisiejszych przejść - powiedział pan Adams. - Plotki z czasem ucichną, a moja żona osobiście panią przeprosi. Jest pani cenionym członkiem naszej społeczności. - Uśmiechnął się. - William i Julie nie staną się

choćby tylko znośnymi pianistami, jeśli pani odjedzie. Zostanie pani?

No cóż, nie może wyjechać. Ten fakt wywoływał u niej przez cały dzień potworny strach. Lecz zostać tu w żadnym razie nie mogła.

- Stałam się wyrzutkiem - odparła. - Jak mogę tu dalej mieszkać?

- O Boże - powiedziała lady Baird gniewnie. - Ludzie potrafią być tacy okrutni bez choćby cienia dowodu. A nawet gdyby mieli dowody...

- Przyjdziemy po panią jutro rano - zdecydował pan Adams. - Pójdzie pani razem z nami do kościoła i usiądzie w naszej ławce. Ludzie zrozumieją wymowę tego gestu.

Catherine na moment zamknęła oczy.

- Powiedziano mi, że bym nie pokazywała się w kościele.

- Kto się ośmielił? - Pan Adams uniósł brwi. Jeszcze bardziej niż zwykle przypominał brata.

- Pastor Lovering - odparła.

107

Przez chwilę spoglądał na nią w zdumionym milczeniu.

- Widzę, że nie przesadziła pani, mówiąc o sobie jak o kimś napiętnowanym -

powiedział spokojnie. - Zajmę się tym, pani Winters. Ta sytuacja wcale mi nie odpowiada.

- Wyjadę - powiedziała. - Jeśli da mi pan tydzień czy dwa.

- Ale czy pani ma dokąd? - Lady Baird odwróciła się od okna z troską w oczach. -

Ma pani rodzinę, do której mogłaby pojechać?

- Tak.

Miała już dość współczucia malującego się na ich twarzach. Litości by nie zniosła.

Nie przyjmie roli bezwolnego pionka w tym dramacie, którego akcja rozwinęła się dzisiaj wkoło niej.

- Tak, mogę jechać do rodziny - powtórzyła. - Napiszę tylko list, żeby mnie oczekiwali. Muszę stąd wyjechać. Nie czułabym się już tutaj dobrze.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział pan Adams. - Ale zostanie pani do końca tygodnia?

- Tak. - Znow poczuła panikę. Tydzień. Co zrobi potem? Dokąd się uda? Nie miała nikogo, nigdzie. Odetchnęła głęboko i zatrzymała na chwilę powietrze, zanim je wypuściła z płuc.

Goście zbierali się do wyjścia. Przedtem jednak pan Adams zapewnił ją, że zadba o jej sprawy i przyjdzie niedługo.

Uważał, że jest Bogiem? Tego się przecież nie da naprawić. Pewne rany nigdy się nie goją.

Lady Baird zawahała się, a potem mocno ją uściskała w otwartych drzwiach, jak przedtem Catherine pannę Downes.

- Mogłabym zabić Reksa - powiedziała. - Mogłabym go rozszarpać.

Wsiedli do czekającego powozu i odjechali.

Znow zamknęła drzwi i oparła się o nie. Pomyślała, że ten dzień i jego wydarzenia wreszcie ma za sobą. Teraz będzie miała spokój.

Jeżeli w swoim życiu w ogóle może oczekiwać odrobiny spokoju.

Lord Pelham i pan Gascoigne udali się z wizytą do Dunbarton, majątku hrabiego Haverforda. Nie potrafili tkwić długo w jednym miejscu, a nie mieli ochoty jechać

ani do Londynu, ani do Stratton Park. Ostatnio siedzieli tam na głowie Rawleighowi parę tygodni. Próbowali go przekonać, żeby pojechał razem z nimi do Kena, ale kiedy odmówił, nie nalegali. W czasie jazdy na południe z hrabstwa Derby nie był najlepszym towarzyszem.

Wyczuli, że lepiej nie żartować z jego paskudnego nastroju. Starali się rozmawiać

na nic nieznaczące tematy. Śmiali się i omawiali ludzi i zdarzenia, które nie miały związku z paroma tygodniami spędzonymi w Bodley House.

Wicehrabia Rawleigh nie rozumiał, dlaczego nie chce jechać z nimi do Kena, mimo że właśnie tego mu brakowało - zmiany scenerii, okazji do spędzenia czasu z trzema najbliższymi przyjaciółmi, bez żadnych zobowiązań i uczuciowych komplikacji.

Ciągnęło go jednak do Stratton, gdzie w spokoju zaleczy rany duszy, chociaż

nawet przed sobą nie chciał przyznać, że je odniósł. Mógł świetnie się obejść bez takich kobiet. Ta kokietka, świadomie czy nie, sprowokowała go do niezbyt godnego zachowania, a on nie cierpiał czuć się nie w porządku, nieważne wobec kogo i z jakiego powodu.

W Stratton o niej zapomni. Znajdzie się w znajomym otoczeniu, a wiosną w majątku zawsze jest mnóstwo do zrobienia. Chętnie sam się tym zajmował, jeżeli akurat był w domu, mimo że miał bardzo sprawnego zarządcę.

Odkąd sprzedał patent oficerski, życie zdawało mu się czasem nieznośnie puste i pozbawione celu.

List z Bodley wyprzedził go w drodze. Zaadresowany został śmiałym pismem Claude'a i leżał oskarżycielsko na srebrnej tacy, na którą oczy Rawleigha padły niemal zaraz po przekroczeniu progów. Na pewno zawiera wyrzuty w imieniu Clarissy, wścieklej, że porzucił Ellen Hudson. Wcale jej nie porzuciłem, pomyślał

z irytacją. Zabiegał o nią jedynie w wyobraźni upartej bratowej. Dziewczyna go nudziła, sama zaś się go bała. Marna podstawa do zalotów, nie mówiąc już o małżeństwie.

Ale Claude, łagodny i zawsze w porządku wobec żony, musiał wyrazić poparcie dla poglądów Clarissy, nawet jeśli sam ich nie podzielał.

Lord Rawleigh zostawił list na tacy w holu, poszedł do swoich pokoi, wziął

gorącą, niespieszną kąpiel, zdrzemnął się pół godziny i przebrał do obiadu. Zabrał

list ze sobą do jadalni i podczas posiłku popatrywał na niego niechętnym wzrokiem.

Sądził, że pośród wszystkich ludzi brat najbardziej zrozumie jego potrzebę

odcięcia się na jakiś czas od rodziny i Bodley House. Złościł go list, który mu to miejsce przypominał. Dobry Boże, Claude musiał napisać i wysłać go zaraz po tym, jak na podjeździe ucichł tętent kopyt trzech koni.

W końcu na stole stał przed nim już tylko kieliszek porto. Wziął list do ręki. Niech tylko Claude spróbuje przekonywać go, że honor nakazuje oświadczyć się tej dziewczynie. Niech tylko spróbuje!

Kilka minut później zmiął w dłoni otwarte pismo i trzymając je mocno, zamknął

oczy. Przez długą chwilę siedział bez ruchu. Służący podszedł niepewnie do stołu 109

zabrać nakrycie, ale majordomus dał mu znak ręką i obaj wycofali się z jadalni.

Boże!

Nie mógł myśleć jasno.

Nie było zresztą nad czym się zastanawiać.

Siedział, tłumacząc sobie, że znajdzie jakieś wyjście, jeśli się skoncentruje.

Kiedy opuścił jadalnię, majordomus krzątał się pod drzwiami, pozornie bardzo zajęty.

- Jutro o świcie jadę do Londynu, Horrocks - powiedział Rawleigh. - A stamtąd prosto do hrabstwa Derby. Dopilnuj wszystkiego, proszę.

- Tak, milordzie. - Horrocks uklonił się, a jego obojętna twarz nie zmieniła wyrazu, kiedy wicehrabia oświadczył, że wraca skąd przyjechał zaledwie przed paroma godzinami.

- Wezmę powóz - zawołał Rawleigh, wbiegając na schody. Tak, milordzie.

Minał cały tydzień. Wiedziała, że nie powinna dłużej zwlekać. Udawała, że robi plany, pisze listy i oczekuje odpowiedzi. Udawała, że ma jakieś atrakcyjne możliwości do wyboru i musi się nad nimi zastanowić.

W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca. Podczas długich godzin samotności po prostu siedziała, patrząc przed siebie. Wiedziała, że w końcu przyjdzie pora zostawić domek w Bodley-on-the-Water i wyjechać.

Tylko dokąd?

Musi po prostu wybrać jakieś miejsce na mapie i pojechać tam, mówiła sobie. Ale to niemożliwe. Co robi, kiedy już tam trafi? Otrzymywała małą rentę. Niewiele zostało z pieniędzy na ten kwartał. Nie starczy na daleką podróż dyliżansem. A jeśli wyda resztki zasobów na podróż, zostanie bez grosza. Nie będzie miała za co zacząć życia w nowym miejscu.

Przypuszczała, że mogłaby znaleźć pracę. Przecież tysiące kobiet radzą sobie, gdy zostają bez żadnych środków. Uczy muzyki, umie gotować, może zostać damą do towarzystwa. Ale jak zdobyć zatrudnienie? Z ogłoszenia? Nie wiedziałyby, jak się

do tego zabrać. Iść do agencji pośredniczącej w wyszukiwaniu posad? Są tylko w dużych miastach. Chodzić od drzwi do drzwi i pytać?

Nie miała żadnego doświadczenia, żadnych referencji. Pan Adams da mi list polecający, pomyślała. Lady Baird też. Nie mogła jednak zdobyć się na to, by ich poprosić. Dla ich uszu zmyśliła bajeczkę o dużej i kochającej rodzinie. Nie czuła się na siłach przyznać, że to nieprawda. Nie wypadało prosić o dalszą pomoc.

Mogła, co prawda, zostać w Bodley. Pan Adams wiele razy powtarzał to od sobotniej wizyty. Jeśli zostanie, roczna opłata za wynajęcie domku wpłynie we 110

właściwym czasie, a ona będzie otrzymywała kwartalną pensję bez zmian. Takie warunki ją obowiązywały; renta i czynsz dzierżawny za dom, dopóki pozostanie w wybranym przez siebie miejscu. Przenosiny musiałyby dobrze umotywować.

W obecnych okolicznościach nie zdoła uzasadnić potrzeby wyjazdu. Miała żyć w Bodley House spokojnie i godnie. Miała nie zwracać na siebie uwagi. W gruncie rzeczy miało się wydawać, że nie istnieje. Tylko spełniając te zastrzeżenia, mogła liczyć na utrzymanie.

Jeśli wyjedzie, zostanie bez grosza przy duszy.

Nie mogła tu zostać. Panna Downes, niech jej Bóg wynagrodzi, przychodziła do niej codziennie i zapraszała w odwiedziny do matki.

Catherine odmawiała. Nie chciała swoim przyjaciółkom jeszcze bardziej utrudniać życia w wiosce. Każdego dnia zaglądał pan Adams z Daphne, albo ona z mężem.

Państwo Baird zabrali nawet Catherine dwa razy na spacer - raz przeszli prawie milę w kierunku południa. Toby radośnie biegł przed nimi - biedny pies, brakowało mu ruchu. Za drugim razem, za namową lady Baird, poszli na spacer przez całą wieś i stali przez chwilę na moście, napawając się pięknem krajobrazu.

Potem wrócili. Dziwnym trafem na ulicy nie było żywego ducha.

To na nic. Nie mogła zostać. Jak żyć w wiosce, w której nie może wyjść sama z domu? Jak robić sprawunki? Jak mieszkać wśród ludzi, którzy traktują ją jak trędowatą?

Wielebny Lovering któregoś dnia zapukał do jej drzwi. Sztywno, pompatycznie, używając formalnego języka przeprosił ją za błędne wnioski, jakie wysnuł owej niefortunnej nocy. Jasne było jak słońce, że zrobił to tylko ze strachu przed utratą

patronatu pana Adamsa i prebendy w Bodley. Więcej pastor się nie pojawił. Pani Lovering w ogóle się nie pokazała.

Catherine nie zgodziła się iść do kościoła w niedzielę. Już drugi tydzień opuszczała nabożeństwo.

Musi stąd wyjechać.

Nie wiedziała, jak się do tego zabrać w praktyce. Jak ma wyjść za próg, zamknąć za sobą drzwi i odejść w nieznanym kierunku, ku nieznannej przyszłości.

I tak trwała beczynnie.

Tego ranka przyszła do niej lady Baird w towarzystwie pokojówki. Panna Downes przyniosła zbiór

ulubionych kazań jej ojca, które zalecał córce ku pokrzepieniu serca. Może i pani Winters przyniosą pociechę?

Potem już nie został nikt, kto mógłby ją odwiedzić. A jednak późnym popołudniem ktoś zapukał do jej drzwi. Może pan Adams? Był dla niej bardzo dobry, ale nawet on nie mógł sprawić, by w wiosce zdarzył się cud, który jej wcześniej obiecywał. Uczucia Catherine wobec niego zmieniły się w ciągu tego 111

tygodnia; darzyła go już nie tylko respektem, ale wręcz serdecznym przywiązaniem.

Gdy otworzyła drzwi, myślała, że to istotnie pan Adams. Potem poznała Rawleigha. Natychmiast spróbowała zatrzaskać drzwi z powrotem, ale zablokował

je szybkim ruchem ramienia. Patrzyli na siebie parę chwil w milczeniu.

-Co pan tu robi? - zapytała wreszcie. Dopiero teraz dostrzegła, że stoi za nim lady Baird.

- Siłuję się z panią przy drzwiach - powiedział swoim zwykłym lekkim, wyniosłym tonem. - Catherine, w tej bitwie nie wygra pani ze mną. Proszę nas wpuścić.

Przeniosła spojrzenie na lady Baird, która przygryzała wargę i miała bardzo nieszczęśliwą minę.

Toby kręcił się wkoło i sapał głośno, ale - ucieszony towarzystwem trzech ulubionych osób - nie szczekał.

Catherine puściła drzwi i odwróciła się, by wprowadzić gości do bawialni. Lady Baird zaprotestowała.

- Nie, pani Winters, proszę nie robić sobie kłopotu, sama rozgoszczę się w saloniku. Będzie pani mogła bez przeszkód porozmawiać z Rekssem w kuchni.

Catherine zawróciła bez słowa.

Stała, wpatrując się w ogień, kiedy usłyszała, jak drzwi kuchni zamykają się cicho.

13

No cóż, Catherine - powiedział.

Minął zaledwie tydzień, a ona zdążyła się zmienić. Wydawało mu się, że straciła na wadze. Z policzków zniknęły rumieńce, twarz miała zgaszoną.

Było gorzej, niż sądził początkowo, po przeczytaniu listu Claude'a. Nie chodziło tylko o plotki i o postępek Clarissy, godny zresztą najwyższej pogardy, choć

Claude bronił żony, jak mógł. Catherine spotkała się z jawnym ostracyzmem ze strony prawie całej wsi. Pastor Lovering nie dość, że zabronił jej pojawiać się w kościele, pierwszej niedzieli po

skandalu napiętnował ją z ambony. Claude wymusił na nim przeproszenie Catherine, ale krzywda już się stała. Poza tym nieszczerza skrucha pastora niewiele była warta.

Stała teraz przy ogniu, plecami do niego, piękna i o nieskazitelnej figurze, ale wyraźnie przybita. Był zły na tę sytuację, która zmusiła go do powrotu. Czuł, że okrutnie wobec niej zawinił i, wbrew logice, tym bardziej jej nie cierpiał, niemal nienawidził.

- Co pan tu robi? - powtórzyła pytanie, które zadała mu w drzwiach.

112

Mógł odrzec, że po prostu sobie stoi, tak jak wcześniej powiedział, że siłuje się z nią w drzwiach, ale czas żartów się skończył.

- Odpowiedź powinna być oczywista - powiedział. - Wróciłem uczynić to, co nakazuje mi honor. Przyjechałem ożenić się z tobą.

Zaskoczył go jej śmiech, co prawda niezbyt radosny.

- Cudowna i romantyczna propozycja - powiedziała. - Mam teraz rzucić się panu w ramiona i patrzeć w oczy wzrokiem pełnym zachwyty?

- Ależ proszę, skoro masz ochotę - odparł zaczepnie. - Catherine, trudno byłoby udawać, że ta sytuacja nam się podoba, ale jest, jak jest i musimy temu zaradzić.

Pobierzemy się.

Odwróciła się. Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa. Jej oczy były teraz ciemniejsze, bardziej brązowe niż piwne i mocno podkrążone. Usta miała prawie tak blade jak policzki.

- Musi pan przywiązywać doprawdy niewielką wagę do małżeństwa -

powiedziała w końcu - jeżeli gotów jest pan je zawrzeć, tak niewiele uczuć mając do zaoferowania.

Dobry Boże! Parę tygodni temu myślał, że przeżywa więcej romantycznych mrzonek niż Claude, który z wielkim zapałem stanął przed ołtarzem w wieku dwudziestu lat. Sam o mały włos nie wplątał się w małżeństwo, ale od rozstania z Horacją porzucił takie pomysły. Zdecydował, że ożeni się tylko wtedy, gdy trafi na prawdziwą, wyjątkową miłość, lecz w miarę upływu lat coraz mniej wierzył, że taka istnieje.

Skończyło się na tym, że musi się ożenić, bo zachował się niedy-skretnie i wskutek braku opanowania skompromitował kobietę.

- Uczucia nie mają nic do rzeczy - odparł. - Raczej okoliczności, Catherine. O ile rozumiem, w Bodley-on-the-Water stałaś się osobą wysoce niemile widzianą.

Nie oblała się rumieńcem. Jeszcze bardziej zbladła, jeśli to było możliwe.

- To mój problem - ucięła. - I nie pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu.

Skrzywił się lekko.

- Nie bądź śmieszna - powiedział.

Odwróciła się z powrotem do ognia i opuściła głowę. Mimo irytacji i niezadowolenia, mimo złości, że musiał wrócić i zrobić, co należy, spojrział z zachwytem na cudowną linię jej karku. Przynajmniej, pomyślał z niechętną

rezygnacją, będę miał piękną żonę.

Żonę! Samo słowo przyprawiało go o panikę. Ale już od tygodnia wiedział, że musi się do niego przyzwyczaić, zaakceptować fakt, że wkrótce zostanie żonatym człowiekiem.

113

- Proszę odejść - powiedziała. - Nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Nie przyjmuję tych dziwnych oświadczeń.

Miałaby się z pyszna, gdybym wziął to serio i poszedł precz, pomyślał z ironią.

Ale nie mógł jej zostawić na pastwę losu. Twarz Catherine świadczyła wyraźnie, z jakim trudem boryka się ze swoją sytuacją. Rozejrzał się po kuchni, z której zrobiła tak przytulne miejsce. Brakowało tylko psa na bujanym fotelu - Toby siedział z Daphne w bawialni. Rawleigh cały ten spokój jej zniszczył.

- Claude i Daphne powiedzieli mi, że masz zamiar wrócić do rodziny.

- Tak - odparła po chwili milczenia.

- Do kogo się udajesz? Dokąd? Do krewnych męża czy w rodzinne strony?

- To nie pańska sprawa.

- Claude się zorientował, że nikt nigdy cię nie odwiedzał, a ty również stąd nie wyjeżdżałaś przez ile? Pięć lat? Musi to być bardzo bliska rodzina, skoro więzy między wami przetrwały tak długi okres, podtrzymywane tylko listownie. Jesteś

całkiem pewna, że zechcą przyjąć na swoje łono kobietę zhańbioną?

- Nie jestem nią - odparła. - Pan o tym wie. Poza tym kochają mnie. Musiała sporo wycierpieć przez ostatnie pokora tygodnia. Jeżeli ma rodzinę, bardziej czy mniej kochającą, czemu nie pojechała do nich od razu?

- Nie masz żadnej rodziny, prawda? Przygarbiła się, ale nie odpowiedziała.

- Jeśli stąd wyjedziesz, gdzie zamieszkaż? Jak sobie poradziż? Przypuszczał, że zacznie od nowa w jakiejś innej wiosce, nie znając nikogo. Nie będzie jej łatwo. Zastanawiał się, czemu zrobiła to samo przed pięcioma laty. Poważne nieporozumienia rodzinne? Czy może należała do tych nieszczęśnych osób, które rzeczywiście straciły wszystkich swoich bliskich? Ale przecież musiała mieć jakichś przyjaciół, własnych lub ze strony męża.

Catherine Winters, jego przyszła żona, niewątpliwie ukrywała wiele tajemnic.

Nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Nie masz wyboru - dodał. - Wyjdiesz za mnie, Catherine. Nikt nie ośmieli się źle ciebie traktować, gdy zostaniesz żoną wicehrabiego Rawleigh. A jeśli ktoś spróbuje, będzie miał ze mną do czynienia.

Oplotła się ramionami.

- Mam wybór - powiedziała. Parsknął ze zniecierpliwieniem.

- To prawda, nie mam rodziny, do której mogłabym pojechać. A jeśli stąd wyjadę, stracę... nie będę miała środków utrzymania.

- Co takiego? - Zmarszczył brwi.

- Nie wyjdę za pana - powiedziała. - Ale całkiem niedawno proponowano mi zatrudnienie. Mogłabym je teraz przyjąć, jeżeli oferta wciąż jest aktualna.

- Jaka oferta? - Powinien cieszyć się, że znalazło się wyjście z sytuacji.

114

Odzyskiwał wolność. Czemu nagle tak się zdenerwował?

- Pozycja kochanki - odparła. - Proponował mi pan, żebym została jego kochanką.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie chcesz wyjść za mnie, ale zostaniesz moją kochanką? - spytał.

- Tak - odparła mocnym głosem.

- Dlaczego? - Z jakiegoś powodu czuł się potwornie dotknięty.

- Zawarlibyśmy umowę handlową. Każda ze stron mogłaby ją zakończyć w dowolnej chwili. Prosiłabym jedynie, żebyśmy uzgodnili jakąś rekompensatę dla mnie, gdyby to pan miał zerwać nasz kontrakt, wypłacaną pod warunkiem, że będzie pan zadowolony z moich usług, oczywiście.

Pod warunkiem... A niech to diabli, brzmiało to tak, jakby starała się o posadę pokojówki czy damy do towarzystwa. A on zaproponował jej małżeństwo!

Odwróciła się do niego i spokojnie spojrzała mu w oczy.

- Potrzebuję płatnego zatrudnienia. Czy pańska oferta wciąż jest ważna?

Jego siostra siedziała po drugiej stronie wąskiego korytarza, czekając na oficjalne potwierdzenie zaręczyn. Jego brat czekał w Bodley na tę samą wiadomość.

Wszyscy szykowali się do działania, gdy tylko oświadczyzny zostaną formalnie przyjęte. Oświadczyzny potwierdzające, że jego postępowanie wobec Catherine Winters podczas pobytu w Bodley opierało się na uczciwych zamiarach, a krótka nieobecność wiązała się z podróżą do Londynu po specjalne zezwolenie, by nie trzeba było czekać z zapowiedziami.

Mieli stworzyć wrażenie pary głęboko, choć nieco lekkomyślnie zakochanej.

Postępującej nierozważnie wyłącznie z nadmiaru uczuć.

A ona spokojnie proponowała, że zostanie jego kochanką.

- Tak - powiedział, podchodząc do niej. - Tak, na Boga. Oferta jest aktualna.

Objął ją w talii, bynajmniej nie delikatnie - czuł, że zeszczuplała - i przyciągnął ją

do siebie. Umyślnie pocałował ją dość gwałtownie, głęboko penetrując jej usta językiem, wykonując nim ruchy imitujące kopulacyjne ruchy mężczyzny.

Na Boga, jeśli ma zostać jego utrzymanką, już on dopilnuje, by zapracowała na swoje pieniądze. Był na nią wściekły.

Nie pozostała bierna. Przywarła do niego. Objęła go jedną ręką w pasie, drugą za szyję. Rozchyłała wargi. Oczy miała zamknięte. Ale w przeciwieństwie do niego nie ogarnęło jej podniecenie. Już w tej chwili zachowywała się jak chłodna, posłusznie wypełniająca obowiązki, opłacona metresa.

Do diabła z nią!

- Wrócę dziś wieczorem - powiedział, patrząc jej w oczy i nie wypuszczając z ramion. - Bądź gotowa i trochę odpocznij przed moim przyjściem. Wyglądasz na zmęczoną. Zobaczymy, czy jesteś dobra i jak szybko się uczysz.

115

Nawet nie drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, iż powiedział to specjalnie, chcąc ją

wyprowadzić z równowagi, dopóki nie zobaczył, że nie wywarł spodziewanego wrażenia.

- Będę gotowa, milordzie - powiedziała.

- Mów do mnie Rex, do cholery! - Nigdy dotąd nie kłął w obecności kobiety. -

Jutro stąd wyjedziemy - ciągnął. - Urządzę cię w Londynie, w twoim własnym domu, ze służbą i powozem. Catherine Winters, zrobisz karierę w półświatku.

Spodoba ci się stolica.

Coś zabłyśło w jej oczach.

- Nie. Tylko nie Londyn. Uniósł brwi.

- Nie Londyn? Gdzie zatem, proszę?

- Nie pojedę do Londynu.

- Spodziewasz się zapewne - stwierdził ironicznie - że sprowadzę cię do Stratton Park i dam wygodny apartament we dworze. Byłoby to bardzo poręczne rozwiązanie, muszę przyznać, ale trochę zanadto tracące skandalem. Mogłoby się

okazać, że przesadziłem w liberalnych zachciankach. Nie wolałabyś zostać tutaj?

A ja będę odbywał długie podróże po parę dni do hrabstwa Derby, ilekroć zechcę się z tobą przespać?

Zarumieniła się po raz pierwszy.

- Wiem, czego się oczekuje od kochanki. Ale proszę, tylko nie Londyn.

Czy to strach pojawił się w jej oczach na jedną chwilę? Natychmiast je zakryła powiekami, a ramiona zwiesiła bezwładnie wzdłuż ciała. Puścił ją i podszedł do kuchennego okna. Spojrzał na ogród na tyłach domu i rzekę. Spodziewał się, że cała sprawa zajmie mu dwie minuty, nie dłużej. Daphne pewnie się zastanawia, dlaczego to tak długo trwa.

- To na nic, Catherine. Jeśli wrócę tu dziś wieczorem, ktoś na pewno mnie dostrzeże. Jestem pewien, że twój domek stał się ulubionym miejscem obserwacji.

To dlatego przyszedłem z Daphne. Mój powrót nie ujdzie uwadze. Jeśli odjedziesz ze mną jutro rano, to zobaczy wielu ludzi. Twoja reputacja zostanie doszczętnie pogrzebana. Nie wierzę, że tego pragniesz.

Roześmiała się, ale nie odpowiedziała.

- Nie pozwolę na to - ciągnął. - Skompromitowałem cię. Muszę ci to zadośćuczynić. Nie, nie wezmę cię na kochankę. Zostaniesz moją żoną!

W kuchni zapanowało milczenie.

- I cóż? - spytał w końcu i obrócił głowę, by spojrzeć na Catherine przez ramię.

Nie ruszyła się z miejsca, ręce zaciskała przed sobą, oczy miała mocno zamknięte.

- Wygląda na to, że odebrano mi wszelką wolność wyboru - powiedziała.

- Tak - odparł cicho.

116

Jemu też odebrano wolność. Zrozumiał to, gdy tylko skończył czytać list Claude'a, ale zdążył się już prawie przyzwyczać do tej myśli. Choć nie do końca. Resztę

życia miał spędzić w małżeństwie bez miłości. Nie chciał zbyt długo zastanawiać się nad tym.

- Tak więc sprawa ustalona - powiedział. - Jutro się pobierzemy. Tu, w Bodley.

Ślubu udzieli nam wielebny Lovering - to potrzebne, byś mogła odzyskać dobre imię.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Jutro? - powtórzyła.

- Przywiozłem specjalne pozwolenie - wyjaśnił. - Zanim tu przyjechałem, wiedziałem, że musimy się pobrać. Weźmiemy ślub jutro, w obecności mojego brata i siostry. Czy chciałabyś kogoś zaprosić?

Znów pobladła.

- To pozwolenie jest chyba nieważne - powiedziała. Znowu coś nowego? Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- Czy na niej widnieje moje nazwisko?

- Naturalnie - odparł. - Catherine Winters, wdowa. Winters, z „s" na końcu.

Zgadza się?

Popatrzyła w dół na swoje otwarte dłonie i powoli podniosła oczy.

- Nie jestem wdową. Nigdy nie byłam zamężna. I nie nazywam się Winters, tylko Winsmore. - Spojrzała na niego niepewnie.

Dobry Boże!

Była przecież damą, to nie ulegało wątpliwości. Niezameżna kobieta! Czemu, u diabła, mieszkała wśród zupełnie obcych ludzi? Pod cudzym nazwiskiem, udając wdowę?

Oto dama, którą miał poślubić.

- Może - powiedział, mrużąc oczy - zechciałaby pani łaskawie opowiedzieć mi coś o sobie, panno Winsmore?

- Nie - odparła. - Nie musi pan wiedzieć nic więcej. Proszę wycofać propozycję małżeństwa, jeśli pan chce. Nie będę pana trzymała za słowo. Dał je pan przecież komuś, kto nie istnieje.

Patrzył na nią przez parę chwil, potem podszedł do drzwi, szarpnął za nie i zawołał siostrę. Usłyszał, że Daphne rozmawia z Tobym, chyba że zaczęła ostatnio mówić do siebie.

Weszła natychmiast i spojrzała na nich pytająco. Uszczęśliwiony pies przy dreptał jej śladem.

- Chciałbym, żebyś mi pogratulowała, Daphne - powiedział. - Ta młoda dama właśnie uczyniła mi zaszczyt, zostając moją narzeczoną. Będziesz chciała ją

117

poznać. Przedstawiam ci pannę Catherine Winsmore.

Spojrzała na niego jak na wariata, a potem zwróciła oczy na Catherine.

- Winsmore? - powtórzyła. - Panna Catherine Winsmore? Catherine oblała się rumieńcem.

- Tak - odparła powściągliwie.

Daphne rzuciła dziwne spojrzenie Rawleighowi i jego narzeczonej.

- Och... - Westchnęła. Potem jednak, z widocznym wysiłkiem, wzięła się w garść i uśmiechnęła serdecznie. - No cóż, sporo czasu zajęło wam dojście do porozumienia. Catherine, bardzo się cieszę. Mogę mówić do ciebie po imieniu?

Cieszę się ogromnie. Będziemy siostrami.

Zbliżyła się lekkimi krokami i przytuliła Catherine, która spojrzała sponad jej ramienia na Rawleigha i przygryzła wargę.

- Dziękuję.

- Musisz mówić do mnie Daphne. - Podeszła i też go mocno uściskała. - Rex, to wspaniale. Wiem, że będziecie szczęśliwi. Ślub odbędzie się jutro? Dziś nie będzie końca przygotowań.

- Ceremonię odkładamy na nieco późniejszy termin - odparł szorstko. - Muszę znów jechać do Londynu. Nazwisko na pozwoleniu jest niewłaściwe.

Daphne przyjrzała mu się uważnie.

- Och tak, rzeczywiście - powiedziała. To niedobrze. Czym usprawiedlimy twój ponowny wyjazd?

- Moje energiczne i apodyktyczne rodzeństwo, razem z małżonkami, nalega na kilka dni zwłoki. Tyle rzeczy trzeba przygotować - wyjaśnił szybko, patrząc na twarz Catherine. - Niecierpliwy pan młody nie może znieść opóźnienia i wchodzi wszystkim w drogę, został więc zesłany do domu przyjaciół na tydzień.

- Może być - powiedziała Daphne w zamyśleniu. Uśmiechnęła się. - Catherine, czeka nas w tym tygodniu mnóstwo radosnych zajęć. Musimy zorganizować ślub.

Ja muszę go zorganizować. Naturalnie! - klasnęła w ręce. - Przeprowadzisz się do Bodley House na ten tydzień i to dlatego Rex będzie musiał wyjechać. Możesz wrócić do swojego domku na noc przed ślubem, po jego powrocie.

- Co ty na to, Catherine? - Była wciąż bardzo cicha.

- Stanie się, jak sobie życzysz.

Posłuszna panna młoda. Miał nadzieję, że nie zechce odgrywać roli uległej żony, kiedy już się pobiorą. Znudziłby się nią w tydzień.

- Dobrze. - Podeszedł do niej. - Wyjadę jutro wczesnym rankiem. Zobaczymy się za kilka dni.

W obecności Daphne nie bardzo wiedział, jak się z nią pożegnać. Catherine odegrała swoją rolę bezbłędnie. Uśmiechnęła się do niego.

118

- Spokojnej podróży - powiedziała.

Nie wiedział, czy podniosła twarz do pocałunku, czy po to tylko, by na niego spojrzeć. Pocałował ją w usta, lekko i szybko, a potem się odwrócił.

- Chodź, Daphne - powiedział.

Przyjechali ostentacyjnie jego własnym powozem, żeby całe Bodley mogło odgadnąć cel tej wizyty.

Pomógł siostrze wsiąść do środka, podążył za nią i zamknął drzwiczki powozu. Obracając głowę, zauważył, że drzwi domku już się

zamknęły.

- No i proszę - powiedział, zamknął oczy i oparł głowę o poduszki powozu. -

Stało się.

- Rex...

- Jeśli można, wolałbym teraz nie rozmawiać, Daphne. Siedzieli obok siebie w milczeniu, a powóz wiózł ich z powrotem

do dworu.

- Ile osób może nosić to nazwisko? Catherine Winsmore... - Lady Baird mówiła do męża. Był wieczór i siedziała skulona w zagłębieniu jego ramienia na małej, dwuosobowej kanapce w ich sypialni. - Oczywiście, że to ona, Claytonie.

- Pewnie masz rację - powiedział, wzdychając. - Biedna dziewczyna.

- Ja też zawsze tak myślałam - zgodziła się. - Nie wiem, dlaczego za każdym razem kobieta płaci, a mężczyźnie wszystko uchodzi płazem. Zazwyczaj to oni ponoszą winę, a tamten człowiek już na pewno.

- Taki jest ten świat, kochanie.

- Tak. - Oparła głowę na jego ramieniu. - Więc naprawdę uważasz, że nie powinniśmy nic nikomu mówić?

- Jej prawdziwe nazwisko nic nie powiedziało Claude'owi ani Clarissie. Wmieście spędzają niewiele czasu. A jeśli Rex coś wie, zachował to dla siebie. Twój brat jest bardzo zamknięty w sobie, Daphne. Wybacz to określenie, on jest zimny jak gład.

- Tak go wychowano, przygotowując do obowiązków dziedzica. Nauczono go nie zwierzać się nikomu i radzić sobie z problemami w pojedynkę - powiedziała smutnym tonem. - Przy tej całej samowystarczalności zawsze wydawał mi się

wrażliwszy niż Claude.

- W innych okolicznościach - ciągnął sir Clayton - honor nakazywałby nam wyznać, co wiemy. Ona jednak została tutaj zupełnie skompromitowana i bez wątplenia Rex ponosi za to winę. Musi się z nią ożenić, niezależnie od tego, czy zna prawdę, czy nie. Zresztą sam tego chce. Powinniśmy trzymać się z daleka od tej sprawy, Daphne. Niech sami zadbają o swoje przeznaczenie.

- Chciałam, żeby obaj byli szczęśliwi, Rex i Claude - powiedziała. - Tak bardzo ich kocham, Claytonie. Teraz muszę patrzeć, jak Rex się żeni z obowiązku, a Claude z trudem zachowuje resztki uprzejmości wobec Clarissy.

- Gdyby Clarissa była moją żoną, nieźle przetrzepałbym jej skórę.

- Och, bzdury - powiedziała pobłaźliwie. - Ty dywanu nie miałbyś serca wytrzepać, a co dopiero zbić żonę.

Zachichotał.

- Życie toczy się dalej. W jakiś sposób je sobie ułożą.

- Wieczny optymista - powiedziała. - Jeśli chodzi o optymizm, to już osiem dni.

Po dwóch latach małżeństwa. Czy tak samo jak ja wstrzymałeś oddech?

- To niebezpieczne dla zdrowia, kochanie. Zwłaszcza jeśli ktoś oddycha za dwoje.

Zgodziliśmy się rok temu, że zdamy się na los, prawda? I że będziemy szczęśliwi, nawet jeśli resztę życia przyjdzie nam spędzić w rodzinie złożonej tylko z dwóch osób.

- Prawda - zgodziła się.

- A zatem...

Po chwili znów się roześmiał.

- Wiesz co? Ja też ledwie śmiem oddychać.

Życie zaczęło przypominać dziwny sen. Niezupełnie koszmar, ale coś koło tego.

Następnego ranka po zaręczynach powóz Rawleigha bez zatrzymywania się minął

domek Catherine. Wstała już i wyglądała przez okno. Dwie godziny później przyjechał powóz pana Adamsa, żeby zabrać ją i Toby'ego do Bodley House. Nie chciała przenosić się do dworu, ale nie protestowała. Pojechała.

Poprzedniego dnia podjęła decyzję, że przynajmniej przez jakiś czas pozwoli sprawom toczyć się bez jej świadomego udziału. Była zmęczona daremnymi próbami sterowania własnym życiem. Próbami, które znów skończyły się

fiaskiem.

Nie chciała wychodzić za mąż. Nie wolno jej. To też był jeden z warunków. Ale jako żona wicehrabiego Rawleigh nie będzie potrzebowała swojej mizernej renty.

Przypuszczała, że on jest bardzo bogaty.

Nie chciała wychodzić za niego. Gdyby nie był tak fascynujący, gdyby nie wzbudzał w niej pożądania, może łatwiej by przyszło zgodzić się na ślub. Nie cierpiała go też za brak wrażliwości i nie znosiła jego arogancji. Tak jasno jej okazał, że pragnie wyłącznie jej ciała - jako żony nie będzie traktował poważnie.

Ona też nie wyobrażała go sobie jako męża. Nie chciała myśleć więcej o małżeństwie ani o Rawleighu. Jej los został przypieczętowany. Właściwie nawet 120

nie powiedziała „tak” na jego oświadczeniu. Pozwoliła, by to się stało, wyłącznie dlatego, że nie miała wyjścia. Myślała, że on zmieni zdanie, kiedy powie mu tę

część prawdy, którą ostatecznie zdecydowała się ujawnić. Wtedy musiałyby szukać innych rozwiązań. Rawleigh się nie cofnął.

Sądziła, że może rozpozna nazwisko Winsmore i zostawi ją w spokoju. Nie zrobił

tęego. Nie czuła się zresztą zobowiązana do szczegółowych wyjaśnień. Zmuszał ją

do małżeństwa. Wiedział, że mówi mu tylko część prawdy, a jednak zdecydował

się z nią ożenić.

Pojechała do Bodley House, gdzie spotkało ją serdeczne przyjęcie ze strony pana Adamsa. Pani Adams zdawkowo ją przeprosiła, okazując zimną grzeczność. Lady Baird okazała przyjaźń, a sir Clayton lekkie rozbawienie. Wszyscy pozostali goście, włącznie z Ellen Hudson, rozjechali się już do domów. Dzieci bardzo się

ucieszyły, mając ją we dworze na stałe, chociaż William początkowo niepokoił się, czy nie oznacza to codziennych lekcji muzyki.

Pokojówki lady Baird i pani Adams zasiadły do szycia ślubnej sukni z materiałów, posługując się szablonami, które były w domu. Kucharz pana Adamsa otrzymał

zadanie przygotowania przyjęcia ślubnego dla tylu gości, ilu da się sprosić wśród szlachty mieszkającej w promieniu dziesięciu mil od Bodley - wielu z nich było obecnych na balu. Przystrajano jadalnię i szykowano powóz pana Adamsa dla nowożeńców. Przygotowywano też wystrój kościoła, który miały ozdobić żonkile i inne wiosenne kwiaty z ogrodów. Nieliczne pąki, które zostały w cieplarniach, przeznaczono do ukwiecenia domu i na bukiet ślubny dla panny młodej.

Trzy damy z Bodley House odwiedziły i zaprosiły z rewizytą wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli w miejscowym towarzystwie. Osłonięta z jednej flanki przez uśmiechniętą i rozmowną lady Baird, z drugiej zaś przez pełną królewskiej godności panią Adams, Catherine przekonała się, że nikt nie odważy się zerwać z nią znajomości. Nie cieszyła się, odzyskując społeczną akceptację na tak fałszywych warunkach, ale nie reagowała. Cierpliwie odbyła przedślubny rytuał, jakiego wymagał kodeks towarzyski.

Naturalnie wszystkich oczarowała romantyczna historia niecierplivej i żarliwej miłości, jaką snuła raz po raz lady Baird z niestrudzonym entuzjazmem i subtelnym dowcipem. Możliwe, że tylko udawano zachwyty. Catherine nie wiedziała już, co w zachowaniu innych jest szczerze, a w co należy wątpić.

- Czy państwo uwierzą- powtarzała lady Baird na zakończenie relacji, z zarumienionymi policzkami i oczyma z iskierkami radości - mój brat naprawdę

sądził, że może wrócić do Bodley zaledwie tydzień po pospiesznym odjeździe po specjalne zezwolenie i porwać drogą Catherine do ołtarza zaraz następnego dnia?

Podły człowiek, bez pojęcia! No cóż, zapewniam was, Clarissa i ja mamy jeszcze 121

w tym domu trochę do powiedzenia. Nieprawdaż, Clarisso?

Na co pani Adams skłaniała głowę z uprzejmą zgodą.

- Ależ oczywiście, Daphne - odpowiadała.

- Udało nam się uratować drogą Catherine - kończyła Daphne triumfalnie, uśmiechając się szeroko do swojej przyszłej bratowej. - Wysłałyśmy Reksa na tydzień do przyjaciół, żeby to u nich przytupywał z niecierpliwością.

Catherine doceniała niezwykłą życzliwość Daphne. Domyślała się, że ona wie wszystko. Nie była pewna, dlaczego powzięła to przekonanie, lecz nie miała wątpliwości - Daphne i Clayton wiedzieli. Żadne nie wspomniało ani słowem.

Wielebny Lovering, któremu dzielnie wtórowała żona, zapewniał wszystkich chętnych do słuchania, że zaszczyt udzielenia ślubu wicehrabiemu Rawleigh i ich własnej kochanej pannie Winsmore będzie ukoronowaniem jego duszpasterskich osiągnięć. Pastor tracił dech w piersiach z dumy, choć modlił się codziennie na kolanach, by mu niebiosy przebaczyły grzech pychy. Nikt nie komentował

publicznie tajemniczej zmiany nazwiska i stanu cywilnego panny młodej.

Panna Downes była jedyną osobą, którą na ślub zaprosiła sama Catherine. Kiedy złożyła jej wizytę, stara panna uściskała ją ze łzami w oczach, a jej matka ujęła dłoń Catherine i uśmiechnęła się do niej ciepło.

Rawleigha nie było cały tydzień. Kiedy wszystkie trzy panie wróciły pewnego popołudnia po wizytach, czekał w salonie z Adamsem i Claytonem. Wstał i ukłonił się Catherine oraz pozostałym damom. Powiedział jej, że dobrze wygląda.

Dodał, że ślub odbędzie się następnego dnia rano. Na koniec stwierdził, że sam odprowadzi ją do jej domku.

Daphne załamała ręce i zawołała, że Rex nie ma pojęcia, jak należy się zachować.

To ona odwiezie powozem Catherine i kochanego Toby'ego. Dzieci usiłowały zaadoptować psa przez cały tydzień, mimo że wciąż uciekał z pokoju dziecinnego, by szukać pani.

Potem Catherine znalazła się znów u siebie, z Tobym zwiniętym na kolanach, a Daphne mówiła jej, że wróci rano i pomoże jej się ubrać, zanim powóz Claude'a przyjedzie, by zabrać je do kościoła. Zjawi się też sir Clayton, który zgodził się

odprowadzić pannę młodą do ołtarza.

Pozwoliła działać innym. W tym tygodniu wszystko toczyło się swoim trybem, bez jej udziału. Nieważne. Była szczęśliwa, że niczym nie musi się zajmować.

Wreszcie jest z powrotem w domu, sama z Tobym. Aż do następnego ranka.

- Toby... - Uklękła na kuchennej podłodze i objęła ramionami psa, który machał ogonem z wielkiej radości, że znów znalazł się w znajomym otoczeniu. - Toby.

Och, piesku.

Długo płakała, przytulając psa. Ciepłym językiem lizał japo uchu.

122

14

Wyglądasz, jakbyś wybierał się na jakieś świetne przyjęcie w najlepszej dzielnicy Londynu - powiedziała Clarissa na widok Reksa. Niebieski surdut uszyto z pięknego sukna. Włożył szare spodnie zapinane pod kolanami, srebrzystą

kamizelkę i koszulę z białego lnu z koronkami u rękawów. Usługiwał mu lokaj Claude'a, własnego zostawił w Stratton. Służący zamotał halsztuk Rawleigha w jakieś wyjątkowo skomplikowane węzły.

Claude powiedział, że pan młody prezentuje się jak należy i śmiejąc się jowialnie, poklepał go po plecach. Za chwilę usłyszy jakieś żarty -na pewno ma halsztuk za ciasno związany pod szyją i jest mu za gorąco.

Czuł się bardzo zmęczony - od dwóch tygodni bez przerwy był w drodze. U jej końca nie czekał go odpoczynek, lecz przygotowania do ślubu, a na dodatek przymus udawania zadowolonego.

Przynajmniej ona wyglądała już lepiej, choć zachowywała się nieco dziwnie. Nie miała tak bardzo podkrążonych oczu, zdawała się mniej zgnębiona, mniej zastraszona. Tylko ten wyraz jakby niewidzących oczu. Pustka - tylko tak mógł

opisać to, co ujrzał w jej spojrzeniu.

W kościele zebrał się spory tłum ludzi. Daphne opowiadała, ile pracy wszyscy wykonali podczas

jego nieobecności. Claude i Clayton bez przerwy odwiedzali sąsiadów, a ona i Clarissa zabierały ze sobą Catherine na wizyty u pań. Od ilości wypitej przez nie herbaty mógłby zatonać spory statek.

Czekał z bratem u stóp ołtarza. Nie spóźniała się, to on zjawił się za wcześnie.

Żałował, że nie może uciec, po prostu wskoczyć na siodło i pognać przed siebie jak najdalej. Pojechałby do Dunbarton, zobaczyć się z Kenem i innymi. Byłoby jak za dawnych czasów.

Nie chciała przecież mieć z nim nic do czynienia. Choć czuła do niego fizyczny pociąg, nie istniał dla niej jako człowiek. Nie chciała zostać jego kochanką ani żoną. Wprost nie mógł w tej chwili uwierzyć, że najpierw zaproponował jej małżeństwo dlatego tylko, iż tak bardzo jej pożądał. Wtedy odmówiła.

W swojej złości i rozczarowaniu był tak nieostrożny, że wyszedł z jej domku, nie sprawdzając czy droga jest wolna. W rezultacie Catherine musiała za niego wyjść.

Wolałby być o tysiąc mil stąd!

Przy drzwiach kościoła nastąpiło poruszenie. Panna młoda weszła do głównej nawy z Claytonem, za nimi uśmiechnięta Daphne, poprawiając coś przy jej sukni.

Ruszyli środkowym przejściem.

123

Boże, ależ ona piękna! Jej uroda uderzyła go tak samo jak pierwszego dnia, kiedy stała przy furcie, skinieniem głowy witając Clarissę siedzącą w powozie, a potem uśmiechnęła się do niego i dygnęła.

Ubrana była w biały jedwab. Suknia została modnie skrojona, z wysokim stanem, niezbyt dużym dekoltem i krótkimi bufiastymi rękawami. Dwie falbanki przy obrębie spódnicy i jedną węższą przy rękawach ozdobiono haftem. Wyszite żółtą

nicia różyczki przyjemnie harmonizowały z bukietem świeżych różanych pąków.

Wygląda jak panna młoda, pomyślał niemądrze. Przecież jest panną młodą. Już za chwilę jego żoną.

Kiedy podeszła bliżej, dostrzegł, że ma mocno zarumienione policzki i rozjaśnione oczy. Wczorajsza pustka zniknęła z nich bez śladu. Spoglądała prosto na niego.

Ileć wrażeń wracał potem myślą do dnia ślubu, nie potrafił przypomnieć sobie, kto jeszcze był obecny w kościele. Nie pamiętał nawet momentu, kiedy Clayton, w zastępstwie ojca, wuja czy choćby brata panny młodej, przekazał mu jej dłoń

przed ołtarzem, ani chwili, kiedy Claude podawał mu obrączki. Nie pamiętał

twarzy pastora ani słów nabożeństwa.

Przypominał sobie tylko ją. Szczupła i śliczna, stała spokojnie u jego boku. Oczy czasem spuszczała w dół - znów zauważył długie rzęsy, kilka odcieni ciemniejsze niż włosy - ale częściej podnosiła je na niego. Jej chłodna dłoń spoczywała w jego dłoni. Miała długie, szczupłe palce pianistki o krótkich, zadbanych paznokciach.

Pamiętał, że zastanawiał się, jak zdołała utrzymać tak miękkie i piękne ręce, skoro w domu nie miała żadnej służby do pomocy w cięższych pracach. Obrączka na jej palcu zabłysła olśniewająco.

Pamiętał jej „tak”, ciche, ale pewne, gdy pastor spytał czy chce go za męża.

Patrzyła mu w oczy, wymawiając to słowo. Pamiętał, jak tym samym mocnym głosem przysięgła kochać go, szanować i być mu posłuszną.

Patrząc wstecz, przypominał sobie zadziwiające uczucie: msza ślubna i słowa wymienionej przysięgi wcale nie wydawały się farsą ani bluźnierstwem. Obiecali przed Bogiem i ludźmi kochać się nawzajem.

Kiedy ją pocałował, wargi miała miękkie i chłodne.

Ta kobieta, której uroda rwała jego oczy, została jego żoną. Kobieta, której od początku pożądał, należała wreszcie do niego. Na resztę życia.

Przypomniał sobie, że w tej myśli nie było lęku, tylko jakieś zdziwienie i radość.

Wszystko stało się tak szybko. Czy to sen? A jednak nie. Rzeczywiście należała teraz do niego.

Była jego żoną.

124

Zawsze sądziła, że jest niezwykle przystojny, tak samo jak twierdziła, że przystojny jest jego brat, Claude. Teraz musi nazywać go po imieniu - został jej szwagrem.

Zawsze uważała, że Rawleigh to atrakcyjny mężczyzna, dzisiaj jednak jego uroda zaparła jej dech w piersiach. Jak nieprzytomnie zakochana dziewczyna, nie mogła oderwać od niego oczu od chwili wejścia do kościoła, kiedy Daphne poprawiała skraj jej sukni. A przecież nie kochała go ani trochę.

Pomyślała niemądrze, że wygląda jak dworzanin albo pan młody. Na swój ślub ubrał się starannie i wspaniale. Mogła się spodziewać, że potraktuje tę ceremonię

lekceważąco, że raczej stawi się przy ołtarzu w stroju do konnej jazdy.

Ślub okazał się dla niej zaskakująco ważnym przeżyciem. Wspomniała, że kiedyś, jako młoda dziewczyna, marzyła o małżeństwie z przystojnym i kochającym mężczyzną. Marzyła o księciu z bajki, jak wszystkie dziewczęta. Przypomniała sobie, jak była rozczarowana, kiedy debiut towarzyski odłożono do jej dziewiętnastych urodzin. Uważała, że będzie niemal za stara na wejście w świat.

Wkrótce po tym debiucie wszystkie marzenia, nadzieje, cała jej przyszłość legły w gruzach. I ostateczny cios - śmierć dziecka zaledwie osiem miesięcy później.

Przez następne pięć lat żyła bez marzeń, bez nadziei. Przez pięć lat zależało jej wyłącznie na spokoju.

Teraz zaś, wbrew oczekiwaniom, wychodziła za mąż. Za przystojnego i bogatego mężczyznę, z rodowym tytułem. Wiedziała, że on jej pożąda, mimo że jej nie rozumiał ani nie kochał. Mimo wszystko miała zostać mężatką, mieć w swoim łóżku mężczyznę przynajmniej do chwili, gdy mu się znudzi albo dopóki nie da mu syna.

Może znów będzie miała dziecko. Dziecko, które urodzi się po dziewięciu miesiącach. Dziecko zdrowe i silne.

Nie kochała mężczyzny, za którego wychodziła - nawet go nie lubiła. Zostawała jednak jego żoną. Niespodziewanie i wśród przeciwności losu odzyskiwała nadzieję na przyszłość, która przyniesie coś więcej niż samotność i spokój.

Może będzie miała z nim dziecko.

Stali na schodach kościoła przez długi czas, ściskając ręce gości, całując niektórych, do wszystkich się uśmiechając. Potem zorientowała się, że specjalnie ją tam zatrzymywał, chociaż mogli natychmiast odjechać i na miejscu powitać

gości zaproszonych do Bodley House. Zwlekał, bo chciał, by zobaczyli ich mieszkańcy wioski. Wielu z nich zebrało się przy bramie na kościelnym dziedzińcu, niektórzy stali na ulicy i przyglądali im się z oddalenia.

Wkrótce jechali z powrotem do dworu Bodley, powozem odświętnie udekorowanym kwiatami, po raz pierwszy sami. Milczeli. Ona trzymała lekką

125

dłoń na jego ramieniu, on przykrył tę dłoń wolną ręką. Nie mogła wymyślić nic do powiedzenia - on nawet nie próbował podejmować rozmowy. Wyglądał przez okno. Dopiero teraz zauważyła, że jest piękna pogoda, bezchmurne niebo i jasno świeci słońce. Po raz pierwszy od dawna nie marzyła, mimo braku płaszcza czy choćby szala.

Podczas weselnego śniadania i po nim trzymał ją blisko siebie, uśmiechał się do niej ciepło zachwyconymi oczyma, oprowadzał wśród gości, aby mogła z każdym zamienić choć kilka słów. Wszyscy zaproszeni zjawili się, ciekawi pary, którą ślub ledwie uchronił przed towarzyskim skandalem. Kilkakrotnie powiedział do niej przy ludziach „najdroższa”.

Odgrywał tę komedię z pełnym przekonaniem. Chciał przywrócić jej dobre imię, zakończyć ten skandal, nie dopuścić, by plotki rozeszły się poza najbliższe sąsiedztwo.

Zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Chronił jej cześć i poniósł konsekwencje własnej niedyskrecji. Pojęła to wszystko i była mu wdzięczna. I nienawidziła go za to. Jak bezbronna jest

kobieta, zabawka w rękach mężczyzny, myślała. Jak szmacianą lalkę można wrzucić w błoto, a potem oczyścić, otrzepać z brudu i przywrócić jej porządną wygląd.

Tak toczy się świat.

Goście zostali w Bodley aż do wieczora. Piękny dzień zachęcał do przechadzek po ogrodzie, a w salonie podawano herbatę i można było spokojnie pogawędzić. W

sali balowej, choć nieudekorowanej na tę okazję, zorganizowano naprędce tańce przy pianinie.

Potem zaczęło zmierzchać i nadeszła pora odjazdu młodej pary. Noc poślubną

mieli spędzić w jej domku, następnego zaś ranka wyruszyć do Stratton Park.

Powóz Claude'a, wciąż pełen kwiatów, czekał na nich przed głównym wejściem.

Daphne śmiała się i płakała, ściskając mocno ich oboje. Claude bez słów obejmował brata przez długą chwilę, po czym zwrócił się do Catherine z miłym uśmiechem i pocałował ją w oba policzki.

- Opiekuj się nim Catherine, moja droga - powiedział cicho. - Bardzo go kocham.

To wartościowy człowiek. - W oczach zakręciły mu się łzy.

Poczuła absurdalny żal. Wolałaby wyjść nie za tego mężczyznę, lecz za jego rodzinę. Pokochała Daphne i Claude'a.

Clayton i Clarissa również ją ucałowali. On mrugnął przy tym okiem, a ona uśmiechnęła się z przymusem.

Inni też się uśmiechali i machali dłońmi. Catherine zdawało się, że na tarasie żegna ich bardzo wiele osób.

Lord Rawleigh pomógł jej wsiąść do powozu i wskoczył na sąsiednie miejsce.

126

Ktoś zamknął drzwiczki i nagle znaleźli się sami w ciszy i półmroku. Powóz ruszył.

Lord Rawleigh! O swoim nowym szwagrze i szwagierce już myślała po imieniu, tego mężczyznę jednak wciąż nazywała w myślach jego tytułem. Rex... Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła wymówić głośno to imię. Jej mąż. Mimo porannej ceremonii i trwającego cały dzień i wieczór przyjęcia wszystko wydało jej się

raptem nierealne. Jej mąż. Opierał się o poduszki powozu i nie otwierał oczu.

- No cóż, Catherine - powiedział po dłuższej chwili. - Doszło do zadośćuczynienia. Znowu jesteś uczciwą kobietą.

Siedziała zupełnie bez ruchu. Gdyby się poruszyła, uderzyłaby go w twarz.

Mocno.

- Catherine Adams, wicehrabina Rawleigh - dodał. - Teraz kwestia: Winters czy Winsmore traci znaczenie.

A ona traciła podstawy własnej tożsamości. Bez Rawleigha nie miała już żadnej.

Nosiła jego nazwisko i stała się jego własnością. Nabytkiem, którego wcale nie pragnął. Chyba że w łóżku, dla przyjemności i być może dla zdobycia potomka.

Oddychała powoli i równomiernie, próbując nie poddawać się goryczy.

Zgorzknienie prowadzi prosto do samozniszczenia, wiedziała o tym dobrze.

Kiedy powóz skręcił z alei wjazdowej w uliczkę wioski, Rawleigh znów się odezwał. Wciąż miał zamknięte oczy.

- Powiedz mi Catherine - zagaił. - Czy moja żona jest dziewicą?

Spodziewała się, że wyciągnie wnioski z faktu, że mieszkała samotnie, ukrywając się pod przybranym nazwiskiem. Dziwiła się, że nie zadał tego pytania przed ślubem, skoro nie był pewien. Skoro był tak bezgranicznie czuły na punkcie swojego honoru. Cóż, dla wicehrabiego, wieloletniego oficera kawalerii, honor musiał być cenniejszy niż życie.

- Nie - odparła. Bardzo się bała, że odezwie się zawstydzonym szeptem i w rezultacie, w zamkniętym wnętrzu powozu, to słowo wyrwało jej się głośnym okrzykiem protestu.

- Tak też myślałem powiedział cicho.

Jej pies siedział sam przez cały dzień. Panna Downes przyszła wypuścić go tylko na pięć minut po południu. Przywitał ich entuzjastycznym szczekaniem, niemal ogłupiały z radości. Podskakiwał przy nogach Catherine i lizał ją po twarzy, kiedy się nad nim pochylała.

- Powinien wyjść na chwilę - szepnęła, a terier pobiegł do tylnych drzwi, poszczekując z podniecenia. Otworzyła mu, a potem wyszła za nim i nie wracała przez całe dziesięć minut.

127

Rawleigh zapalił kilka stojących w kuchni świec. Nie miał zamiaru zawracać sobie głowy rozpalaniem ognia. Noc była ciepła, a oni i tak nie zostaną na dole.

Złościł się, choć nie dlatego, że nie była dziewicą. Tego się spodziewał. Byłby zaskoczony, gdyby na jego pytanie odpowiedziała twierdząco. Właściwie odczuł

pewną ulgę, dowiadując się, że dziś wieczorem nie czeka go jej nieśmiałość, ból, opór jej ciała i krew.

Nie, to nie brak dziewictwa drażnił go, tylko fakt, że jemu dotąd odmawiała siebie tak stanowczo, chociaż kiedyś otworzyła się dla innego mężczyzny. A może mężczyzn... To był cios dla jego dumy, że tylko przy nim udawała kobietę nie do zdobycia.

Oczywiście, teraz świetnie rozumiał, co jej się przydarzyło w przeszłości. Sypiała z mężczyzną, który z jakichś powodów nie ożenił się z nią, a jej rodzina zesłała ją

w niełasce na zabity deskami wieś i utrzymywała pod warunkiem, że tam zostanie.

Nienawidził myśli, że w takim życiu dostrzegała więcej szczęścia, niż w tym, które jej ofiarowywał. Żył się, że zabierają z wygodnego małego domku niemal siłą i właściwie wbrew jej woli. Źle się czuł, wiedząc, że zadaje jej gwałt, nawet jeśli dzisiejszy ślub go legalizował.

Niech to wszyscy diabli! Śmiał się wczesną wiosną z Nata i Edena, że ledwie uniknęli małżeńskich sideł. Dla niego droga ucieczki nie znalazła się. Zastanawiał

się czy teraz kpią z jego losu. Napisał do nich do Dunbarton, zawiadamiając o ślubie. Nie wierzył do końca, że będą się śmiać. Raczej zrozumieją jego uczucia i podjętą decyzję. Będą mu współczuć.

Do licha, nie życzył sobie niczyjej litości.

Drzwi otworzyły się i Toby wbiegł do kuchni. Jego żona szła za nim powoli. Jej jedwabna suknia połyskiwała w świetle świec i nie pasowała do skromnego wnętrza.

Wziął do ręki świecę i zgasił pozostałe.

- Zaprowadź mnie do sypialni.

Nie chciał odwlekać nieuniknionego, choć było wcześniej. Wrócił myślami do ostatniej okazji, kiedy prosił ją o to zaledwie przed paroma tygodniami. Wtedy płonął z pożądania. No cóż, teraz też płonął, ale wtedy sądził, że pożądanie jest wzajemne.

Odwróciła się bez słowa i poprowadziła go na górę wąskimi drewnianymi schodami. Sypialnia była zadziwiająco przestronnym pokojem o zdecydowanie kobiecym wystroju. Sufit, nad łóżkiem wysoki, załamywał się wzdłuż linii dachu pod przeciwległą ścianą. Musi czuć się dziwnie, pomyślał, stawiając świecę na toaletce, a lustro odbiło i wzmocniło jej płomień. Mężczyzna w sypialni, po tym jak spała w niej sama przez pięć lat.

128

Jego żona odwróciła się i spojrzała na niego dość spokojnie. Odważna kobieta. Ale przecież nie jest dziewicą.

- Chodź - powiedział, wyciągając do niej dłoń. Podeszła. - Odwróć się.

Suknia z tyłu zapinała się chyba na dwadzieścia małych guziczków z masy perłowej, każdy wciśnięty w maleńką dziurkę. Odpiął je wszystkie ze staranną

uwagą i wyjął z jej włosów wszystkie szpilki. Zsunął z ramion Catherine suknię i bieliznę. Zadrzała, kiedy obrócił ją do siebie. Połyskliwa suknia opadła do jej stóp.

Przyklęknął, żeby zdjąć jej pończochy. Przeważała jedną, a potem drugą stopę

poza leżące na ziemi zwoje materiału i stanęła obok, naga. Wyprostował się i popatrzył na nią.

Spoglądała na niego, nie mrużąc oczu, poprzez falę włosów. Zakryły resztę jej twarzy i, jak się tego spodziewała, sięgały niemal talii.

- Jeżeli w tych kształtach kryje się jakaś skaza, ja jej z pewnością nie widzę.

- Skoro związałaś się ze mną do końca życia, dobrze, że podoba ci się twój nabytek.

Uniósł brwi.

- Owszem, rzeczywiście mi się podoba - potwierdził i uniósł dłoń, by grzbietem palców pogłodzić lekko jej policzek i szyję.

Zbliżył się i pocałował jej usta lekko rozchylonymi wargami. Nie spieszył się.

Mieli przed sobą całą noc. Otoczył dłońmi wąską i kształtną talię Catherine.

Przesunął ręce i objął nimi piersi. Były ciepłe i jedwabiste w dotyku, nieduże, ale jędrne, o uniesionych czubkach. Cudowne. Sutki natychmiast stwardniały pod lekkim naciskiem jego kciuków. Położył dłonie na jej plecach i opuszczał powoli, aż dotknął pośladków. Wciąż utrzymywał niewielką odległość między ich ciałami.

Zadrzała gwałtownie, a on przyciągnął ją do siebie. Mocno podtrzymując rozpostartą dłońią jej plecy, drugą ścisnął obie piersi. Pogłębił pocałunek.

Ogarniało go istne szaleństwo, kiedy trzymał tę nagą kobietę przy swoim kompletnie ubranym ciele. Napawał się cudownie erotycznym wrażeniem, zdecydowany nie spieszyć, chociaż instynkt mówił mu, by zedrzeć ubranie, rzucić

się z nią na łóżko i wziąć ją natychmiast, byle ulżyć nieznośnemu napięciu.

Mimo że naga w nieogrzanym pokoju, w ciągu paru minut rozgrzała się w jego objęciach. Mocno go objęła. Miękkie wargi odprężyły się, poddały i otworzyły pod naciskiem jego ust. Nawet kiedy rozluźnił ramiona, jej wygięte w łuk ciało lgnęło do niego.

Upewnił się wreszcie, że ona pragnie tego, co ma się zaraz stać. Nie zanosilo się

na gwałt ani nawet niechętnie małżeńskie przyzwolenie.

- Do łóżka - szepnął z ustami tuż obok jej ust. - Inaczej skonsumujemy nasz związek na podłodze.

129

Leżała, patrząc, jak się rozbiera. Zrobił to bez pośpiechu, ciesząc się widokiem jej piękności i własnym pożądaniem. Obserwowała go, nie udając skromności czy zawstydzenia. Zdecydował, że nie zgasi świecy. Położył się obok niej na okryciu łóżka.

Stała się teraz zupełnie bierna. Nie stawiała oporu, ale też nie przejawiała żadnej ochoty do odkryć czy eksperymentów. Było w niej ciepło i oddanie, ale nie podniecenie. Przeżyła pięć lat bez mężczyzny... Cierpliwie zaczął starać się o jej przyjemność. Nigdzie się nie spieszyli. Potrafił się powstrzymać. Początek uczytę dawał mu tyle samo radości, co główne danie. Lubił mieć pod sobą kobiety zdyszane i gorące. Zajęło mu to dużo czasu.

Podniósł się wreszcie na jednym ramieniu i spojrzał na nią przez na wpół

przymknięte powieki. Bardzo jej pragnął. Koniuszkiem palca przesunął delikatnie po jej wilgotnych i obrzmiałych ustach.

- Ile razy przedtem to się stało? Spojrzała, nie rozumiejąc pytania.

- Raz? - Powtórzył. - Dziesięć razy? Sto? Więcej, niż możesz zliczyć? Wtedy wreszcie pojęła, chociaż nie odpowiedziała natychmiast. Patrzyła na niego.

- Raz - szepnęła w końcu.

Ach, tak. I stało się to pięć lat temu. W takim razie była właściwie dziewicą.

Wysunął dłoń i lekkim dotykiem palców musnął miejsce między jej udami.

Zamknęła powieki. Pozornie nie okazywała podniecenia, ale była gotowa, by go przyjąć. Uniósł się nad nią, opierając ciężar ciała na rękach, i nogami rozsunął jej kolana. Szeroko otworzyła oczy.

- Spokojnie - powiedział. Więc jednak się bała. - Odpręż się. Pozwól, żeby to się stało.

Obserwował jej twarz, kiedy stopniowo wsuwał się w nią głęboko. Zębami przygryzła dolną wargę, ale nie protestowała. Jej mięśnie zacisnęły się wokół

niego, stawiając cudowny opór. Znowu przymknęła powieki.

Poruszał się powoli, rytmicznie, każdym ruchem coraz głębiej, do końca, zmuszając się do opanowania. Niech jego żona uczy się od nowa podstaw intymnego pożycia. W przyszłości pokaże jej, czego jeszcze oczekuje, a nawet żąda od swej partnerki w łóżku.

Trwało to wiele minut, aż wreszcie uniosła nogi i udami objęła jego biodra.

Jęczała cicho. Wstrzymał się na moment u samego wejścia, gdy wyczuł, że osiągnęła moment największego napięcia, a wtedy wszedł w nią głęboko i jeszcze głębiej, po czym zamarł bez ruchu.

Krzyknęła i zadrżała pod nim.

Czekał, aż się uspokoi i odpręży. Kiedy w końcu opuściła stopy na łóżko, podjął szybsze tym razem ruchy i głęboko wewnątrz niej umieścił wreszcie swą

130

gwałtowną rozkosz.

Był wyczerpany - tylko to przyszło mu do głowy. Przywierał do niej całym ciężarem ciała. Musiał chyba na moment zasnąć, a nie był lekki jak piórko.

Ostrożnie i z pewnym żalem wycofał się z niej i położył obok. Czuł, że mógłby teraz spać przez tydzień. Łóżko było wygodne, a ona okazała się ciepłą, cudowną

kochanką. W najbliższych tygodniach i miesiącach będzie ją uczył i cieszył się nią do woli. Nie wiedziała zbyt wiele. Był z tego dziwnie zadowolony.

Sięgnął, by odsunąć kapę. Chciał przyciągnąć do siebie Catherine i spróbował ją przytulić, ale ona uprzedziła ten ruch i odwróciła się do niego plecami. Odsunęła się na skraj pościeli.

Patrzył na nią, wylaniającą się spomiędzy długich cieni, rzucanych przez migoczącą świecę, która zdążyła wypalić się prawie do końca. Nie wyglądała na odprężoną i nie spała. Nie widział jej twarzy. Nie słyszał nawet oddechu.

- Sprawilem ci ból?

- Nie.

- Gniewasz się na mnie?

- Nie.

Miał wrażenie, że ona płacze, choć jej ramiona nie drżały, nie szlochała ani nie pociągała nosem. Po krótkim wahaniu wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Błyskawicznie odwróciła twarz, chcąc ją ukryć w poduszce, ale zdążył

poczuć na dłoni wilgoć łez.

Zrobiło mu się zimno i poczuł ogromny gniew. Zacisnął rękę w pięść. Był

wściekły. Potwornie wściekły.

Wyszedł z łóżka, pozbierał ubranie, w przejściu chwycił świecę i zszedł do kuchni.

Toby, rozparty na bujanym fotelu, pomachał ogonem.

- Proszę stamtąd zejść, i to już - rozkazał wicehrabia stanowczo i włożył z powrotem swój wykwinny ślubny strój.

Pies zeskoczył z fotela.

O Boże, ależ był zły. Najchętniej potłukłby całą kuchenną zastawę. Tak się starał

dać jej trochę przyjemności, w żaden sposób nie urazić, nie skrzywdzić. A i tak skończyło się łzami.

Mieli spędzić ze sobą resztę życia.

Do diabła, był dziesięć razy bardziej zmęczony niż zły. Ziewnął, aż coś mu trzasnęło w szczękę. Rozejrzał się z nadzieją, ale jedyną rzeczą, którą mógł sobie podłożyć pod głowę, była haftowana poduszka z siedzenia fotela. Jako okrycie mógł mu służyć obrus ze stołu.

Usiłował umościć się jakoś w fotelu, używając i poduszki i obrusa. Nic z tego nie 131

wyszło, ale przynajmniej zrobiło mu się nieco cieplej, kiedy pies wskoczył mu na kolana i zwinął się na nich w kłębek. Resztę nocy Rawleigh z trudem przedrzemał.

15

Spała źle i ciągle się budziła. Dobrze, że w ogóle udało jej się zasnąć. Gdy Rawleigh zabrał świecę i wyszedł z sypialni, zrozumiała, że nie wróci do łóżka i będzie spał na dole. Popełniła wielki błąd.

Spotkało ją coś niespodziewanie cudownego. Na początku się wstydziła, kiedy zdjął z niej ubranie i nie pozwolił włożyć specjalnie przygotowanej na tę okazję

nowej koszuli. Nie bardzo wiedziała, co ma robić, mimo wszystko przeżyła najpiękniejsze doświadczenie swojego życia.

Pożądała go od samego początku. Już po tej pierwszej wieczornej wizycie pragnęła go całym ciałem. Ale zupełnie ją zaskoczyło, że spełnienie okazało się

boleśnie piękne. I to, że miłosny akt trwał dłużej niż minutę czy dwie.

Leżała na plecach i wpatrywała się w ciemność długo po jego wyjściu. Łzy stopniowo obeschły. Uda ją bolały, bo je szeroko dla niego rozkładała. Wewnątrz czuła pieczenie, nie całkiem niemiłe. Głęboko wewnątrz coś jeszcze lekko pulsowało. Kiedy wszedł w nią, stężała, zszokowana jego rozmiarem i twardością.

A jednak ból i szokujące doznanie przerodziły się w miłosne upojenie.

Potem straciła wszelki kontakt z rzeczywistością, z nim wprost przeciwnie. Z

każdą sekundą przeżywała coraz intensywniej, każdy nerw brał w tym udział.

Kochał ją z wielką wprawą i namiętnością - na świecie istnieli tylko oni. Nie było zupełnie nic oprócz ich zatracenia. Wszystko inne, wszelkie wydarzenia, które doprowadziły do tej chwili zniknęły z jej świadomości.

Był jej mężem, a ona jego żoną. Spleceni ciałami, leżeli w łóżku podczas nocy poślubnej. Było to proste, przejmujące i cudowne. Wszystko oprócz zakończenia.

Najpierw przyszedł moment nieznośnego napięcia - na moment ogarnęła ją panika i myślała, że dłużej nie wytrzyma. Nie wiedziała, skąd się wzięło to odczucie, ale niespodziewanie coś się w niej otworzyło i wraz z falą rozkoszy zniknęło napięcie, a ją ogarnął wielki spokój. Pomyślała, że nie ma na nic siły. Wtedy znowu się

poruszył. Zaspokojona i ciekawa, cieszyła się potężnymi pchnięciami jego ciała i wreszcie gorący strumień zalał jej wnętrze.

A potem poczuła, jak jego odprężone ciało przygniatają do materaca.

Trzymała go w ramionach, czując jego ciężar i ciepło, wdychając dziwnie podniecającą mieszaninę piżmowej wody kolońskiej i potu, patrząc na cienie płomienia świecy na znajomych ścianach i ukośnym suficie sypialni.

Chwilę później oprzytomniała. Lord Rawleigh właśnie skończył konsumować

132

małżeństwo, którego oboje nie chcieli. Nie lubiła go ani nie szanowała jako człowieka. Zainteresowanie nią Rawleigha ograniczało się do cielesnego pożądania. Nigdy tego nie krył. Kilka razy ją przekonywał, by mu się oddała lub próbował potraktować to jak transakcję handlową. Nie chciał jej za żonę, ale skoro nie miał w tej sprawie wyboru, przynajmniej wykorzystał fakt, iż ciało Catherine teraz należy do niego.

Co do tego nie było dyskusji. Nie będzie się o to spierać. Ona też ma swoje potrzeby, zawsze też uważała go za niezwykle pociągającego mężczyznę.

Po oddechu poznała, że zasnął. Nie poruszyła się. Nie pragnęła uwalniać się spod ciężaru jego ciała, wciąż połączonego z jej własnym. Zdała sobie jednak sprawę, że przeżyte zespolenie było pozbawione

głębszych uczuć. Ograniczone do ruchów ciała, służyło wyłącznie rozrywce. W

zażywaniu przyjemności nie ma zresztą nic złego, zwłaszcza jeżeli mężczyzna robi to z własną żoną.

Czegoś jej bardzo brakowało.

Powiedziała mu kiedyś kąśliwie, że w ciele kobiety kryje się dusza. Jej własna czuła się teraz zagubiona. Czy taki związek jej wystarczy? Czy to już wszystko?

Drzemał zaledwie kilka minut. Potem zsunął się z niej i położył obok, a wtedy poczuła nagle chłód, pustkę i lęk przed samotnością. Odwróciła się od niego, bojąc się spojrzeć mu w oczy i ujrzeć potwierdzenie swoich obaw. Po raz pierwszy spał w jej łóżku mężczyzna. Pomijając krótkie towarzyskie wizyty, po raz pierwszy miała kogoś przy sobie w tym domku. Była kobietą zamężną i teraz mąż

będzie o nią dbał do końca życia.

Nigdy nie czuła się bardziej opuszczona.

Absurdalnie, wbrew rozsądkowi, czekała, aż on coś powie, dotknie jej, pocieszy.

Pragnęła opiekuńczego uścisku jego ramion tak bardzo, jak kilka minut wcześniej rozkoszy. Kiedy jednak chciał ją pogłodzić po policzku, odepchnęła go. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, póki dłonią nie dotknął jej twarzy. Zamiast obrócić się i położyć głowę na jego piersi, ukryła ją w poduszce, odsuwając się od niego.

Jak mogła marzyć o czułości, a zarazem ją odrzucać? Nie rozumiała siebie.

Nieprawda, wszystko rozumiała. Nie mógł jej ofiarować żadnej pociechy. A ona nie upokorzy się. Nie pokaże mu, że potrzebuje bliskości. Że marzy o niej, odkąd jej tęsknoty za intymną bliskością zbudziły się na nowo. Może się obyć bez miłości, owego dziwnego stanu ducha, którego nikt nie umiał dokładnie opisać

słowami, choć marzyły o nim wszystkie młode dziewczęta. Mogła żyć bez miłości, jeśli tylko dano by jej sympatię, przyjaźń i trochę wspólnego śmiechu.

Ale okazało się, że mogła się spodziewać wyłącznie tego, co właśnie zaszło.

133

Przeżycie cudowne ponad wszelkie wyobrażenie, kiedy jeszcze trwało. Kiedy się

skończyło, samotność dała się we znaki ponad miarę.

Później Rawleigh wstał z łóżka, zabrał świecę i zszedł na dół. Najpierw myślała, że wyjdzie z jej domku i nigdy nie wróci. Ale tego by oczywiście nie zrobił.

Honor i przyzwoitość nakazywały, by został do rana.

Przez resztę nocy leżała na plecach. Drzemała, budząc się co chwila. Popęłniła okropny błąd. Błędem był ślub, jeszcze większym zaś niezgodą na ograniczenia w ich związku. Chociaż noc trwała

długo i była bezsenna, Catherine bała się nadej-

ścia poranka. Znow będzie musiała stawić czoło Rawleighowi

Zdezorientowany, ocknął się, kiedy Toby zeskoczył mu z kolan. Zesztywniałe mięśnie, obolały kark i przejmujący chłód uprzytomniły mu, że nie śpi w łóżku.

Otworzył oczy.

Tak wygląda jego pierwszy dzień w stanie małżeńskim. Przebudzenie po nocy poślubnej.

Catherine już wstała. Skrzypnęły otwierane drzwi - wypuszczała psa. Nie wróciła od razu do środka, widocznie wyszła razem z nim, jak wczoraj. Pozwalała, żeby ten mały i źle wychowany terier rządził jej życiem, irytował się. Musi jej być

zimno na zewnątrz...

Najwyraźniej w kuchni doskwierałoby jej jeszcze mocniej, zwłaszcza w jego towarzystwie. Przypomniało mu się upokorzenie doznane na widok jej łez po miłosnym akcie. To mu się nigdy nie zdarzyło. Wstydział się, że jedyna kobieta, która w łóżku rozplakała się z żalu, to jego własna żona.

Niewprawnymi dłońmi spróbował rozpalić ogień. Nawet na wojnie miał zawsze ordynansa, myślał posępnie. Kiedy weszła, zaczynał powoli odczuwać coś w rodzaju respektu dla służby domowej.

- Mogę się tym zająć - powiedziała cicho.

Obejrzał się za siebie. W skromnej niebieskiej wełnianej sukni, z włosami zebranymi na karku w węzeł, znow wyglądała jak pani Catherine Winters, wdowa z Bodley-on-the-Water.

- Nie wątpię - odparł. - Ale wolę zrobić to sam.

Aż trudno uwierzyć, że zeszłej nocy poznał tak dobrze to ciało. Wyglądała szczupło i wdzięcznie. Równie nieosiągalna, jak zawsze i tak samo pociągająca.

Zacisnął szczęki.

- Przygotuję herbatę - powiedziała i minęła go ze wzrokiem utkwionym w czajnik. - Masz ochotę na tosty?

- Tak, proszę - odparł i założył ręce do tyłu. Do diabła, czuł się niezręcznie, jak 134

nieproszony gość. - Złaż stąd, łaskawco. - Ulżyło mu, gdy nieco irytacji przeniósł

na inną żywą istotę.

Toby zastrzygł uszami, pomachał ogonem i zeskoczył z fotela.

Lord Rawleigh zauważył, że surdut i spodnie ma okropnie wygniecione. Czuł się

nieświeżo. Przywiózł ze sobą torbę z rzeczami. Pora umyć się, ogolić i przebrać, zanim przyjedzie powóz, by ich oboje zawieźć do domu.

Wraca do domu z żoną. Nie mógł się przyzwycząić do tej dziwnej, niemal nierealnej myśli.

Lokaj, gdyby go ze sobą zabrał, wyjąłby wieczorem ubranie i przygotował je, upewniając się czy jest czyste i niepogniecione. Sam nie pomyślał, oczywiście, żeby to zrobić. Za bardzo się spieszył, by zabrać swoją nowo poślubioną małżonkę

do sypialni i do łóżka.

Wdzięcznymi i pewnymi ruchami napełniła imbryk i umieściła go nad ogniem, a potem zaczęła kroić chleb na grzanki. Od zejścia na dół ani razu nie spojrzała mu w oczy. Z minuty na minutę zaczynał się coraz bardziej irytować.

- Pójdę na górę umyć się i przebrać - powiedział.

Czy ona tam się myje? A może tu, w kuchni? W sypialni nie zauważył miejsca z przyborami kąpielowymi.

- Naprzeciwko sypialni jest gotownia - powiedziała, czytając w jego myślach, zajęta wsypywaniem herbaty do czajniczka. - Jeśli poczekaś, aż woda się

zagotuje, będziesz mógł wziąć trochę gorącej.

Diabli nadali! No tak, nie miała przecież służby, która zaniosiłaby na górę wodę do mycia i golenia. Jak ona znosiła takie życie? Po raz pierwszy pomyślał o tym, czy uda jej się przystosować do zwyczajów Stratton Park? Czy będzie umiała się

znaleźć? Czy stanie się dobrą panią tego wielkiego domu? No cóż, jeśli nie... Do diabła z tym. Dom prowadzono sprawnie przez wszystkie lata, kiedy Rawleigh nie miał żony.

Na szczęście jakoś udało im się nawiązać rozmowę, kiedy jedli śniadanie przy kuchennym stole. Opowiadał jej o Lizbonie, mieście, w którym spędził kiedyś

cały miesiąc, leżąc się z wojennych ran. Ona wspominała, jak poszła do stajen Bodley House, wybrać sobie szczeniaka spośród sześciu w miocie. Wzięła Toby'ego, ponieważ on jeden stanął na grubych, niepewnych łapkach i rzucił się

do niej ze szczekaniem, zły za naruszenie jego terytorium.

- Choć kiedy go podniosłam, z równym entuzjazmem lizał mnie po twarzy i rękach - powiedziała ze śmiechem. - Nie miałam wyjścia, musiałam go wziąć do domu. Podbił moje serce.

Spoglądała na dno filiżanki z herbatą. Widać było, że przed oczyma znów ma tamtego dzielnego malucha. Uśmiechała się, a jej błyszczące oczy złagodniały.

135

Lord Rawleigh pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby w najbliższym czasie on, a nie filiżanka herbaty, otrzymał taki uśmiech. I natychmiast znów się

zirytował. Wczoraj odwróciła się od niego plecami i płakała! Odsunął krzesło i wstał.

- Za pół godziny przyjedzie powóz - powiedział, wyjmując z kieszeni zegarek. -

Powinniśmy się szykować, żeby jak najwięcej drogi odbyć za dnia. To długa podróż.

- Tak - szepnęła, odstawiła filiżankę na spodek i usłyszała jej głośny brzęk.

Cofnęła dłoń, by nie zauważył jej drżenia.

Co znowu? Czy myśl o odjeździe z nim była aż tak straszna? A może chodziło o sam wyjazd z Bodley? Ten domek przez pięć lat był jej schronieniem. Musiał

przyznać, że zrobiła z niego przytulne miejsce, choć niewygodne bez służby.

Spojrzał ze współczuciem, chcąc jakoś wyrazić zrozumienie dla jej uczuć. Irytacja opuściła go na chwilę, górę wzięła wstyd, że to on był przyczyną wszystkich czekających ją zmian.

Czy naprawdę wolałaby zostać tu w samotności? Żyć swoim nudnym życiem, pełnym bezgrzesznej rutyny i poświęcenia dla innych? Nie ma sensu zastanawiać

się teraz nad jej wątpliwościami ani zawracać sobie głowy ich zrozumieniem i współczuciem. Pobrali się i ona musi jechać z nim do Stratton. Tak wygląda rzeczywistość.

Catherine, nie patrząc na niego, również podniosła się od stołu i naląła wody z imbryka do dzbanka.

- Tyle chyba wystarczy - powiedziała, podając mu naczynie. - Na gorze jest zimna woda, można jej dolać, milordzie.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Catherine zarumieniła się i przygryzła wargę, zaś on poczuł ukłucie wściekłości, nawet może bólu. Potem wolno odwrócił się i niosąc dzbanek gorącej wody, wyszedł wreszcie z pokoju.

„Milordzie”.

Wczoraj wyszła za niego za mąż. Ostatniej nocy spali ze sobą.

A potem płakała.

„Milordzie”.

Claude i Clarissa przyjechali powozem Rawleigha. Wyjaśnili, że wrócą do dworu piechotą. Daphne też chciała przyjść, ale z samego rana zrobiło jej się słabo i Clayton musiał ją odprowadzić z powrotem do sypialni.

- Zamieszanie ostatnich tygodni dało się jej we znaki - stwierdził z uśmiechem Claude.

136

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - odparła Catherine, nieco zaniepokojona.

Ucieszyła się, że może czymś zająć umysł i ma temat do rozmowy. Czuła się

bardzo zażenowana, patrząc w oczy swojej nowej szwagierce i szwagrowi, kiedy niespodziewanie nadeszli. W oczach Claude'a widziała przyjazne rozbawienie, w spojrzeniu Clarissy zaś z trudem hamowaną ciekawość.

Z jej rumieńca, którego w żaden sposób nie potrafiła powstrzymać, mogli bez trudu wyczytać, że ostatniej nocy kochała się z Rawleighem.

- Też mam taką nadzieję - dodała Clarissa. - Nie chcę, by dzieci zachorowały.

Namawiałam Claude'a, żeby posłał po lekarza dla Daphne i moich pociech, ale on nalega, żeby czekać. - Miała bardzo nieszczęśliwą minę.

Catherine dotknęła jej ręki. Nie żywiła specjalnej sympatii dla Clarissy, ale nigdy nie wątpiła, że kocha swoje dzieci. Dzieciom przecież grozi tak wiele niebezpieczeństw, nawet kiedy przetrwają okres niemowlęctwa.

- Jestem pewna, że to tylko zmęczenie - powiedziała. - Daphne ani na moment nie usiadła, kiedy byłam w Bodley House.

- Tak, masz chyba rację. - Clarissa uśmiechnęła się blado.

Przyjazd powozu oznaczał, że musi już opuścić wszystko, co znajome i co pokochała przez te pięć lat. Wszystko, z czym się przez ten czas utożsamiała.

Tutaj dorosła i z niemądrej dziewczyny stała się nieco mądrzejszą kobietą. Zaznała pewnego ukojenia i pogodziła się z życiem.

- No cóż, Catherine ...

Jej mąż stał w otwartych drzwiach. Stangret już wyniósł nieliczne bagaże -

wszystkie jej meble i większość rzeczy miały na razie zostać. Claude i Clarissa wyszli przed domek i czekali na ogrodowej ścieżce, gotowi do pożegnania.

Nagle ogarnęła ją wielka fala paniki. Pomyślała, że się osunie na podłogę i zwinie w kłębek.

Rawleigh przyjrzał się jej uważnie.

- Pięć minut - powiedział i wyszedł na zewnątrz, nie domykając drzwi.

Weszła z powrotem do kuchni i rozejrzała się. Jej dom. Tu był sam środek jej życia. Tutaj czuła się bezpieczna, niemal szczęśliwa. Podeszła do okna, popatrzyła na swoje kwiaty, na drzewa owocowe, rzekę, łąki i wzgórza w oddali.

Lawina uczuć ścisnęła jej gardło i poruszyła serce. Ogień rozpalony z rana został

starannie zagaszony. Toby poszczekiwał u jej boku i tulił się do nóg, jakby wiedziony przecuciem, że wyjeżdżają stąd na zawsze. Wzięła z fotela poduszkę, przycisnęła do piersi i nie potrafiła jej odłożyć. Wyhaftowała ją w pierwszych dniach pobytu w Bodley, kiedy musiała zająć czymś ręce, by ulżyć myślom.

Wyszła z kuchni przed dom w nagłym pośpiechu, z podniesioną głową i 137

uśmiechem na twarzy. Mąż czekał na nią przy drzwiach. Zabrał

z jej rąk poduszkę, wziął żonę pod ramię i mocno podtrzymał w drodze do furki i powozu.

- Przepraszam, że kazałam wam czekać - powiedziała swobodnie. - Zapomniałam czegoś. Jestem niemądra. To wprawdzie tylko stara poduszka, ale...

Raptem znalazła się w uścisku Claude'a, który objął ją tak mocno, że słowa jej uciekły.

- Wszystko będzie dobrze - mówił do ucha. - Obiecuję ci, moja droga.

Niemądre słowa, jeśli się nad tym zastanowić. Jak Claude miałby jej zagwarantować szczęście? Pocieszył ją jednak znacznie i tylko coraz bardziej chciało jej się płakać.

- Catherine - Clarissa też ją uściskała, choć z nieco mniejszym entuzjazmem. -

Chcę, żebyśmy byli w przyjaźni. Naprawdę tego pragnę.

Wreszcie pomogli jej wsiąść do powozu. Toby, niespokojny i podniecony, wskoczył jej na kolana, ale Rawleigh był stanowczy. Pies wdrapał się wtedy na siedzenie po drugiej stronie, postawił uszy i wysunął język, zupełnie niewzruszony reprimendą nowego pana. Mąż Catherine wsiadł i zajął miejsce obok niej.

Odwróciła twarz od okna powozu, kiedy wreszcie ruszył. Okazała brak uprzejmości, nie pomachawszy nawet Claude'owi i Clarissie na pożegnanie, ale nie mogła się obejrzeć - nie zniosłaby widoku swojego domku, znikającego na zawsze w oddali. Mocno się czegoś trzymała i dopiero po chwili dostrzegła, że ściska dłoń męża. Sama ją pochwyciła, czy też on wziął ją za rękę? Nie pamiętała.

Bardzo delikatnie cofnęła dłoń.

Wtedy przeniknęła ją pewna myśl i mimo wszystko obejrzała się.

- Zapomniałam zamknąć drzwi - szepnęła. Toby zaskomlał.

- Dom będzie bezpieczny, Catherine - odpowiedział cicho Rawleigh. - Claude wszystkiego dopilnuje, dopóki nie przyślemy po rzeczy.

Mówił dość łagodnie. Jak miała mu wytłumaczyć, że nie złodziei się obawia, czy utraty swoich rzeczy. Sam dobytek miał niewielką wartość. Tyle że utraciła na zawsze to, co symbolizował. Zostawia jedyny dom, który sama dla siebie stworzyła. Jakby wydarto jej bardzo ważną część siebie.

Czuła się przerażona, pusta w środku i mała jak pyłek kurzu.

Ręka Catherine znów znalazła się w jego dłoni. Zorientowała się dopiero po paru minutach, ale tym razem nie cofnęła jej. Dotyk Rawleigha w jakiś sposób ją

uspokajał.

138

Claude prowadził żonę do domu. Szli obok siebie w milczeniu w stronę parku.

Podał jej ramię, ale je puściła, kiedy pokonali furtkę w murze. Znaleźli się wśród drzew. Zwolnił kroku, nie chcąc jej poganiać, chociaż wolałby szybko znaleźć się

u siebie.

To ona po kilku minutach przerwała milczenie.

- Claude - powiedziała. - Już nie mogę.

- Przykro mi. - Spojrzał w dół na jej pantofelki, odpowiednie może do powozu, lecz nienadające się na spacer przez park. - Powinniśmy byli pójść podjazdem.

Weź mnie znów pod rękę.

- Nie mogę tego znieść - powtórzyła, ignorując jego propozycję. Cofnął je.

Zresztą chyba od razu zrozumiał, że jej słowa nie odnoszą

się do nierównej drogi. Spojrzał na żonę i założył ręce za plecami.

- Nie rozmawiamy ze sobą od ponad dwóch tygodni. Poza grzecznościami bez znaczenia. Ty nie... Ani razu nie przyszedłeś do mnie. Nie dam rady już dłużej.

- Przykro mi, Clarisso. Spojrzała na niego niepewnie.

- Wolałabym, żebyś krzyczał i złościł się na mnie. Wolałabym, żebyś mnie uderzył.

- Nie, wcale nie wolałabyś. Czegoś takiego nie wybaczyłbym sobie, ani ty mnie.

To by stworzyło między nami barierę nie do przekroczenia.

- Czy barierę, która teraz nas dzieli, da się usunąć? Milczał chwilę.

- Nie wiem, to będzie wymagało czasu, Clarisso.

- Ile czasu? Potrząsnął powoli głową.

- Claude, proszę. - Patrzyła na gałęzie drzew ponad jej głową, obsypane wiosennymi liśćmi. - Przepraszam cię. Bardzo mi przykro.

- Przykro ci, bo nasze małżeństwo trąci goryczą? A może dlatego, że niemal zrujnowałaś reputację niewinnej kobiety? Clarisso, gdyby Rex nie wrócił, gdyby Daphne nie zaczęła tak zdecydowanie działać, Catherine rzeczywiście znalazłaby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Czy i wtedy byłoby ci przykro? Jeśli byłbym tego samego zdania co ty i nie posłał po Reksa, czy też byś żałowała? A może razem z pastorem i jego żoną pławiłabyś się w przekonaniu o własnej nieomyślności?

- Miałam taką nadzieję, że Rex i Ellen się pobiorą. Pani Winters... Catherine zrujnowała te plany na moich oczach. Widać było, że go zachęca. Postępowała bardzo niedyskretnie.

- Wracamy zatem do punktu wyjścia. Weź mnie pod rękę. Grunt jest tu bardziej nierówny, niż pamiętałem.

Ustała prośbie męża, a potem oparła czoło o jego ramię.

- Nie wytrzymam dłużej tego chłodu między nami. Czy nie rozumiesz, ile mnie to 139

kosztuje, tak się przed tobą upokarzać, błagać o przebaczenie? To nie jest łatwe.

Proszę cię, wybacz mi.

Zatrzymał się nagle i gwałtownym ruchem wziął ją w ramiona.

- Clarisso... - powiedział, kładąc dłoń na jej karku i przyciągając jej głowę do siebie. - Ja też mam już dość tej sytuacji. Wiem, że każdy człowiek skrywa w sobie tyle małych, bezsensownych uprzedzeń i niepotrzebnego okrucieństwa wobec innych. Byłem wobec ciebie zbyt surowy. Ty też mi wybacz.

Zadrżała w jego objęciach.

- Tęskniłem za tobą.

Uniosła ku niemu bladą i napiętą twarz. Uśmiechnął się do niej i pocałował.

Szli dalej przed siebie, ramię przy ramieniu. W ciągu ostatnich tygodni każde z nich nauczyło się czegoś o drugim. Oprócz znanego mu już samolubstwa i arogancji, które przez wspólnie przeżyte lata nauczył się traktować z pobłażliwym uśmiechem, Claude odkrył, że jego żona potrafi być czasem podła. Clarissa przekonała się, że mimo swojej uprzejmości i łagodnej natury, on też potrafi być

uparty i nieustępliwy.

Nabrali pewności, że w tym świecie nie żyje się „długo i szczęśliwie”. Jeśli wcześniej to podejrzewali, teraz stracili resztę złudzeń. Wiedzieli jednak, że ich małżeństwo przetrwa nie tylko z nazwy. Oboje nauczyli się czegoś. Możliwe też, że się zmienili.

Tak więc ostatecznie znów się odnaleźli. Przełamali ciszę. Oboje przeprosili i wybaczyli sobie nawzajem.

- Czy oni będą ze sobą szczęśliwi? - zapytała męża, kiedy wyszli spomiędzy drzew na trawnik przed domem.

- Jeśli tylko tego pragną, Clarisso. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się swoim zwykłym przyjaznym uśmiechem. - Pod warunkiem, że pragną tego oboje i że będą ciężko na to szczęście pracować każdego dnia.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Małżeństwo nigdy nie jest łatwe, prawda? - powiedziała.

- Nigdy - odparł. - Ale nie wolno pozwalać mu się rozpaść.

- To prawda - zgodziła się jego żona.

16

Przez dwa tygodnie poprzedzające ślub Rawleigh czuł na zmianę panikę i przygnębienie. Nie chciał się żenić, a już z pewnością nie z kobietą, której nie kochał. Wielokrotnie i stanowczo odrzucała jego awanse. Bardzo jasno dała mu do zrozumienia, kiedy proponował jej małżeństwo po powrocie do Bodley, że

chętniej widziałaby jakiegokolwiek inne wyjście. Wolałaby już zostać jego kochanką, bo w ten sposób nie wiązałaby się z nim na całe życie.

Swoją postawą zadała mocny cios jego pewności siebie.

W dodatku noc poślubna okazała się kompletną katastrofą. Nie mógł myśleć

spokojnie o tym, że zbliżenie zostawiło ją we łzach.

Zdziwił się zatem, kiedy zauważył w czasie powrotnej podróży do Stratton, że jej obecność w jakiś sposób przywraca mu humor. Oczywiście, zdarzały się także niezręczne chwile, ale Catherine miała w sobie coś intrygującego. Wciąż

stanowiła niemałe wyzwanie. Odkąd sprzedał patent oficera kawalerii, tego jednego mu brakowało - wyzwania, które mogłoby dodać życiu smaku. Droga do domu z całą pewnością nie była nudna.

Nosiła te same skromne, niemodne, proste stroje, która wkładała, odkąd ją znał. W

swojej naiwności wyobrażał sobie, że następnego dnia po ślubie przemieni się w wielką damę. Wszystkie jej suknie były bardzo znoszone.

- Będę musiał zabrać cię do Londynu - powiedział któregoś dnia podróży powozem. - Do krawcowej, która zaopatrzy cię we wszystkie potrzebne stroje.

- Nie potrzebuję nowych ubrań - odparła, rzucając mu gniewne spojrzenie. -

Wystarczy mi to, co mam.

Zawsze urzekala go i bawiła, kiedy zachowywała się z urażoną godnością.

- Potrzebujesz ich - sprzeciwił się. - Mnie nie zadowala to, co nosisz.

Jakoś mu przeszło przez usta to oczywiste kłamstwo. Uważał, że prostota jej sukien podkreśla jej urodę.

- Moje życzenia mają pierwszeństwo. Przyrzekłaś mi posłuszeństwo, pamiętasz?

Jej twarz zastygła nieruchomo. Jeszcze bardziej wyprostowała i tak już proste plecy.

Oczywiście, milordzie - powiedziała.

Szybko się uczyła. Znalazła skuteczny sposób wyprowadzenia go z równowagi.

Wystarczyło uległym, pokornym tonem tytułować go milordem. Natomiast nigdy jeszcze nie zwróciła się do niego po imieniu. Zacisnął wargi.

- Pojedziemy do Londynu - oznajmił uparcie.

Wcale nie zależało mu, by jechać do stolicy, równie dobrze można było sprowadzić krawcową do Stratton. Obserwował uważnie twarz Catherine. Chciał

się przekonać, czy nie ma ochoty jechać do Londynu po stroje, tak samo jak nie zgodziła się, by tam mieszkała jako jego kochanka.

- Nie. - Jej twarz pobladła. - Tylko nie tam.

Zdał sobie sprawę, że powinien zmusić ją, by wszystko mu powiedziała. Gdy wyznała, że nie nosi nazwiska Winters, lecz Winsmo-re i nie jest wdową, powinien był nalegać, żeby mu tę całą historię wyjaśniła. Całą niedopowiedzianą

141

resztę. Przecież to bez sensu żenić się z kobietą, która skrywa jakieś niezbyt przyjemne tajemnice. Co oznaczał ten upór przed Londynem? Bała się tylko dlatego, że nigdy tam nie była? A może coś jej się tam kiedyś przydarzyło? Chyba raczej to drugie.

- Dlaczego nie?

Opuściła wzrok na kolana, gdzie jej cholerny pies leżał zwinięty w kłębek i że pozwalał się drapać za uszami jej szczupłym, wrażliwym palcem.

- Bo nie - odparła.

Co stanowiło iście wyczerpującą i dokładną informację. Więcej nie nalegał. Nie wiedział, dlaczego się na to godzi. Czy to dobrze pozwolić własnej żonie na utrzymywanie sekretów? Czy to mądre tolerować jej impertynencję i wymijające odpowiedzi? Być może nie - za to zabawne.

Rozmawiała z nim chętnie o innych sprawach. Jak na kobietę, i to taką, która od lat mieszka na wsi, dysponowała sporą wiedzą. Miała swoje opinie i nie obawiała się ich bronić, nawet jeśli jej zdanie różniło się od jego. Była odczytana. Mogli wymieniać opinie o książkach, zarówno starych, jak i nowościach. Chętnie opowiadała o sobie, ograniczając się do ostatnich pięciu lat. Każde pytanie czy uwagę, którymi próbował ją skłonić do wyjawienia czegoś z dalszej przeszłości, sprytnie omijała. Tak jakby zjawiała się na świecie zaledwie przed pięciu laty jako dorosła mieszkanka Bodley-on-the-Water.

Jej nazwisko Winsmore... Tu się coś kryło. Brzmiało jakoś znajomo. A może nie...

Może tylko powtarzał to nazwisko w myślach tak

długo, że przestało być mu obce. Na pewno wychowała się z daleka od Londynu i hrabstwa Kent.

Zastanawiał się, jak jego żona dostosuje się do życia w Stratton Park. W każdej z gospod po drodze wykazywała się obyciem i zachowywała z godnością, ale w Bodley też zawsze miała doskonałe maniery. Była przecież damą. Jednakże Stratton to coś innego. Mówił jej dość często

o swoim domu. Próbował wyczuć, czy poczuje się przytłoczona informacjami o palladiańskim stylu dworu, jego wielkiej, monumentalnej bryle, o dostojnym pięknie paradnych pokoi, wykwintnych meblach i dziełach sztuki.

Okazywała wiele zainteresowania. Zadawała rozumne pytania i nawet na moment się nie stropiła.

W czasie każdego postoju szła na spacer ulicami kolejnego miasteczka czy poprzez wiejskie błonia, by Toby miał trochę ruchu. Upierała się, że zrobi to sama, nawet gdy padało albo drogi zamakały,

mimo jego ciągłych uwag, że można to zlecić stajennemu. W rezultacie musiał jej towarzyszyć i jakoś wcale mu to nie 142

przeszkadzało. Gdyby w podróży był z nim jego kamerdyner, dostałby chyba apopleksji, widząc, jak jego pan postępuje z butami z cholewami. Podobały mu się

rumieńce, jakich dostawała jego żona po spacerze, i jej rozjaśnione oczy.

Okazywała swojemu psu nieskończoną wyrozumiałość. Jeśli Toby obwąchiwał

pień wybranego drzewa przez całe dziesięć minut, stała obok cierpliwie. Nawet kiedy ostry wiatr przenikał ich na wskroś i na domiar złego ulewnie padało.

Jeśli była tak cierpliwa i wyrozumiała dla zwykłego psa, pomyślał kiedyś, jak zdoła wychować dziecko w stosownej dyscyplinie? Nie ujął tej myśli w słowa -już

raz kiedyś niemal rzuciła się na niego, gdy nierozważnie powiedział coś

podobnego. Prawdopodobnie była jedną z tych matek, które same karmią dzieci piersią, zamiast, jak przystoi, oddać je mamce. Dziwnie się czuł, myśląc o niej i dzieciach...

Rozważania na ten temat mijają się z celem, jeżeli coś się w ich związku nie zmieni. Nie kochał się z nią od nocy poślubnej. Nie miał najmniejszej ochoty po chwili rozkoszy dać się znów oblać zimną wodą. Patrzeć jak żona odwraca się od niego plecami i chowa twarz. Wiedzieć, że ma mokre od łez policzki, nawet nie wyciągając dłoni, by to sprawdzić.

Po drodze dwa razy w gospodach dopisało im szczęście i udało im się zająć

oddzielne pokoje, mógł więc spać osobno. Raz, kiedy dostępny był tylko jeden pokój i jedno łóżko, został w szynku na dole przez całą noc. Słuchał wspomnień

starego wojaka. Biedak, nie miał pojęcia, że

snuje opowieści przed weteranem tych samych bitew, które opisywał

szczegółowo, nieco mijając się z prawdą. Za cenę kilku dzbanków ale wicehrabia miał rozrywkę przez całą noc. Uznał, że na górze rozrywka go chyba nie czeka.

Kolejnej nocy miał pecha. Pokój był jeden i łóżko też jedno, a szynk opustoszał

przed północą. Lord Rawleigh spędził noc na podłodze obok posłania, na którym spała jego żona. Ona też chyba nie mogła zasnąć. Rozebrał się po ciemku i zrobił

sobie legowisko z wytartego dywanika i własnego płaszcza. Ułożył się na nim, a po kilku minutach na jego twarzy miękko wylądowała poduszka.

- Dziękuję - mruknął.

Mogła dać mu znać, że nie śpi, kiedy wszedł. Nie musiałby potykać się w ciemnościach i nie uderzyłby się stopą o krawędź łóżka.

Usłyszał, że Catherine odwraca się i mości na łóżku.

Żałował, że rzuciła tę poduszkę, mimo że zrobiło mu się znacznie wygodniej.

Wolałby myśleć, że ona śpi. Mógłby udawać przed sobą, że wcale jej nie ma na pościeli tak blisko niego. Pewnie włożyła tylko cieniutką koszulę nocną. Pewnie rozgrzała się pod kołdrą. Jego żona.

Myślał ponuro, że oto doczekał się odpowiedzi na jedno z pytań, które sobie 143

kiedyś zadawał. Zastanawiał się czy zadowolony go, jeśli posiadzie ją tylko raz, skoro zazwyczaj wystarczało mu to w przypadku kobiet, za którymi się uganiał.

Już teraz się przekonał, że tym razem jest inaczej. Miał ją w noc poślubną i choć

nie było to zbyt miłe wspomnienie, wciąż jej pragnął. Zazgrzytał zębami i zacisnął

dłonie w pięści. Pragnął jej jak podniecony uczeń.

Do licha, jest w końcu jego żoną. To jej obowiązek i jego prawo. Wystarczyłoby tylko podnieść się z podłogi, zrobić krok i wślizgnąć się pod jej kołdrę...

Liczył barany, żołnierzy i psy rasy terier tak długo, aż ciało przyjęło do wiadomości decyzję rozumu i przestało domagać się natychmiastowego zaspokojenia. Teriery! Usłyszał, jak Toby wzdycha z psią głęboką satysfakcją na łóżku, gdzieś w okolicach jej nóg. Cholerny pies.

Udało mu się zapaść w sen, choć było mu niewygodnie i wciąż się męczył, tłumiąc pragnienia ciała. Obudził go jakiś hałas. Ktoś coś mówił. Zanim się w pełni ocknął, słowa ucichły. Widocznie ktoś przeszedł obok drzwi ich pokoju. Nie umiał oduczyć się starego nawyku z żołnierskich czasów - wyrwał go ze snu nawet najdrobniejszy hałas. Westchnął i zaczął się zastanawiać, czy będzie mu wygodniej na podłodze, jeżeli obróci się na bok. Bał się, że będzie mu jeszcze gorzej niż na plecach.

- Bruce! - powiedziała nagle, a Rawleigh otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w mrok sufitu.

Toby cicho zaskowyczał.

- Bruce... - Teraz głos brzmiał jak szloch. - Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie.

Jestem taka samotna. Moje dłonie są puste. Nie odchodź, Bruce...

Rawleigh usiadł i zwrócił głowę w stronę łóżka. Odruchowo chciał wstać, podejść

do niej, ukoić, bo cierpiała. Znał koszmar takich snów. Sam je miewał i nasłuchiwał

się aż za wielu cudzych. Mimo że miał reputację nieustraszonego oficera nieraz wstawał w nocy na

wojnie uspokajać żołnierzy, którymi targały nocne demony.

Dotyczyło to zwłaszcza rekrutów, chłopców, którzy powinni być jeszcze w domu przy matkach.

Tym razem nie mógł pójść za odruchem serca. Wymówiła przecież męskie imię.

Imię ukochanego mężczyzny. Tego, który ją porzucił. Bruce. Zacisnął zęby i znów zacisnął dłoń w pięść, próbując opanować gniew jak wcześniej podniecenie.

Poruszyła się i obróciła. Leżała teraz twarzą do niego, odrzuciwszy okrycia aż do talii, włosy miała rozrzucone. Jedno ramię zsunęło się z łóżka i niemal dotykało jego twarzy. Nie obudziła się i nie powiedziała nic więcej.

Boże, pomyślał, w co ja się wplątałem? Do czego mnie doprowadziła nieopanowana żądza i brak ostrożności?

Bruce.

144

Do rana podłoga zrobiła się jeszcze twardsza.

Był to jednak ich ostatni nocleg w podróży. Następnego dnia w porze popołudniowej herbaty będą już w domu. Mimo nieprzespanej i dość niespokojnej nocy rozpogodził się na tę myśl. Niecierpliwił się, by zobaczyć, jaką reakcję

wywoła w Stratton Park. Co najdziwniejsze, zaczynał radować się z tego, że w rezultacie tarapatów, w jakie popadł wyłącznie z własnej winy, jest człowiekiem żonatym.

Dwa tygodnie poprzedzające ślub przypominały Catherine niekończący się senny koszmar. Panowała nad sobą tylko dzięki temu, że nie dopuszczała do siebie żadnych uczuć. Biernie pozwalała, żeby życie rozwiązywało za nią bieżące problemy. Dzień ślubu przyniósł zupełnie odmienne, miłe wrażenia, a noc poślubna okazała się cudowna, dopóki nie zepsuło jej przypomnienie, że prócz żądz nic ich nie łączy, i póki jej świeżo poślubiony mąż nie wstał z łóżka i nie opuścił sypialni bez słowa. Wyjazd z Bodley następnego dnia rano sprawił jej niewyobrażalny

ból. Z trudem dopuszczała do swojej świadomości, że naprawdę jeszcze raz zaczyna wszystko od nowa.

Życie ma jednak tę niezwykłą właściwość, że wciąż się odradza i pozwala zapuścić nowe korzenie. Raz kiedyś już myślała, że nie sposób ciągnąć go dłużej.

Z upływem lat przekonała się, że człowiek może bardzo wiele unieść na swych barkach.

Pierwszy niemiły dzień podróży oddalał ją coraz bardziej od domu, który sobie stworzyła przed pięciu laty. Później odkryła, że... No nie, nie całkiem podoba jej się to nowe życie, pomyślała. Ale zaczynała się nim interesować, intrygowało ją, trochę dodawało ducha. Zapomniała już, że nowe

doświadczenia i nieznanne miejsca mogą być fascynujące. Nagle poczuła się znacznie młodsza, zupełnie jakby pięć lat żyła w zawieszeniu, a teraz znów stawała się dwudziestolatką.

Zaskoczyła ją ta odmiana uczuć, bo przecież nie chciała wychodzić za mąż, nie lubiła swojego męża i nic w tym małżeństwie nie było takie, jak powinno. Prawie jej nie dotknął od czasu tamtej nocy. Przynajmniej częściowo sama była temu winna. Czowała się zażenowana na myśl, że pozwoliła, by okropne uczucie osamotnienia przerodziło się w łzy wtedy, kiedy był blisko niej i mógł dostrzec, co przeżywa. Nie chciała jego litości ani uzalania się nad sobą. Była żywa, zdrowa i nie miała powodu rozpaczać.

Nie lubiła Rawleigha. Zbyt arogancko narzucał jej się ze swoimi atencjami, choć wiedział, że ona ich nie chce. Musiała jednak przyznać, że w czasie podróży 145

okazał się ciekawym partnerem do rozmowy. Miał duży zasób wiadomości i był

rozumny, nie na tyle uparty w swoich poglądach, by nie słuchać jej z zainteresowaniem. Traktowała jako uznanie, że spierał się z nią, ilekroć się nie zgadzali. Nie odrzucał pogardliwie jej poglądów i nie uważał za stworzenie o słabszej, bo kobiecej, umysłowości. Zdała sobie sprawę, że od wielu lat brakowało jej takich rozmów.

Zachowywał się bardzo opiekuńczo. Dziwnie się czuła, pozwalając pomagać sobie przy wsiadaniu i wysiadaniu z powozu, będąc odprowadzana do pokoi w gospodach, w których się zatrzymywali, eskortowana podczas spacerów z Tobym.

Zbyt długo była sama. Nie przeszkadzało jej wcale, że dokądkolwiek szła, miała w nim strażnika i opiekuna. Choć nauczyła się cenić swoją niezależność i nie lubiła być traktowana jak słaba i bezbronna istota, zaskakująco dobrze czuła się w jego asyście. Prawie tak, jakby Rawleigh otaczał ją czułością, pomyślała i odrzuciła tę

myśl jak najdalej od siebie. Takie myśli mogły się skończyć tylko rozczarowaniem.

Przecież nie był wcale wobec niej dbały ani uważny. Spał sam, kiedy mieli dwa pokoje. Nie wiedziała, co porabiał tej nocy, kiedy dostali tylko jedno łóżko. Nie wrócił do niej na górę. Wczoraj zaś, kiedy przyszedł do ich pokoju z jednym tylko łóżkiem, ona leżała i czekała, udając, że śpi, a jej serce biło boleśnie. Tymczasem jej mąż położył się do snu na podłodze. Była okropnie upokorzona. Czy tamten jeden raz wystarczył, by ostudzić cały zapal, z jakim asystował jej przed balem w Bodley? Czy brak doświadczenia w łóżku czyni z niej odpychającą kochankę? A może dlatego, że nie była dziewicą? Albo dlatego, że później, ogarnięta nagłym smutkiem, odwróciła się od niego?

Był bardzo dorodnym mężczyzną. Żałowała, że nie umie go polubić. Dostrzegała coś niewłaściwego w swoim zmysłowym pożądaniu, w tym, że ogromnie ożywiają perspektywa życia z nim w małżeństwie, choć go nawet nie lubi. Wydało jej się, że to zbyt... przyziemne. Tłumaczyła sobie, że to nierozumne rozpocząć

nowe życie w przygnębieniu, z którego nic dobrego nie może wyniknąć.

Cieszyła się, że wkrótce dotrą do Stratton Park. Słyszała wcześniej o tej posiadłości. Powiadano, że to w całej Anglii jedna z najwspanialszych siedzib rodowych otoczonych parkiem. Opowieści Rawleigha dodatkowo rozbudziły jej ciekawość. Z przyjemnością myślała, że będzie tam mieszkać, że zostanie panią

tego domu. Trochę się czuła nielojalna wobec swojego małego wiejskiego schronienia, ale pocieszała się, że co z oczu, to i z serca.

Dojechali na miejsce pewnego słonecznego popołudnia. Przy tej pogodzie dom z pewnością wyglądał najpiękniej. Wyjrzała przez okno powozu. Wyprostowana, z rękoma złożonymi na kolanach, nie chciała się ośmieszyć wierceniem na 146

siedzeniu i okazywaniem nadmiernego entuzjazmu. Jej mąż leniwie opierał się o poduszki powozu i wolał obserwować ją niż widoki za oknem. Zauważyła, że przygląda się jej bacznie, co ją trochę wyprawdzało z równowagi. Musiała się

pilnować, by ciągle nie podnosić dłoni i nie sprawdzać, czy szpilki mocno tkwią

we włosach upiętych na karku. - I cóż? - zapytał.

Budynek emanował dostojnym pięknem. Wielki dwór, zbudowany z szarego kamienia, zaprojektowany w neoklasycznym stylu, z kolumnowym portykiem od frontu. Rozległy park założono na otaczającym go kwadracie terenu; stare dęby, wiązy i buki dawały cień trawnikom, na których rosły kępy żonkili i różnych wiosennych kwiatów. Nie było tam ogrodów kwiatowych z zaprojektowanymi klombami. Dość krótki, prosty, wysypany żwirem podjazd prowadził przez kamienny most, przerzucony nad rzeką. Wspaniałość otoczenia zapierała dech w piersiach.

- Tu jest przepięknie - powiedziała i natychmiast poczuła, jak nikła jest jej pochwała. Pewnych okoliczności nie sposób ująć we właściwe słowa. To miał być

jej dom? Miała zostać panią takiej rezydencji?

Rawleigh roześmiał się cicho.

Toby wyczuł, że zbliżają się do końca podróży, i usiadł na swoim miejscu naprzeciwko, od razu gotów do dalszych przygód.

- Oczekują nas. Służba pewnie już rozpoznała mój powóz, a pani Keach, gospodyni, ustawia wszystkich w holu na powitanie wicehrabiny.

Głos miał lekko rozbawiony.

- To drobiazg. Wystarczy, że skiniesz im głową, uśmiechniesz się i będzie po wszystkim.

Drobiazg... Pomyślała, że mężczyźni są zupełnie niemożliwi.

Naturalnie, co do służby domowej miał rację. Pomógł jej wysiąść z powozu, wprowadził po

marmurowych stopniach i dalej przez wielkie podwójne drzwi wejściowe. Nie starczyło jej czasu, by zoejrzyć się po kolumnadzie holu, choć

zauważyła jego imponującą wysokość. Po obu stronach w milczeniu stały dwa szeregi służby, mężczyźni po jednej, kobiety po drugiej stronie. Dwoje służących w średnim wieku, o pełnym godności wyglądzie, stało oddzielnie pośrodku holu.

Był to majordomus Horrocks i gospodyni, pani Keach. Mężczyzna kłaniał się, kobieta nisko dygnęła. Rawleigh przedstawił ich Catherine, a ona skinęła głową i przywitała się z obojgiem. Na wszystkich pozostałych spojrzała z uśmiechem.

Potem jej mąż poprosił panią Keach o podanie herbaty, ujął ramię Catherine i chciał ją poprowadzić w stronę wysokiego, podpartego kolumnami przejścia, które zapewne prowadziło na schody.

- Pani Keach - powiedziała, łagodnie uwalniając ramię z jego uścisku. - Bardzo 147

proszę przedstawić mi swój personel.

Pani Keach spojrzała na nią z aprobatą.

- Oczywiście, milady - odparła i z wielką godnością poprowadziła ją wzdłuż

szeregu podwładnych, wymieniając imię każdej służącej. Catherine widziała kątem oka, że jej mąż ruszył za nimi. Skoncentrowała się, usiłując zapamiętać

kolejne imiona i twarze, choć zapewne minie jakiś czas, zanim nauczy się

rozpoznawać wszystkich. Do każdej osoby powiedziała parę słów. Po dojściu do końca rzędu i kiedy Rawleigh znów dotknął jej łokcia, zwróciła się do majordomusa i poprosiła, by również przedstawił jej swoich podwładnych.

Dopiero potem pozwoliła zaprowadzić się do głównych schodów. Pani Keach ruszyła przodem.

- Pani Keach, zechce pani pokazać milady jej apartament? A kiedy żona się

odświeży, proszę dopilnować, żeby ktoś na nią czekał i wskazał drogę do salonu na herbatę.

- Tak, milordzie - szepnęła gospodyni.

- Zobaczę cię zatem niedługo, kochanie - powiedział, pochylając się nad jej dłonią. Znów miał rozbawioną minę.

Jej apartament składał się z sypialni, gotowalni i saloniku, w których mały domek z Bodley zmieściłby się ze dwa razy. Rozpogodziła się nieco. Zaśmiała się, wspominając Toby'ego, który drepcząc obok niej, również dokonał inspekcji służby. Mąż złapał go na ręce, zanim pies zdążył ruszyć za nią na górę do jej pokoi. Kiedy zeszła do salonu, Toby leżał wyciągnięty na dywanie przed kominkiem, ale zerwał się i rzucił witać machaniem ogona.

- Toby. - Przykucnęła pogłaskać ulubieńca. - To wszystko wydaje ci się bardzo dziwne, prawda? Przyzwyczaisz się z czasem.

- Ty również - dobiegł ją głos z prawej. Rawleigh stał przy oknie. Podeszedł do niej i wskazał zastawę do herbaty, którą już wniesiono.

Usiadła i zajęła się nalewaniem herbaty. Pokój był piękny, natychmiast zauważyła, że miał profilowany i ozdobiony ornamentami malarskimi sufit, granitowy kominek, na ścianach wisiały obrazy w pozłacanych ramach. Większość z nich to z pewnością rodzinne portrety. Poczula się nieco przytłoczona otoczeniem.

Mąż wziął z jej rąk filiżankę ze spodeczkiem i usiadł naprzeciwko.

- Naprawdę nie musiałaś się witać ze służbą - powiedział. - Nie oczekiwano od ciebie, że porozmawiasz z każdym z osobna, ale wszystkich ogromnie to ujęło.

Catherine, masz teraz dom pełen raczej oddanych niewolników niż służby.

- Co cię tak bawi? - zapytała z urażoną dumą. Rawleigh nie ukrywał rozbawienia

- śmiał się otwarcie.

- Ty - odparł. - Wyglądasz w tej chwili, jak nakręcony dziecinny bączek. Jakbyś

148

miała za moment zacząć wirować w kółko. Możesz się odprężyć. Od czasu śmierci mojej matki przed pięciu laty nie było w tym domu żadnej kobiety.

Wszystko działa sprawnie, jak widzisz. Niewiele się od ciebie oczekuje. Zupełnie wystarczy, że będziesz akceptować plany domowych zajęć i menu, które przedstawi ci pani Keach.

Zrozumiała. Myślał, że nie będzie umiała poradzić sobie z gospodarstwem większym niż to, które prowadziła, czy raczej wcale nie musiała prowadzić w swoim wiejskim domku.

162

- To pan może się odprężyć, milordzie - odparła, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Wiedziała już, że to pewny sposób, by go rozdrażnić. Czuła się śmiertelnie urażona. - Dom będzie dalej prowadzony bez zakłóceń i nic nie naruszy pańskiej wygody. Rano porozmawiam z gospodynią i razem ustalimy, jak zarządzać

gospodarstwem teraz, kiedy dom

ma znów panią.

Z zadowoleniem patrzyła, jak uśmiech znika z jego twarzy. Niestety wrócił, kryjąc się w oczach, którymi przyglądał się jej w milczeniu. Popijał herbatę.

- Catherine - powiedział - któregoś dnia będziesz musiała mi opowiedzieć, kim naprawdę jesteś. Wiesz o tym. Wcale cię to wszystko nie onieśmieliło, prawda?

- Wcale - odparła energicznie.

Od dawna żałowała, że nie powiedziała mu całej prawdy owego dnia, kiedy przyznała się do swojego prawdziwego nazwiska. Nie było powodu, by to przed nim ukrywać, nawet gdyby to oznaczało jego wycofanie się. Właściwie cały czas miała nadzieję, że on się wycofa. Tylko. . . Tak trudno było zacząć o tym mówić.

- Catherine. - Skończył herbatę i odstawił filiżankę na stolik przy swoim łokciu.

Potrząsnął głową i podniósł dłoń, kiedy znów ujęła dzbanek z herbatą. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, pomyślała więc, że nie ma jej nic więcej do powiedzenia. A jednak.

- Kto to jest Bruce?

Wszystko zawirowało przed jej oczyma. Czowała, że zaczyna jej brakować powietrza.

- Bruce? - Nawet własny głos usłyszała jak z oddali.

- Tak, Bruce - powtórzył. - Kto to jest? Jak on się dowiedział? Skąd znał to imię?

- Odkryłem, że mówisz czasem przez sen - wyjaśnił.

Znów więc zaczęła śnić o tym, że trzyma go w ramionach, a potem on nagle znika.

Przypuszczała, że sen wrócił w rezultacie nagłego i gwałtownego pragnienia, które ogarnęło ją po ślubie, by znów mieć dziecko. Niestety, wszystko wskazywało, że nieprędko pojawi się taka okazja.

149

- Wydaje mi się - powiedział, znów pełen chłodu i arogancji, które tak ją drażniły podczas pierwszych spotkań - że to ktoś, kogo kiedyś kochałaś.

- Tak - zdołała wyszeptać. Powinna mu teraz powiedzieć, ale nie mogła. Jakich słów miała użyć, mówiąc o najdroższym jej sercu przeżyciu temu zimnemu, obcemu człowiekowi? Obraz przed jej oczyma zamazał się i poczuła ze wstydem, że ma oczy pełne łez.

- Nie mam władzy nad twoją przeszłością - powiedział. - Tylko obecne i przyszłe sprawy mogę

kontrolować. Rozumiem, że nie mogę rozkazywać twoim uczuciom, ale lojalności wolno mi oczekiwać. Żądam jej, Catherine. Przypuszczam, że dawnej miłości nie sposób zapomnieć na rozkaz, niemniej musisz zrozumieć, że to tylko przeszłość, a ja nie zgodzę się, byś płakała za czymś, co minęło.

Jakże go wtedy nienawidziła. Zimną, śmiertelną nienawiścią.

- Jesteś złym człowiekiem - syknęła. Po części rozumiała, że jest wobec niego niesprawiedliwa, że niczego nie pojmował, że powinna mu to wyjaśnić. Ale za mocno cierpiała, żeby być sprawiedliwa.

- Wyszłam za ciebie za mąż, ponieważ nie dałeś mi wyboru. Do końca życia będę

ci wierna i lojalna, jeżeli to coś dla ciebie warte. Proszę tylko nie oczekiwać także mego serca, milordzie. Moje serce, każda jego cząstka, należy i zawsze będzie należeć do Bruce'a.

Zerwała się na nogi i wybiegła z salonu. Wiedziała, że postąpiła bardzo niesprawiedliwie. I było jej to kompletnie obojętne. Jeśli on spróbuje odgrywać

przed nią pana i władcę o ciężkiej ręce, zacznie usiłować ją dyrygować, będzie z nim walczyła każdą dostępną bronią, nawet nieuczciwą. Spodziewała się trochę, że Rawleigh pobiegnie za nią, ale się przeliczyła. Tylko Toby dreptał jej po piętach. Idąc prędko w stronę schodów, zaniepokoiła się, czy na pewno zapamiętała drogę do swoich pokojów.

17

W salonie stało pianino, na którym od prawie dziesięciu lat nikt nie grywał, ale zawsze dbano o jego regularne strojenie. Po obiedzie Rawleigh poprosił Catherine, żeby zagrała. Spełniła prośbę bez dyskusji i grała ponad godzinę. Być może, pomyślał, jego żona również woli czymś się zająć, zamiast szukać tematu do rozmowy, chociaż podczas obiadu dość przyjemnie im się gawędziło. Wyglądało na to, że póki trzymają się z dala od spraw osobistych, całkiem dobrze czują się w swoim towarzystwie.

150

Siedział i przyglądał się jej, gdy grała. Miała na sobie bladobłękitną wieczorową

suknię, ani strojną, ani modną, ani też nową. Włosy zwinęła, jak zwykle, w węzeł

na karku, chociaż dopilnował, żeby dostała pokojówkę, która miała pomagać jej w ubieraniu i czesaniu. Wyglądała tak samo jak zawsze. Początkowo grała ze skrępowaniem, choć poprawnie.

Wkrótce zatraciła się w muzyce, jak tamtego pamiętnego ranka w pokoju muzycznym Claude'a. Wydawało mu się, że było to już dawno temu. Salon zalały dźwięki pełne piękna i namiętności. To nie do wiary, że jedna szczupła kobieta wydobywa z instrumentu takie bogactwo muzyki. Bez trudu mogłaby zostać

zawodową pianistką.

Dziwnie się czuł z nią pod jednym dachem w Stratton. W czasie spędzonym w Bodley miał istną obsesję na punkcie ślicznej, uroczej i niedostępnej pani Winters.

Płonął z pożądania, obmyślał, jak ją zdobyć. Nie przyjmował odmownych odpowiedzi. A teraz ma ją w swoim domu jako żonę.

Jeszcze bardziej dziwiło go to, że niespodziewanie poczuł radość, wręcz triumf. A przecież w ostatnich wydarzeniach nie było powodów do triumfu ani do radosnych uniesień. Ich małżeństwo to szalona pomyłka. Kochała i zawsze będzie kochać mężczyznę o imieniu Bruce. Czy któryś ze znajomych panów nosi to imię?

Żadnego śladu, żadnej wskazówki. Jak ona to dokładnie ujęła? Zmarszczył brwi i zastanowił się...

Moje serce, każda jego cząstka, należy i zawsze będzie należeć do Bruce'a.

Poprzedziła tę żarliwą wypowiedź, nazywając Rawleigha złym człowiekiem.

Wszystko dlatego, że usiłował ustalić zasady ich przyszłego współżycia, doradzić

jej, by puściła dawne dzieje w niepamięć i skoncentrowała się na przyszłości. Czy powiedział coś złego?

Kiedy wybiegła z salonu, powinien był zareagować gniewem i rzeczywiście ogarnęło go wzburzenie. Ale prócz tego był roztrzęsiony i czuł ból. Chociaż

niechętnie się przyznawał, zdołała go zranić.

Toby, który od kilku minut stał obok ławki przy instrumencie, powoli machając ogonem, zrozumiał, że potrzebne są bardziej zdecydowane środki, by przyciągnąć

uwagę pani. Wskoczył na ławkę przy pianinie i zaczął ją trącać nosem w łokieć.

- Toby! - Roześmiała się i przerwała grę. - Nie masz za grosz szacunku dla Mozarta. Nie jesteś przyzwyczajony do takiej konkurencji, prawda? Pewnie koniecznie chcesz wyjść.

Wicehrabia Rawleigh wstał i podszedł do Catherine i psa. Podniosła na niego wciąż roześmiane oczy. Chciał ją poinformować, że w domu jest dość służby, która zabierze psa na spacer w razie potrzeby. Nie przystoi żonie wicehrabiego Rawleigh biegać na każde kiwnięcie ogona rozpuszczonego teriera. Nagle zmienił

151

plany.

- Może razem pójdziemy na spacer? Ciekawe, czy wieczór jest tak samo ładny jak cały dzisiejszy dzień.

Tak naprawdę ciekawiło go, kiedy cały dom zacznie się z niego śmiać.

Poniewczasie spróbował dodać sobie autorytetu i ostro przemówił:

- Jazda stąd, mój panie. Meble w tym domu będziesz oglądał z poziomu podłogi, jasne?

Ale Toby już tańczył wokół jego nóg i poszczekiwał z radości. A Catherine znów się śmiała.

- Wymówiłeś słowo na „s” w zasięgu jego uszu - powiedziała. - To nie było rozważne.

Zmarszczył brwi i spojrzał na psa.

- Siad! - rzucił stanowczo.

Toby usiadł i wpatrzył się w niego uważnym, wyczekującym spojrzeniem.

- Twoje wojskowe doświadczenie przynosi efekty. - Śmiała się nadal. - Mnie tak nigdy nie słucha.

Po kilku minutach już byli na tarasie. Przyjęła jego ramię i ruszyli na spacer wokół

domu. Rozglądała się z ciekawym wzrokiem, oceniając urządzenie parku.

Otaczała ich jasna, księżycowa, ciepła noc. Toby biegał po trawnikach i obwąchiwał pnie wszystkich drzew, zapoznając się z nowym otoczeniem.

Pomyślał, że kiedy wrócą do środka, będzie już pora kłaść się spać. To ich pierwsza wspólna noc w tym domu. Noc, która najprawdopodobniej ustali scenariusz wszystkich pozostałych. Czy mają spędzić w osobnej sypialni? W ten sposób stworzy się precedens, który później trudno będzie przełamać. Czy chciał

takiego małżeństwa? Małżeństwa tylko z nazwy?

Śmieszyło go, że w ogóle się nad tym zastanawia - była przecież jego żoną. Od chwili, gdy ją ujrzał, pragnął jej, a nawet jeśli pominąć owo pragnienie, miał

przecież swoje męskie potrzeby. Czy może zaspokajać gdzieś indziej? Poza tym miał nieco może staroświeckie przekonania i cenił wierność w małżeństwie. Na pewno nie miał ochoty żyć w celibacie. Nie był mnichem.

Czy ma być sfrustrowany tylko dlatego, że ona wciąż hołubi wspomnienia po straconej miłości?

Zatrzymał się przy narożniku domu, obok ogrodu różanego, ulubionego zakątka jego matki.

- Catherine - zapytał - dlaczego tamtej nocy płakałaś?

Wcale nie zamierzał zaczynać rozmowy w ten sposób - pytanie było głupie.

Najlepiej byłoby zapomnieć o feralnej nocy poślubnej i doznanym upokorzeniu.

Odwróciła się do niego twarzą i przyjrzała mu się. Boże, jakaż była piękna w tym 152

swoim skromnym szarym płaszczku. Jasne włosy w świetle księżyca połyskiwały srebrem. W jej oczach był znak, że dobrze wie, o czym jej mąż mówi.

- Bez szczególnego powodu - odparła. - Wszystko było dla mnie takie nowe. To mnie trochę oszołomiło. Nadmiar emocji przejawia się czasem w dziwny sposób.

Nie był pewien, czy mówi prawdę.

- Odwróciłaś się ode mnie.

- Ja... - Wzruszyła ramionami. - Nie chciałam cię urazić. Żałuję, że tak się stało.

- Czy sprawiłem ci ból, czymś cię obraziłem czy zniechęciłem do siebie?

- Nie. - Zmarszczyła brwi i otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze dodać, lecz je zamknęła. - Nie - powtórzyła stanowczo.

- A może - powiedział z niespodziewaną i niemądrą goryczą - porównywałaś mnie z...

- Nie! - Zamknęła oczy i przełknęła ślinę, a potem opuściła wzrok na dłonie.

Zobaczył, że cała drży. - Nie. Tu nie ma mowy o porównaniach.

Biorąc pod uwagę słowa, które padły w salonie podczas herbaty, nie wyglądało to na komplement. Ogarnęło go nieodparte wrażenie, że znów jest wstydliwym, niedoświadczonym chłopcem. Uważał się za całkiem wprawnego kochanka, przyzwyczał się, że kobiety, z którymi sypiał w ostatnich latach, wyrażały się

pochlebnie o jego umiejętnościach. Ale, oczywiście, ona kochała innego mężczyznę. Może łózkowe uzdolnienia traciły znaczenie w starciu z ulokowaną

gdzie indziej miłością.

- Nie jestem gotów na małżeńską wstrzeźliwość. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ja też nie. - Zagryzła wargę. W świetle księżyca nie mógł dostrzec, czy się zarumieniła. Jej słowa brzmiały zachęcająco.

- Jeśli dziś w nocy przyjdę do ciebie, czy znów mnie odepchniesz ze łzami?

- Nie.

Podniósł dłoń i palcami delikatnie musnął jej policzek i szyję.

- Wiesz, że zawsze cię pragnąłem.

- Wiem.

Przełknęła nerwowo ślinę.

- Sądzę też, że pomijając wznioślejsze uczucia, ty mnie także pożadasz.

- Tak. - Ledwie dosłyszał jej cichy szept.

- Pobraliśmy się, choć żadne z nas tego nie chciało, ale stało się. Jestem gotów wziąć na siebie całą winę - ciągnął. - Teraz to już bez znaczenia. Jesteśmy małżeństwem. Może zdołamy nauczyć się żyć zgodnie ze sobą.

- Tak - potwierdziła.

- Jeszcze jedno. - Ujął podbródek Catherine i skierował jej twarz ku sobie.

153

Niepotrzebnie zresztą, bo patrzyła mu w oczy tak otwarcie, jak prawie zawsze. -

Zgadzam się, żebyś nazywała mnie milordem, ilekroć chcesz, żebym zaczął się

okropnie złościć. To skuteczna broń i szkoda by było cię jej pozbawiać, bo w latach, które mamy przed sobą, na pewno jeszcze nieraz się pokłócimy. Chciałbym jednak usłyszeć, jak wymawiasz moje imię. Powiedz je, Catherine.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Rex... -powiedziała.

- Dziękuję. - Dlaczego dźwięk własnego imienia w jej ustach budził w nim takie drzenie? Chyba zbyt wiele nocy spędzili osobno.

Zbliżył się do niej i pocałował ją. Wargi miała miękkie, ciepłe i nieco rozchylone.

Drżały pod jego ustami, zupełnie jakby nigdy jej nie całował i nie spędził z nią

żadnej nocy. Ogarnęło go znajome ciepło. Nigdy nie spotkał kobiety, która potrafiłaby rozpalić go zwykłym pocałunkiem.

- Wydaje mi się - powiedział, unosząc głowę i wciąż trzymając jej podbródek - że daliśmy Toby'emu dość czasu, by zdążył zaznaczyć swoje prawo do każdego drzewa w parku. Wracamy?

Przytaknęła. W jej oczach dostrzegł znajomy wyraz. Pragnie mnie, pomyślał.

Poczuł ogromną radość, którą dumnie starał się ukryć. Odwrócił wzrok i zagwizdał na psa. Toby

przybiegł pędem.

Zaśmiała się, choć jej śmiech nieco się łamał.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się to bezwzględne posłuszeństwo, jakie on ci okazuje - powiedziała.

- Być może - odparł, patrząc na nią z ukosa, kiedy ujęła oferowane jej ramię. - W przeciwieństwie do ciebie rozpoznaje głos swego pana.

Zaśmiała się, ale nic nie dodała.

To miły moment, pomyślał zaskoczony. Żartował z niej, a ona się roześmiała.

Mały, pozornie nic nieznaczący incydent. Jemu jednak wydał się wręcz przełomowy.

Jakie to dziwne znów mieć pokojówkę. Marie była gorliwa i chętna, chociaż chyba trochę zaskoczona skromnością garderoby swojej pani.

Wyjęła najładniejszą z jej nocnych koszul. Tę, którą Catherine zamierzała włożyć na noc poślubną.

Czekała w sypialni na męża, na Reksa. Musi zacząć używać jego imienia nawet w myślach. Miał rację. Stanowili małżeństwo na dobre i na złe. Powinni spróbować

uczynić je jak najlepszym, nauczyć się żyć w zgodzie, jak to ładnie ujął.

Jej sypialnia wyglądała wspaniale - pokój pełen pięknych mebli i miękki dywan na podłodze. Łoże było ogromne, ozdobione delikatnie dekorowanymi kolumnami. U

154

góry przykryte było baldachimem, a pościanie jedwabną kapą. Wkrótce będą tu leżeć obok siebie...

Bardzo go pragnęła, tak bardzo, że zaschło jej w gardle. Niemal wstydziła się

własnej gorliwości, bo przecież kilka godzin temu nienawidziła go za apodyktyczne polecenia, którymi usiłował ją zdominować. Musi pielęgnować w sobie to pożądanie. Nie ma sensu tłumić prawdopodobnie jedynej zalety ich związku. Pragnęli siebie nawzajem, przed niecałą godziną ustalili to ponad wszelką wątpliwość.

Dziś wieczorem musi przyjąć jego pieszczoty i własną reakcję bez żadnych zastrzeżeń. Nie wolno jej pozwolić, by poczucie osamotnienia wzięło górę nad innymi uczuciami, kiedy skończy się rozkosz. Może wcale nie jest tak bardzo samotna. Wbrew sobie i niemal niechętnie musiała dziś wieczorem

przyznać, że jego niektóre cechy jest w stanie polubić, jeśli tylko sobie na to zezwoli.

Doceniała jego błyskotliwość w rozmowie. Przez długi czas nic oprócz książek nie inspirowało jej umysłu. Podobało jej się jego bezpośrednie, otwarte podejście do wielu spraw, chociaż miało to swoje wady, na przykład owego popołudnia, kiedy ni stąd, ni zowąd zaczął ją wypytywać, kim jest dla niej Bruce.

Zupełnie nieoczekiwanie miło było razem się śmiać. Przedtem nawet sobie nie wyobrażała, żeby kiedykolwiek mogli dzielić rozbawienie.

Zauważała, jak przyjaźnie traktuje Toby'ego, choć nigdy by mu o tym nie powiedziała. Sympatię dla zwykłego psa uznałby, być może, za niemęski sentyment. Spojrzała z czułością na teriera, który pochrapywał wyciągnięty przed kominkiem. Zaraz po przyjeździe Rex sugerował wprawdzie, że pies powinien przebywać w stajni, ale nie protestował, kiedy stanowczo się sprzeciwiła.

Jak miałyby obywać się bez Toby'ego? I jak ten psiak żyłby bez niej?

Nagle odwróciła głowę. Usłyszała pukanie, a potem drzwi gotowalni otworzyły się i Rex wszedł do środka. Domyśliła się już przedtem, że drugie drzwi w tamtym pokoju łączą ich apartamenty. Miał na sobie szlafrok w kolorze czerwonego wina -

wyglądał w nim pięknie. Poczwała radość,

że jest jego żoną i nie musi tłumić pożądania, jakie w niej wzbudzał. I nie zastanawiała się nad tym, że w małżeństwie powinno być jeszcze coś ponad to. W

obecnej chwili zmysłowość zupełnie wystarczała. Przystanął i powoli obejrzał ją

całą.

- Jak to jest, że skromna bawełna wygląda na tobie lepiej niż najwspanialsze koronki? Jesteś taka piękna, kiedy masz rozpuszczone włosy. Nie, nieprawda.

Jesteś piękna, kiedy są upięte. Kiedy je rozpuścisz... Czy jest jakieś słowo mocniejsze niż „piękna”?

Co miała na to odpowiedzieć? Poczwała, że się rumieni. Te słowa sprawiły jej 155

przyjemność.

- Jeżeli takie słowo istnieje - powiedział, podchodząc do niej - poszukam go. Ale kiedy indziej.

Pocałował ją, dłońmi obejmując w talii przez cienką osłonę koszuli. Tym razem nie rozebrał jej natychmiast. Była z tego zadowolona, chociaż owej nocy nie zabraniała mu, gdy zdjął z niej wszystko od razu.

- Chodź do łóżka - powiedział z ustami przy jej ustach.

Tym razem zdmuchnął świecę, zanim dołączył do niej. Z tego też była zadowolona. Nie znaczyło to, że światło przeszkadza jej, ale czuła się trochę

skrepowana i miała wrażenie, jakby była wystawiona na pokaz. Dziś w nocy chciała zatracić się w czekającym ją przeżyciu, tak jak grając, zatracala się w muzyce. Chciała zapomnieć o sobie wśród piękna, harmonii i namiętności.

Spodobała jej się ta analogia.

Podszedł do niej nagi. Zamknęła oczy, kiedy ją całował i odnajdywał dłońmi jej ciało wśród fałd bawełnianej koszuli. Pamiętała, jak wyglądał, pięknie i proporcjonalnie zbudowany, ze szramą po cięciu szablą na prawym ramieniu i głęboką blizną po ranie na prawym biodrze. Nie musiała na niego patrzeć.

Wystarczało jej, że czuje przy sobie to rosłe, mocno umięśnione ciało. Owionęła ją nuta pizma w jego wodzie kolońskiej. Dziś wieczór świadomie oczekiwała nadchodzącej rozkoszy.

- Catherine, czy znów mam mieć bierną kochankę? Otworzyła szeroko oczy.

Bierną? Czy nie widzi, że już teraz płonie

z pożądania? Ledwie się wstrzymywała, by nie tulić się do niego i nie wić zmysłowo, nie dotykać go i nie pozwalać dłoniom błądzić po całym jego ciele.

- Wiesz, mógłbym bardzo prędko zaznać przyjemności - dodał, jedną dłonią rozpinając guziki jej koszuli. - Trwałoby to zaledwie parę chwil.

Wiedziała o tym. Powoli, głęboko odetchnęła i zatrzymała powietrze w płucach.

Och, jak dobrze o tym wiedziała.

- Ale wolałbym kochać się z tobą dłużej. - Ręka wślizgnęła się pod materiał i zsunęła pasek bawełny z jednego ramienia, a za tym ruchem delikatnie podążyły jego wargi. - Wiem, że u kobiety przyjemność przychodzi powoli.

Czy wszyscy mężczyźni to wiedzieli? I zgodnie z tym postępowali? Nie, nie wszyscy...

Oswobadzał ją z koszuli. Dłonią objął jedną pierś, a wargi otoczyły sutek. Dotknął go lekko językiem. Westchnęła.

- Wiesz, czego naprawdę pragnę? - spytał, a ciepły oddech ogrzewał zwilżony językiem sutek. - Chciałbym, żebyś ty też mnie pieściła.

Jak? Czują, że sztywnieje w jego ramionach.

156

- Jak? - szepnęła, coraz bardziej zadowolona, że świece się nie palą.

- Ach, Catherine - powiedział, znów całując jej usta. - Tak się cieszę, że mimo wszystko jesteś bardzo niewinna. Pozwalasz mi dotykać się wszędzie. Czy ten dotyk jest ci miły?

- Tak.

- Nie sądzisz, że mnie też byłoby przyjemnie, gdybym poczuł twoje dłonie? Nie pragniesz mnie dotknąć?

- Tak.

To znaczy, że mogła to robić? I nie było to... niestosowne? Omal nie roześmiała się nerwowo, kiedy użyła akurat tego określenia.

- Więc zrób to. Pieść mnie.

Na moment obrócił ją na plecy, zdjął przez biodra koszulę i odrzucił na bok.

Potem znów objął ją ramieniem.

Dotknęła dłońmi jego torsu. Miał pierś szeroką, mocno umięśnioną, lekko porośniętą włosami. Poczwała jego twarde jak kamyczki brodawki. Potarła je czubkami palców, przyciskając usta do jego torsu. Leżał bez ruchu - teraz on był

bierny. Kręciło jej się w głowie od pragnienia, by poznać, by odkryć całe jego ciało. Chciała, by się przez chwilę nie poruszał.

Plecy miał tak twarde, jak tors. I ciepłe. Gładząc powoli dłonią jego bok, wyczuła krzywiznę rany po szabli. Przesunęła lekko dłoń przez tę szramę, przez krawędź

biodra, i już miała się wycofać, ale nie pozwolił.

- Tak - powiedział wręcz gwałtownie. - Tak, Catherine, dotknij mnie.

Długi i twardy. Gotów dla niej. Musnęła delikatnymi palcami ciepłą obrzmiałość, a potem zamknęła wokół niej dłoń. Z przyspieszonego oddechu Reksa odgadła, że jest mu dobrze. Jakim cudem go pomieści? Ale wiedziała, że tak będzie. Głęboko w sobie czuła pulsowanie dopra-szające się, by się tam znalazł.

- Boże, kobieto - jęknął, i znów leżała na plecach, a on się nad nią pochylał. -

Powinienem był ci zawiązać ręce za plecami, a nie prosić, żebyś mnie pieściła. Czy ty masz magię w

tych dłoniach?

- Tak - szepnęła, unosząc ramiona, by przyciągnąć do siebie jego twarz.

Otworzyła usta pod jego pocałunkiem. - I zaczarowane ciało, Rex. Chodź i sam zobacz.

Znalazł się w niej jednym potężnym pchnięciem. Wykrzyknęła jakieś słowa prosto w jego usta, zaskoczona cudownym doznaniem.

- Sprawiałaś, że jestem teraz jak niecierpliwy uczeń - powiedział namiętnie. -

Chcesz mnie?

157

- Tak... - dyszała i prosiła, przesuwając dłońmi po jego plecach i pośladkach. -

Tak, jestem gotowa. Chodź, Rex. Chodź i weź mnie.

Nadszedł wielki, rwący oddech paroksyzm i ekstaza. Wdzierał się w nią z całej siły, ale nie pozostawała mu dłużna. Swym własnym rytmem wychodziła naprzeciw jego pchnięciom. Nareszcie usłyszała, jak jego krzyk miesza się z jej własnym. Poczula w sobie gorący strumień i zatraciła się. Sekundy, minuty czy godziny - nie wiedziała jak długo to trwa.

Doszła do siebie dopiero, gdy zelżał przygniatający ją ciężar i poczuła, że kładzie się obok niej na boku. Wtedy sobie przypomniała. Przypomniała sobie swoje uczucia w noc poślubną. Wrażenie, że połączyli się tylko fizycznie. Że duchowo i pod każdym innym ważnym względem wciąż jest sama, może nawet bardziej samotna, bo jej ciało przestało należeć wyłącznie do niej. Czy powróci tamten żal?

- I co? - Ręką pogładził ramię Catherine. Czy w jego głosie brzmiał niepokój?

Nie, chyba nie.

Odwróciła do niego głowę i uśmiechnęła się sennie. Oczy przywykły do ciemności, widziała, że wpatruje się w nią.

- Hm... - zamruczała.

- Hm, dobrze? Hm, źle? Czy hm, daj mi święty spokój?

- Hm.

- Co za elokwencja.

Sięgnął w dół i przykrył oboje kołdrą. Jedno ramię wsunął jej pod głowę. Obróciła się na bok i przytuliła do niego. Na razie zamierzała udawać, że dopiero przeżyte zjednoczenie jest

zjednoczeniem zupełnym. Nic nie szkodzi, że to nie cała prawda.

Dziś nic nie szkodzi. Był ciepły, spocony i cudowny w dotyku.

Jeszcze coś powiedział, ale była tak śpiąca, że nie zrozumiała co.

- Hm - mruknęła jeszcze raz i zapadła w błogi sen.

Odprężony i zaspokojony, sam już prawie zasypiał, ale jeszcze kilka minut opierał

się senności. Potarł policzkiem jedwabistą miękkość jej włosów. Ciepła i miękka, oddychała spokojnie. Pachniała mydłem, kobietą i miłością.

Zmęczonym po trzech tygodniach podróżowania umysłem powracał do ostatnich miesięcy, do wszystkich wydarzeń, które przyniosły tak wielką zmianę w jego życiu. Katastrofę. Do kiedy tak uważał? Chyba jeszcze parę minut temu...

Od początku pragnął znaleźć w niej kochankę. Kogoś, z kim mógłby sypiać i zaznawać przyjemności przez parę tygodni spędzonych na wsi z rodziną i przyjaciółmi. Na pewno nie chciał długotrwałego związku, chociaż, nieoczekiwanie dla siebie, zapragnął jej tak szaleńczo, że zaoferował małżeństwo

zanim okoliczności zmusiły go do ożenku.

Teraz cieszył się, że nie została jego kochanką. Catherine nie należała do kobiet, które nadawały się tylko do łóżka, choć na ironię losu właśnie będąc w łóżku, dochodził do tego wniosku. To kobieta na całe życie. Nie bardzo był pewien, co to oznacza i za bardzo senny, by o tym myśleć. Wydało mu się jednak, że to myśl ważna, nad którą warto się zastanowić jutro, kiedy trochę oprzytomnieje.

Cieszył się, że czeka ich życie pełne takich nocy, podczas których będą mogli doprowadzić do perfekcji łączącą ich namiętność. Noc poślubna była nieudana, a dzisiejsza daleka od ideału, choć zaledwie przed chwilą sądził inaczej. Z

pewnością odbiegała od jego zwykłych oczekiwań. Zamiast niekończących się

miłosnych uniesień wszystko skończyło się w parę minut i niemal cała rozkosz przypadła jemu w udziale. Niewiele zrobił, by ją zaspokoić, zanim wziął ją w szaleńczej żądzy.

Ale jej najwyraźniej było dobrze. Wykrzyknęła jego imię dokładnie w chwili, kiedy dotarł do szczytu i zaraz usnęła z doprawdy pochlebną dla niego szybkością.

W jego ramionach. Żadnego odwracania się, żadnych łez.

Postanowił następnym razem skupić się tylko na niej. Powstrzyma się choćby i godzinę, żeby dać jej całą przyjemność, jaką dać umiał. Następnym razem. Może jeszcze tej nocy? Będzie jej tylko musiał przykazać, żeby te zaczarowane dłonie trzymała przy sobie.

Ukrył uśmiech w jej włosach. Miał przed Catherine kobiety o dłoniach znacznie bardziej doświadczonych. Dlaczego właśnie ona podziałała na niego tak, że omal się nie skompromitował?

Ogarnęło go wielkie zmęczenie. Musi zasnąć. Wiedział jednak, że całej nocy nie zdoła przespać, że zanim nadejdzie poranek, zapragnie jej znowu.

Cieszył się, iż mają przed sobą całe życie...

Usłyszał, że Toby wierci się przed kominkiem. Pies ziewnął głośno, z trzaskiem zamknął pyszczek i ucichł.

Lord Rawleigh niemal się roześmiał, ale był tak śpiący, że nie miał na to siły.

18

Catherine nie oczekiwała szczęścia ani choćby czegoś zbliżonego do tego uczucia.

Nie chciała wychodzić za mąż za Rawleigha. Przymusowy ślub był dla niej koszmarem, choć zawsze czuła do Reksa nieodparty pociąg. Spodziewała się, że będzie bardzo tęsknić za swoim domkiem i spokojnym, cichym życiem w Bodley.

Wbrew swoim prognozom podczas pierwszych tygodni w nowym domu poczuła 159

się niespodziewanie szczęśliwa. Musiała przyznać, że cudownie jest znów mieszkać w wielkiej rezydencji, otoczonej rozległym, pięknym parkiem i mieć

liczną służbę, która pilnowała, by gospodarstwo funkcjonowało bez zakłóceń.

Świetnie się czuła jako pani Strat-ton Park, zamężna, szanowana kobieta, żona wicehrabiego Rawleigh.

Pierwszego dnia po przyjeździe całe przedpołudnie poświęciła pani Keach. Służba zdziwiła się, widząc ją wczesnym rankiem na nogach. Gospodyni oprowadziła ją

po domu, wyjaśniła, jak jest prowadzony, pokazała księgi rachunkowe i zabrała do sutereny, bo Catherine chciała porozmawiać z kucharką. Domem zarządzano sprawnie, a podawane posiłki były urozmaicone, pożywne i smaczne. Być może wiele młodych pań domu zgodziłoby się, by sprawy biegły raz ustalonym torem i bez ich osobistego nadzoru. Catherine też nie wtrącała się początkowo, ale po kilku dniach już wszyscy bez wyjątku wiedzieli, kto będzie rządził w Stratton Park.

Dobrze się czuła, znów prowadząc tak duży dom.

Po okolicy szybko rozeszły się wieści, że wicehrabia Rawleigh nie tylko powrócił

do swojej posiadłości, ale przywiózł ze sobą żonę. Przez pierwszy tydzień

napływał niekończący się strumień odwiedzających, a większość z nich zapraszała młodych małżonków do siebie. Podczas drugiego tygodnia niemal każde popołudnie i wieczór Catherine spędzała poza domem, rewizytując sąsiadów i uczestnicząc w obiadach i przyjęciach wydawanych na cześć Rawleighów.

Stratton obiecywało

urozmaicone życie towarzyskie, nawet kiedy w okolicy wygaśnie ożywienie spowodowane jej przyjazdem.

W tych pierwszych dniach poznała również pastora ze Stratton i jego żonę oraz mieszkańców pobliskiej wsi, okolicznych dzierżawców i farmerów. Kiwała głową

i posyłała uśmiechy ludziom spotykanym na ulicy czy w kościele, a oni w odpowiedzi wpatrywali się w nią i uśmiechali. W drugim tygodniu zaczęła ich wszystkich odwiedzać, znajdując czas między wizytami u szlachty z sąsiedztwa.

Była bardziej zajęta niż kiedykolwiek.

Zaraz po powrocie dziedziców do Stratton Park z Londynu przyjechały modystka i dwie krawcowe. Catherine nie uprzedzono o tych planach, musiała jednak spędzić

z nimi całe przedpołudnie i szybko przypomniała sobie połączenie radosnego podniecenia i nudy, które towarzyszy przymiarkom, wybieraniu materiałów, ozdób i fasonów dla tych wszystkich strojów. Na ich ilość nie miała żadnego wpływu -

mąż decydował. Uważał chyba, że potrzebuje wszystkiego i na wszystkie okazje.

Nie protestowała. Sama szyła sobie suknie przez pięć lat i była zadowolona z ich 160

prostoty i niewielkiej liczby. Wystarczały na jej potrzeby. Pogodziła się jednak z faktem, iż teraz musi się stroić odpowiednio do nowej pozycji. Znów zobaczyła, jak miło jest mierzyć nowe, modne ubrania. Niektóre rzeczy wykończono bardzo szybko. Dwóm szwaczkom polecono pozostać w Stratton, dopóki nie uszyją całej reszty.

Jak można było oczekiwać, nie widywała męża zbyt często. Obowiązki w gospodarstwie i wizyty zajmowały jej cały dzień, a on zajmował się sprawami majątku. Bardzo szybko Catherine pojęła, że poważnie traktuje obowiązki właściciela ziemskiego. Nadzorował całość zarządzania posiadłością, mimo że miał kompetentnego zarządcę. Wieczorami Rawleighowie razem składali wizyty lub przyjmowali gości, ale obowiązki towarzyskie często ich rozdzielały.

Mimo to Catherine nie odniosła wrażenia, że unikają siebie. Posiłki zazwyczaj jadali wspólnie i nieraz znajdowali czas na spacer lub przejażdżkę.

Przekonywała się, że mimo jej obaw mogą się polubić. Teraz, we własnym domu i zajęty różnymi sprawami, nie sprawiał już wrażenia znudzonego, gnuśnego mężczyzny, zajętego wyłącznie rozrywkami, jak kiedyś w Bodley. Ponadto jako mąż przestał się jej wydawać niebezpiecznym, natrętnym uwodzicielem. W

Stratton ogromnie go lubiano, przede wszystkim zaś darzono szacunkiem. Żona jednego z dzierżawców wyjawiała jej, że ojciec wicehrabiego był nieudacznikiem i hazardzistą.

Majątek znajdował się w fatalnym stanie, kiedy jego lordowska mość go odziedziczył. Podolał jednak obowiązkom i przywrócił posiadłości dawną

światłość, mimo że parę lat musiał spędzić na wojnie.

Kiedy byli razem, szalenie rzadko zapadało między nimi milczenie, a nawet gdy nic nie mówili, nie była to niechętna czy pełna urazy cisza, jakiej mogła się

spodziewać po niezbyt udanym początku ich małżeństwa. Rozmawiali na wiele tematów. Przekonała się mile zaskoczona, że potrafi być zajmującym rozmówcą.

Wydawało się, że przynajmniej chwilowo oboje założyli, iż nie mogąc czemuś

zaradzić, trzeba to zaakceptować z pogodą ducha. Miała wrażenie, że wspólnym wysiłkiem starają się nadać swojemu małżeństwu jakiś sens.

Co noc spał w jej łóżku. Trudno się dziwić, myślała Catherine, że ta sfera ich związku jest niezwykle udana. Podczas wizyty w Bodley gorąco jej pragnął, a ona też ledwie przewyciężała własne pożądanie. Był nawet gotów ożenić się z nią

tylko po to, by mieć ją w łóżku, zanim jeszcze zmusiły go okoliczności.

To, co działo się między nimi w sypialni, sprawiało jej mnóstwo przyjemności.

Był wspaniałym kochankiem i znakomicie uczył ją zgłębiać sekrety miłości.

Nalegał, by pozbyła się wszelkich zahamowań i cieszyła się radościami małżeńskiego współżycia. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczała, że 161

może zaznać tak wiele rozkoszy, a każda noc przynosiła rozmaite nowe olśnienia.

Zdawał się nienasycony. Każdej nocy kochał się z nią raz, często dwa razy, czasem więcej. Ona też wciąż nie miała go dosyć. Myśl ta barwiła rumieńcem jej policzki.

Oczywiście, nie spodziewała się, żeby to trwało wiecznie. Wiedziała, że poślubiła uwodziciela. Widziała, jak wszystkie panie z sąsiedztwa, niezależnie od wieku, patrzą na niego. Mężczyzna tak zachwycający i obdarzony taką aktywnością nie zadowolony się do końca życia wdziękami jednej kobiety. Prędzej czy później słodkie dni się skończą. Może wtedy, gdy ona będzie już brzemienna. Za kilka dni to się okaże.

Kiedy tak się stanie, kiedy on skieruje swoje pragnienia gdzie indziej, pogodzi się z rzeczywistością. Nabrała wielkiej wprawy w godzeniu się z losem. Chociaż

czasem czuła, że jest nielojalna wobec dawnego domku i ówczesnego życia, tutaj była szczęśliwsza. Obecna egzystencja była bardziej znajoma, dawała jej więcej poczucia, że znalazła się na swoim miejscu, niż kiedykolwiek osiągnęła w Bodley-on-the-Water. Będzie tu trwale szczęśliwa. Życie było takie przyjemne.

Na przekór temu rozumowaniu myśl o utracie jego względów powodowała ucisk w sercu, trudny do określenia ból. Na szczęście nie miała zbyt dużo czasu na samotne rozmyślenia. Prawdę powiedziawszy, musiała przyznać, że doznaje dużej satysfakcji, pokazując się z nim w towarzystwie.

Widziała respekt, z jakim traktują go inni mężczyźni, spostrzegała w oczach innych kobiet, jak bardzo są świadome jego uroku, i pamiętała ciągle, że to jej mąż, jej kochanek. I dobrze jej było sam na sam z Reksem, lubiła mieć w nim towarzysza, kogoś, z kim mogła dzielić myśli i opinie.

Cudownie było mieć kochanka, kogoś, przy kim czuła się ożywiona, młoda, piękna i kobieca. Tak długo żyła, tłumiąc podobne uczucia. Dobrze było wiedzieć, że w łóżku ma nad nim władanie. Wiedziała już, jak zwiększyć jego rozkosz, jak zostawić go bez tchu, jak doprowadzić do utraty panowania, sprawić, by jęczał i krzyczał. Lubiła słuchać, jak skarży się na jej magiczny dotyk i grozi, że zwiąże jej ręce na plecach. Lubiła, kiedy nazywał ją czarodziejką.

Dobrze, że nie jestem w nim zakochana, stwierdziła. Będzie jej wystarczająco przykro, kiedy nadejdzie nieunikniona odmiana sytuacji. Przynajmniej jej głębsze uczucia zostaną oszczędzone. Tak, to będzie bardzo przykry moment...

Była zbyt zajęta, żeby często o tym myśleć i psuć sobie odczuwaną teraz ogólną satysfakcję.

- Tu jest tak pięknie - powiedziała z lekkim westchnieniem zadowolenia. - Czy to 162

najpiękniejsza posiadłość w Anglii, czy tylko ja jestem stronicza?

- To jest najpiękniejsza rezydencja w kraju. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale wiesz, ja też nie jestem obiektywny.

Była wiosenna pora, jeden z tych idealnych dni, które przypominają lato, ale bez dokuczliwego upału. Niebo miało jasną, błękitną barwę. Wiał lekki wietrzyk.

Stali pośrodku mostku o klasycznym stylu. Spoglądali na spokojny nurt rzeki i wiszące nad ich głowami gałęzie płaczących wierzb, na park i dom w oddali. Z

mostku roztaczał się szeroki pejzaż, z każdego punktu inny, bo kamienne filary i hakowe sklepienie wyznaczały coraz to nowe ramy perspektywie. Pradziadek Rawleigha postawił ten most przed prawie stu laty.

Rawleigh wrócił spieszenie do domu, odrywając się od spraw majątku, które mogły go zatrzymać do lunchu albo dłużej. Skrócił pobyt poza domem, bo przy śniadaniu Catherine powiedziała, że przed południem krawcowa zażyczyła sobie ostatecznej przymiarki, co znaczyło, że jego żona nie wyjdzie składać wizyt. Wziąwszy Toby'ego poszli na spacer -rozpuszczonego teriera wciąż jeszcze nie odesłano pod opiekę stajennych i lokajów. Teraz biegał wzdłuż brzegu rzeki, usiłując łapać

latające wkoło owady.

- Zastanawiałam się, czy salon nie będzie wyglądał lepiej, jeśli da się tam zasłony w jaśniejszym odcieniu - powiedziała. - To takie wytworne wnętrze, Rex. Ale coś

jest z nim nie w porządku. Głowię się nad tym od paru dni. I wczoraj pomyślałam, że aksamit o barwie wina pochłania chyba zbyt wiele światła i tłumi świetność

pokoju. Co o tym sądzisz?

Lekko zmarszczyła brwi, najwyraźniej wyobrażając sobie w myślach salon i koncentrując się na tym bez reszty. Zaskakiwała go, zastanawiała i intrygowała.

Zdawała się idealnie pasować do miejsca takiego jak rezydencja Stratton. Łatwo przejęła zarządzanie całym domem. Pani Keach słuchała jej poleceń z szacunkiem, jakby Catherine zawiadywała domem od dziesięciu lat. Sąsiedzi przyjmowali ją

jak udzielną księżnę. Jej wyrobienie towarzyskie nie podlegało dyskusji.

Zachowywała się z klasą, bez żadnych gaf w towarzystwie ani arogancji.

- Przypuszczam, że masz do tego lepsze oko niż ja. Jeżeli trzeba zmienić zasłony, to je zmień - odparł.

Wciąż marszczyła brwi.

- Nie chcę psuć swoistego charakteru domu - wyjaśniła. - W obecnym stanie jest wprost wspaniały. I nie mam zamiaru wydać całego twojego majątku. Ale mam parę pomysłów...

Zaśmiał się, a ona spojrzawszy na niego, przestała marszczyć brwi i też się

roześmiała.

- Nie więcej niż kilka - dodała. - No może z tuzin.

163

Zaczynał się już przyzwyczajać do lekkiego drgnienia w sercu przy każdym jej uśmiechu. Najwyższy czas, żeby się przyzwyczaił. Ilekroć na niego zerkała, on akurat patrzył na nią. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy jeden z sąsiadów skomentował ich spojrzenia, a dwaj inni dżentelmeni, którzy to słyszeli, zaczęli się

śmiać i wspomnieli coś o zapale nowożeńców.

Nie należało do dobrego tonu wpatrywać się ciągle we własną żonę, kiedy okoliczności nakazywały bawić rozmową całe towarzystwo. Tak więc, choć wciąż

urzeczony jej wdziękiem i pięknnością, usiłował nie patrzeć na nią bez przerwy, co nie przychodziło mu łatwo. Wciąż się na tym przyłapywał.

Czekał, aż przejdzie mu ta, co tu dużo mówić, obsesja. Od dwóch tygodni, jeśli nie liczyć nocy poślubnej, kochał się z nią zwykle kilka razy w ciągu jednej nocy. Czas już był najwyższy, jeśli nie wręcz po czasie, żeby jego namiętność zaczęła słabnąć. Dziwił się, że przesyt nie nadchodzi. Czy powinien tak ciągle tkwić w łóżku własnej żony?

- Tuzin pomysłów - przerwał rozmyślania. - No cóż, dopóki jednym z nich nie jest kompletna przebudowa domu, a drugim wymiana wszystkich mebli, dopóty będę uważał, że mi się upiekło.

Nie przestawała się śmiać.

- I ogrody z kwiatowymi klombami wokół całej posiadłości - dodała. - I trzy mosty, żeby z każdej strony domu był widok taki, jak ten. Och, i marmurowa fontanna z nagim cherubinem. I...

Położył palec na wargach Catherine, żeby ją uciszyć.

- Rzeka płynie tylko wzdłuż jednego boku domu - stwierdził. - Czy dajesz mi do zrozumienia, że powinienem wokół dworu zbudować fosę?

- Czy mogę zwiększyć liczbę pomysłów do trzynastu? - spytała.

To także nie przestawało go zadziwiać w ich małżeństwie. Zazwyczaj dyskutowali ze sobą całkiem poważnie, ale chwilami ich rozmowy stawały się absurdalne, jak teraz. Potrafili się razem śmiać - podobał mu się jej śmiech, uwalniał go na trochę

od poczucia winy. Zastanawiał się czasem, czy pozoruje humor, starając się

zachować twarz. Czy w głębi duszy nie wolałaby mieszkać w swoim małym wiejskim domku nad rzeką?

I ciągle na nowo rozmyślał, czy dalej usycha z miłości do mężczyzny o imieniu Bruce. Próbował

zapomnieć o tym nieznanym, ale umysł nie poddawał się tak łatwo kontroli. Zżerała go zazdrość, ilekroć był na tyle nieostrożny, by puszczać

wodze wyobraźni.

Przynajmniej dobrze, że jej nie kocha, choć przecież nie chciał zenić się bez miłości. Gdyby ją kochał, oprócz tego niespodziewanego szczęścia, jakie przyniosły mu pierwsze tygodnie małżeństwa, czułby też spory ból. Choć i tak 164

czuł ból na myśl, że...

Oboje w tej samej chwili odwrócili głowy i spojrzeli w kierunku ogromnej kamiennej bramy wjazdowej u wylotu alei, niedaleko mostu. Nieznany powóz skręcał w stronę domu.

- Goście? Ktoś, kogo jeszcze nie znam? - spytała. Uśmiechnął się nagle, złapał ją

za łokieć i pośpiesznie poprowadził

przez most, żeby zbliżający się szybko pojazd ich nie przejechał. Toby pognał

pędem, szczekając w szalonym podnieceniu, jak zresztą traktował wszystkich gości - niedużo czasu zajęło mu objęcie w posiadanie całego parku.

- Tak - stwierdził lord Rawleigh. - Jeden nieznanomy. I chyba dwóch znajomych.

Tak, na pewno.

Powóz zatrzymał się natychmiast po przejechaniu mostu, kiedy jadący wreszcie ich dostrzegli. Wicehrabia podszedł i otworzył drzwiczki. Lord Pelham wyskoczył

ze środka, nie czekając na tak niepotrzebne udogodnienia, jak schodki. Rzucił się

klepać przyjaciela po ramieniu i ścisnąć mu rękę.

- Rex, zatwardziały grzeszniku! - wołał. - Żenisz się i nawet nie czekasz, aż

przyjaciele zjadą w odświętnych strojach. Gratuluję, stary druhu!

Pelham ruszył do Catherine, a jego miejsce zajął Nathaniel Gas-coigne, ze śmiechem poklepując Reksa i mówiąc, że jest szczęśliwym draniem, szczęśliwszym, niż na to zasługuje. Potem zażądał, żeby Eden się odsunął, bo chce uściskać żonę przyjaciela i skraść jej całusa, skoro ominęła go okazja zrobienia tego podczas ślubu.

A wtedy z powozu wysiadł hrabia Haverford - wysoki, jasnowłosy i elegancki.

Czwarty Jeździec Apokalipsy.

- Rex - zaczął. - Kochany chłopcze. Co to wszystko znaczy?

Przyjaciele uściskali się. Nie widzieli się od kilku miesięcy. W dawnych czasach kwatrowali razem, oddychali tym samym powietrzem, stale walczyli ramię w ramię i obaj omal nie stracili życia przy tylu okazjach, że woleli ich nie liczyć.

- Z pierwszym zdziwieniem przeczytałem twój list - ciągnął Ha-verford - a potem Eden i Nat powiedzieli mi, że wcale ich nie zaskoczył twój ślub. Mam ci za złe, że nie poczekałeś na nas z tą uroczystością. Pewnie byśmy się pobili o to, kto zostanie twoim drużbą. Rozumiem, że Claude objął tę zaszczytną funkcję?

Lord Rawleigh przytaknął i uśmiechnął się szeroko.

- Trzech drużbów, licząc z Claude'em czterech, uznano by za lekką przesadę -

powiedział. - A jednak wszyscy zechcieliście przyjechać. Taki szmat drogi z Kornwalii. Jestem wzruszony.

Hrabia Haverford ponownie klepnął go w ramię i zwrócił się ku nieznannej osobie, która śmiała się i słuchała docinków pozostałej rozbawionej dwójki. Odstąpili od 165

niej, żeby przedstawić trzeciego przyjaciela męża.

Lord Rawleigh spojrział na Haverforda i już chciał zacząć prezentację, gdy nagle zamilkł, widząc na jego twarzy ogromne zaskoczenie.

- Ależ... lady Catherine! - powiedział Haverford.

Szybkie, uważne spojrzenie wicehrabiego zanotowało nagłą bladość żony i oczy patrzące z lękiem świadczącym o rozpoznaniu.

- Oto moja żona. Z trudem udało mu się zapanować nad tonem głosu. - A to Kenneth Woodfall, hrabia Haverford, Catherine. Chyba już mieliście okazję się

poznać.

- Tak, istotnie - powiedział Ken głośno, szybko i serdecznie. - Proszę mi wybaczyć. Lady Rawleigh, nieprawdaż? Owszem, przypominam sobie, że bawiliśmy kilka lat temu w stolicy w tym samym czasie. Ranny wróciłem do domu z Hiszpanii na kilka miesięcy. Tak więc namówiła pani Reksa do małżeństwa, a może odwrotnie, on namówił panią. Nat i Eden przez całą podróż

do Stratton powtarzali bez przerwy, jaki z niego szczęściarz. Teraz sam widzę, że nie przesadzali. - Ujął jej dłoń i kłaniając się, podniósł ją do ust.

- Jestem w pełni świadomy, jakie miałem szczęście - powiedział wicehrabia i uśmiechnął się do swojej żony. Wziął jej lodowato zimną rękę i wsunął pod swoje ramię. - Wygląda na to, kochanie, że mamy gości!

- Bardzo się cieszę. - Udało jej się niepewnie uśmiechnąć. Rumieńce zaczęły powoli wracać na jej policzki. - Przekonałam się już w Boddley, że lord Pelham i pan Gascoigne to szczególnie przyjaciele mego męża. Tym bardziej cieszę się, poznając kolejnego. Ogromnie miło, że znów będziecie razem.

- Powinniśmy byli mieć ze sobą takiego teriera w Hiszpanii - zauważył

Haverford. - Sam by odesłał Francuzów z powrotem przez Pireneje. Szukaliby schronienia w górach jeszcze przed pierwszą bitwą. Czy to pani pies, milady?

Toby biegał wkoło bez przerwy. Odkąd tylko powóz minął bramę, dawał wielki pokaz dzielności i zajadłego szczekania. Nat zaczął go tarmosić, co jeszcze bardziej rozochociło psa.

Skierowali się do dworu. Mówili wszyscy naraz, trochę za głośno i za wesoło.

Mnóstwo było śmiechu. Toby wciąż ujadał.

„Lady Catherine”.

Strach i rozpoznanie w jej oczach.

Ken szybko zatuszował niezręczność. Zbyt szybko.

„Lady Catherine”.

Mimo późnego zawiadomienia, kucharce bez trudu udało się przygotować lunch 166

dla trzech niezapowiedzianych osób. Śmiech i rozmowy nie ustawały. Potem Catherine musiała odbyć kilka wizyt, a panowie spędzili razem popołudnie. Obiad był podobny do lunchu. Wieczorem wszyscy wybrali się do Brixhamów na partyjkę kart. Rex wysłał umyślnego z wiadomością o przyjeździe trzech niespodziewanych gości i natychmiast otrzymał dla nich zaproszenie. Niezamężne damy z sąsiedztwa były zachwycone.

Ten dzień, zupełnie tak samo jak pozostałe, wypełniony był działaniami. Od rannego spaceru na most nie mieli dla siebie wolnej chwili.

Catherine szykowała się do snu. Pozwoliła Marie wyszczotkować sobie włosy i odesłała pokojówkę. Włożyła nocną koszulę i poszła do swojego buduaru - wołała czekać tam niż w sypialni. Nie mogła opanować drżenia, choć przyjaciele męża mówili o niezwykle ciepłym tego wiosennego wieczoru.

Byli bardzo miłą kompanią. Robili, co w ich mocy, żeby czuła się swobodnie, by zaczęła się śmiać, mimo że była jedyną kobietą wśród czterech mężczyzn. Hrabia Haverford szczególnie jej nadskakiwał. Nie patrzył na nią z góry, nie traktował

oziębło, chociaż tego oczekiwała, kiedy ją rozpoznał.

Dobrze go pamiętała z czasu tamtej wiosny. Niezwykle przystojny w szkarłatnym mundurze, romantycznie blady od ran, które w Hiszpanii omal go nie uśmierciły.

Wszystkie młode damy z wielkiego świata wzdychały do niego - ona także -

choć tylko kilka razy zatańczyła z nim na balu.

- Toby. - Pozwoliła psu wskoczyć na dwuosobową kanapkę obok niej, mimo że nauczył się nie układać wygodnie na meblach, jeżeli w pobliżu był jej mąż.

Otoczyła ramionami ciepły kark psa i przytuliła do niego głowę. - Toby, to się

musiało stać. Czemu nie powiedziałam mu od razu? Zanim się pobraliśmy. Zanim zaczęłam... Zanim zaczęłam pielęgnować uczucia. Och, wiedziałam, że nie wolno mi przywiązywać się do nikogo ani trochę.

Toby polizał ją po policzku. Nie zdołał wziąć dalszego udziału w rozmowie, bo drzwi się otworzyły i pies pośpiesznie zeskoczył na podłogę.

- Ach, tu jesteś - powiedział jej mąż. - To dobrze. Posiedzimy w buduarze, nie w sypialni.

Nie wyglądał na zbyt zagniewanego. Ale dlaczego miałby się gniewać?

Wiedział, że zataiła większą część swojej historii. Nie próbował nalegać, by ją

ujawniła, a ona nigdy mu nie skłamała. Zastanawiała się, co hrabia Haverford zdażył mu opowiedzieć po południu. Ale już znała odpowiedź. Nic. Nic by nie powiedział. Bezwiednie podniosła się.

- No cóż, lady Catherine - powiedział Rex. - Przynajmniej jakaś część zagadki się

wyjaśnia. Przystosowałaś się do życia w Stratton, jakbyś była do tego wyuczona.

Wygląda na to, że istotnie urodziłaś się w zbytku. Idziesz do łóżka? Wyglądasz, 167

jakbyś szykowała się do konfrontacji. To wcale nie jest potrzebne. Trudno mi teraz nalegać, byś wszystko mi wyznała, skoro nie żądałem tego na samym początku, prawda? Możesz być spokojna - Ken będzie trzymał język za zębami.

- Nazywam się lady Catherine Winsmore - powiedziała cicho. - Jestem córką lorda Paxtona.

Rawleigh przez chwilę milczał. Stał przy drzwiach, ręce założył za plecami i zacisnął wargi.

- A więc opowiesz mi resztę - powiedział wreszcie. - Lepiej usiądź, Catherine, zanim zemdlejesz. Czy to naprawdę taka straszna historia?

Usiadła i mocno zacisnęła dłonie na kolanach. Tak, opowie mu więcej, opowie mu wszystko. Pewna niemądra myśl snuła jej się po głowie, kiedy próbowała się

opanować i zdecydować, od czego zacząć.

Więc jednak jestem w nim zakochana, myślała. Co za chwila na takie odkrycie!

Jestem w nim zakochana.

19

Podszedł powoli do kominka, usiadł na obitym brokatem fotelu, nie za blisko Catherine. Toby powąchał stopę Reksa i ułożył się na dywanie, kładąc nos na jego pantoflu.

Patrzył na nią - była blada i opanowana, wpatrzona w ręce ułożone na kolanach.

Wcale nie był pewien, czy chce to usłyszeć. W ciągu trzech tygodni była jego żoną, udało im się świetnie dostosować. Stali się niemal przyjaciółmi, a także nienasyconymi kochankami. A jednocześnie byli sobie obcy - do dziś nawet nie wiedział, kim ona naprawdę jest. Lady Catherine Winsmore, córka lorda Paxtona, teraz już lady Adams, wicehrabina Rawleigh.

Pięć lat mieszkała w Bodley-on-the-Water jako owdowiała pani Winters, tymczasem była niezamężną córką lorda Paxtona. Znał jej ojca. Zapomniał tylko, że jego nazwisko rodowe brzmi Winsmore.

- Miałam debiut towarzyski, kiedy skończyłam dziewiętnaście lat - zaczęła. -

Żałoba w rodzinie uniemożliwiła mi go rok wcześniej. Czułam się już niemal jak stara panna. Miałam wrażenie, że wszystkie młode damy mnie uprzedziły. -

Roześmiała się cicho, bez śladu radości. -Byłam aż nadto gotowa do flirtu, miłości, małżeństwa. Ale ponad wszystko pragnęłam nacieszyć się tym moim pierwszym sezonem. Żałoba może mocno dać się we znaki tak młodej dziewczynie, zwłaszcza jeśli obowiązuje ją po krewnym, którego niewiele znała i nie czuła doń większego przywiązania.

Tak więc wyglądało życie Catherine przed pięciu laty. Piękna dziewczyna, pełna 168

radości życia. On w tym czasie walczył w Hiszpanii. Weszła w świat w roku, w którym Ken pojechał do domu na rekonwalescencję. Przyjaciel wrócił potem do Hiszpanii i umyślnie ich drażnił opisami wszystkich młodych dam z towarzystwa, z którymi flirtował, tańczył i spacerował. Być może Catherine była jedną z nich.

- Szybko mi się poszczęściło i znalazłam kilku adoratorów - kontynuowała. -

Jeden szczególnie się mną zainteresował i niebawem mi się oświadczył. Papa bardzo się ucieszył, bo to była dobra partia. Lubiłam go. Miałam zamiar go przyjąć. Ale... Och, byłam niemądra, niemniej nudził mnie trochę. Ostatecznie zgodziłabym się wyjść za niego, ale pomyślałam, że nie chcę wiązać się

zareczynami przed końcem sezonu. Chciałam, by inni mężczyźni myśleli, że wciąż jestem wolna, chciałam poflirtować. Byłam taką lekkomyślną dziewczyną.

- Nie jest głupotą chcieć cieszyć się życiem, kiedy człowiek jest młody -

powiedział cicho. Toby, oparty o jego stopy, westchnął z cichym zadowoleniem.

- Był ktoś, kto podobał mi się znacznie bardziej - ciągnęła. - Przystojny, wesoły i czarujący mężczyzna. Cieszył się opinią uwodziciela i ten fakt czynił go niezwykle atrakcyjnym. Mówiono, że grywał ostro w karty, był bliski ruiny i szukał bogatej żony. Ostrzegano mnie, bym trzymała się od niego z daleka.

- Ale nie posłuchałaś.

Zwiesiła ramiona bezradnym ruchem.

- Nie miałam złudzeń co do przyczyn jego zainteresowania - powiedziała. - Nie myślałam o małżeństwie z nim. Nie byłam w nim zakochana, lecz imponowało mi, że zachwyca się mną ktoś o takiej fatalnej reputacji, mężczyzna, którego mi zakazywano. Czasem, na złość mojej przyzwoitce, tańczyłam z nim na balach. Na koncertach i w teatrze wymienialiśmy spojrzenia. Kiedy niecierpliwił się, że nie pozwalają mi się z nim widywać, przysyłał mi liściki. Odpisałam mu, ale tylko jeden raz. Jak mogłam zrobić coś tak skandalicznego! Byłam po prostu strasznie nieostrożna.

Musiało stać się coś bardzo złego, pomyślał. Tyle czasu zajmuje jej przejście do rzeczy. Ani razu na niego nie spojrzała.

- Byłaś tylko bardzo młoda - sprzeciwił się.

- Potem zrobiłam coś naprawdę niewybaczalnego. - Znowu opuściła ramiona i na długą chwilę zamilkła, zanim podjęła opowieść. - Spotkaliśmy się w ogrodach Vauxhall, każde z nas przyjechało z osobną grupą gości. Poprosił mnie do tańca, lecz mój towarzysz powiedział mu bardzo surowo i stanowczo, że wieczór mam zajęty. Przez kelnera roznoszącego wino przesłał mi w tajemnicy liścik, prosząc, żebym z nim poszła na krótką przechadzkę. Vauxhall to takie piękne miejsce -

byłam tam po raz pierwszy. Wszyscy moi znajomi chcieli jednak siedzieć w za-rezerwowanej wcześniej łóży, jeść truskawki i pić wino. Nikt nie chciał tańczyć

169

ani iść na spacer. Byłam rozczarowana.

Zaczęła mówić szybciej, coraz bardziej rozdrażniona. Patrzył na jej pochyloną

głowę i jednego był pewien. Dobrze, że nie poślubiła nudnego, godnego szacunku dżentelmena, który odebrał cały urok jej pierwszemu sezonowi towarzyskich rozrywek. Biedna dziewczyna. Przypuszczał, że zobaczono ją razem z tamtym lekkoduchem i została skompromitowana. Nie, musiało wydarzyć się coś więcej.

Przypomniał sobie ich noc poślubną.

- Powiedziała, że chce odwiedzić przyjaciółkę w sąsiedniej łoży - ciągnęła. -

Odeszłam, zanim ktokolwiek zdołał się poderwać, by mi towarzyszyć. Poszłam na przechadzkę, której tak bardzo pragnęłam.

O Boże, pewnie tamten wziął ją siłą. Została zgwałcona...

- Czekał na niego powóz - mówiła. - Oczywiście nie chciałam wsiąść do środka, ale obiecał mi krótką przejażdżkę, że chce mi pokazać światła Vauxhall z pewnego oddalenia. Byłam zbyt nieśmiała, żeby robić głośne zamieszanie, co by na pewno nastąpiło, gdybym spróbowała uwolnić ramię z jego uścisku. On... On mnie skrzywdził w tym powozie... A potem od razu zawiózł mnie do domu -

wystarczyło mu tupetu. Powiedział mojemu ojcu, że się kochamy, że żyjemy ze sobą. Twierdził, że planowaliśmy ucieczkę i powstrzymał go tylko szacunek dla mojej reputacji. - Przerwała.

- Czy on cię zgwałcił? - Ciężko mu było wydobyć słowa. Oczy miała zamknięte, dłonie trzymała zaciśnięte na kolanach.

- Latami - podjęła - tłumaczyłam sobie, że to nie moja wina. Mówiłam „nie” raz po raz. Przedtem jednak poszłam z nim chętnie i wsiadłam do powozu z własnej woli. Trudno to zatem nazwać gwałtem. Nikt tak tego nie nazwał. Sama to wszystko na siebie sprowadziłam.

- Catherine! - Głos miał ostry i po raz pierwszy podniosła głowę, by na niego spojrzeć. - Odmówiłaś mu. To był gwałt. W niczym nie zawiniłaś. Chciał się

upewnić, że dostaniesz posag? - spytał, chociaż odpowiedź była oczywista. -

Dlaczego nie wyszłaś za niego, Catherine? Twój ojciec zabronił?

Zaśmiała się gorzko.

- Ja się nie zgodziłam - odparła. - Za żadne skarby nie chciałam zostać jego żoną.

Wolałabym umrzeć. Oczywiście on nie zachował dyskrecji. Pozwolił, by rozeszła się jego wersja tej historii. Chciał sprawić, żebym nie miała wyjścia.

Kompromitacja. Kompletna i zupełna ruina. Skąd ona wzięła tyle odwagi? Jak zdołała sprzeciwić się rozwiązaniu, które w takich sprawach narzucał konwenans?

- Tak więc - dokończył za nią - nie wyszłaś za mąż i zesłano cię do Bodley-on-the-Water, gdzie miałaś do końca życia mieszkać pod przybranym nazwiskiem, udając wdowę.

170

Przez chwilę nie odpowiadała.

- Tak - potwierdziła wreszcie.

- Jak się nazywał? - Mówił niemal szeptem. Mordercza wściekłość prawie go sparaliżowała.

Powoli potrząsnęła głową.

Nie dowie się. Ona mu nie powie. Znalazłbym bydlaka i zabił, myślał.

- Catherine? - powtórzył.

I nagle uprzytomnił sobie, że ona nie kochała tamtych mężczyzn. Ani niedosłego narzeczonego, ani gwałciiciela. Pojechała do Londynu, ciesząc się na swój pierwszy w życiu sezon, nie mogła więc zostawić w domu ukochanego. Kim więc, u diabła, był Bruce?

- Catherine - zapytał - kim jest Bruce?

Spojrzała na niego oczyma pozbawionymi wszelkiego wyrazu, które chwilę

później wypełniły się niewypowiedzianym bólem. Otworzyła usta i usiłowała przemówić. Zamknęła je. Potem spróbowała znowu.

- Bruce to mój syn. - Głos jej wyrażał bezdenną rozpacz. - Dziecko tego niegodziwca. Urodził się miesiąc za wcześnie, żył tylko trzy godziny. Wszyscy mówili: dobrze, że umarł, że to lepiej dla mnie i dla chłopca. Moje dziecko. Mój synek. Niewinny temu wszystkiemu. Bruce to mój syn. Umarł mi na rękach.

Boże! Siedział jak przykuty do fotela, niezdolny się poruszyć.

- To wszystko.

Nie był pewien, ile czasu upłynęło im w milczeniu. Zaczęła mówić spokojniej:

- Powinnam była wszystko ci wyznać, zanim się pobraliśmy. Powinieneś był

nalegać, bym ci to wyznała. Poślubiłeś kobietę, która została podwójnie zhańbiona. Nie chciałam wyjść za niego, nawet gdy cała prawda o moim stanie wyszła na jaw. Odesłano mnie do ciotki do Bristolu. Nie chciano mnie tam i ja też

nie chciałam tam być. Traktowano

mnie tak, jakbym była ostatnim wykolejencem. Wymyśliłam więc sobie przyszłość, która mojej rodzinie oszczędziłaby wstydu, jaki przynosiła moja osoba, a mnie dałaby jakąś szansę na nowe życie. Sama wybrałam Bodley-on-the-Water.

Rawleigh zaczął liczyć w myślach lata. Tak, Ken przechodził rekonwalescencję w Anglii sześć lat temu, nie pięć.

- Catherine - powtórzył. - Jak on się nazywał? Potrząsnęła głową przecząco.

- Zostawmy to. Zostawmy. Nie chcę do tego wracać. Przestałam o tym myśleć, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Kto to był? - Przybrał ton, którym posługiwał się wielokrotnie jako oficer kawalerii. Podczas wojennych kampanii głos ten wymuszał natychmiastowe

posłuszeństwo.

- Powiesz mi, kto to był - powtórzył dobitnie.

- Tak, jestem ci to winna - odparła cicho. - To sir Howard Copley. Zrobiło mu się

jeszcze zimniej, jeśli to w ogóle możliwe. W uszach szumiała mu krew. Czy tak zaczyna się omdlenie? Jak mogło dojść do tego niesamowitego zbiegu okoliczności? Przypomniawszy sobie rozmowę, którą odbył

niedawno z Daphne. Copleya od wielu lat znano jako uwodziciela i łowcę

posagów. Wywołał wiele skandali, dwa razy się pojedykował. Takie rzeczy czasem się zdarzały w eleganckim świecie. Copley, mimo wszystkich swoich sprawek, wciąż kręcił się gdzieś na obrzeżach dobrego towarzystwa, a czasem bywał w całkiem wysokich jego kręgach.

Lord Rawleigh dowiedział się wszystkiego o Copleyu, kiedy Horacja zerwała zaręczyny. Wspomnienia tamtych dni wciąż dziwnie mieszały mu się z wydarzeniami spod Waterloo. Wymieniono mu wtedy nazwiska kilku innych młodych dam, których reputacja ucierpiała albo została kompletnie zniszczona przez Copleya. Czy jeszcze pamiętał tamte nazwiska? Czy mógłby je odtworzyć?

Córka Paxtona, z którą Copley nie ożenił się, mimo że urodziła jego bękarta.

Czy on sobie wymyślał na poczekaniu te urywki rozmów? Czy naprawdę były od dawna zakorzenione w jego podświadomości? Przypomniawszy sobie, że choć

wściekał się na Horację, chociaż był tak nieszczęśliwy, pocieszał się, że przynajmniej uniknęła losu, który spotkał inną lekkomyślną młodą kobietę.

„Córkę Paxtona”.

Catherine podniosła się. Toby też się poderwał. Machał radośnie ogonem, uderzając nim o nogi lorda Rawleigha.

- Idę do łóżka - powiedziała cicho, unikając jego wzroku. - Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc.

Toby wybiegł z buduaru jej śladem. Wicehrabia długi czas siedział samotnie, nim wreszcie wstał. Zabrał świecę i znużonym krokiem poszedł do swojej sypialni.

Spała mocno i nic jej się nie śniło. Obudziła się wcześnie, zdziwiona, że w ogóle zasnęła. Nie

przyszedł do niej - po raz pierwszy od ich przyjazdu do Stratton.

Oczywiście to koniec, pomyślała raczej obojętnie. Wiedziała, że któregoś dnia mu o tym powie albo dowie się sam. Koniec musiał kiedyś nastąpić.

Nie zamierzała obwiniać się dłużej, że doprowadziła do małżeństwa pod fałszywym pretekstem. Zdawał sobie sprawę, że ona ma jakąś tajemnicę. Mógł

nalegać na poznanie jej, kiedy przyszedli z Daphne do jej domku, lecz nic z tego.

Teraz już wiedział, że poślubił kobietę, która nigdy więcej nie zostanie przyjęta w 172
żadnym porządnym domu w Londynie.

Nie przychodziły jej do głowy inne myśli poza taką spokojną konstatacją. To koniec, nie żadna przełomowa chwila. Przez pięć lat żyła samotnie i bywała nawet szczęśliwa. I przecież go nie kocha. Uparcie przeczyła odczuciom poprzedzającym dzisiejsze zwierzenia.

Zejdzie na dół późno. Oczywiście musi kiedyś spojrzeć mu w twarz, ale niekoniecznie przy śniadaniu. W każdym razie nie wtedy, kiedy przy stole siedzą

jego przyjaciele. Odwróciła się na bok i dotknęła poduszki w miejscu, gdzie zwykle spoczywała jego głowa. Zmusiła się do zamknięcia oczu i ponownie zapadła w sen.

Obudziła się po godzinie, zdziwiona, że w ogóle spała. Wydało jej się, że zrzucając ten kamień z piersi, pozbyła się także całego wewnętrznego napięcia, co ją pozbawiło kompletnie sił.

Po wejściu do jadalni odetchnęła z ulgą, widząc, że stoi pusta. Majordomus powiedział, że wicehrabia pojechał z gośćmi na przejażdżkę. Z pewnością cały poranek panowie spędzą poza domem. Sama miała w planach trzy popołudniowe wizyty. Oczywiście, czekał ich wspólny lunch. Pewnie będzie wyglądał, jak wczorajsze posiłki. Jego przyjaciele lubili śmiać się i rozmawiać. Może próbują

zatuszować wcześniejszą gafę lorda Haverforda. Tak właśnie podejrzewała.

Nie dopisało jej szczęście, na które liczyła. Kiedy wróciła na górę z sutereny po codziennej naradzie z kucharką, znalazła wszystkich czterech dżentelmenów w głównym holu, w chwilę po powrocie z przejażdżki. Lord Haverford podszedł do niej, ujął obie jej dłonie i pochylił się nad nimi.

- Dzień dobry, milady - powiedział. - Zabraliśmy pani męża na cały ranek. Proszę

nam wybaczyć - to się więcej nie powtórzy. Dziś po południu wyruszamy do Londynu. Przyjechaliśmy tu tylko złożyć najlepsze życzenia. Nie chcemy nadużywać waszej gościnności.

Spojrzała na niego, lorda Pelhama i pana Gascoigne z zaskoczeniem. Wcale nie chciała, żeby odjeżdżali. I była pewna, że zamierzali zostać przynajmniej tydzień.

- Będzie nam bardzo przykro rozstać się z panami tak szybko - powiedziała. - Czy to naprawdę ostateczna decyzja?

Byli bardzo sympatyczni, ale zgodnie stwierdzili, że zależy im na szybkim powrocie do miasta, bo sezon towarzyski już się zaczął. I że nie śmieliby w żadnym razie dłużej przeszkadzać nowożeńcom.

Tak więc zaledwie kilka godzin później Catherine i jej mąż, stojąc na tarasie, machali gościom na pożegnanie. Zapadła między nimi cisza, bardzo wymowna po hałaśliwych pożegnaniach z odjeżdżającymi. Rawleigh ujął ją pod ramię i poprowadził podjazdem w stronę mostku, tam gdzie stali wczoraj, kiedy to 173

wszystko się zaczęło. Zaledwie wczoraj? Milczeli. Po kilku minutach puścił jej łokieć.

Dzisiaj już nie było tak ładnie. Niebo się zachmurzyło i wiał chłodny wiatr. Woda w rzece była raczej stalowa niż błękitna i powierzchnię jej pomarszczyły drobne fale. Toby biegał wzdłuż brzegu jak poprzedniego dnia, szukając wroga, którego mógłby unicestwić.

- Ojciec przestanie mnie utrzymywać, bo wyjechałam z Bodley-on-the-Water -

powiedziała w końcu, przerywając ciszę. - To był jego warunek. I tak zresztą nie mogę tam wrócić. Ale w Anglii jest mnóstwo małych wiosek i oprócz opłaty za wynajem jakiegoś domu moje potrzeby i wydatki są bardzo skromne. Może zechcesz zrobić dla mnie to, co przez ostatnie pięć lat robił mój ojciec. Mogę

znow zmienić nazwisko. Nie będę ci sprawiać żadnych kłopotów.

- Jedziemy do Londynu - odparł bezbarwnym tonem.

- Nie! - To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. - Nie, Rex. Nie do Londynu. Nie mogę tam jechać. Wiesz, że nie mogę. A ty nie chciałbyś, żeby cię tam ze mną

widziano.

- Niemniej jednak jedziemy - powiedział. - Czeka nas wiele niezalawatwionych spraw.

- Rex. - Chwyciła go za ramię. Było twarde jak granit. - Może nie zrozumiałeś.

Wszyscy wiedzieli. To była publiczna tajemnica. Wiedzieli nawet o tym, że jestem w ciąży. Byłam kompletnie skompromitowana. Nie mogę tam wrócić!

Zwrócił na nią twarde jak stal spojrzenie.

- Wobec tego wina leży po twojej stronie? To wszystko stało się zgodnie z twoją wolą?

- Nie! Wiesz dobrze, że kobietę zawsze uznaje się za winną, jeśli zostanie zhańbiona. A ja nie

podporządkowałam się regułom. Nie chciałam zmazać grzechu i naprawić swej reputacji w jedyny przyjęty sposób.

- Tak więc sprawa nie jest ostatecznie zamknięta - odparł. - Wracamy dokończyć ją, Catherine.

Potrząsnęła głową. Zrobiło jej się słabo.

- Proszę cię, Rex, pozwól mi odejść. Nikt nie musi dowiedzieć się, kogo poślubiłeś. Twoi przyjaciele będą trzymali język za zębami.

- O czymś zapominasz. Jesteś moją żoną.

Musiał być kiedyś dobrym oficerem, pomyślała bez związku. Jego ludzie na pewno czuli, że nie sposób sprzeciwić się jego woli.

- Nie wątpię, że teraz tego żałujesz - powiedziała gorzko. - Powinieneś był zmusić mnie, żebym ci wszystko powiedziała, kiedy zdradziłam ci moje nazwisko.

Musiałeś wiedzieć, że...

174

- Ograniczmy się do faktów - przerwał. - Jesteś moją żoną. Chcę z tobą dalej żyć.

Chcę mieć z tobą dzieci.

Zakłuła ją drzazga tęsknot i pragnienie, ale potrząsnęła przecząco głową.

- Powinnaś była powiedzieć ci wcześniej - powtórzyła. - Od sześciu lat wiedziałam: małżeństwo to nie dla mnie. Wiedziałam, że nie wolno mi marzyć.

Próbowałam cię zniechęcić. Raz po raz odmawiałam.

Zbladł i mocno zacisnął szczęki.

- Tak jak odmawiałaś Copleyowi - rzekł. - Trafne porównanie, Catherine.

- Tyle tylko - odparła zmieszana - że ty wyszedłeś tamtego wieczoru, kiedy powiedziałam „nie”. Nie próbowałeś brać mnie siłą.

Roześmiał się gorzko.

- Zostańmy w Stratton. I miejmy nadzieję, że nikt się nigdy nie dowie - prosiła.

- Pojedziemy do Londynu - powtórzył.

Oparła ręce na balustradzie mostku i mocno je zacisnęła, patrząc w wodę.

- Jesteś okrutny - szepnęła.

- A ty jesteś tchórzem! - rzucił.

- Tchórzem?! - Odwróciła się do niego gwałtownie, jej oczy ciskały skry.

Tchórzem, Rex? Jestem realistką. Znam zasady. Złamałam konwenanse, nie godząc się wyjść za Copleya, potem godząc się wyjść za ciebie. Ale znam reguły i wiem, że niektórych z nich nigdy nie wolno naginać ani łamać. Ja nie mogę wrócić do Londynu.

- Pojedziesz - powtórzył uparcie. - Jutro rano.

Odwrócił się i odszedł w stronę domu.

Nie czekał na nią, a ona nie poszła za nim. Została na mostku, walcząc z ogarniającą ją słabością, mdłościami i paniką. Nigdy nie powinna była poślubić

Rawleigha. Trzeba było mu odmówić, nawet gdyby jedyną alternatywą miało być

kompletne ubóstwo. Należało trwać przy swoim zdaniu, jak za pierwszym razem.

Dlaczego z wiekiem coraz trudniej o odwagę? Czy dlatego, że wie teraz więcej o życiu? Bo rozumie, że odwaga nie jest tylko jednorazowym aktem desperacji, ale potrafi zdecydować o całym dalszym życiu człowieka? Gdyby odmawiając poślubienia sir Howarda Copleya, wiedziała, że czeka ją utrata tożsamości i wszystkie minione przejścia, czy na pewno wytrzymałaby przy tej decyzji?

Nie odmówiła Reksowi być może dlatego, że tym razem zdawała sobie sprawę z oczekujących ją trudów. Straciła odwagę. Nie umiała już czynić tego, co uważała za stosowne, nie zważając na konsekwencje.

Przed chwilą nazwał ją tchórzem, bo nie chciała wracać do Londynu. Nie potrzebowała wszak mądrości płynącej z doświadczenia, by wiedzieć, co ją tam czeka. Czy on zdawał sobie z tego sprawę? Tyle lat spędził w armii, poza 175

granicami kraju. Czy zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji?

Nie może tam jechać. Zamknęła oczy, pochyliła się i oparła głowę o balustradę

mostu. Po prostu nie może.

Niestety, ponownie odebrano jej możliwość wyboru. Nie ma żadnego innego wyjścia. Wyszła za Reksa trzy tygodnie temu. Obiecała mu posłuszeństwo. Przed chwilą oświadczył, że jadą do Londynu. Nie miała wyboru.

Dobry Boże, jadą do Londynu...

Wcale nie był pewien, czy postępuje słusznie. Wiedział tylko, że wystawia żonę

na ryzyko upokorzenia i poniżenia, po których może nigdy nie dojść do siebie.

Wiedział również dobrze, że wystawia na szwank swoje małżeństwo. Całkiem prawdopodobne, że ona mu tego nigdy nie wybaczy.

Jednego był pewien. Robił jedyną słuszną rzecz w tej sytuacji. Była jego żoną.

Jeśli jej na to pozwoli, znów ucieknie i zaszyje się na jakimś odludziu. Ale on się

na to nigdy nie zgodzi. I nie ma mowy o chowaniu

się w domu. Wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw i w Stratton. A nawet gdyby nie, on nie pozwoli, żeby na całe życie zamknęła się w obrębie posiadłości.

W końcu pojawią się dzieci, które kiedyś trzeba będzie wprowadzić w świat.

Musiałyby wtedy stawić czoła przeszłości własnej matki.

Wolał sam się tym zająć.

Przez okno powozu patrzył na pierwsze zabudowania na przedmieściach Londynu.

Wkrótce dojadą do Rawleigh House. Przez posłańca dał wiadomość, że dom ma zostać otwarty i przygotowany. Nie było już odwrotu.

Przez całą drogę z hrabstwa Kent siedziała obok niego niczym kamienna statua.

Nie zamienili nawet kilku słów. Pragnął dać jej choć trochę wsparcia, lecz od przedwczorajszej nocy jakoś mu to nie wychodziło. Jak pocieszyć kobietę, która żyła spokojnie i pożytecznie, otoczona powszechnym szacunkiem, póki parę

tygodni temu nie sprowadził na nią powtórnego upokorzenia? Te oczywiste analogie nasunęły mu się, nim ujęła je tak trafnie wczoraj na moście.

Ken, Eden i Nat próbowali go wczoraj rano przekonywać, że naprawdę

przyjechali tylko na jeden dzień w drodze do stolicy. Wmawiali mu to hałaśliwie i na pozór wesoło. Miał wrażenie, jakby oddzielił go od przyjaciół gruby, ceglany, wysoki na parę metrów mur. Eden wyjaśniał, że mogą już spokojnie wrócić do Londynu. Uwiedziona przez niego mężatka wyjechała z małżonkiem do swej posiadłości na północy Anglii, a Nat obliczył sobie, że pechowa panna na wydaniu, czy raczej jej liczna rodzina, musiała już zrozumieć, co oznacza jego długa nieobecność w mieście. Mogli spokojnie wracać. Wszyscy trzej pletli o tym 176

naraz.

- Moi drodzy, dajcie już spokój - powiedział wreszcie wicehrabia dość stanowczo, przerywając tę gadaninę i wymuszone dowcipy. - Znałem historię Catherine już

przed ślubem. Myśleliście, że nic nie wiem? Jak mógłbym ożenić się, nic o niej nie wiedząc? Nazwisko na ślubnym pozwoleniu i w rejestrze byłoby fałszywe, a małżeństwo nieważne. Wczoraj byłem po prostu zaskoczony, że Ken także zna tę

sprawę. Próbowałem, trochę niemądrze, chronić Catherine, trzymając się tu na uboczu.

Ich twarze uzewnętrzniały, że od wczorajszego ranka Ken zdążył wszystko opowiedzieć Edenowi i Natowi - mógł być pewien ich dyskrecji. Z pewnością nie powtórzą nikomu więcej tej historii.

- Wiesz, Rex, on jest chyba najgorszym łajdakiem w całej Anglii. Sam się o tym przekonałem w przeszłości. Nigdy nie wierzyłem, że wina, lub choćby jej część, leży po stronie lady Catherine. Wielu ludzi myśli podobnie - powiedział Ken.

- Nie musicie jej bronić przede mną. Jest moją żoną i kocham ją. Ona nie ponosi tu żadnej winy. Została zniewolona siłą.

- I nie chciał się z nią ożenić?! - zapytał Nat z bezbrzeżną pogardą. - Dlaczego Paxton go nie zabił?

- Catherine nie zgodziła się wyjść za niego - wyjaśnił lord Rawleigh.

- Do diabła! - zawołał Eden. - Mimo że była... - Przerwał i zdusił kolejne przekleństwo.

- Mimo że była brzemienna - dokończył spokojnie wicehrabia. - To odważna kobieta, ta moja Catherine. A teraz potrzebuję waszej rady.

Być może nie powinien był prosić przyjaciół o opinię na temat małżeńskich kłopotów, sprawa nie była jednak wyłącznie osobista, a tym ludziom gotów był

powierzyć własne życie. Właściwie zrobili to już więcej razy, niż mógł zliczyć.

Udzielili mu rad. Odrzuciłby każdą, która nie zgadzałyby się z tym, co sam już

uznał za konieczne, wszyscy czterej jednak podzielali jego zdanie.

Musi ją zabrać z powrotem do Londynu.

Rozmowa z przyjaciółmi uświadomiła mu z przerażającą jasnością, jak katastrofalne skutki przyniosło jego natręctwo w Bodley. Skompromitował ją

ponownie - tak jak Copley nie przyjął do wiadomości odmowy. Wprawdzie jej nie zgwałcił, tyle że to niewielka pociecha i nic mu nie pomogła. Catherine wybrała sobie własny sposób na życie i cieszyła się nim ze spokojem i godnością. Odebrał

jej to wszystko i doprowadził do obecnej sytuacji.

Jak mógłby ją pocieszyć? Spoza okien powozu wyłoniła się May-fair, dzielnica eleganckich rezydencji bogatego mieszczaństwa i szlachty. Nawet nie wyrzała przez okno. Podczas poprzednich dwóch nocy jakoś nie potrafił iść do niej, 177

dotknąć jej, chyba że zupełnie bezosobowo, na przykład pomagając przy wsiadaniu do powozu. Nie umiał przemówić do niej otwarcie.

Czy kiedykolwiek zdoła sobie wybaczyć? Poważnie w to wątpił.

20

Przez cztery dni od przyjazdu do stolicy Catherine większość czasu spędziła samotnie. Dniem i nocą prawie nie widywała męża. Nie wypytywała go o długie godziny, które spędzał poza domem, choć wiedziała, że na noc zawsze wracał. Spał we własnej sypialni, oddzielony od niej dwojgiem drzwi.

Nie zaszła w ciążę - wiedziała o tym już pierwszego dnia po wyjeździe ze Stratton Park. Może to i lepiej, pomyślała po pierwszej chwili rozczarowania. Chociaż nie zgodził się jej odesłać, na pewno zmieni zdanie, kiedy przekona się, jaką

katastrofą okaże się ich pobyt w Londynie. Chciał mieć z nią dzieci, ale zmieni zdanie, kiedy się przekona, że szczyry związek między nimi jest niemożliwy.

Ciąża skomplikowałaby teraz wszystko jeszcze bardziej. Takie niebezpieczeństwo się jednak nie powtórzy - przestał do niej przychodzić nocą.

Nie wychodziła poza obręb domu i ogrodu, choć żal jej było To-by'ego. Ogród miał niewielkie rozmiary i pies nie mógł się w nim wybiegać. Zabrałaby go do Hyde Parku, gdyby nie to, że nigdy nie mogła być pewna, kogo tam spotka nawet wczesnym rankiem.

Znów stała się zupełnie bierna, jak w tygodniu poprzedzającym ślub. Życie i tak było poza jej kontrolą - ta była w rękach jej męża. Kiedy na mostku w posiadłości oświadczył jej, że jadą do Londynu, nie próbowała już z nim walczyć. Miała cichą

nadzieję, że zanim zmusi ją do pokazania się w towarzystwie, sam zrozumie, że ta cała sytuacja jest zupełnie nie do przyjęcia, i że jedynym wyjściem jest powrót do Stratton Park.

Piątego dnia jej nadzieje legły w gruzach. Rawleigh wrócił do domu po długiej porannej nieobecności i zastał ją w saloniku, w którym siedząc przy sekretarce, pisała list do panny Downes.

- Tu jesteś - powiedział, podchodząc bliżej. Przelotnie rzucił okiem na nagłówek listu, ale nie usiłował go czytać. - Catherine, przyprowadziłem ci gościa. Czeka w bibliotece. Chodź i przywitaj się z nim.

- Kto to? - Poczowała ucisk w żołądku. - Jeszcze jeden z twoich przyjaciół? Lepiej nie, Rex. Idź sam. Ja tu zostanę i skończę list.

- Pozwól. - Położył dłoń na jej ramieniu.

Głos miał cichy, ale czegoś już zdążyła się nauczyć przez miesiąc małżeństwa, a może nawet wcześniej. Miał nieugiętą wolę. Nie zostawiał jej nic do powiedzenia.

178

- Toby, siedź tutaj i pilnuj pokoju przed obcymi - polecił. Pies pomachał ogonem i posłusznie usiadł.

Mąż trzymał dłoń na jej plecach na wysokości połowy pleców, kiedy lokaj otworzył przed nimi drzwi biblioteki. Weszła do środka.

Po pokoju spacerował bardzo młody człowiek i czekał na nich. Zatrzymał się w pół kroku między biurkiem a oknem i odwrócił do wejścia; jasnowłosego młodzieniec o piwnych oczach, który musiał mieć pogodną twarz, kiedy nie widniał na niej, jak w tej chwili, niepokój. Na widok Catherine zbladł.

Ledwie go poznała. Miał tylko dwanaście lat, kiedy rozmawiali po raz ostatni.

Podczas owego fatalnego roku był w szkole z internatem.

- Cathy? - wyszeptał.

- Harry. - Usta ułożyły się w kształt jego imienia, ale nie wydały żadnego dźwięku. To Harry. Taki przystojny, miły młody mężczyzna.

- Cathy? - powtórzył. - To naprawdę ty. Nie wierzyłem Rawleighowi, ale się upierał, że to prawda. Byłem pewien, że nie żyjesz.

- Harry. - Wreszcie to powiedziała. - Och, Harry, jak wyrosłeś. - Podeszła do niego, niezupełnie wiedząc, co robi i dłonią lekko dotknęła klapy jego surduta. - I

jesteś taki wysoki. - Nagle jej oczy wypełniły się łzami.

- Ojciec twierdził, że umarłaś przy porodzie u ciotki Phillips - powiedział. - Ale nie nosiliśmy żałoby, bo...

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Może jednak usiądziemy. - Usłyszała głos męża, cichy i opanowany. - Chodźcie, Catherine, lordzie Perry. Oboje przeżyliście wstrząs.

- Lord Perry - powiedziała, drugą dłoń też kładąc na piersi brata. - Ten tytuł jest jeszcze wspanialszy teraz, kiedy dorosłeś. Harry, czy możesz...

Nagle zobaczyła, że on też ma oczy pełne łez. A potem brat objął ją i z całej siły przytulił do serca.

- Cathy - powiedział - Rawleigh mi mówił u White'a, że nie ponosisz żadnej winy za tamto wydarzenie. Wierzę mu. Ale nawet gdyby... Nawet gdyby...

Kochała go i zajmowała się nim troskliwie, choć była tylko sześć lat starsza. Po jego urodzeniu matka zaczęła chorować i zmarła, nim skończył trzy lata.

Catherine całą miłość, jaką miała w sercu, przelała na młodszego brata i spędzała z nim każdą wolną chwilę. On ją uwielbiał. Pamiętała, że kiedy miał pięć lat, oświadczył, że zostanie starym kawalerem, kiedy dorośnie, po to, by się nią do końca życia opiekować.

Usiedli obok siebie na sofie, a Rex zajął miejsce naprzeciwko, przy kominku.

Trzymała brata za rękę. Dłoń miał wąską, sam był bardzo szczupły, ale ta ręka już

nabierała męskiej siły. Za parę lat, pomyślała z dumą, wiele kobiet będzie za nim 179

szaleć.

- Opowiedz mi o sobie. - Nie mogła oderwać od niego oczu, nagle spragniona wiadomości o wszystkim, co się zdarzyło przez minione lata.

Myślał, że jego siostra nie żyje, ona zaś żyła tak, jakby brat umarł, nie próbując się

z nim skontaktować, czy dowiedzieć czegoś o jego losach.

195

To był drugi warunek ojca. Ale i tak by tego pewnie nie zrobiła. Nawet myśl o Harrym sprawiała jej wielki ból.

- Opowiedz mi wszystko - powtórzyła.

- Innym razem - powiedział jej mąż stanowczo, łagodnie. - Catherine, teraz musimy pomówić o innych sprawach. Zgodzisz się chyba, że jednak ta wizyta w Londynie na coś się przydała.

Nie była taka pewna. Zobaczyć znów Harry'ego, dotknąć go, wiedzieć, że jego długie milczenie nie było spowodowane pogardą dla niej, wszystko to niosło z sobą ból i słodycz. Powiedział, że wierzy Reksowi, a nawet gdyby nie wierzył, i tak by jej nie potępiał. Harry'emu nie wolno pokazywać się z nią- musi wyrobić

sobie pozycję w towarzystwie -każda wzmianka o hańbie siostry mogła mu w tym przeszkodzić. Jej powrót do życia towarzyskiego był niemożliwy.

- Rawleigh mówi, że dziś po południu złożycie wizytę ojcu - powiedział Harry. -

To dobry pomysł, Cathy, teraz kiedy jesteś kobietą zamężną.

- Nie - odparła ostro, spoglądając na męża. Odwzajemnił spojrzenie, a minę miał

upartą i zwężone oczy. - Nie, Rex.

- Wszyscy wiedzą, że się ożeniłem. Wszyscy umierają z ciekawości. Pewnie widziałas, jaki stos zaproszeń piętrzy się od wczoraj w holu. Na twoje pierwsze wystąpienie w towarzystwie wybrałem jutrzejszy bal u lady Mindell. Będą tam Eden, Nat i Ken, no i twój brat. Daphne i Clayton także są tu od wczoraj -

czekałem na ich przyjazd do miasta. Będiesz wśród przyjaciół. Ja też, naturalnie, będę przy tobie. Scena została przygotowana do spektaklu, można by to tak ująć.

Nie mogła wydobyć słowa - strach ją sparaliżował. Bezwiednie ścisnęła dłoń

brata.

- Najpierw jednak musimy złożyć wizytę twemu ojcu - dodał Rex. - Ma prawo wiedzieć o twoim powrocie, zanim dowiedzą się o tym inni. Czy on słyszał, że opuściłaś Bodley-on-the-Water? Pisałaś do niego?

Nie. Próbowała mu odpowiedzieć, ale nie mogła. Zresztą po co? I tak ją zabierze do ojca, czy chce, czy nie. Czy będzie błagać, czy milczeć posłusznie. I pójdą na bal do lady Mindell, co poważnie zagrozi pozycji towarzyskiej Harry'ego. Tylko ta myśl przychodziła jej do głowy. Spojrzała na brata.

- Wiem, że jesteś przerażona, Cathy, ale mam nadzieję, że twój mąż ma rację.

180

Kiedy pomyślę, przez co musiałaś przejść, kiedy myślę o tych pięciu latach, gdy byłaś zupełnie sama, bo mi powiedziano, że nie żyjesz. .. No cóż, to mnie doprowadza do szału. Zawsze uważałem, że świat jest niesprawiedliwy dla kobiet.

Cierpią, nawet jeśli to nie one łamią wymagane zasady. Gdy tymczasem mężczyźni... Tamten człowiek dotąd nie poniósł żadnej kary, wiele kobiet skompromitował, choć chyba żadnej nie zrobił takiej krzywdy, jak tobie. Oczy Rawleigha były zimne jak stal.

- Odwagi, Cathy - dodał Harry, podnosząc jej dłonie do ust i całując. - Zawsze byłaś taka dzielna. Kiedy ojciec mi powiedział, że sama sprowadziłaś na siebie nieszczęście, bo nie zgodziłaś się wyjść za Copleya, byłem z ciebie dumny. Nie znam żadnej innej kobiety, która wykazałaby tyle odwagi by sprzeciwić się opinii wyższych sfer.

Przyglądała mu się chwilę, potem spojrzała na męża. Obaj patrzyli na nią w milczeniu. W bibliotece panowało dziwne napięcie, zupełnie jakby mogła dokonać

jakiegoś wyboru. Jakby czekali na jej decyzję, gotowi przyjąć taką, jaką podejmie.

Ojciec o nią nie walczył. Czy jej wierzył, czy nie - nie wiedziała. Nic nie zrobił w jej obronie. Starał

się ją zmusić do małżeństwa z mężczyzną, który w rzeczywistości ją zgwałcił i uczynił brzemienną. Gdy wreszcie opuściła rodzinny dom, a później wyjechała od ciotki Phillips, powiedział Harry'emu, że zmarła. I nie pozwolił bratu nosić żałoby po upadłej kobiecie.

Wytworny świat skazał ją na wieczne wygnanie, bo została zgwałcona i nie zgodziła się wyjść za mąż za gwałciciela. On zaś mógł swobodnie pojawiać się w jego kręgach, nawet jeśli osoby o surowszych poglądach potępiały go jako uwodziciela. Świat potajemnie uwielbia uwodzicieli. Jawią się jako żywotni, nieposkromieni poszukiwacze przygód, mężczyźni o pełnej krwi. To się znów zdarzyło, Harry tak powiedział. Krzywdził, być może kompromitował inne damy z towarzystwa, które -jak ona - okazały się na tyle naiwne, by ulec urokowi mężczyzny o reputacji łajdaka.

Nikt go nie powstrzymał.

Teraz ona została żoną człowieka z wyższych sfer. Małżeństwo ich zaczęło się

niefortunnie, lecz szybko i niespodziewanie przepełniło słodyczą i stworzyło niewątpliwie wartościowy związek. Teraz jego powodzenie ważyło się na szali.

Bo wielki świat ją odrzucił. Bo została kiedyś zgwałcona.

A ona się na to wszystko zgadzała. Bez protestu, wręcz ulegle. Ostatnio w ogóle przestała o cokolwiek walczyć. Prosiła i błagała. Pozwoliła się zepchnąć do stanu uległości i zobojętnienia.

Zrozumiała nagle, że chce walczyć, choćby dla Harry'ego. Skoro znów się

odnaleźli, nie mogła go stracić. Pragnęła też walczyć dla Rekxa, dla scalenia ich 181

związku. Początkowo nie był idealny, ale przez te krótkie tygodnie w Stratton zadziwiająco zbliżył się do ideału. Warto o to walczyć - o niego również. Nie mogła znieść myśli, że go straci. Kochała go. Przestała wreszcie wypierać się prawdy, która drażyła jej umysł od kilku dni.

Kochała go.

Wreszcie chciała też walczyć dla siebie, może przede wszystkim dla siebie. Nie zrobiła nic, czego powinna by się wstydzić - ani z Howardem Copleyem, ani z Reksem. Popełniała może czasem głupstwa, miewała chwile słabości, ale nie zrobiła nic tak bezecnego, by zasługiwać na ogólne potępienie. Zrobiono z niej ofiarę, a ona ostatnio zaczęła też tak siebie widzieć. Zaczynała nie lubić swojej osoby za tę postawę i wcale jej się to nie podobało, bo szacunek dla samego siebie jest jedną z najcenniejszych cech człowieka. Jeśli pozwoli go sobie odebrać, nic innego nie będzie miało wartości.

Długo wszyscy milczeli. Kiedy w końcu spojrzała na męża, zobaczyła, że uważnie ją obserwuje, a w oczach ma znów coś w rodzaju uśmiechu.

- Dobrze - oznajmiła, jakby podejmowała decyzję, która nie została już przedtem bez niej ustalona. - Odwiedzę dziś po południu ojca. Czy mnie przyjmie, czy wyrzuci, to jego wybór. Jutro wieczorem pojedę na bal do lady Mindell. Jak długo tam zostanę, to zależy od niej i od jej gości.

- Brawo, kochanie - powiedział miękko jej mąż. Harry uścisnął jej dłoń.

- Teraz cię poznaję. Znów jesteś sobą. Myślałem, że się zmieniłaś, ale się myliłem.

Jeśli czeka mnie porażka, pomyślała, przynajmniej wyjdę jej naprzeciw z podniesionym czołem i odwagą w oczach.

Lord Paxton bardzo się zdziwił zapowiedzianą na popołudnie wizytą wicehrabiego Rawleigha i jego żony. Tyle przynajmniej zauważył Rex, kiedy ich wprowadzono do salonu, a Paxton podniósł się na powitanie. Brwi miał uniesione pytająco.

- Rawleigh? - powiedział, skłaniając głowę. - Bardzo mi miło. Mi-lady?

W tym momencie spojrział na nią i znieruchomiał. Szybki rzut oka na żonę

upewnił lorda Rawleigha, że ona się nie załamała. Patrzyła wprost na ojca, głowę

miała podniesioną. Rex był z niej niezmiernie dumny. Wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj w modnej wizytowej sukni, uszytej dla niej w Stratton.

- Witaj, ojczu.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co to znaczy? - powiedział lord Paxton tonem wyrażającym zdenerwowanie.

- Pańska córka uczyniła mi ten zaszczyt i została miesiąc temu moją żoną - odparł

182

wicehrabia. - Mieszkamy w Stratton i na część sezonu przenieśliśmy się do stolicy.

Przyszliśmy złożyć panu uszanowanie.

Lord nie odrywał oczu od córki.

- To szaleństwo - rzekł wreszcie. - Pewnie zastawiła na pana jakąś pułapkę...

Panowanie nad gniewem czasem wymaga niemal fizycznego wysiłku, ale w tej chwili wściekłość nie mogła w niczym pomóc.

- Jeśli miłość to pułapka, sir - odparł. - Bo kocham ją bezgranicznie.

Nie chciał jednak rozmawiać o Catherine w trzeciej osobie z tym mężczyzną, czy z kimkolwiek

innym, jakby była przedmiotem albo osobą, która nie rozumie, co się wokół niej dzieje i nie potrafi mówić w swoim imieniu.

- Zgodzisz się, kochanie?- Uśmiechnął się do żony.

W tym najbardziej nieodpowiednim momencie zrozumiał, że mówił szczerze. Czy zakochał się w niej już na początku małżeństwa? Odpowiedź nie była w tej chwili istotna.

Odwzajemniła uśmiech. Jakże musiała ją zabołec pierwsza reakcja ojca!

- Pan jest szalony - powtórzył lord Paxton. - To szczyt głupoty. Musicie natychmiast wyjechać z Londynu albo wszyscy będziemy skompromitowani. Mój syn...

- ..wierzył, że jego siostra zmarła pięć lat temu. - Lord Rawleigh nie zdołał

dłużej powstrzymać gniewnego tonu. - Teraz wie, że go okłamano. Widzieli się

dziś rano w Rawleigh House. - Znów uśmiechnął się

do żony.

- To było okrutne, ojczy - powiedziała. - Nie umarłam, niczemu nie byłam winna.

Zgodziłam się wyjechać i nie przysparzać ci dalszego zażenowania. Harry i ja zawsze bardzo się kochaliśmy. Nie miałaś prawa go oszukiwać.

Brawo, kochanie, pomyślał wicehrabia Rawleigh. Brawo. Lord Paxton palcami dłoni przeczesał rzednące włosy. Wicehrabia zauważył, że do tej pory nie poprosił

ich, by usiedli.

- Nie mamy zamiaru przysparzać panu kłopotów, sir - powiedział. - Jutro wieczorem wybieram się z żoną na bal do lady Mindell. Jeśli zamierzał pan tam pójść, może pan jeszcze zrezygnować. Wicehrabia Perry ma podobny wybór, choć, o ile wiem, już zdecydował się pójść z nami. Poprosił Catherine o drugi zestaw tańców.

- To jeszcze dzieciak - powiedział Paxton. - On nie rozumie... -przerwał jednak w pół słowa i westchnął. - Mogłem się spodziewać, że kiedyś coś takiego nastąpi.

Zawsze byłaś najbardziej upartą ze znanych mi kobiet, Catherine. Gdyby nie ten 183

upór, pewnie byś poślubiła tamtego łajdaka i była z nim nieszczęśliwa do końca życia. Nie mogę powiedzieć, że żałuję, iż mu wtedy odmówiłaś.

- Ojczy... - szepnęła Catherine. Patrzył na nich z wielkim zakłopotaniem.

- Jesteście parą szaleńców - powiedział. - Sądziłem, Rawleigh, że ma pan więcej zdrowego

rozsądku. No tak, przecież to pański brat jest właścicielem Bodley. Cóż, nie będziemy tak stać przez resztę popołudnia. Usiądźcie, zastanowimy się

wspólnie, co robić, choć niewiele da się osiągnąć. Sami musicie być tego świadomi. Bal u lady Mindell, powiadacie? Fatalny wybór. To jedno z największych wydarzeń sezonu. Ale pewnie nie zmienicie zdania?

- Nie, sir - odparł Rawleigh, prowadząc żonę do sofy, którą wskazał lord Paxton i siadając obok Catherine.

- Rozumiem - skinął głową starszy pan. - No cóż. Zrobimy, co się da. Catherine, zadzwoń i zadysponuj herbatę. Muszę przyznać, że wyglądasz znakomicie.

- Dziękuję, ojciec - powiedziała, podniosła się i pociągnęła za taśmę dzwonka.

Nietrudno było pojąć, skąd wie, jak prowadzić duży dom. Po kilku chwilach, jakby było to zupełnie naturalne, cichym głosem wydawała polecenia lokajowi, który zjawił się na dźwięk dzwonka.

- Przyjdźcie jutro wieczorem na obiad - powiedział Paxton, wciąż trochę

poirytowany. - Najlepiej będzie jechać stąd razem na bal. Chyba że przedtem się opamiętacie.

- Pojedziemy na bal - powiedział Rawleigh. - I dziękujemy za zaproszenie, sir.

Przyjmujemy je.

Catherine usiadła znów obok niego, nieco blada, ale wciąż z uniesioną głową. Ujął

jej chłodną rękę, położył na swoim rękawie i przykrył własną dłonią, by się nieco rozgrzała.

Zdmuchnęła świecę, ale jeszcze się nie kładła. Stała przy oknie sypialni i patrzyła na zalany światłem księżycy plac. Było spokojnie i cicho, mimo że dom znajdował

się w środku miasta. Kiedyś kochała Londyn, lubiła tu przyjeżdżać, cieszyła się

rozrywkami i przyjemnościami stolicy. Teraz wołała wieś.

Co ją czeka jutro o tej porze - właśnie zacznie się bal. Czy jeszcze tam będzie? A może do tej godziny wszystkie nadzieje legną w gruzach? Była jednak zupełnie spokojna, myśląc o nadchodzącym dniu. Dzisiaj doszła do wniosku, że to jedyne wyjście.

Ojciec pojedzie na bal. W czasie popołudniowej wizyty nie okazywał jej cieplejszych uczuć, ale w przeszłości też nigdy nie był dla niej czuły. Teraz przynajmniej zgodził się stanąć u jej boku. Ta świadomość i pewność, że Harry 184

będzie z nimi, uspokajała ją. Ma z nią zatańczyć -chyba nie wyrządzi w ten sposób bratu nienaprawialnej krzywdy. Skończył już dziewiętnaście lat, był mężczyzną, nawet jeśli nie w pełni dorosłym. Sam, z własnej woli zdecydował się pójść na bal i zatańczyć z siostrą.

Daphne i Clayton też uważali, że Catherine postępuje słusznie, choć przecież nie miała wyboru. Po wyjściu od ojca Rex polecił stangretowi jechać do ich domu.

Daphne ją uściskała, a Clayton ucałował w policzek. Oczywiście wiedzieli o wszystkim jeszcze przed ich ślubem - Catherine była tego pewna, choć nikt o tym nie wspominał. Przypomnieli sobie jej nazwisko i stary skandal, ale w niczym nie umniejszyło to ich sympatii.

Daphne po ponad dwóch latach małżeństwa zarysował się brzusek. Była prawie nieprzytomna ze szczęścia i nie próbowała ukrywać swojego stanu wbrew temu, co obyczaj nakazywał dobrze wychowanym paniom. Catherine cieszyła się jej szczęściem i była trochę zazdrosna. Pochyliła teraz czoło, oparła o szybę okna i zamknęła oczy. Och, znów trzymać w ramionach niemowlę. Własne dziecko.

Drzwi sypialni otworzyły się. Wyprostowała się, zdziwiona. Toby zerwał się z wygodnego miejsca na środku kołdry i zeskoczył na dywan.

- Ach, nie śpisz jeszcze - powiedział mąż, podchodząc.

- Nie.

Nie niósł świecy. Zamierzał z nią zostać na noc? Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tego pragnie.

- Catherine. - Zatrzymał się tuż przed nią. - Wniosłem w twoje życie wyłącznie zamęt, prawda?

Otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Co miała odpowiedzieć na tak zadane pytanie?

- Nazwałem je kiedyś nudnym - ciągnął. - Nie miałem prawa. Byłaś szczęśliwa, mam rację?

- Zadowolona - skorygowała. - Pogodziłam się z tym, co mnie spotkało i nauczyłam się lubić siebie od nowa. Odnalazłam się w świecie.

- A wtedy ja przejechałem konno przez wioskę - powiedział. -Znudzony i spragniony lekarstwa na nudę. A ty miałaś pecha i pomyliłaś mnie z Claude'em.

- Przeżyłam wstrząs - przyznała z półuśmiechem - kiedy odkryłam, że jest was dwóch, choć przecież wiedziałam, że ma brata bliźniaka.

- Zbyt często zdarzało ci się znajdować na łasce i niełasce mężczyzn bez skrupułów - stwierdził. - Najpierw ten Copley, potem ja. Boli mnie, kiedy stawiam obok jego imienia swoje, ale muszę wyznać prawdę. Nawet nie wiem, jakimi słowami cię przeproszać. Przeprosiny nie wystarczą, by zmasać niektóre krzywdy.

- Nie wolno ci porównywać się z nim, Rex - odparła, zamykając oczy. - Ja nigdy 185

tego nie robiłam.

- Muszę. Sprowadziłem na ciebie podobne nieszczęście. Najpierw zmusiłem cię, byś za mnie wyszła wbrew swojej woli. A teraz ten koszmarny powrót do miejsca, gdzie zaznałaś pierwszego niezasłużonego upokorzenia. Czy rozumiesz, dlaczego musiałem postępować tak bezwzględnie przez ostatni tydzień?

- Tak. - Popatrzyła na niego w słabej poświacie wpadającej przez okna. - Wiem, Rex, i nie mam ci tego za złe. Przyszedłeś do mnie po pociechę? Nie zadręczaj się

dłużej. Ja naprawdę rozumiem. A dzisiaj, teraz, nie zmieniałabym naszych planów na jutrzejszy dzień, nawet gdybyś zostawił mi wybór. Ja to muszę zrobić, więc się

nie martw, proszę. I pamiętaj, że ja ciebie z nim nie porównuję.

Zaśmiał się cicho.

- Przyszedłem pocieszyć ciebie w miarę swoich możliwości, a ty sprytnie odwróciłaś sytuację. Pomyślałem, Catherine, że może boisz się albo czujesz samotna. Może potrzebujesz uścisku czyichś ramion. Nie wiem wprawdzie, czemu miałabyś pragnąć moich, ale tylko własne mogę ci ofiarować.

Zrozumiała, że on czuje się winny. Obwiniął siebie, od kiedy poznał całą prawdę

ojej przeszłości. Czuł się nie lepszy od Howarda Copleya. To dlatego był taki obcy, dlatego nie przychodził nocą do jej łóżka. A ona się bała, że czuje do niej obrzydzenie.

Podniosła rękę i ujęła jego twarz w dłonie. Patrząc mu w oczy, zobaczyła ze zdumieniem, że wypełniają je łzy. Zależy mu na mnie, pomyślała nagle. Trochę

mu na mnie zależy.

- Chcę, żebyś mnie objął - powiedziała. - Tęskniłam za twoim uściskiem, Rex.

Myślałam, że masz do mnie żal, bo nie opowiedziałam ci tej żalostnej historii przed ślubem. Sądziłam, że się mnie brzydzisz. Ale to nie tak, prawda?

Nie odpowiedział słowami. Przyciągnął ją tylko do siebie i tulił, a ona położyła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy.

Miłość potrafi być taka słodka, pomyślała. Nie dba o jutro. Nawet nie będzie o tym myśleć. Ani o tym, że dopiero poczucie winy wyzwoliło w nim czułość - nie ma znaczenia, jak to się stało. Przyjęła tę czułość jak podarunek, którego ceny się

nie kwestionuje ani nie analizuje, żeby nie psuć sobie radości.

Przyjęła ją jak najcenniejszy prezent.

- Zostań ze mną - poprosiła. - Kochaj się ze mną.

- Całą noc - powiedział jej cicho do ucha. - Każdej nocy, Catherine. Już do końca życia.

Och, to był słodki i cenny dar.

21

186

Przez cały ten tydzień wicehrabia Rawleigh bez przerwy pojawiał się w wysokich kręgach towarzyskich. Wiele przedpołudni spędził w klubie White'a. Spacerował i jeździł konno w parku St James i Hyde Parku w porach, kiedy pojawiała się tam połowa eleganckiego świata. Złożył kilka popołudniowych wizyt, głównie szacownym matronom, które miały największy wpływ na znaczące opinie i werdykty elity. Poszedł nawet na koncert w pewnej prywatnej rezydencji - rodzaj wieczoru starannie omijany przez młodych i nic niewartych młodzików.

Wicehrabia był jeszcze bardziej ujmujący i grzeczny niż zazwyczaj. Widać było -

zgodziły się starsze wiekiem damy z pobłażliwą sympatią - że nieznana im młoda osoba, która w końcu usidliła jednego z najbardziej łakomych kasków w świecie kawalerów, trafiła temu chłopcu do serca. Z ciekawością oczekiwały spotkania z wicehrabiną na balu u lady Mindell. Gdziekolwiek się pojawił, mówił o tym wydarzeniu.

Młode panny na wydaniu były nieco mniej skłonne do zachwyty. Wicehrabia Rawleigh z paru powodów od lat stanowił jedną z lepszych partii. Najważniejsze były jego tytuł, majątek i prezencja. No i, naturalnie, oficerska służba w kawalerii podczas wojny w armiach księcia Wellingtona. Mówiło się też, że z walk wyniósł

blizny po ranach - dowód męstwa niedostrzegalny, bo pod ubraniem, co niezwykle pobudzało wyobraźnię młodych dam. Interesujące było też to, że miał brata bliźniaka. Większość z nich znała Claude'a Adamsa i wzdychała z rozczarowaniem, że już dawno zniknął z matrymonialnego rynku. Najbardziej zaś

fascynował fakt, iż wicehrabiego Rawleigh porzuciła kiedyś narzeczoną. Był

wtedy wprawdzie w Belgii, w wirze wydarzeń poprzedzających bitwę pod Waterloo, ale na pewno swoje przecierpiał. Otoczyła go aura romantycznego kochanka, któremu złamano serce. I to tak przystojnemu mężczyźnie! W marzeniach każdej z nich kryło się cudowne wyzwanie, by stać się kobietą, która uleczy jego rozpacz.

Młode panny wcale się nie ucieszyły, słysząc o niedawnym nagłym ślubie wicehrabiego Rawleigha z nieznaną nikomu damą. Mimo to nie mniej niż starsze pokolenie ciekawe były widoku owej damy. Pragnęły ocenić, czy warta jest takiej głównej wygranej, gotowe rozedrzyć ją na strzępy w myślach i w trakcie prowadzonych z zachowaniem dobrych manier rozmów, jeśli ocena wypadłaby

niepomysłnie.

Panowie byli nieco mniej zainteresowani ożenkiem Rawleigha, tyle że mu dyskretnie współczuli i darzyli go niezmienną sympatią. Mężczyzna rzadko żeni się w pośpiechu, chyba że spotkała go jakaś wyższa konieczność. Przez cały tydzień wicehrabia rozmawiał z nimi, żartował, jadał obiady i pił, a do najlepszych graczy przegrał pewne sumy przy karcianym stoliku. Dobrze mu życzyli i 187

zastanawiali się, może z nieco mniejszym przejęciem niż damy, jakiej kobiecie udało się zakuć go w małżeńskie kajdany.

Tak więc, zgodnie z zapewnieniem danym żonie przez Reksa, scena była przygotowana do spektaklu, który miał się rozpocząć na wieczornym balu u lady Mindell. Przesadą może byłoby twierdzić, że wyższe sfery zgromadziły się

tłumnie w rezydencji lorda Mindella przy Hanover Square tylko i wyłącznie po to, by podziwiać żonę wicehrabiego Rawleigh. I tak przyszliby na ten bal, była to bowiem jedna z największych dorocznych atrakcji sezonu, lecz pewność, że zobaczą ową tajemniczą osobę dodawała atrakcyjności przyjęciu, które po kilku tygodniach trwania sezonu towarzyskiego niebezpiecznie groziło nudą wciąż powtarzających się, takich samych rozrywek.

Wyglądało na to, że wszystkie wykwintne londyńskie powozy zatrzymywały się

tego wieczoru przed rezydencją Mindellów, czekając aż ich wystrojeni pasażerowie wysiądą. Wszystkie okna pałacu jarzyły się światłem niezliczonych świec. Cała służba Mindellów i przybywający

na bal goście zajmowali chodnik i stopnie pałacu albo stali w holu i na głównych schodach.

Absolutnie nigdzie nie można było się ukryć. Nawet do wnętrza powozu wtargnęło światło, kiedy Rawleighowie zajechali wśród innych pojazdów pod bramę.

Catherine korciło, by opuścić głowę, wbić oczy w ziemię, przybrać maskę

kamiennej obojętności i znów popaść w kompletną bierność, pozwalając, by wypadki toczyły się same. Instykt podpowiadał jej jednak, że byłaby to najprostsza droga do porażki. Jeśli rzeczywiście ją czeka, nie zamierza przyjąć jej ze schyłym karkiem. Wczoraj o tym zdecydowała.

Spojrzała na dwóch mężczyzn naprzeciwko. Jej ojciec siedział sztywny i milczący, ale przynajmniej był. Przyjechał z nią. Uśmiechnęła się do niego, choć unikał jej spojrzeń. Harry - blady i cichy - uśmiechał się do niej z uczuciem i wspierał ją, jak mógł.

- Cathy, wyglądasz przepięknie - powiedział, kiedy ich oczy się spotkały.

Powiedział jej to samo przed obiadem i jeszcze raz przed wyjazdem z domu ojca.

Też wyglądał wspaniale w bieli i błękicie. Mimo bardzo młodego wieku budził z pewnością westchnienia młodych panien. Brat Reksa ożenił się jako dwudziestolatek, miał zaledwie rok więcej,

niż obecnie Harry. Żeby tylko dzisiejszy wieczór nie popsuł jego matrymonialnych perspektyw.

Stangret otworzył drzwiczki powozu i opuścił schodki. Lokaj Mindellów stał w 188

pogotowiu, by pomagać wysiadającym gościom. Wielka chwila nadeszła. Ojciec i brat wyszli z powozu.

- Catherine, wyglądasz pięknie - powiedział Rex cicho, ale wyraźnie, zanim wysiadł i podał jej rękę.
- Jesteś moją dumą i radością.

Zdumienie i wdzięczność nie zdołały całkiem przesłonić potwornego strachu, który ciążył ołowiem u balowych pantofelków. Słowa męża wywołały jednak rumieńce na jej policzkach - być może właśnie o to mu chodziło. Uśmiechnęła się, w jej oczach pojawił się blask, a głowę uniosła dumnie i wysoko.

Kolejna pokusa to utkwic wzrok w jakimś odległym punkcie. Ogromnie trudno było powstrzymać ten odruch, ale udało jej się. Rozejrzała się, dostrzegła ludzi, nie unikała ich spojrzeń. Jeśli jednak pragnęła się pocieszać, że w gruncie rzeczy nie zwraca niczyjej uwagi, rozczarowała się. Powodowani naturalną ciekawością, wszyscy kierowali wzrok na nowo przybyłych, a szczególnie na wicehrabiego Rawleigha i jego świeżo poślubioną żonę. Wiele par oczu skierowało się na nią.

Harry i ojciec trzymali się z jednej strony, mąż szedł po drugiej. Dłoń położyła na jego ramieniu. Wolną dłonią przykrył jej rękę i pochylił ku niej głowę, kiedy wstępowali po szerokich stopniach i weszli do holu. Tak się do niej uśmiechał, że w innych okolicznościach wywołałoby to u niej zawrót głowy.

- Odwagi, kochanie - szepnął. - Poradzimy sobie z tym. Obiecuję ci.

Odwzajemniając uśmiech tylko oczyma, pozwoliła sobie wyrazić

swoje prawdziwe uczucia do niego. Instykt jej podpowiadał, że czyni właściwie. Nawet gdyby miała tylko udawać, w tej chwili tak właśnie by na niego patrzyła. ,

Sześć lat to dla wielkiego świata i długo, i krótko. W wielu oczach widziała zaciekawienie, ale nic nie wskazywało, że ci ludzie ją rozpoznają. Licznych zgromadzonych nigdy nie spotkała, lecz w spojrzeniach innych zaczęła dostrzegać

nie tylko ciekawość. Niektórzy zaczęli rozumieć, kim ona jest. I w wielu przypadkach kolejną reakcją na jej widok był widoczny wstrząs.

Sześć lat to niewiele. Wieczność to jeszcze za krótko dla świata, który nigdy nie zapomniał o wykroczeniu przeciw regułom gry, gdy raz już skazał kogoś ze swego grona na bezpowrotne wykluczenie.

Ojciec Catherine głośno i burkliwie pozdrawiał znajomych. Rex też się witał, tylko spokojniej, bardziej uprzejmie. Harry uśmiechał się do wszystkich wkoło i wyglądał niczym anioł.

Wkrótce dołączyli do sznuru gości, przechodzących do sali balowej, mijając gospodarzy. Czy zajdą

aż tak daleko, zastanawiała się Catherine, czy zostaną

poproszeni z oburzeniem o opuszczenie tego domu? Czy ktoś zaryzykuje publiczny skandal, jakim byłoby wyproszenie za drzwi lorda Paxtona, 189

wicehrabiego Perry i wicehrabiego Rawleigha? Nagle zachciało jej się śmiać i z pewnym trudem stłumiła chichot. Mąż uniósł jej dłoń do ust i z powrotem położył

na swoim rękawie.

Jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu Daphne i Clayton stali tuż przed nimi w kolejce gości. Wyszli ze swego miejsca i przyłączyli się do nich. Clayton był

spokojny i przyjazny, Daphne otwarcie serdeczna. Catherine pomyślała, że czuje się tak, jakby otoczono ją szerokim ceglanym murem. Niemal bezpiecznie, ale nie do końca.

I wtedy wreszcie nadszedł decydujący moment. Poczła coś w rodzaju rozczarowania, kiedy minął spokojnie. Mogła się domyślić, że gospodarze okażą

się zbyt dobrze wychowani, by rozpoznając ją, zrobić publiczny afront. Lord Mindell chyba w ogóle jej nie poznał. Popatrzył na nich z czymś w rodzaju znudzenia, jakby chciał powiedzieć, że cały ten bałagan, który cierpliwie znosi, to pomysł żony, i wymamrotał kilka

słów powitania. Lady Mindell zaskoczona, uniosła brwi i natychmiast przybrała wyniośle królewską minę i pozdrowiła ich z lodowatą grzecznością.

- Nawet pióra w jej uczesaniu stanęły na baczność, kiedy na mnie spojrzała -

szepnęła do męża, wykazując poczucie humoru, które kiedyś pomagało jej przetrwać spotkania z Clarissą.

Zaśmiał się i poklepał ją po dłoni.

Wesołość ją opuściła, kiedy w sali balowej musiała stawić czoła tej samej co poprzednio trudności, tylko pomnożonej przez dziesięć. Wydało się Catherine, i była pewna, że się nie myli, iż na moment szmer rozmów przycichł, a potem rozległ się ze znacznie większą siłą.

Spodziewała się, że jej opiekunowie odsuną się i zostawiają samą na pastwę

wrogiego tłumu. Oczywiście lęk był nieuzasadniony. Rex wciąż trzymał jej dłoń

na swoim rękawie, Daphne ujęła ją pod ramię z drugiej strony i ciągle coś mówiła, niemal bez przerw na zaczerpnięcie oddechu. Jej ojciec, potężna i wzbudzająca respekt postać, górował nad nimi kilka kroków dalej. Clayton zrobił użytek ze swojego monokla i nagle zaczął wyglądać jak śmiertelnie groźny przeciwnik, w razie gdyby ktoś szukał zaczepki.

- Uwielbiam, kiedy Clayton nosi to szkło - powiedziała wesoło Daphne. -

Wygląda tak nieprzystępnie. To wtedy, kiedy któregoś wieczoru obrócił na mnie spojrzenie przez monokl, zauważyłam go po raz pierwszy. Pół godziny później karciłam go za wyniosły sposób bycia. Zakochałam się w nim bez opamiętania w ciągu następnej. - Roześmiała się radośnie, a Catherine wraz z nią.

Harry odszedł od nich na kilka chwil i zaraz powrócił z innym młodzieńcem, któremu włosy rude jak marchewka, przesadnie sterczące rogi kołnierzyka koszuli 190

i szkarłatne rumieńce nadawały wygląd młodszego od jej brata. Został przedstawiony całej grupie.

- J-jak się pani m-miewa, l-lady C-atherine? Cz-czuję s-się z-zaszczycony. .. Nie wiedziałem, że Harry ma siostrę, i to tak piękną, j-jeśli m-mogę t-tak b-bezczelnie t-to u-ująć...

Uśmiechnęła się, szczerze ubawiona. Sir Cuthbert Smalley zaczął szczegółowo i rozwlekle opowiadać o pogodzie, gdy tymczasem Harry śmiał się otwarcie i mrugał do niej zza ramienia przyjaciela.

A potem zjawili się jeszcze trzech dżentelmenów. Lord Pelham, pan Gascoigne i hrabia Haverford przyjechali razem na bal chyba przed chwilą. Kolejno pochylali się nad jej dłonią w ukłonie. Hrabia Haverford pocałował ją w rękę. Każdy zamówił u niej jeden taniec. Sir Cuthbert nie omieszkiał uczynić tego samego.

Oczywiście wszystko wcześniej ukartowano. Rex musiał zaplanować szczegóły, a Harry dołączył własne starania. Bardzo im była wdzięczna. Wciąż nie wiedziała, czy kiedy pierwszy wstrząs minie, otaczający ją tłum nie zorganizuje czegoś w rodzaju zbiorowego bojkotu, by wybawić zgromadzonych od niemiłe widzianej osoby. Z każdą chwilą jednak ta groźba malała. Otoczył ją obronny krąg bardzo wpływowych przyjaciół.

Oprócz Daphne stali przy niej wyłącznie mężczyźni - do chwili gdy ładna, pulchna blondynka, ubrana w blad różową suknię, dość nieszczęśliwie podkreślającą żółtawy odcień cery, przecisnęła się między Clay-tonem a panem Gascoigne i wpatrzona w Catherine wydała zadziwiająco donośny pisk.

- Cathy! - zawołała dama. - To ty! Cathy! Ja myślałam, że nie żyjesz!

Rzuciła się w objęcia Catherine i obie panie zaczęły się serdecznie ścisnąć.

- Wcale nie umarłam, Elsie, zapewniam cię, że jestem jak najbardziej żywa.

Cieszę się, że cię znowu widzę!

I że najlepsza przyjaciółka z lat młodości nie odwróciła się od niej.

- Dobry wieczór, lady Withersford - przywitał się z powagą Rawleigh.

- Elsie? - Catherine chwyciła przyjaciółkę za rękę i zaczęła się śmiać. - Lady Withersford?

- Tak, no cóż... - odparła Elsie, a jej twarz przybrała odcień czerwieni, zdecydowanie nieharmonizujący z kolorem sukni. - Odkryłam, że wcale nie nienawidzę Rudiego tak bardzo, jak sądziłam. W gruncie rzeczy... ale nieważne.

Wysłałam za niego pięć lat temu. Mamy dwóch synów.

Wtedy nadszedł sam lord Withersford, z którego Cathy i Elsie jako dziewczęta wyśmiewały się i nazywały „cudem bez podbródka”. Prawda, że zawsze miał

dystygowany wygląd, który rekompensował cofniętą szczękę. Ukłonił się teraz całej grupie i wcale nie miał zamiaru odciągać żony od nich. Rozpoczął z 191

Claytonem i lordem Pelhamem rozmowę o stajniach wyścigowych Tattersall. Nie można było wyraźnie słyszeć ich słów, Elsie i Daphne walczyły o lepsze, mówiąc coraz więcej i szybciej.

Wreszcie przyszła pora na tańce. Bal rozpoczynał kadryl, którego Catherine zatańczyła z mężem, Daphne i Claytonem. Elsie i lord Withersford znaleźli się w tej samej grupie. Nikt z uczestników balu nie zrobił uniku, przechodząc do innego rzędu. Nikt nie uciszył orkiestry, by ogłosić, że Catherine musi opuścić parkiet, salę balową i rezydencję Mindellów.

Zdawało się, że odnieśli zwycięstwo, jak obiecywał Rex. Utkwiła wzrok w jego oczach, uśmiechnęła się i po raz pierwszy świadomie pozwoliła sobie dostrzec w nich zachwyt, z jakim kiedyś spoglądał na nią w Bodley, i coś jeszcze oprócz tego.

Czyżby miłość? Oczywiście, przybrał takie spojrzenie na użytek otaczającej ich widowni, tak jak zwracał się do niej „kochanie”, kiedy słyszeli ich inni ludzie.

Jednak i tak zrobiło jej się ciepło pod tym spojrzeniem.

Być może niczego nie udawał? Przecież ostatniej miłosnej nocy nie mieli widowni, a ich namiętność przybrała inny, nowy odcień. Kochał ją nie tylko ze zwykłą wprawą, równie dbający o jej rozkosz, co o własną. Kochał ją z wielką

czułością. Tego była pewna, mimo że nie padły między nimi żadne wyznania, a potem tak szybko zasnęła, że nie zdążyli zamienić ani słowa.

Nie był wobec niej całkiem obojętny. Ożenił się z nią bez entuzjazmu - najpierw kierował nim obowiązek, a potem poczucie winy. Uwierzyła jednak, że zaczął ją

lubić bardziej niż na początku. To już coś. Jeśli tylko uda im się doprowadzić do końca dzisiejsze odważne i śmiałe przedsięwzięcie, być może jej małżeństwo zdoła przetrwać i jakoś się ułoży. Ta myśl była słodka.

Rex dobrze tańczył. Zapomniała o otaczających ich parach i czuła się tak, jakby na sali byli tylko oni. Pamiętała bal w Bodley House, gdzie dwukrotnie wirowała z nim w walcu - raz w sali balowej - i drugi raz w pokoju muzycznym. Przepiękne tęsknotą i słodczą wspomnienie poprzedzające późniejszą gorycz. Wyglądał dziś

wieczorem oszłamiająco wytwornie w odcieniach brązu i matowego złota, które podkreślały kolor jej sukni ze złotawego jedwabiu.

Przestała się denerwować i zaczęła cieszyć zabawą.

Rawleigh stopniowo zaczął się odprężyć. Sądził, że przynajmniej dziś nie zdarzy się już nic przykrego. Chwile, w których to mogło nastąpić - przy powitaniu z gospodarzami i gdy weszli na salę balową - należały do przeszłości. Teraz nikt nie zrobi sceny.

Zastanawiał się, czy Catherine wyczuwała jego początkowy lęk. Trochę niepokoił

192

się, że jego żona załamie się pod brzemieniem chwili. Gdyby to się zdarzyło, mogłaby nie zdołać podnieść się po ciosie. Nie martwił się jednak zbytnio.

Pamiętał, z jaką spokojną godnością wytrwała w jeszcze gorszej sytuacji w Bodley. Naprawdę obawiał się tylko publicznego skandalu, afrontu, przed którym nie zdołałby jej osłonić. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby ją coś takiego spotkało, jakaś scena, której nie zdołałby zapobiec. Coś, co położyłoby się cieniem na całej przyszłości jej, jego i ich dzieci.

Nawet teraz nie mógł być pewien zwycięstwa. Dobre maniery mogły powstrzymać ludzi przed zrobieniem na balu publicznego afrontu, ale jutro mogą

się oboje spotkać z towarzyskim bojkotem. Może się zdarzyć, że inne zaproszenia nie napłyną, że będą ignorowani lub ludzie przestaną im się kłaniać w teatrze, w parku, modnych sklepach na Bond Street czy Oxford Street. Dopiero dzień

jutrzejszy przyniesie odpowiedź.

Nie ustawał w nadziei, że obie rodziny, jego przyjaciele i państwo Withersford będą dalej walczyć w ich sprawie i wspólnymi siłami zdołają wprowadzić

Catherine z powrotem do towarzystwa. W każdym razie zostaną w stolicy kilka tygodni zobaczą, czym to się skończy. Gdyby jednak to miało zależeć od niego, już jutro zabrałby ją z powrotem do Stratton Park i żył sobie tam z nią szczęśliwie.

Do diabła, miał zamiar sprawić ze wszystkich swoich sił, by go pokochała. Jest pewna niewielka szansa, iż mu się powiedzie. Jej czułość ubiegłej nocy natchnęła go niemal szaloną nadzieją.

Czuł w sobie chęć do życia, jakiej nie znajdował od czasu, gdy rozpadło się jego narzeczeństwo z Horacją. Pragnął żyć dalej, zaufać miłości i uczynić z niej dobrowolne zobowiązanie na resztę życia. Chciał począć z nią dzieci. Stworzyć z nią rodzinę, nawet gdyby dzieci mieć nie mogli.

Tańczył więc z żoną kadryla, widząc tylko ją jedną, odprężając się po całym tygodniu napięcia. Pozwolił sobie wreszcie cieszyć się balem.

Od wejścia na salę właściwie nie rozglądał się dokoła. Lecz teraz, kiedy skończył się taniec i sprowadzał żonę z parkietu, a jej brat szykował się, by zatańczyć z nią następny zestaw tańców wiejskich, lord Rawleigh przyjrzał się otoczeniu z ciekawością. Chciał się przekonać, czy ich grupa dalej wzbudza takie zaciekawienie, jak na początku balu.

Wtedy zauważył obecność dwóch osób. Jedna wchodziła dopiero na salę, nie mógłby więc zobaczyć jej wcześniej.

Horacja Eckert stała z matką i starszą siostrą w pewnym oddaleniu. Chłodząc się wachlarzem nie patrzyła na niego, ale miał wrażenie, że doskonale wie, gdzie on jest, i że ją dojrzał. Piękna, niewysoka Horacja, o jasnokasztanowych włosach i wielkich, ciemnych oczach. Poczłukucie żalu na myśl o wszystkich 193

nieprzyjemnych zdarzeniach, które miłość zastąpiły w jego sercu nienawiścią. W

odpowiedzi na list zrywający zaręczyny nazwał ją zimną kokietką. Potem, kiedy wrócił do Anglii, a ona znów była wolna, bo jej flirt dobiegł końca, odrzucił

wszelkie próby nawiązania kontaktu. Za to, że w ogóle próbowała, czuł do niej wyłącznie złość i pogardę. Oczywiście przez mniej więcej rok nie śmiała pokazywać się w stolicy. Wielki świat nie spoglądał przychylnie na tych, którzy zrywali publicznie ogłoszone zaręczyny. Miała szczęście, że uniknęła ogólnego potępienia.

Patrzył na nią zaledwie przez kilka sekund. Wiedział, że sam jest dziś

przedmiotem nieustannej obserwacji, a jego związek z Horacją nie został przez świat zapomniany. Kiedy jednak odwrócił wzrok w inną stronę, ku wejściu, zobaczył dżentelmena, który wszedł na salę sam i rozejrzał się wkoło z cyniczną

miną.

Lord Rawleigh wiedział, że jest on w mieście, chociaż nie mieli okazji się spotkać

w ciągu minionego tygodnia. Wyglądało na to, że sir Howard Copley w ostatnich czasach miał wstęp do coraz mniej licznych kręgów towarzystwa. Mówiło się, że popadł w astronomiczne drugi - w klubach, a nawet w szulerniach był niezbyt mile widziany. Przez całe lata wykorzystywał swój wdzięk i prezencję, teraz nieco już

przyblakłą wskutek hulaszczego trybu życia, uwodząc tyle zamożnych dziedziczek, że jego reputacja zanadto ucierpiała, by trafiały mu się kolejne okazje. Młode panny, bogate czy biedne, strzeżono przed Howardem Copleyem, tak jak przed stadem wygłodniałych wilków.

Jednakże, będąc dżentelmenem, Copley wciąż nie znalazł się w totalnej niełasce i znajdował możliwość uczestniczenia w większych towarzyskich zgromadzeniach.

Czasem więc zjawiał się na przyjęciach, tyleż z chęci okazania lekceważenia filarom eleganckiego świata, co z zamiarem zabawienia się.

Lord Rawleigh spoglądał przez całą długość sali balowej na mężczyznę, który zmarnował reputację jego narzeczonej, a wcześniej zgwałcił Catherine, uczynił ją

brzemienną i skompromitował. Doznał przedziwnej ulgi, a jednocześnie poczuł, że w piersi rośnie mu wielka bryła lodu.

Tak. Och tak, zrobię to bez wątpienia, pomyślał. Orkiestra jeszcze nie zaczęła grać do kolejnego tańca. Znow zaprzestano rozmów, a potem hałas wzmógł się na nowo. Tak więc zauważono wejście sir Howarda Copleya i przewidywano wszystkie możliwe tego następstwa.

Wicehrabia pochwycił wzrok Copleya i świadomie podtrzymał spojrzenie. Copley najpierw obejrzał się ostentacyjnie za siebie, a potem przybrał szyderczą minę, unosząc jedną brew. Wicehrabia pomyślał, że pamięta on doskonale Horację i to, że jej zawiedziony narzeczony nie żądał zadośćuczynienia.

194

Później Copley obrócił wzrok na Catherine, którą mógł dostrzec z profilu. Patrzył na nią przez chwilę i ponownie spojrzął na Rawleigha.

W jego drwiących oczach pojawił się jakiś nieokreślony wyraz, aż wreszcie uśmiechnął się krzywo i bez pośpiechu odwrócił, by opuścić salę balową, do której wszedł zaledwie przed kilkoma minutami.

Gruda lodu, którą poczuł lord Rawleigh w piersiach, zmroziła mu serce do cna.

Ale wciąż odczuwał ulgę.

Catherine śmiała się z czegoś, co powiedział jej brat, i wzięła jego ramię, dając się poprowadzić do następnego tańca. Oboje mieli taki promienny, rozbrajający wygląd.

22

Czuła wielką ulgę. Naturalnie wystarczająco dobrze znała życie i zwyczaje wielkiego świat, by zdawać sobie sprawę, że niebezpieczeństwo nie zostało do końca zażegnane. Co prawda nikt nie wywołał sceny i nikt nawet nie spróbował

zachować się wobec niej niegrzecznie. Ale też niewiele osób traktowało ją

przyjaźnie i z otwartą serdecznością, z wyjątkiem Elsie, lorda Withersforda, przyjaciela Harry'ego sir Cuthberta i lorda Coxa, który poprosił ją do tańca po kolacji, a przed sześcioma laty należał do

jej wielbicieli.

Wiedziała, że jutro wielki świat może znów całkowicie i stanowczo wykluczyć ją

ze swych kręgów. Nie będzie żadnych afrontów, żadnych uchybień, jedynie wymowna, lodowata cisza. To całkiem możliwe, mimo że teraz towarzyszyło jej tyle utytułowanych i wpływowych osób, z ojcem na czele.

Dziś jednak nie chciała myśleć o jutrze. Dzisiaj była w Londynie, znów na balu, nosiła nową suknię i miała nowe uczesanie. Była świeżo poślubioną żoną

najprzystojniejszego mężczyzny na sali balowej, mężczyzny, którego pokochała.

Przetańczyła z nim pierwszy taniec i miała tańczyć walca przed kolacją. Nie brakowało jej partnerów do żadnego z tańców, a teraz wirowała w walcu z ojcem.

W roku, w którym debiutowała w towarzystwie, ojciec nawet nie przekroczył progu sali balowej.

- Ojczy, nie wiedziałam, że potrafisz tańczyć - powiedziała, uśmiechając się do niego.

Brwi miał zmarszczone i za całą odpowiedź musiało wystarczyć niewyraźne mruknięcie.

- Gdzie nauczyłeś się tańczyć walca?

- Dżentelmen musi pewne rzeczy umieć.

- Włącznie z tym, co zrobiłeś, pokazując się ze mną? Czy bardzo cię żenuje ta 195 sytuacja, ojczy?

Nie byłoby jej przykro, gdyby ów domysł był słuszny. Najwyższy czas, by ojciec poczuł coś z jej powodu, choćby tylko zmieszanie. Przed sześcioma laty nie okazał jej wsparcia, którego wtedy też bardzo potrzebowała, nie mogła jednak teraz go znienawidzić. Był jej ojcem i kochała go.

Spojrzał jej w oczy i dalej prowadził walca poprawnie, choć bez wdzięku.

- Miałaś szczęście, Catherine - powiedział. - Nie mam pojęcia, dlaczego pomimo tych wszystkich okoliczności Rawleigh zechciał się z tobą ożenić. Oczywiście, jesteś piękna, a on ma dobre oko. Niezależnie od okoliczności dobrze zrobił, że cię

tu przyprowadził. Życie byłoby dla niego trudne, gdyby jego żony nigdzie nie przyjmowano, a dla dzieci wręcz niezdnośne.

Ani słowa ojej własnych uczuciach albo ojej dzieciach. Uśmiechnęła się.

- On wie, jak sądzę, że to był Copley? - powiedział ojciec.

- Tak - odparła i nagle zrozumiała, dlaczego czuje taką ulgę.

Bała się, że tamten może pokazać się na balu. Nie wierzyła, że zachowa spokój, jeśli znów go zobaczy i przypomni sobie, że to ojciec Bruce'a. Woląa myśleć, że Bruce to wyłącznie jej dziecko, syn bez ojca. Woląa zapomnieć o obrzydlistwie, z którego został poczęty.

- No to masz podwójne szczęście - dodał ojciec - albo twój mąż to podwójny dureń, jakkolwiek by na to patrzeć.

Spojrzała ojcu w oczy, ale utkwił wzrok gdzieś w przestrzeni.

- Podwójny?

- Copley kilka lat temu przyczynił się do zerwania zaręczyn Raw-leigha z córką

Eckerta. Copley nie ożenił się z nią, ale i tak rozstała się z wicehrabią. Ona też

miała sporo szczęścia. Zniknęła na trochę, wróciła jednak do towarzystwa i zatarła złe wrażenie. Naturalnie ona nie urodziła bękarta.

Poczuła ból jak uderzenie nożem. Bruce bękartem. Ale pojawił się też inny ból.

Rex był zaręczony z kimś innym? Narzeczona z nim zerwała, i to przez Howarda Copleya? Co za zadziwiający zbieg okoliczności. Jak on musiał się czuć, kiedy w Stratton opowiedziała mu swoją historię! Czy kiedykolwiek kochał tamtą kobietę?

Czy dalej ją kocha? Pytania i możliwe odpowiedzi kołatały jej w głowie, gdy dalej tańczyła z uśmiechem.

Wróciła do towarzystwa. Catherine usłyszała echo słów ojca.

- Czy ona jest tu dzisiaj? - spytała.

- Po tamtej stronie. - Ojciec skinął głową w kierunku rogu sali. - Mała, o kasztanowych włosach.

Panna Eckert. Niezwykle, uderzająco piękna. Spoglądała na Catherine i ich 196

spojrzenia skrzyżowały się na moment, a potem panna Eckert odwróciła wzrok.

Ale nawet przez tę jedną chwilę i z dużej odległości Catherine mogła odczytać

wyraz jej oczu. Był w nich żal i trochę gniewu, ale nie nienawiść. Spojrzenie to powiedziało jej całkiem wyraźnie, że ta kobieta wciąż kocha Reksa. A może tylko własne skomplikowane uczucia Catherine sprawiły, że odczytała w skądinąd obojętnym spojrzeniu to, co zdawało jej się najbardziej prawdopodobne?

Co zaszło między panną Eckert a sir Howardem? I dlaczego Rex nie stanął w obronie narzeczonej, ani jej później nie wybaczył? Być może panna Eckert nie pragnęła wybaczenia. Rex tańczył walca z Elsie i najwyraźniej obdarzał ją pełną

uwagą. Jak się czuł, będąc na tej samej sali co jego dawna miłość? Czy bardzo ją

kochał w przeszłości? Czy dalej ją kocha? Pytania zaczęły się mnożyć. Wiedziała, oczywiście, że nigdy nie kochał jej. Nigdy nie próbował udawać, że czuje do niej coś poza pożądaniem. Ożenił się z nią, bo ją skompromitował. Ale czym innym było znać te fakty i przyjmować je do wiadomości, a zgoła czymś innym dowiedzieć się, że kiedyś był zaręczony z inną i być może wciąż jeszcze nie przestał darzyć jej uczuciem.

Potem walc się skończył i znów znalazła się przy nim, z dłonią na jego ramieniu.

Rozmawiali w większej grupie i czekali, aż zacznie się kadryl, którego miała tańczyć z lordem Haverfordem. Potem miał być walc i kolacja.

Zauważyła, że mąż zniknął z sali balowej, kiedy tylko Haverford poprowadził ją

do kadryla. Lord Pelham i pan Gascoigne odeszli z Rekssem. Widać uznał, iż z jego przyjacielem jest zupełnie bezpieczna. Haverford był jeszcze wyższy i szerszy w ramionach niż Rex. Każdy mężczyzna zastanowiłby się dwa razy, nim by go zaczepił, pomyślała. Żadna kobieta nie chciałaby zależeć mu za skórę.

Patrząc w jego uśmiechnięte szare oczy, Catherine miała wrażenie, że w jednej chwili mogą się zamienić w zimną stal. Od razu było widać, że to oficer kawalerii z wieloletnim doświadczeniem. Był przy tym niezwykle przystojny. Zastanawiała się w Bodley, dlaczego nie zainteresowała się ani lordem Pelhamem, ani panem Gascoigne, mimo iż byli równie przystojni jak Rex, a często znacznie od niego milsi. Teraz się zastanawiała, czy nie zauroczyłby jej właśnie Haverford, gdyby towarzyszył wtedy przyjaciółom. Znała jednak odpowiedź. Sześć lat temu chętnie zadowoliłaby się Haverfordem, gdyby okazał jej trochę sympatii. Teraz jego wdzięk i atrakcyjny wygląd nie robiły większego wrażenia. Nie pociągał jej nikt, tylko Rex.

- Obawiam się, że wolałby pan pójść z przyjaciółmi, milordzie - powiedziała przepraszająco.

Uśmiechnął się szerzej.

- Co takiego? Zamiast przez pół godziny mieć żonę Reksa wyłącznie dla siebie?

197

Wykluczone, milady.

Roześmiała się.

- To zabrzmiało, jakbym dopraszała się wyrazów uznania - odparła. - Nie o to mi chodziło, ale dziękuję. Wszyscy czterej musicie mieć wiele ciekawych historii do opowiedzenia. Moglibyśmy

spotkać się wszyscy kiedyś na obiedzie, chętnie ich posłucham.

- Kilka może się nada dla uszu damy - roześmiał się, patrząc na nią. - Chociaż

Rex pewnie i tak część z nich oprotestuje, ale zajmą nam cały wieczór, jeżeli pani się nie znudzi. W imieniu pozostałych przyjmuję zaproszenie.

Muzyka zaczęła grać i nie było już czasu na dalszą rozmowę. Rex i pozostali jego przyjaciele nie wrócili do sali balowej, póki taniec nie dobiegł końca.

W samą porę na ostatni walc przed kolacją.

Niech jutro dzieje się, co chce, pomyślała zadowolona.

Copley grał w karty w pokoju przeznaczonym do tego celu. Przeszedł tam prosto z sali balowej i zasiadł do stolika. Gascoigne, Pelham i Haverford zaglądali tam na zmianę co kilka minut i przynosili świeże wiadomości.

Zanosilo się na to, że będzie grał w karty do końca balu. Nie chcieli jednak zwlekać ani zostawiać niczego przypadkowi. W połowie balu Catherine nie groził

już żaden publiczny skandal. Pomyślnym zbiegiem okoliczności u Mindellów grano w karty w dwóch pokojach. Damy i kilku starszych dżentelmenów zebrało się w jednym, w drugim, tam gdzie grał Copley, przebywali wyłącznie mężczyźni.

Można było liczyć na to, że zachowają dyskrecję, kiedy zażąda jej potrzeba chwili i kodeks honorowy.

Wybrali Haverforda, by został na sali balowej i zajął się Catherine. Tak się akurat złożyło, że zarezerwował u niej taniec przed kolacją. Właściwie szczególna ostrożność nie była potrzebna; nic nie zapowiadało, by przed końcem balu mogła ją spotkać jakaś przykrość. Byli przy niej też ojciec, brat i sir Clayton Baird, a sama lady Baird potrafiłaby stać się w potrzebie trudnym przeciwnikiem. Mimo to wszyscy czterej uzgodnili, że jeden z nich na wszelki wypadek powinien mieć oko na sytuację w sali balowej. Mogli być

całkiem spokojni. W razie konieczności Haverford jednym spojrzeniem ściałby lodem wszystkie kwiaty na wiosennej łące.

Pozostali trzej udali się do pokoju karcianego. Było tam mniej dżentelmenów niż

w zwykły wieczór w sali przeciętnego klubu. Większość pewnie uległa prośbom swoich towarzyszek i tańczyła na sali balowej.

Sir Howard Copley siedział przy stoliku z trzema innymi graczami. Ze stosu 198

banknotów i papierów, piętrzących się przy jego przedramieniu, wynikało, że dopisuje mu szczęście. Trzej towarzysze broni stanęli wokół stolika; pan Gascoigne i lord Pelham po obu stronach, tuż za

plecami Copleya, ale tak, że mógł

ich dostrzec kątem oka, wicehrabia Rawleigh zaś na wprost niego. Przypatrywali mu się w milczeniu. Nie zwracali uwagi na innych grających ani na trwające rozdanie. Obserwowali Copleya; Gascoigne i Pelham z profilu, Rawleigh twarzą

w twarz.

Copley zauważył ich dopiero po jakimś czasie. Rzucił parę niepewnych spojrzeń

za siebie i na wprost, z każdą chwilą coraz bardziej wytrącony z równowagi. Nic nie mówił i grał dalej, ale szybko się okazało, że nie może się już skoncentrować.

Karta mu nie szła. Oblizął wargi i osuszył jednym haustem pół szklanki. Następne rozdanie również przegrał.

Niesamowicie, jak szybko potrafią rozchodzić się wiadomości, pomyślał Rawleigh, nie odrywając wzroku od twarzy Copleya. Chociaż nie padło nawet jedno słowo, było jasne, że do tego zaciszego saloniku dotarła wieść, że Catherine pojawiła się

na balu jako żona Rawleigha. Pamięć wystarczająco dobrze służyła ludziom, by przypomnieli sobie, że to z winy Copleya została wykluczona z towarzystwa.

Znaczenie rozgrywającej się sceny nie uchodziło niczyjej uwagi.

Dziwna cisza ogarnęła cały pokój. Dziwna dlatego, że kiedy tam weszli, sala do gry w karty już i tak była spokojnym miejscem, w którym rzadko padało głośniejsze słowo. Obecnie cisza pełna była napiętego oczekiwania. Kątem oka Rawleigh zauważył, że przy sąsiednich stolikach zaprzestano gry.

Howard Copley rzucił karty, gdy przegrał po raz drugi. Gniewnie spojrział na wicehrabiego.

- Czego pan chce? - zapytał.

Rawleigh nie odpowiedział. Pozwolił, by cisza trwała.

- Do diabła, czemu pan się na mnie gapi? - Copley sięgnął po szklankę i niechcący ją przewrócił. Brązowa plama rozlała się po stole i wsiąkła w plusz.

Nikt się nie poderwał, żeby ją wytrzeć.

Copley zerwał się na równe nogi i odepchnął krzesło nogą.

- Dość tego - powiedział. - A wy dwaj... - Spojrział za siebie na lorda Pelhama i pana Gascoigne. - Jeśli wam życie miłe, wynoście się stąd.

Rawleigh patrzył na niego w milczeniu. Jego przyjaciele stali bez ruchu. Copley wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł czoło.

- Przypuszczam, Rawleigh, że w noc poślubną zauważył pan, iż panna młoda jest nie całkiem nieskalana - powiedział, chowając chustkę. Z wysiłkiem próbował

zachować zimną krew. - Na pewno zapomniała wspomnieć panu o tym przed ślubem. Niech pan mi tylko nic nie zarzuca -ja nie zdołałem sięgnąć do kieszeni 199

jej ojca. Zabawiła się ze mną, a potem zaczęła zadzierać nosa, jakby była księżniczką, a nie dziwką.

W pokoju rozległ się szmer, jakby wszyscy obecni naraz wypuścili powietrze z płuc, świadomi, że punkt przełomowy został osiągnięty i teraz jest możliwy tylko jeden ruch.

Rawleigh znów poczuł niezrozumiałą ulgę, która ogarnęła go przedtem na sali balowej. Obszedł powoli stolik - Nat odstąpił na bok, by go przepuścić.

- Nie wziąłem rękawiczek, Copley powiedział wicehrabia, dopiero teraz przerywając milczenie. - Ale moja goła dłoń wystarczy.

Wyrznął Copleya w twarz, aż huknęło.

- Proszę określić broń i czas. Pański sekundant może się zgłosić jutro rano do lorda Pelhama omówić szczegóły.

Odwrócił się do wyjścia, a przyjaciele ruszyli za nim. Wszyscy schodzili im z drogi. Nikt nie odważył się wystąpić w obronie prawa zabraniającego pojedynków, które miało zostać złamane. Nikt nie powie o tym zajściu ani słowa, chyba że innym dżentelmenom. Mało prawdopodobne, że usłyszy o tym jakakolwiek kobieta. To wyłącznie męska sprawa.

- Rawleigh. - Słyszac głos Howarda, wicehrabia przystanął na moment, choć nie obejrzał się nawet za siebie. - Wybieram pistolety. Lubię tę broń i mam wprawę.

Zabiję pana z równą przyjemnością, z jaką odebrałem cnotę pańskiej żonie. Ach, i jeszcze kiedyś narzeczonej.

- Wstyd! Wstyd! - wśród mężczyzn odezwały się głosy. Wicehrabia Rawleigh i jego dwaj przyjaciele wrócili do sali balowej, gdzie kadryl akurat się kończył.

Dobrze obliczyli czas.

Kiedy skończyli się kochać, trochę potrwało, nim odzyskała oddech i dość energii, by się odezwać. Mogła łatwo zapaść w sen, jak zwykle po akcie miłosnym, ale nie chciała jeszcze zasypiać. Właśnie te chwile są cenne, jeśli dalekie od ideału małżeństwo chce się przekształcić w lepszy związek. W takich momentach rodziła się między nimi czułość. Choć wywołana czysto fizycznym zbliżeniem, sama w sobie była czymś więcej.

- Rex? - Wygodniej ułożyła głowę na ramieniu męża i dotknęła ręką jego torsu, ciepłego i jeszcze wilgotnego od potu.

- Hm? - Potarł podbródkiem o czubek jej głowy. - Coś mi tym razem nie wyszło?

Nie udało mi się dziś ciebie uśpić?

- Zdałam sobie sprawę, że natychmiastowe zasypianie odbiera część przyjemności.

Zachichotał.

- Szybko się uczysz. Wiesz, tak się składa, że i ja to już dawno zauważyłem.

200

Lubiła, kiedy tak sobie dokuczali. Gdy dwoje ludzi może się łagodnie przekomarzać, kryje się w tym wiele możliwości uzdrowienia ich związku i zapewnienia mu udanej przyszłości.

- Nie masz mi za złe, że zaprosiłam twoich przyjaciół na jutrzejszy obiad?

Wolałabym najpierw poradzić się ciebie, ale zrobiłam taką sugestię wobec Haverforda, kiedy z nim tańczyłam i jakoś samo tak wyszło.

- Sam bym to kiedyś zaproponował, choć pewnie czułbym się zobowiązany zaprosić damy do pary. Chyba jednak mam coś wspólnego z Clarissą, pal to licha.

Tyle że nie chcę, by cię zanudzali swoimi męskimi opowieściami.

- Ależ ja chcę wiedzieć o twoich przyjaciółach jak najwięcej - zaprotestowała. - O

waszych wspólnych przeżyciach. Nie chcę wtrącać się w wasze sekrety ani zakłócać tak cennej przyjaźni. Chciałabym tylko poznać cię lepiej, Rex. Chcę się

dowiedzieć, jakie było twoje dzieciństwo i wczesna młodość z Claude'em i Daphne. Chciałabym wiedzieć więcej o tym, jak to jest mieć brata bliźniaka.

- Claude nie jest szczęśliwy.

- Zawsze wydawał mi się dość zadowolony ze swego losu.

- Mam na myśli, że ostatnio coś mu dokucza. Nie miałem od niego wiadomości od naszego wyjazdu z Bodley, ale ja zawsze wiem, co się z nim dzieje. To właśnie znaczy mieć brata bliźniaka.

Zastanowiła się przez chwilę.

- To co Claude teraz wie o tobie?

Od razu pożałowała pytania, bo zawahał się z odpowiedzią. Nie chciała, żeby kłamał, by poprawić jej samopoczucie. Ale też wcale nie chciała niemiłej prawdy, przynajmniej w tej chwili.

- Musiał wyczuwać ostatnio, że byłem przygnębiony i dość zgorzkniały. Na pewno wie, że mój nastrój już się zmienił. Że jestem teraz zadowolony.

Zadowolony. Mógł użyć gorszego słowa. Tym się musiała pocieszyć.

- Catherine... - Podniósł jej podbródek, ucałował ją lekko i znów podniósł głowę.

- Muszę nauczyć się ciebie. Długo nie znałem cię wcale, byłaś dla mnie tajemnicą.

Chcę poznać Harry'ego, to wspaniały młody człowiek. I lady Withersford. Chcę

znać wszystkich ludzi, którzy coś dla ciebie znaczą. Dowiedzieć się, kim była lady Catherine Winsmore. Ale nie tego wieczoru. Czy to może poczekać do jutra?

Obawiam się, że wykończyłaś mnie dzisiaj... Jesteś dynamiczną kochanką.

Spodobało jej się to określenie. Ona też była zmęczona, lada moment zaśnie, ale nie mogła przestać drażnić. Zrodziło się między nimi ciepło. Zaznali wzajemnej czułości i spróbowali dosięgnąć siebie w inny sposób, niż tylko przez namiętne uściski. Nie mogła jednak nie poruszyć dręczącego ją tematu.

- Opowiedz mi o panie Eckert - poprosiła, przyciskając twarz do jego ramienia.

201

Westchnął i zamilkł na chwilę, podczas której szykowała się na jego gniew.

- Tak - powiedział - ktoś prędzej czy później musiał ci o niej wspomnieć.

Przepraszam, Catherine. Sam powinienem był ci powiedzieć. Poznaliśmy się w przerwie między kampanią na Półwyspie Iberyjskim a bitwą pod Waterloo. Po miesiącu zaręczyliśmy się. Później pojechałem z wojskiem do Belgii, a ona napisała mi wkrótce, że zrywa zaręczyny. Nie wyszła za mąż za... za tamtego mężczyznę, który nas rozdzielił, ale nie mogliśmy już uratować naszego związku.

Został zniszczony.

- Przez Howarda Copleya - dodała.

- Tak. - Muskły jego ramienia zeszywniały, a potem znów się rozluźniły.

- Czy on... Co właściwie zaszło?

Nie wiem dokładnie. Sądzę, że uważał ją za bogatszą niż była faktycznie i poczuł

prawdę, gdy jeszcze mógł się wycofać. Przez cały czas myślałem, że po prostu urzekł ją prezencją i wdziękiem, i zadurzyła się, kiedy mnie nie było w pobliżu.

A teraz nie jesteś już pewien?

I to ją właśnie niepokoiło. Spotkanie twarzą w twarz z Howardem byłoby dla niej naprawdę straszne, ale co się stanie, jeśli Rex natknie się kiedyś na niego, wiedząc to, co teraz wiedział o niej i o pannie Eckert? W grę mogło wchodzić wyzwanie i pojedynek.

Możliwe, że to nie Rex wyszedłby z niego z życiem.

Zadrzała.

- Doprawdy, tracę wprawę - powiedział jej mąż. - Zimno ci? Czy może to dlatego, że znów padło jego nazwisko? W każdym razie trzeba zadbać, żeby zrobiło ci się cieplej.

Obrócił się i nakrył ją sobą. Wszedł w nią bez ostrzeżenia, jak nigdy przedtem.

Zaczyna uczyć się moich potrzeb, pomyślała. Ciężar jego ciała i twardy kształt w jej wnętrzu cudownie ją uciszały. Świadomość ponownego spełnienia sprawiła, że wszelkie ciemne myśli odeszły daleko.

Westchnęła i wargami odnalazła jego usta.

- Odpręż się - powiedział, dotykając ich. - Nie musisz nic robić. To prezent ode mnie.

Zatem to także wiedział. Że potrzebowała, by obdarował ją siłą swojego ciała.

23

Dzień przed bitwą zawsze bywał dla Rawleigha trudny. Choć wojenne potyczki nie odbywają się według ścisłego rozkładu, doświadczonemu 202

żołnierzowi nietrudno powiedzieć, kiedy walka będzie nieunikniona. Nie znosił

poprzedzających ją godzin, bo mimo zwykłych, koniecznych przygotowań zbyt wiele czasu zostawało na rozmyślanie i lęk. Gardził żołnierzami, którzy twierdzili, że nie odczuwają strachu, przekonani, iż mężczyźni nie wolno się do niego przyznawać. Na dzień przed bitwą nieodmiennie skarżył się na suchość w ustach, a kolana mu drżały. Za każdym razem miał kłopoty z żołądkiem.

Nazajutrz po balu u Mindellów poczuł lęk. Następnego dnia czekał go pojedynek z Copleyem. Sam go umyślnie sprowokował. Odrzucił oczywiście propozycję

Nata, który chciał się strzelać zamiast niego.

- Rex, przecież na mnie nie ciąży odpowiedzialność za los żony. - Nat mówił

niedbale, wzruszając ramionami. - A zawsze lubilem się bić, zwłaszcza z takimi łotrami jak Copley.

Nie żałował, że odmówił. Gdyby mógł cofnąć czas, i tak wyzwiałby Copleya. I z całą pewnością nie

pozwoliłby nikomu załatwić tej sprawy za siebie, nawet najbliższemu przyjacielowi.

Mimo wszystko lękał się śmierci - tylko głupiec udaje, że się jej nie boi.

Najbardziej męczyła go wątpliwość, czy zdoła zemścić się za okropną krzywdę

wyrządzoną Catherine, za rozpacz, jaką przeżywała, będąc brzemienną, a potem po stracie dziecka. Jednak, jak przed dniem bitwy, strach dodał mu energii i rozjaśnił myśli. Sprawił, że z łatwością dopilnował koniecznych szczegółów.

Poranna wizyta u Edena upewniła go, że Copley przyjął wyzwanie. Jego sekundant już zdążył pojawić się u sekundanta Reksa i wszystkie detale pojedynku zostały ustalone. Nat i Ken też tam byli. Rawleigh omówił z nimi swoją ostatnią

wolę, spokojnie i otwarcie wspominając, że może zginąć. Testament zabezpieczał

przyszłość Catherine więcej niż dostatecznie. Ojciec i brat prawdopodobnie dadzą

jej wszelkie duchowe oparcie, jakiego mogłaby potrzebować. Przyjaciele zobowiązali się zatroszczyć o nią w razie dalszej konieczności.

Razem poszli do rejenta poświadczyć testament Rawleigha. Potem spędzili godzinę na ćwiczeniach z bronią - nie strzelał, odkąd zrezygnował z wojskowej kariery.

Po południu składał z Catherine wizyty w tych domach, w których jeszcze przed balem zostawił swój bilet wizytowy. Odwiedzili też kilka dam, o których wiedział, że tego dnia przyjmują gości. O modnej wśród elity porze wybrali się odkrytym powozem do Hyde Parku. Jeśli miał jutro umrzeć, dziś chciał zrobić wszystko, by zapewnić Catherine wstęp do dobrego towarzystwa. Nigdzie nie spotkali się z chłodnym przyjęciem. Rankiem w dniu pojedynku nadeszło kilka nowych zaproszeń.

Naturalnie wszyscy mężczyźni wiedzieli. Wyraz ich oczu mówił to jasno 203

Rawleighowi wyraźnie, choć w obecności dam nie padło na ten temat ani jedno słowo. Żadna z pań nie miała pojęcia o planowanym pojedynku.

Wieczorem przyjaciele przyszli na obiad i wszyscy czworo swobodnie gawędzili o swojej przyjaźni, o niektórych wojennych przeżyciach. Poruszali te wątki wskutek nalegań Catherine, którą wyraźnie interesowały ich wspólne wspomnienia. Pod koniec posiłku nie wyszła z jadalni, by zostawić ich samych przy porto. Siedzieli razem, a potem przeszli do salonu jeszcze na godzinę.

Wicehrabia pomyślał, że gdyby miał decydować, jak spędzić ostatni wieczór życia, nie mógłby wybrać lepszego towarzystwa niż najbliżsi przyjaciele i żona.

Zakłuła go nagła tęsknota za Claude'em. Czy brat

przeżywał razem z nim tę niepewność? Czy coś przeczuwał?... Nie chciał się

jednak dręczyć teraz takimi myślami ani trochę bardziej niż za żołnierskich czasów.

Przyjaciele nie siedzieli zbyt długo. Wszyscy mieli wstać bardzo wczesnie rano, wyjaśnili Catherine, uparli się bowiem podziwiać uroki świtu podczas konnej przejażdżki. Urządzili całe przedstawienie. Namawiali go, by wstał przed brzaskiem i do nich dołączył, błagali Catherine o wyrozumiałość i zapewniali ją, że nigdy więcej nie wyciągną jej męża z domu o takiej godzinie. Wszyscy trzej bezwstydnie usiłowali ją czarować. Oczywiście przejrzała to i śmiała się z nich, ale nie wiedziała, co naprawdę się dzieje.

W sypialni, długo się z nią kochał. Potem trzymał ją w ramionach. Cieszył się, że - odwrotnie niż poprzedniej nocy - nie miała ochoty rozmawiać. Pragnął przekazać

jej słowa, które wyraziłyby to, co przed chwilą usiłował obwieścić jej dotykiem i pieśczością. Nie chciał jednak w tej chwili niczym jej obciążać. Nie teraz, skoro jutro mogło sprawić, że i bez jego dzisiejszych wyznań będzie miała wiele do zniesienia.

Tulił ją do siebie, aż zasnęła, a potem zaczęły się długie godziny drzemki, krótkich snów i nagłych przebudzeń, które zawsze poprzedzały dzień bitwy.

- Toby - powiedziała, biorąc łapek psa w obie dłonie - jestem zaniedbywaną żoną.

Zabrał się na konny spacer z przyjaciółmi jeszcze przed świtem, potem pewnie pojedą na wspólne śniadanie, a jeszcze później razem odwiedzą klub White'a.

Będziemy mieli szczęście, jeżeli

raczy wrócić na lunch.

Toby postawił pionowo uszy, radośnie sapnął i pomachał ogonem.

- Nie czuję się urażona - zapewniła psa. - Nie powinieneś tak myśleć. On ma prawo do swojego życia, tak samo jak ja. Pod warunkiem że trochę czasu spędzimy razem. Problem w tym, Toby, że odkąd za niego wyszłam, nie musiałam sama organizować sobie rozrywek. To spora odmiana po latach niezależności, 204

prawda?

Toby entuzjastycznie zaszczekał.

- Tak - ciągnęła - masz, oczywiście, rację. Najwyższa pora, żebyśmy poszli na spacer.

Stać spokojnie i dać się trzymać za łapek - to przekraczało możliwości Toby'ego.

Wyrwał się i zaczął biegać wkoło pokoju śniadaniowego, przy każdym okrążeniu na moment zatrzymując się z nadzieją przy

drzwiach.

Zaczęła się z niego śmiać.

- Wiesz, Toby, jeśli nie chcesz iść ze mną - stwierdziła - naprawdę nie będę cię zmuszać.

Po kilku chwilach wyszli z domu w towarzystwie pokojówki. Toby, trzymany na smyczy, usiłował wyrwać Catherine ramię ze stawu. Kiedy wreszcie puściła go luzem w Hyde Parku, pobiegł przed siebie jak szalony, aż służąca roześmiała się, a Catherine zaczęła jej wtórować.

Spotkali niewiele osób, nikogo znajomego. Tak cudownie było znów spacerować w Hyde Parku. O tej porze roku wyglądał jak wiejski zakątek. Można było zapomnieć, że to środek największego, najbardziej ruchliwego miasta na świecie.

Dzień był piękny, słoneczny. Catherine żałowała, że nie wstała wcześniej i nie pojechała na spacer z panami. Ale może to i dobrze, pomyślała. Musi szanować

męskie wyprawy męża, tak samo jak oczekiwała, że on uszanuje jej przyjaźnie - na przykład z Elsie. Nie powinna wiecznie trzymać się poły jego płaszcza.

Nie miała ochoty wracać od razu po przechadzce. Dokąd jeszcze mogłaby się wybrać? Do Elsie? Mieszkała zbyt daleko. Musiałaby zawrócić do domu i wziąć powóz. Za to dom Daphne stał w odległości niedługiego spaceru od parku.

Rozjaśniła się. Pójdzie odwiedzić szwagierkę.

Kiedy doszli do domu lady Baird, zdawało się, że na próżno stracili czas. Lokaj sir Claytona tłumaczył wykrętnie, że nie jest pewien, czy pani przyjmuje. Po chwili wrócił jednak z zaproszeniem do buduaru na piętrze. Toby'ego, po zajadłych protestach psa, służąca zabrała do kuchni.

Daphne, z zaczerwienionymi powiekami i przygnębioną miną, rzuciła się w ramiona bratowej zanim jeszcze za nowo przybyłą zamknęły się drzwi.

- Słyszałaś coś?! - wykrzyknęła. - Już wiadomo? Żyje?

- Daphne? - Catherine patrzyła na bratową z osłupieniem. - O czym ty mówisz?

Daphne spojrzała błędnym wzrokiem.

- Co z Rekssem? Zginął? Clayton wyszedł wieki temu, żeby się czegoś

dowiedzieć, ale dotąd nie wrócił.

Catherine nagle zakręciło się w głowie. Powietrze w buduarze przejęło ją

205

chłodem.

- Rex? Coś mu grozi? - zapytała słabym głosem.

Daphne popatrzyła na nią z przerażeniem, zaprowadziła do najbliższego krzesła i pomogła jej usiąść.

- Nie wiedziałaś? Boże, co ja narobiłam! Rex pojedynkował się z sir Howardem Copleyem dzisiaj o świcie. Pojedynek na pistolety... -Zaszłochała.

Catherine znalazła się sama na końcu zimnego, ciemnego tunelu. Z drugiego końca ktoś nawoływał, poklepywał jej dłonie, mówił do niej - i oddalał się znowu.

Potem rozległy się jakieś głosy, coś przytknięto do jej ust, tunelem buchnął żar i zmusił, by zachłystując się kaszlem,

wróciła do jasności dnia.

- Odzyskuje przytomność, milady - usłyszała męski głos.

- Tak - powiedziała Daphne. - Dziękuję. Brandy pomogła. Proszę zostawić tę szklankę, może potrzebować jeszcze trochę.

Lokaj sir Clayтона Bairda wyszedł z saloniku, zapewniając panią, że będzie tuż za drzwiami, gdyby go jeszcze potrzebowała.

- Przecież sir Howarda nie ma nawet w mieście - powiedziała oszołomiona Catherine, jakby rozmowy nie przerwało jej omdlenie. -I dlaczego miałby wyzywać Reksa na pojedynek?

- Był wczoraj na balu. Nie widziałaś go? Catherine, to Rex wyzwał Copleya.

Dowiedziałam się dziś rano. Clayton poszedł czegoś się dowiedzieć, ale jeszcze nie wrócił. Och, dokąd ty idziesz?

Catherine podniosła się chwiejnie na nogi - nadal kręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, dokąd pójść, ale musiała go odnaleźć. Musiała zatrzymać. Musiała...

- Muszę mu powiedzieć, że go kocham - usłyszała własne słowa. Co za głupstwa wygaduje! Drżącą rękę podniosła do ust.

- Och, Catherine...

Nagle znalazły się w uścisku. Jedna płakała na ramieniu drugiej.

Za późno go szukać. Za późno, by go powstrzymać. Być może już nie zdąży powiedzieć mu, że go kocha. Pojedyńki zawsze odbywały się o brzasku. Wyszedł

z domu długo przed świtem.

- Muszę wracać - powiedziała. Nagle ogarnęła ją nieodparta potrzeba, by znaleźć

się z powrotem w domu. - Muszę iść.

- Pójdę z tobą - odparła Daphne.

Żadnej nie przyszło do głowy wezwać powóz. Nie mogli czekać ani chwili dłużej.

Pośpieszyły razem ulicą, ze spuszczoneymi głowami. Catherine zupełnie zapomniała, że w kuchni domu Bairdów zostali pokojówka i pies.

206

się

Teraz, kiedy czas nadszedł, lęk zamienił się w Wiedział, że tak będzie - zawsze tak bywało. Nie musiał się obawiać niepewnych nóg ani drżącej dłoni. Copley przyprowadził ze sobą jednego sekundanta. Nat, Eden i Ken stali obok Rawleigha

poważni, o pobladłych twarzach. Musi im być trudniej niż mnie, pomyślał w przebłysku intuicji. Zwykli walczyć, nie biernie czekać. Nie mogli patrzeć

spokojnie, jak jeden z nich ryzykuje życie. W pobliżu stał także lekarz.

Wicehrabia Rawleigh nie spojrział na Copleya, kiedy przeciwnik zdejmował

płaszcz, surdut i kamizelkę. Popatrzył mu w oczy dopiero wtedy, gdy Eden i sekundant Copleya podeszli ze zwyczajową formalną prośbą o ugodowe zakończenie sporu. Odmówił, a Copley wyszczerzył pogardliwie zęby. Mieli stanąć do siebie plecami, odmierzyć dwanaście kroków, obrócić się i na sygnał

wystrzelić.

- Powiedz Catherine, że ją kochałem - poprosił Edena w ostatniej chwili.

- Sam jej to powiesz po wszystkim - odparł rześko przyjaciel, ale skinął głową.

Po kilku chwilach Rawleigh przeszedł dwanaście kroków, trzymając pistolet w pogotowiu, uspokajając umysł, by starannie wycelować, nie kierować się

impulsem i nie strzelić przed czasem. Musiał trafić pierwszą kulą.

Copley powziął odmienną decyzję. Gdy tylko odwrócił się na linii, opuścił pistolet i zanim jeszcze dano sygnał - wypalił.

Zdumiewające, jaką wartość ma doświadczenie, pomyślał Rawleigh. Wskazywało ono, że odczuwa zbyt silny ból, by rana była poważna. Przy groźnym postrzale przynajmniej przez kilka chwil nie czułby nic - szok by go znieczulił. W prawej ręce odczuwał dojmujący ból... Choć nawet nie spojrzał, wiedział, że krwawa plama rozlewa się na białym rękawie koszuli. To tylko zraniony mięsień. Wątpił

nawet, by kula utkwiała w ramieniu.

Nie musiał też się oglądać, by wiedzieć, że Nat już trzyma broń w ręku.

- Już po tobie, Copley! - krzyknął przyjaciel głosem, który Rawleigh znał tylko z pola bitwy, ale jeszcze się wstrzymał i nie strzelił.

Rawleigh naprowadzał broń spokojnie, nie zwracając uwagi na ból. Miewał z nim w przeszłości wiele do czynienia i wiedział, że cierpienie to nie utrata życia.

Copley nie miał wyjścia, musiał stać i czekać. Ustawił się bokiem, żeby stanowić

jak najmniejszy cel.

Czas płynął w zwolnionym tempie. Pole widzenia zawęziło się Reksowi, jakby spoglądał przez lunetę. Opuszczając pistolet do strzału, widział bladą i pogardliwą

twarz Copleya. W ciągu jednej sekundy Rawleighowi przebiegło przez głowę

wiele myśli. Miał dosyć zabijania. Po każdej bitwie przez wiele godzin miał

mdłości, dręcząc się, że zabijał ludzi, którzy zasługiwali na śmierć nie bardziej niż

207

on. Strzelał, żeby nie dać się zabić. By chronić przyjaciół i swoich żołnierzy przed śmiercią. Teraz ani jemu, ani jego przyjaciółom śmierć nie groziła.

Ale... Copley to nikczemnik. Zniewolił Catherine i najprawdopodobniej także Horację. Może krzywdził i inne kobiety. Jeśli przeżyje pojedynek, jeśli nawet wydarzenia dzisiejszego poranka zmuszą go, by dobrowolnie wyjechał z Anglii na zawsze, może się zdarzyć, że zrobi to znowu. Przyniesie kolejnej ofierze taki ból, jaki sprawił Catherine i Horacji.

Do ostatniej chwili Rawleigh nie był pewien, czy wyceluje i zabije Copleya, czy podniesie rękę w górę i okaże całą swoją pogardę dla tego niegodziwca, umyślnie pudrując.

Strzelił.

Kiedy już było po wszystkim, podszedł do przyjaciół, wziął surdut i narzucił go na ramiona rękoma, które nie drżały. Nawet nie spojrzął, co lekarz i sekundant Copleya robią przy nieruchomym ciele przeciwnika. Potem musiał jednak zrobić

parę niepewnych kroków na bok. Zwymiotował na trawę. Kręciło mu się w głowie, miał bowiem świadomość, że zabił człowieka, ale być może pierwszy raz nie czuł wyrzutów sumienia.

Pomścił hańbę Catherine. Wszystkie kobiety będą teraz bezpieczne przed łajdakiem, który ją skrzywdził.

- Śniadanie - zapowiedział, wracając do przyjaciół, choć najedzenie miał taką samą ochotę, jak na skok w przepaść. - Do White'a?

- Do White'a. - Nat klepnął go serdecznie w lewe ramię. - Copley i tak nie miał szansy, Rex. Gdybyś go nie zabił, ja bym to zrobił.

- A może u mnie w domu zamiast w klubie? - zaproponował Eden. - Więcej prywatności i tak dalej...

Ja muszę zaraz jechać - przerwał Ken. - Wracam do Dunbarton. Pozostała trójka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wicehrabia Rawleigh dopiero teraz dostrzegł

bladość i napięcie na twarzy przyjaciela. Nat i Eden trzymali się dzielnie.

- Do Dunbarton? Teraz, Ken? Natychmiast? Bez śniadania? Myślałem, że zostaniesz w Londynie do końca sezonu.

Ken wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Wczoraj wieczorem czekał na mnie list - powiedział. Starał się uśmiechnąć, ale z marnym skutkiem. - Wygląda na to, że za sześć miesięcy zostanę ojcem.

Na moment wszyscy zapomnieli o pojedynku. Trzech przyjaciół gapiło się na niego bez słowa.

- Kto to? - spytał w końcu Eden. - Poznaliśmy ją u ciebie, Ken? Jakaś dama z towarzystwa?

- Nie znacie jej - odparł ponuro Ken. Owszem, to dama. Muszę jechać do domu 208 i ożenić się z nią.

- Czy mogę zaryzykować uwagę, że nie przejawiasz zbytniego entuzjazmu? -

spytał Nat, marszcząc brwi.

- Nasze rodziny nienawidzą się, odkąd pamiętam - wyjaśnił Ken. - Chyba nigdy nie lubiłem mniej jakiejś kobiety, a teraz ona spodziewa się mojego dziecka. Biorę

z nią ślub. Życzcie mi szczęścia.

Uśmiechnął się wreszcie, a Rawleigh zaczął współczuć nieznannej sobie przyszłej pannie młodej.

- Ken - powiedział, marszcząc brwi - coś mi tu nie pasuje...

- Nie chcę o tym mówić - odparł przyjaciel. - Muszę jechać. Rex, cieszę się z obrotu spraw. Niech ci lekarz opatrzy ramię, zanim stąd odjedziesz. Dobrze, że nie oszczędziłeś Copleya. Bałem się, że to zrobisz. Gwałciciele nie zasługują na łaskę.

Nie dodając nic więcej, poszedł po swojego konia. Nie obejrzał się. Żaden z przyjaciół nie zawołał za nim.

- Biedny Ken... - mruknął Nat.

- Biedna dama - odparł Rawleigh.

- Lepiej zajmijmy się tą raną, Rex, zanim wykrwawisz nam się na śmierć -

powiedział żywo Eden, odwracając się od odchodzącego przyjaciela. - Widzę, że lekarz już jest wolny.

Rzeczywiście trzeba się tym zająć, pomyślał Rawleigh, spoglądając na swoje ramię. Rękaw koszuli przesiąknął krwią od ramienia do łokcia.

Catherine. Znów ją zobaczy. Dożył chwili, kiedy jej powie, że ją kocha.

Obie panie usłyszały hałas otwieranych na dole drzwi i rozmowę dobiegającą z holu, choć siedziały w salonie na piętrze. Nie usłyszały jednak, czyje to głosy.

Catherine siedziała sztywno wyprostowana na krześle. Chciała wstać, zbiec na półpiętro i zobaczyć, kto przyszedł albo zawołać służbę, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Raz wydawało jej się, że są z ołowiu, to znów że drżą jak galareta.

Odgadła, że Daphne czuje to samo. Nie zamieniły ani słowa - obie nasłuchiwały bez ruchu.

Kto przyszedł? Kogo wybrali, by przekazał jej wiadomość? Ojca, Harry'ego, lorda Pelhama czy któregoś z pozostałych przyjaciół? Obcego człowieka?

Potem drzwi otworzyły się cicho i wszedł do środka. Przez chwilę nie docierało do niej, że to on stoi u wejścia. Wyglądał blado. Miał na sobie cudzą koszulę. Prawy jej rękaw zwisał bezwładnie, ramię podtrzymywał biały temblak.

Zapadła niepokojąca cisza. Daphne skoczyła na równe nogi i mocno chwyciła się oparcia krzesła.

- Ach tak - powiedział spokojnie. - Rozumiem, że nie ma sens wmawiać wam, że poniósł mnie koń?

- Rex... - szepnęła Daphne, przyciskając dłoń do brzucha.

- Nic mi nie jest, Daphne - odparł. - To czysta rana, zaledwie draśnięcie. Ten głupi lekarz nakazał mi ułożyć ramię na temblaku. Pewni imponująco wyglądam. -

Uśmiechnął się.

- Gdybyś ty wiedział, co my przeżyliśmy! - zawołała siostra. Czekanie to najgorsza rzecz na świecie. A kobiety tyle się zawsze muszą naczekać.

Catherine obserwowała tę scenę, niezdolna w niej uczestniczyć Straciła władzę

nad swoim ciałem, nie mogła poruszyć się ani przemówić. Popatrzył na nią, podszedł i przyklęknął u jej stóp na jedno kolano Nie zważając na temblak, chwycił jej ręce. Prawą dłoń miał chłodniejszą niż lewą.

- Kochana, Copley już nigdy nie zaszkodzi tobie ani żadnej innej kobiecie -

powiedział.

- Zabiłeś go? - To był głos Daphne.

- Tak - odparł.

Drzwi otworzyły się i ktoś jeszcze wszedł do środka. Po chwili Daphne głośno się

rozplakała.

- Och, Clayton, obiecałeś przecież po bitwie pod Waterloo, że nigdy więcej nie będę musiała przechodzić przez takie okropności - mówiła.

Wybacz, kochanie - odparł. - Dopiero niedawno dowiedziałem się że przeżył. Nie było cię w domu. Domyśliłem się, że przyszedł tu z Catherine. Nie denerwuj się.

Wiesz, że to ci może zaszkodzić. Wracamy i kładziesz się do łóżka. Rex i Catherine na pewno chcą zostać sami.

Catherine nawet na nich nie spojrzała, Rex także. Patrzyli sobie w oczy, ściskając się za ręce. Po niedługiej chwili w salonie zapadła cisza. Żadne nie odwróciło się, by pożegnać Clayтона i Daphne.

Wreszcie odzyskała głos.

- Łatwiej by mi przyszło pogodzić się z tym, że Copley chodzi jeszcze po świecie, niż z tym, że

ciebie już na nim nie ma - powiedziała.

- Naprawdę? Zdrową ręką podniósł jej dłoń do ust i ucałował. - Kochanie, musiałem to zrobić. Copley nie żyje.

- Nikt nas nie słyszy. -- Jej umysł wciąż koncentrował się na drobiazgach. - Nie musisz tego mówić.

- Czego mówić?

- Słowa „kochanie”

- Jesteś moim kochaniem. - Uśmiechnął się do niej. - Może nie chcesz tego słuchać, ale ja następne kilkadziesiąt lat zamierzam spędzić mówiąc ci to co 210

chwila. Kochanie. - Znow ucałował jej dłoń. - Co?! Łzy? Aż tak ci z tym źle?

Mocno zagryzła dolną wargę, ale to nie pomogło. Wykrzywioną płaczem twarz ukryła na jego ramieniu. Uniosła ją, kiedy gwałtownie drgnął z bólu.

- Jeśli mnie kochasz ~ zawołała - jak mogłeś zrobić coś tak głupiego, głupiego, głupiego?! Nienawidzę cię! Czy ty myślisz, że chciałam, byś

ryzykował życie? I tylko dlatego, że masz tak idiotycznie wygórowane poczucie honoru? Gdybyś zginął, jak miałabym żyć, nie zdążywszy ci powiedzieć?

Wciąż się uśmiechał, widziała to nawet przez łzy.

- Catherine - powiedział cicho. - Kochanie moje.

- Myślałam tylko o tym, że już za późno, żeby ci powiedzieć...

- Co takiego?

- Że cię kocham. - Tym razem pamiętała, żeby oszczędzić zranione ramię.

Podniosła głowę, bo poczuła, że mąż obejmuje ją obiema rękami. Prawą uwolnił z temblaka.

- Do diabła z tą szmatą - powiedział, śmiejąc się do niej. - I tak chodziło mi wyłącznie o teatralny efekt. Okazało się mimo wszystko, że jesteśmy małżeństwem z miłości, prawda?

Przytaknęła, spoglądając mu w oczy, i wciąż na nowo pojmując, jak niewiele brakowało, by go tego ranka straciła - trafiła go kula wystrzelona przez Copleya.

To wspomnienie jeszcze długo będzie ją prześladować.

- Zostaliśmy sami. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. - Bez pozwolenia nikt tu nie wejdzie, chociaż drzwi nie są zamknięte na klucz. Kochana, ogarnia mnie wielka ochota na miłość.

To się zdarza, kiedy mijają jakieś niebezpieczeństwo.

Życie domaga się ponownego uznania, jakiegoś potwierdzenia...

Zanim skończył mówić, drzwi uchyliły się leciutko i po sekundzie mały kłębek sierści rzucił się w ich stronę z głośnym szczekaniem.

- Leżeć, mój panie - rzucił ostro wicehrabia.

- Toby, pieseczku - powiedziała jednocześnie Catherine. - Wróciłeś do domu.

Toby usiadł przed swoim nowym panem, posapując i trzepiąc ogonem o dywan.

Będę musiał nauczyć tego teriera dobrych manier. Nic z tego. Takiego go kocham.

- No cóż, może uda mi się zachować resztki autorytetu, kiedy będziemy omawiać wychowanie dzieci. Czy możemy dokończyć tę rozmowę w sypialni?

- A twoja ręka?

- Wciąż towarzyszy reszcie ciała i może cię mocno objąć. Czy możemy już iść?

Skinęła głową.

Zanim wstali, mocno ją pocałował, jakby dla udokumentowania niepohamowanej, wzajemnej miłości. Połączyli usta - świadomi, że ten moment musi być

zauważony i zapamiętany. Życie jest krótkie i przynosi zbyt nieoczekiwane 211 odmiany losu, by miłość odkładać na później.

s - Cieszę się, że na jedną krótką chwilę pomyliłam cię kiedyś z Claude'em - powiedziała w przerwie między pocałunkami.

- Hm... - mruknął. - Wybaczam ci pomyłkę, kochanie, ale wolałabym, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

Toby położył łepkę na wyciągniętych łapach, popatrzył na nich i głęboko ziewnął z zadowoleniem.

Document Outline

- ??
- ??
 - ??

Table of Contents

